

Cnotliwi



ELIZA ORZESZKOWA

Cnotliwi

*„Nie widziałem na świecie obrzydliwszej złości,
Jak malowany pozór świętej gorliwości,
Którego szarlatani chętnie używają;
Z którym zwykle na pokaz cnotliwi igrają,
Aby słoniąc nim kłamstwo swych ról wyuczonych,
Nadużywać imienia rzeczy uświęconych.
Ci ludzie pełni chciwej i grzesznej ochoty,
Rzemiosło albo towar czynią sobie z cnoty,
Zdobywając zaszczyty, wiarę, poważanie,
Przez udane zapęły i ócz przewracanie.
Ci ludzie, którzy biegną z gorliwością rzadką,
Ku własnej swej korzyści drogą niebios gładką;
Umieją swe występki godzić z pobożnością.
Grzeszą sami mściwością, złością, nieprawością,
A na zgubę bliźniego gotowi zuchwale
Ciskać gromy zatrute w żarliwym zapale.
Tem więcej niebezpieczni ile w przewrotności
Posługują się bronią cnoty, pobożności,
I w świętem uniesieniu ogólnie chwalonem,
Mordują bliźnich swoich ostrzem poświęconem.”*

(Mollière, z komedji Świętoszek).

I

Nad pewną piękną i wielką rzeką stoi pewne miasto, nie bardzo wielkie i nie bardzo małe, nie bardzo piękne i nie bardzo brzydkie. Ulice posiada dość szerokie i czyste, ale zaopatrzone brukiem, który każe przechodniom koniecznie zapominać o niebie; bo biada temu kto po nim stąpając, choć na chwilę wzrok swój od ziemi oderwał! Chodniki są tam także; ale różnią się tem od wszelkich innych chodników tego świata, że oprócz do chodzenia służą też do skakania, przedstawiając nieprzejrany ciąg wzgórz, dolin, wąwozów i strumieni.

Na tych ulicach i na tych chodnikach, roi się trzydziesto tysięcy z górą ludność, z której przynajmniej połowa chwali Boga Abrahamów i Izaaków, i każdego piątkowego wieczoru, illuminuje okna swych mieszkań łojówkami. Druga połowa publiczności bardzo przyzwoity przedstawia widok, mianowicie w dni świąteczne, w godzinach ogólnego pochodu do kościołów; albo w dni pogodne, o uświęconej przechadzkowej dobie. W owych porach ogólnego na mieście ruchu, zobaczyć tam można i piękne powozy i liberjowanych lokajów; jedwabne suknie i najmodniejsze jakie być mogą kapelusze, beduiny i paletoty, bonżurki i marynarki; twarzyczki kobiece białe i delikatne, wąsiki męskie zaostżane à la Napoleon i t. d. Oprócz tego, w dniu powszednie, panuje tam ciągle a znaczny ruch interesów majątkowych, handlowych i przemysłowych; wizyt, wesel, chrzcin, pogrzebów; miłości, niechęci, intryzek, plotek, biedowania, radowania się, oczekiwania — wszystkich słowem ingrediencji składających tę mieszaninę, która sta-

nowi zwykle wrzący, huczący, płaczący ze śmiechem i śmiejący się wśród płaczu — żywot nagromadzonej w jedno miejsce ludności.

Jak w każdym podobnej wielkości mieście, są tam rynki pełne wrzawy z rana a śmiecia wieczorem; parę ogrodów publicznych, z których większy posiada dwieście kroków długości a sto szerokości; kilka kościołów, z których jeden wielki i piękny; kilkanaście sklepów, a kilkadziesiąt sklepików, i nareszcie wiele dwu i trzypiętrowych kamienic, pomalowanych wszelkimi możebnymi barwami, a więcej jeszcze skromnych domków z przedpotopowymi facjatkami, lub chałup stojących na kurzych łapach, ze ścianami zabierającymi się do spoczynku, i szybami pozaklejanymi brudną bibułą. Wiosną i latem, niekiedy nawet i zimą, jeśli mróz nie dochodzi zbyt kaleczących uszy i oczy rozmiarów, na chodnikach ulic, o zmroku, Izrael rozpoczyna czynności swego publicznego życia. Wszędzie gdzie stąpisz, odbywają się umowy, narady, dysputy, których treść odgaduję po gestach rąk wysuwających się z hałatów i z wyrazu fizjonomij, na których długie przyzwyczajenie do rachuby, wyrzyło wielkimi cyframi, cztery działania arytmetyczne. Przed bramy domostw wynoszą się ławeczki, a na nich po zamknięciu swych sklepików zasiadają żydówki kramarki, robiąc w ciemności na pamięć czarne i szafirowe pończochy, gwarząc między sobą o zyskach dnia upłynionego, i grożąc dzieciakom które bawiąc się obok nich w wąwozach i strumieniach chodnika, wrzeszczą w niebogłoso.

Środkiem ulicy przemyka niekiedy elegancki powóz, dwie lub trzy dorożki zaturkoczą jednocześnie, jękliwa szarmancka zawiedzie pod jakim oknem arję z Trubadura, z wieży kościelnej rozbrzmi głos dzwonu do wieczornej wzywającego modlitwy, wesoly przechodzień zagwizdże arjetkę i laseczką o kamienie uderzy, pałasz zgrzytnie po bruku, parę sukien kobiecych zabieleje.

Potem nadchodzi noc, rozchodzą się Izraelskie grupy, ucicha wrzawa żydziat, wieże kościelne milkną w sennej ciszy, zamykają się bramy i okiennice domostw, gasną światła w oknach i latarnie na ulicach; sen i ciemność zalegają miasto.

Tu i owdzie jednak długo, długo jeszcze w noc, na wysokim piętrze zamglonem światłem błyska okno. Co się poza oknem tem dzieje? co oświeca to mgliste światelko nocne? Czy ze schylonem młodem czołem, czuwa tam nad rozwartą księgą żądny wiedzy młodzieniec? Czy ubogi pracownik nocne godziny spędza wśród trudu, aby mieć czem zaspokoić jutrzejszy głód swych dzieci? Albo może przy zielonym stole siedzą gracze z kartami w drżących dłoniach, ze wzrokiem palającym od trunku i namiętności? Tu, na tle blade oświetlonego okna, w powłoczystych festonach rysuje się firanka bogata. Zapewne to wytworny gabinet świetnej i bogatej a jednak nieszczęśliwej pani, której serdeczna jaka tęsknota, sen z powiek spędza. Siedzi może ona, wśród ciszy nocnej, na miękkim usłanem siedzeniu; wielkie zwierciadło odbija strojną i piękną jej postać, ale ona nań nie spogląda, bo źrenice jej, mgłą żalości zaszele; lży moczą batystową chustkę i serce boleśnie uderza pod koronką i jedwabiem.

Tam znowu widzisz po za oświetloną szybą parę wazonów kwitnących, i miękkie gałązki bluszczu wijące się, po ramach okna. Za oknem tem, w skromnym cichym pokoju, przy świetle bladawej lampy, siedzi może szczęśliwa para narzeczonych dwojga, lub małżonków młodych, i gwarzy z sobą serdecznie, długo. Godziny upływają, noc ma się już ku końcowi, a oni jeszcze dość się nagadać nie mogą; bo jedno drugiemu przez oczy i usta chciałoby całe serce, całą duszę swą wypowiedzieć, a na to czasu zamało, zawsze zamało mają.

Gdzieindziej jeszcze migoce coś po za szybą, zda się ręka kobieca, pilna, pracowita, zapewne w igłę zbrojna. To szwaczka jakaś uboga; kończy szycie kosztownej sukni, biegłym jej powierzonej rękom. Późno już, a ona szyje ciągle, szyje z zapalem, a na ustach jej uśmiech igra i na czole osiadł spokój cichy, bo praca jej ulży trudu ukochanemu mężczyźnie, który życia jej towarzyszem jest drogim, i da nową, śliczną sukienkę dziecięciu małemu, co teraz śpi obok niej słodkim snem aniołów. Być może, iż uboga szwaczka ze szczęściem w sercu szyje w nocnych godzinach strój kosztowny dla bogatej pani, która w tej samej porze czuwa także, ale tęskni i płacze.

Jedno wśród nocy oświetlone okno, zda się rzecz drobna, a ileż powiedzieć może, ile zadać zagadnień! Nie uważasz, nie patrzysz na nie, przechodzisz mimo, a nie wiesz żeś minął dramat albo sielanekę, miejsce występku lub siedlisko wytrwałej cnoty, świątynię

szczęścia lub żalości bezdnie. Te okna pojedyncze wśród nocnej migocącej doby, to oczy, przez które patrzą rozpacze i rozkosze, nałogi występnych i wspaniałe myśli mędrców, nadzieje, prace, trwogi, smutki, marzenia i poezje ludzkich żywotów.

Mieszkańcy miasta znają po imieniu te wszystkie okna, i ciekawemu, pytającemu, powiedzieć mogą: oto okno uczonego, rzemieślnika, gracza, studenta, nieszczęśliwej pani, szczęśliwej szwaczki, tylko co przysłej na świat istoty i człowieka który tej nocy świat ten opuszcza. Patrzysz na te nocne oczy miasta i w długiej zadumie snujesz myślą różne historie istnień człowieczych...

Powoli jednak, stopniowo gasną światła te jedno po drugim; a natomiast kraniec horyzontu poczyna barwić się pierwszemi dnia brzaskami. Niby strojna pani w zwierciadle, słońce wstępując na niebo, przegląda się naprzód w szerokiej wstędze rzeki, srebrne jej fale zasnuwa barwą błękitu, a w głębie wód rzuca myrjady drgających, migocących złocistych iskier. Niby wywołane z toni czarodziejską mocą światła, wnet na powierzchni ukazują się drobne łódki rybackie, i żywo mkną po spokojnych falach; wiosła wesoło pluskają w wodzie, a niekiedy prosta piosenka rybaka rozbrzmi w cichem jeszcze powietrzu rannem i zmilknie wkrótce wśród wysokich i skalistych wybrzeży.

Potem wieże kościelne budzą się pod obłokami; krzyże błyskają u ich szczytów słońcem ozłoczone, a pod krzyżem, dzwony brzmią srebrzysto przeciągłe. Za miastem i za rzeką drogi szerokie napełniają się jadącymi i idącymi ku miastu ludźmi, rozświecają się pobliskie wzgórza obsiane zbożem lub obrosłe sosnowymi borami. Latem odzywa się na łąkach wołanie oraczy, lub gwar nadchodzących żniwiarzy; zimą, szerokie płachty śniegowe świecą czystą bielą, a na sosnowych borach szron błyszczą połyskami brylantów, i cyple lodu niby kryształowe smugi wieszają się po gałęziach.

Na ulicach z wejściem dnia nowego robi się znowu gwarno i ludno. Krzyczą Izraelici, turkoczą powozy, brzmią śpiewem kapłanów kościoły. Budzą się matki przy kolebkach dzieci, do pracy biorą się wyrobnicy; uboga szwaczka ze szczęściem w sercu, odnosi bogatej pani strój ukończony wśród bezsennej nocy, a bogata pani, po bezsennej nocy, także z uśmiechem na ustach i smutkiem w piersi, wyjeżdża kareta do kościoła, aby poskarżyć się przed Bogiem na swą ozłoczoną niedolę.

I znowu między ścianami domostw wre, kipi, boli i śmieje się życie trzydziestu tysięcy ludzi.

Taką jest zewnętrzna i wewnętrzna postać miasta, którego nazwanie każdy mniej więcej oświecony mieszkaniec kraju znać musi, i z łatwością znaleźć może na jeograficznej karcie — ale które w jeografii powieściowej, dla różnych a różnych przyczyn, oznacza się nic nie mówiącą literą X.

II

W mieście tedy X., w porządnem mieszkaniu o czterech pokojach, położonem na dolnem piętrze jednej z większych kamienic, zapadał zmrok dnia wiosennego, i mimo że na świecie było bardzo ciepło i pogodnie, w dość dużym bawialnym pokoju palił się na kominku ogień.

Przed ogniem, na wpół leżała w głębokim fotelu kobieta, a profil twarzy jej ostro rysował się na czerwonym tle płomienia. Była twarz chuda i żółta, o rysach spiczastych, mocno wystających kościach policzkowych, o oczach wklęsłych i bez połysku, patrzących z pod brwi czarnych i energicznie zarysowanych. Nad pomarszczonem czołem, gładko zaczesane pasma czarnych włosów wydobywały się z pod białego czepka, szeroką oszytego listwą, wążkie, i blade usta zwarte były z wyrazem cierpienia i jakby ciągłego, głucho wrzącego wewnątrz gniewu. Ubrana była w czarną wełnianą bluzę z szerokim kołnierzem z białego płótna, który zmięty i niedbale opadający, ukazywał szyję żółtą, wyschlą i pomarszczoną. Z pod takichże płóciennych szerokich mankietów, wysuwały się wyschłe białe ręce, o wydatnych błękitnych żyłach i długich chudych palcach, z których na jednym błyszcząca przed ogniem złota ślubna obrączka.

Było w kobiecie tej coś niewymownie a podwójnie — bo fizycznie i moralnie cierpiącego. Nogi jej wystawione na działanie płomieni, i aż do kolan owinięte w grubą czarną flanelę, spoczywały na wysoko usłanych poduszkach; dość było spojrzeć na ich bezwładną sztywność, aby odgadnąć iż były sparaliżowane. Choroby długie, smac bolesne a różne,

tak pomarszczyły, zmięły i żółciły rysy twarzy, że trudno było wyczytać z niej wiek kobiety; nie musiała być jednak starą, bo włosy miała jeszcze zupełnie czarne. Kierując się najbliższym przypuszczeniem, można było dać jej lat czterdzieści. Przypatrzwszy się bliżej, można też było poznać, że była ona niegdyś piękną. Wzrost musiała mieć wysoki, oczy wielkie i czarne, usta małe, czoło wysokie. Teraz zaledwie widzialne ślady te dawnej piękności, migotały kiedy niekiedy przed okiem patrzącego, z poza bolesnej zasłony, jaką na nie rzuciły nie tyle lata, ile choroby i burze wewnętrzne.

W ostrym wyrazie zapadłych oczu, a surowem i nieco szydrczem zagięciu ust bladych, w niecierpliwym ruchu palców chudych, machinalnie szarpiących szorstką materję sukni; znać było gwałtowny bunt w chorem ciele chorego ducha; znać było, że wszelka słodycz uciekła z serca tej nieszczęśliwej kobiety, wygnana żalem za młodością, pięknnością i zdrowiem. Potem, i sam żal ten przepalił się w zbolącej piersi na gorycz pełną żółci i niechęci, na ciągle głuche i niepohamowane rozdrażnienie.

Wszystko co otaczało tę smutną postać, było również dziwnem jakimś osmuceniem nacechowane. Sprzęty nie wykwiłtne wprawdzie, lecz porządne i gustowne, mogłyby pięknie ubierać mieszkanie; ale stały sztywne, niczyją nigdy ręką nieporuszone, miejscami kurzem pokryte. Nigdzie żadnej ozdóbki, żadnego kwiatka; nic miękkiego, nic mówiącego do serca lub umysłu. Cóż konwencjonalnego i urzędowego było w białych firankach z haftowanego muślinu, wiszących u okien, i w lampie, która sama jedna stała przed kanapą na stole nagim. Krzesła pod ścianami stały martwo ociążnione białem płótnem, niby w śmiertelne ubrane koszule. Pomimo majowej pogody okna szczelnie zamknięte i zaklejone były, a w pokoju powietrze nie odświeżone ożywym prądem, tchnęło stęchlizną i kurzem. Jedynym przedmiotem posiadającym tu nieco życia i poezji, było piękne palisandrowe pianino otwarte, z rozłożonym na pulpicie marszem żalobnym Szopena. W istocie, ktokolwiek grywał na tym instrumencie obok tego żółkłego skieletu kobiety, w tym pokoju podobnym do grobu, nie mógł zeń innych, jak żalobne wydobywać tony.

Za oknami na ulicy roiła się ludność ruchem wzmożonym piękną pogodą, i żwawo partemi do końca sprawami znikającego dnia. Chodnikiem szły wracające z przechadzki pary, prowadząc się pod ręce i gwarząc wesoło; różnobarwne kapelusiki kobiet, strojne w pióra i kwiaty, i zgrabne czapeczki młodych mężczyzn co chwilę migotały za szybami. Kiedy niekiedy zabrzmiał tuż za oknem srebrzysty, przyzwoitością powstrzymany śmiech młodzieutkich jakichś ust kobiecych albo zniżonym głosem wymówione, a pełne miłościwego znaczenia słowo jakiegoś rozkochanego w towarzyszce przechadzki, mężczyzny, wniknęło z za szyby w głąb mieszkania. To znowu z głuchym turkotem i brzękiem uprząży przeleciał środkiem ulicy piękny powóz pełen wesołych pań i panów; to parę doróżek przemknęło szybko; to znów gdy turkot ucichł cokolwiek, dochodził zdala głos *szar-mantki* zapamiętałe wygrywającej skoczne polki, albo ktoś zagwizdał wesołą piosenkę, albo grupa Izraelitów zatrzymała się na chodniku, i zaszwargotała o dziennych zarobkach.

Cały ten gwar uliczny, wszystkie te odgłosy zabawy, miłości, ruchu i interesów, pełną przejmującego smutku sprzecznością objęły się o ściany cichego i zamkniętego szczelnie mieszkania sparaliżowanej kobiety. Sam nawet ogień na kominku, zwolna i blade płonąc, zdawał się wstydzić świetności majowego wieczoru, który miliony gwiazd zaczynał rozrzucić po szafirowem niebie, i ogarniał miasto ciepłem tchnieniem zstępującej letniej nocy.

Chora kobieta nie zważała na to co się za oknami działo. Zagasłym wzrokiem wpatrywała się w płomień; chude jej palce mięły bezustannie wełnianą materję sukni, a zwarte i wąskie usta poruszały się kiedy niekiedy niedosłyszalnym, ale wyraźnie gorzkim, niecierpliwym szepciem.

W końcu podniosła opuszczoną na pierś głowę, z trudnością poprawiła się na fotelu, i słabym głosem zawołała:

— Tekło! Tekło!

Na wołanie to z drugiego pokoju wbiegła służąca. Chora kobieta z trudnością twarz do niej zwróciła.

— Pójdź, zobacz przez okno czy mój wraca?

W głosie jej była przeciągłość zwyczajna u fizycznie cierpiących ludzi, ale zarazem cierpkość i ostrość tonów.

Sługa podeszła do okna, popatrzyła przez szyby, i rzekła.

— Nie widać!

Chora poruszyła się niecierpliwie, usta jej zacięły się silniej jeszcze, a drżące palce zaczęły niecierpliwiej miąć i szarpać suknię.

Upłynął kwadrans; ogień na kominku zagasać począł, zmrok coraz gęstszy panował w pokoju.

— Tekło! Tekło! zawołała znowu siedząca u komina kobieta. — Pójdź, zobacz przez okno czy mąż mój wraca? rzekła do wchodzącej sługi.

Sługa spojrzała przez szyby i znowu odpowiedziała.

— Nie widać!

Tym razem chora rzuciła się na fotelu tak gwałtownie, jak tylko pozwalały jej na to bezwładne nogi.

W pokoju ciemno już było zupełnie.

Służąca rozświeciła w pokoju, i dołożyła drewek na kominek, które buchnęły żywym płomieniem. Uczyniwszy to miała odejść; ale zatrzymała ją niecierpliwym gestem chora.

— Idź przed bramę, i zobacz czy mąż mój wraca — wyrzekła z trudem.

Sługa wyszła, a po kilku minutach wróciła i przechodząc przez pokój rzekła:

— Mąż pani wraca.

Na te słowa drżące palce chorej przestały szarpać suknię, podniosły się w górę, i z chorobliwym pośpiechem zaczęły poprawiać szeroką listwę czepka, i przyglądać pasma włosów nad czołem. Potem przesunęły się po fałdach bluzy, układając je z całą możebną symetrią, i odwinęły starannie mankiety rękawów. Przy tych czynnościach żywo błyskała na palcu złota obrączka ślubna, zapadłe, zagaste oczy nieszczęśliwej, błysnęły.

III

Ktoby po wyrzeczonych do tej czterdziestoletniej i schorowanej kobiety słowach: „Mąż pani wraca”, spodziewał się ujrzeć podobnego do niej wiekiem i powierzchownością mężczyznę, zdziwiłby się niesłychanie na widok wchodzącego.

Zdawało się że razem z nim do posępnego pokoju wpłynęła struga młodości i życia.

Wyglądał na lat najwięcej trzydzieści; gęste ciemne włosy mnóstwem pierścieni otaczały kształtne czoło, ciemne wielkie oczy ciskały iskry z pod długich rzęsów. Wzrost miał średni, cerę gorącej, śniadej bladłości, profil twarzy o regularnych grekich zarysach. Pod ręką niósł dużą tekę pełną papierów.

Zaledwo drzwi zamknęły się za wchodzącym, chora kobieta wyprostowała na fotelu leżącą dotąd postać, chorobliwe rumieńce wystąpiły na jej żółte policzki.

— A przecież, przecież wracasz, Augustie! zawołała cierpko; sądziłam że dziś nie będę już miała honoru widzenia pana!

Mężczyzna położył tekę na stole, i siadając odrzekł spokojnie:

— Wróciłem dziś później niż zwykle, bo miałem w biurze pilną pracę, której nawet część nie skończoną przyniosłem do domu, aby ją w nocy ukończyć.

Kobieta zaśmiała się głośno, ostro.

— Praca! praca! — zawołała, to tylko wymówka, aby w domu nie siedzieć, aby mnie widzieć jak najmniej! Zapewne znalazłeś za domem miłsze jakie od mego towarzystwo, w którym ci czas przyjemnie upływa! Co? mówże! nie żenuj się! — męcz mię, morduj, zabijaj do reszty!

Głos jej drżał i chryplł coraz bardziej, zapadłe oczy błyskały i palce szarpały suknię.

Po ustach młodego mężczyzny smutny przebiegł uśmiech, ale wzrok jego głęboki i łagodny spokojnie utkwiał w rozognionej twarzy kobiety.

— Anastazjo! — wyrzekł z wielkim spokojem, znowu dziś rozdrażnioną jesteś! — uspokój się, bo bardziej cierpieć będziesz!

Cierpieć! cierpieć! krzyknęła kobieta; alboż mogą być większe cierpienia jak moje? alboż mogą być większe męki jak te, które ponoszę siedząc tu u komina, niedołączona i sama jedna, wtedy, gdy ty przecież chodzisz po świecie i spotykasz je, wszystkie strojniesz te

i zalotnice, co to rade temu, że młode i nieszpetyne, chciałyby wszystkich mężczyzn pociągnąć za ogonami swoich przebrzydłych sukien! Wieleś ich dziś widział, tych maseczek? — bardzo patrzyły na ciebie? cóż? — mówię nie żenuj się!

Zaśmiała się znowu przykrym śmiechem. August nie odpowiadał, czoło na dłoń pochylił, i zamyślonie oczy utkwił w przestrzeń. Anastazja wpatrywała się w niego rozognionym wzrokiem, i nowym miała wybuchnąć wyrzutem, gdy służąca wniosła przyrządy do herbaty, i postawiła je na stole przed kanapą.

— Jak tu duszno! rzekł budząc się z zamyślenia mężczyzna, i zbliżył się ku oknu. — Anastazjo, czy pozwolisz otworzyć lufcik, aby wpuścić nieco świeżego powietrza?

— Nie otwieraj! krzyknęła kobieta czyniąc gwałtowny gest obiema rękami — zawieje mię, będę kaszlać! Ty wiesz że powietrze mi szkodzi, i dla tego chcesz okno otwierać. Zapewne! miłoby ci było abym już raz umarła! Byłbyś młodym wdowcem! zrobiłbyś świetną partję! Pewno! pewno! chce się panu mieć młodą żonczkę, zdrową i ładną, a postarzała od choroby i niedołężna niech sobie idzie *ad patres*, byle prędej! Otwieraj lufcik! otwieraj! niech umrę! niech ci z drogi ustąpię i losu nie zawiążuję! Może nawet całe okno otworzysz — byle prędej zabić mnie i pozbyć się niepotrzebnego grata!

Mężczyzna słuchał tego potoku wyrazów z rękami założonemi na piersi. Zrazu brwi jego zsunęły się niecierpliwie i wargi zadrżały; ale w mgnieniu oka był znów spokojny jak wprzódy.

Gdy Anastazja przestała mówić, przeszedł z wolna pokój, zbliżył się do zastawionego stołu, i zapytał całkiem spokojnym głosem:

— Czy chcesz abym ci nalał herbaty?

— A zdaje mi się! — zawołała ciągle wzburzona kobieta; czy może już nawet i szklanki herbaty żałujesz dla mnie? Masz słuszność! wszak żyję z twojej pracy, i nic ci nie wniosłam w dom oprócz choroby! Ale nie lękaj się! nie długo już będę korzystać z twojej wspaniałości; ustąpię miejsca drugiej, która będzie miała zdrowe ręce do nalewania herbaty i tobie i sobie.

August i tym razem nic nie odpowiedział, ale wargi jego silniej niż wprzód zadrżały i zbladły. Ze spokojem jednak i cierpliwością niezmaconą przystawił do fotelu Marji niewielki stoliczek, i umieścił na nim nalaną szklankę herbaty. Chora popatrzyła na nią.

— Cóż to? zawołała, nalałeś mi czystej wody! wiesz że nie lubię lekkiej herbaty — ale odgadłam że mi jej żałujesz!

August wziął szklankę, i dolał herbatnego odwaru.

— A teraz dajesz mi czarną jak atrament! rzekła kobieta, usuwając podawaną sobie szklankę; chcesz mię w suchoty wpędzić! zapewne, od suchot prędej umiera się niż od paraliżu!

Tym razem ciemne oczy Augusta cisnęły iskrami. Nic jednak nie powiedział, tylko zawołał służącą.

— Nalej dla pani herbaty — i zaczął milcząc przechadzać się po pokoju.

I Anastazja umilkła — wodząc za nim oczami w których najrozmaitsze drgały wzruszenia gniewu, goryczy, żalości.

— O czemże tak myślisz? czemu nie mówisz do mnie? — spytała po chwili z szyderstwem.

August przeciągnął rękę po czole.

— Zmęczony jestem, Anastazjo, wyrzekł powoli; miałem dziś wiele pracy i zmartwienia.

— Zmartwienia? zawołała kobieta; cóż to? czy nie sercowe jakie nieszczęścia spotykają pana?

Znowu gorzki uśmiech przebiegł usta mężczyzny.

— Nie, odpowiedział spokojnie; miałem dziś zajście z naczelnikiem bióra, który wymagał odemnie czegoś niezgodnego z honorem moim.

Anastazja żywo obróciła się ku niemu.

— I cóż? może przez zajście to stracisz miejsce.

— Może, odpowiedział August.

— O ja nieszczęśliwa! łamiąc drżące ręce zawołała kobieta — jak on spokojnie o tem mówi; stracić miejsce! ależ to rzecz okropna, z głodu poumieramy! Alboż ty myślisz zresztą co się ze mną stanie? po co było sprzeciwiać się naczelnikowi?

August stanął na środku pokoju.

— Anastazjo! rzekł stanowczym głosem; póki ja żyję i zdrow jestem, nie doświadczysz niedostatku; jak zaś zapracuję na byt nasz, o to nie pytaj, i nie mów abym dla chleba pozbywał się honoru, bo pojęcia twoje utraciły przez chorobę dawną swą jasność, i sama nie rozumiesz tego co mówisz.

Na dźwięk pełnego spokojnej energii głosu Augusta, Anastazja umilkła; nie uspokoiła się jednak, bo oczy jej błyszczały wciąż gorączkowo, biegając niecierpliwie z przedmiotu na przedmiot, a drżące palce znowu suknią szarpać zaczęły.

August w milczeniu usiadł przy otwartym pianinie, i dotknął rękami klawiszów. Na dźwięk instrumentu Anastazja drgnęła całym ciałem, i wyciągając przed siebie obie ręce, krzyknęła:

— Nie graj! nie graj! nie mogę w tej chwili znieść muzyki!

August powstał, i znowu zaczął milcząc chodzić po pokoju. Chora znowu wiodła za nim niespokojnym rozdrażnionym wzrokiem; wążkie usta jej to zaciskały się, to rozwierały, ręce drżały coraz bardziej.

— O czymże tak myślisz? zawołała w końcu głosem objawiającym najwyższe wzburzenie; zapewne o tych młodych i zdrowych i ładnych maseczkach, które spotykałeś dziś na mieście! i porównujesz je ze mną, i myślisz że nie masz w domu szczęścia! że wracając zmęczony i zmartwiony znajdujesz postarzałą i schorowaną kobietę, grzejącą u komina bezwładne nogi, i nie masz obok siebie ładnych usteczek, któreby ucałowały twoje młode usta, i młodej dłoni któraby z pieszczotą przesunęła się po twym zmęczonym czole! Ty myślisz o tem wszystkim, prawda? i pragniesz aby tu na mojem miejscu usiadł coprędzej jaki młody aniołek w bieli, i składając rączki powiedział: „kocham cię Auguście!” A tybyś wtedy zapomniał o wszystkich smutkach swoich, ukląkł przed nią, i odpowiedział także: „kocham cię!” A temu wszystkiemu ja stoję na przeszkodzie! Och!..

Coś naksztalt okropnego łkania ozwało się w piersi nieszczęśliwej; obiema dłońmi oparła się o poręcz fotelu i pochylona, rozogniony wzrok wlepiła w twarz męża, który stał naprzeciw niej, nieruchomy, z rękami założonemi na piersi, z oczami ciskającemi iskry z pod brwi zmarszczonych.

— Ach tak! wołała dalej głosem przerywanym od wewnętrznych jęków, które jej wyschłą wstrząsały piersią — tak, ty myślisz o tem wszystkim; ty pragniesz miłości, pragniesz szczęścia, których ja ci dać nie mogę! Widzę to z twojej twarzy coraz bledszej, z twoich oczów coraz smutniejszych! Powiedz? może już kochasz kogo? cóż? czy piękna twoja ukochana? jakie włosy ma, jasne czy czarne? rączkę musi mieć śliczną, bo wiem że lubisz piękne ręce u kobiet! Cóż? odpowiadaj!..

August nie odpowiadał. Po czole jego przechodziły chmury, z oczów strzelały błyskawice; usta zwarły się boleśnie i zbladły. Zdawało się, że jakiś krzyk straszny, jakieś słowo okropne już już miało mu wyrwać się z piersi — i zatrzymywał je w sobie całą mocą woli męskiej.

Anastazja drżała, rumieńce coraz silniejsze wybijały się na jej policzki wychudłe. Przez chwilę nie mogła głosu z piersi wydobyć!

— Odpowiadajże! zawołała znowu z wielkiem wysileniem; czy słyszysz? pytam ciebie czy kochasz już kogo? czy ona bardzo piękna? czy powiedziała ci, że cię kocha? Odpowiadaj! niech posłyszę i umrę!

August nie odpowiadał.

— Odpowiadaj! strasznym głosem krzyknęła Anastazja, i bezprzytomną ręką pochwywszy ze stołu srebrną łyżeczkę, cisnęła ją na niego. Łyżeczka brzęknęła na posadzkę — August jakby się ze snu obudził. Spojrzał na przedmiot leżący u stóp swoich, i na wykrzywioną szalonym uniesieniem twarz żony; z czoła i oczu jego zniknęły chmury i błyskawice, a na ich miejsce zjawiała się niezmierna, bezbrzeżna litość.

— Nieszczęśliwa! — wyrzekł zcicha. Anastazjo! upamiętaj się! uspokój! rzekł zbliżając się do żony głosem w którym obok męskiej stanowczości była wielka dobroć.

Na te słowa kobieta zalkała głośno, obiema rękami uczepiła się jego ręki, i namiętnie przycisnęła ją do ust. Jednocześnie dwa strumienie łez popłynęły z jej zapadłych oczu.

— Auguście! zawołała, przebac mi! ja cię kocham!

Przy tych wyrazach wpatrzyła się w piękną twarz męża z wyrazem namiętnej, nie-pohamowanej miłości, która straszny stanowiła kontrast z jej pomarszczoną, zestarzałą twarzą, i niedołężną wyschlą postacią.

— Brzydka jestem i chora, zestarzała i bezwładna, jęczała cisnąc ciągle rękę jego w swych dłoniach — a kocham cię tak jak wtedy kiedyś była zdrowa i ładna, i kiedyś mię brał za żonę niewiedząc sam, co sobie gotujesz! Wszak prawda Augustcie, że była wtedy ładna choć starsza o lat dziesięć od ciebie, i ty na wiek mój nie zważałeś, bo pociągnęłam cię memi czarnymi oczami, i moją szaloną dla ciebie miłością! Później Bóg ukarał mię chorobą, może za grzechy młodości; starość prędzej niż trzeba było, nadeszła — a teraz tyś młody i piękny, ja trup przywiązany do ciebie, przy którym ty sam bledniesz i schniesz! Tak, wyglądam jak trup, ciało moje uszło i żółkło — ale serce żyje!

To mówiąc wypuściła rękę męża, i drgającymi palcami targała taśmy czepka. Rozwiązał się czeppek, opadł z głowy, a z pod niego rozwinęły się długie, gęste, czarne jak heban włosy, opłynęły wełnianą bluzę, i końcami dotknęły posadzki.

Anastazja obie ręce zatopiła w tych prześlicznych kruczonych włosach — i z oczami wlepionymi ciągle w twarz męża, mówiła.

— Patrz! jak dziwnie wyglądać musi chuda, żółta i pomarszczona twarz moja, wśród tych włosów które wraz z sercem same jedne młodemi u mnie zostały! Nieprawda, że wyglądam jak czarownica, która z czaszki młodej dziewczyny zdarła prześliczne włosy, i przylepiła je do swej starej skóry? A jednak wtedy gdyś mię brał za żonę, włosy te dobrze przypadały do twarzy mojej białej jeszcze i świeżej. Pamiętasz? jak gdy siedząc tam... w altanie... rozwinęłam przed tobą moje warkocze... ty wtedy pierwszy raz powiedziałeś że mnie kochasz — i byliśmy zaręczeni! Ja umyślnie pokazywałam ci bogactwo włosów moich, bo wiedziałam że cię zachwyczę — a kochałam cię, i chciałam żebyś mię kochał choć byłam dziesięć lat starsza od ciebie! Patrz i teraz jeszcze włosy mam piękne! Kochaj przynajmniej włosy moje, Augustcie!

Na bladej twarzy Augusta grały i walczyły różne wzruszenia: wstrętu, bóleści, litości. Ostatnia zwyciężyła. Usiadł obok rozżalonej i rozdrażnionej kobiety, ujął jej rękę, i patrzył na nią z żalem, i dobrocią.

— Anastazjo! rzekł z cicha — los dotknął cię wielkiem nieszczęściem, powinnaś się z niem pogodzić. Bądź łagodniejszą i więcej mężną; lżej ci z tem będzie; co do mnie, nigdy cię nie opuszczę.

Kobieta gorzko zaśmiała się, i znowu szarpać suknię poczęła.

— Nie opuścisz! nie opuścisz mię! szeptała — ale też i kochać mnie nie możesz! Ja wiem że to niepodobna! Jesteś i będziesz nieszczęśliwy przezemnie! a mnie tu boli, boli.

Przycisnęła obie ręce do piersi, i krzyknęła z niepowstrzymaną boleścią.

— Boże mój! jeden rok, jeden miesiąc, jeden tydzień zdrowia, młodości i piękności — a potem umrę z ochotą!

August powstał. Na twarzy jego było zmęczenie niezmierne. Nic powiedzieć nie mógł, nie miał siły.

— Dobranoc ci Anastazjo, wyrzekł tylko całując jej rękę — połóż się i usnij, może sen da ci choć trochę spokoju.

IV

Weszła służąca, i fotel na którym leżała chora kobieta potoczyła ku sypialni. Anastazja milczała, ale znać było że wrzała głucho — bo usta zacisnęła gwałtownie, palcami szarpała i mięła suknię, a oczy zapadłe to przygaszały chwilami, to znowu buchały trawiącym ją wewnątrz ogniem.

August wszedł do swego pokoju leżącego tuż obok sypialni Anastazji. Był to skromny i surowy pokój pracownika. Jedno okno wychodzące na ulicę za całą ozdobę miało prostą ciemną storę. W rogu pokoju stało po prostu zasłane łóżko, dalej spora szafa z książkami, biurko pełne papierów i różnych do pisania przyborów, parę sofek i krzeseł, kilka portretów wielkich mężów na ścianach, a z dwóch stron biurka dwa popiersia brązowe, z których jedno sławnego poety, drugie sławnego muzyka.

Na biurku paliła się niewielka lampka ze światłem przytłumionem zasłoną wzrok chroniącą.

Gdy po przedchwilowej rozmowie swej z żoną August wszedł do swego pokoju, na bladej twarzy jego widać było ślady stoczonej z sobą walki. W oczach malowało się zmęczenie, na pięknym czole osiadła zmarszczka głęboka, głowa pochyliła się na piersi z wżyzem gorzkiego zniechęcenia.

Otworzył na oścież okno, odetchnął pełną piersią świeżem nocnem powietrzem, i upadł na krzesło, czoło na dłoń schylając.

Za oknem ulica cicha już była i mroczna; turkot powozów umilkł całkiem, kiedy niekiedy tylko zapóźniony jaki przechodzień cicho przesunął się chodnikiem pod ścianami domostw. Rzadkie latarnie uliczne pogasły, oświetlone wprzódy sklepy zamknęły się, okna przeciwnych kamienic ciemne były i zamknięte. Natomiast wśród głębokiego niebios sklepienia, paliły się gwiazdy iskrzące.

August siedział ciągle u okna z czołem na dłoni opartem; wzrok jego błądził bez celu po mrocznem tle ulicy i zasuwiał się coraz cięższym smutkiem.

Nagle młody mężczyzna podniósł głowę; do uszu jego przy płynęła muzyka fortepjanu. Wychodziła ona z otwartego okna przeciwnego kamienicy, położonego na pierwszym piętrze, tuż naprzeciw okna Augusta, przystrojonego dwoma doniczkami kwitnących róż.

Po miękkości uderzenia i łagodnem falowaniu tonów łatwo można było poznać, że za tem słabo oświetlonem oknem grała kobieta.

Grała jedną z pysznych sonat Beethowena biegle i umiejętnie, lubo palce jej ciszej i wolniej niżby należało dotykały klawiszów, niby zdjęte półsenne marzeniem, płynącym ku niej z łagodnym podmuchem nocy letniej i wonią róż kwitnących na oknie.

Była niewypowiedziana słodycz i poezja w tej muzyce kobiecej, zcicha i marząco płynącej w mrok uliczny, nad rzędami okien uspiionych, pod gwiazdy cicho świecące na niebie.

August podniósł wzrok i wpatrzył się w oświetlone przeciwnego okna pierwszego piętra. Im więcej słuchał, tem czystiej i wyraźniej dochodziły do niego tony fortepjanu, a zarazem gorycz i zniechęcenie ustępowały z jego twarzy, a wstępowało na nią marzenie ciche, takie jakim przesiąknęta była muzyka niewidzialnej artystki.

Sonata Beethowena przebrzmiała; ostatnie akordy jej rozwiały się w powietrzu przeciągłem echem. August słuchał ciągle z oczyma utkwionemi w okno pierwszego piętra i usłyszał inne pasmo melodji, które popłynęło znowu łagodnie i zwolna.

Tym razem byłato sztuka bez nazwy — improwizacja jakaś płynąca wprost z serca grającej, rzewna, pełna tęsknoty niewinnego serca, które samo jeszcze nie wie za czem tęskni; pełna zarazem spokoju i słodyczy dziewiczej piersi, która życie i świat przeczuwa dopiero za ledwie, budząc się ze snów dziecięcych o kwiatach, aniołach i gwiazdach.

Jeżeli wprzódy można było odgadnąć, że poza oknem zdobnem w róże grała kobieta, to teraz w cichej improwizacji tej objawiła się dziewczica; łagodne tchnienia dziewiczej piersi nietkniętej jeszcze żadną namiętnością ziemską, zdawały się wraz z muzycznemi akordy wylatywać przez okno i lecieć pod niebo modlitwą za przyszłość nieznaną — marzoną.

Na twarzy Augusta rozlał się rzewny wyraz, zniknął z niej całkiem uprzedni ból i gorycz; słodka muzyka niewidzialnej kobiety kołysała do spokoju wzburzone jego myśli i w serce zmęczone wlewała fale rezygnacji.

Nagle umilkły tony, a natomiast u okna pierwszego piętra zadrzała firanka biała, i pomiędzy dwoma róż krzakami ukazało się wychylone na ulicę popiersie młodej panny.

Twarz jej niknęła w mroku, ale przez przezroczystry muślin ubrania widać było śnieżną pierś, spokojnym oddechem pijącą ciepłe powietrze nocy, a krótkie rękawy ukazywały nagie, przedziwnie utoczone ramiona, zdobne w bransolety z czarnej lawy, uwydatniające białość ich i kształty. Obu łokciami wsparły się na oknie, pochyliła na dłonie głowę, z której opadało mnóstwo gęstych płowych loków.

Na jaki przedmiot padał wzrok tej pochylonej twarzy?

Nie można było dojrzeć wśród mroku.

Może błądził bez celu po cieniach ulicznych? może zawitał pod gwiaździstym stropem niebios? Może spuszczał się ku otwartemu oknu przeciwnego kamienicy, które nisko nad ziemią samo jedno błyszczało jeszcze między rzędami ciemnych okien?

August powstał z siedzenia, — odstąpił nieco, i sam niewidzialny wpatrywał się w stojącą u okna kobietę.

Uplłynął kwadrans, młoda panna podniosła głowę, wyprostowała się i zamknęła okno. Światło jednak nie gasło i na tle słabo oświetlonych szyb rysowała się biała firanka i doniczki z różami.

Północ nadchodziła; chłodny powiew zawiął do pokoju Augusta. Zamknął też okno, usiadł przed biurkiem, i rozłożywszy przed sobą papiery pilnie pracować zaczął.

Ktoby wtedy był na ulicy, widziałby dwa naprzeciw siebie umieszczone okna — jedno na pierwszym piętrze, drugie na dole, same jedne oświetlone pomiędzy ciemnymi oknami sąsiednich domów. Za jednym i za drugim z tych okien mrugało niepewne lamp światło, zdając się wieść z sobą tajemniczą rozmowę.

W godzinę po północy okno u góry zagasło pierwsze.

Okno Augusta płonęło wtedy jeszcze, gdy świt dnia majowego rzucił na dachy domostw miejskich potoki białego światła.

V

Za miastem, nad brzegiem rzeki, leżą wzgórza pięknie obrosłe sosnowym borem, i wraz z nim falujące łagodnie; miejscami przerzyna je parów głęboki o ścianach skalistych i dnie zasnutem srebrną siecią strumieni. Miejscami przerzedza się bór; wysmukłe tylko sosny, gładkie, gdziegdzie w znacznych od siebie rosną odstępach, a z za ich przezroczystej kolumnady widnieje błękitna wstęga rzeki, lub na przeciwnym jej brzegu bieli się u szczytu wzgórza zawieszony pałacyk pańskiej jakiej willi.

O pięknym zachodzie majowego słońca, na jednym z tych wzgórz rozlegało się kilkanaście wesołych głosów męzkich i kobiecych; białe i różowe suknie migotały między sosnami, różnobarwne parasoliki niby wielkie motyle, podnosiły się i opadały stosownie do tego, jak promienie słoneczne przeciskały się przez gałęzie boru, albo znikwały zasłonięte gęstwiną bujnych jałowców i młodej sośniny.

Byłoto towarzystwo, które chcąc użyć przyjemności majowego wieczoru, wybrało się z miasta na majówkę.

Na spadzistości wzgórza, u którego krańca płynęła rzeka, kilka grup zasiadło między sosnami.

Wszystkie te osoby widocznie znały się dobrze i przybyły tu razem — ale po przechadzce podzieliły się na oddzielne kółka, według upodobań i stopnia znajomości — a każde z tych kółek wiodło ożywioną rozmowę.

U samego szczytu wzgórza, w miejscu najwygodniejszym, bo najbardziej osłonięciem od słońca, na rozciągniętym pod sosnami dywanie, siedziała bardzo strojna i bardzo piękna kobieta. Mimo siedzącej postawy łatwo można było odgadnąć, iż była wysoką; ogromne włosy lnianego koloru, przykryte malutkim niebieskim kapelusikiem, zdobiły jej głowę podniesioną z wdziękiem i dumą. Bogato haftowana biała jej suknia szeroko rozkładała się na dywanie; u stóp jej rozpięty i niedbale rzucony leżał błękitny parasolik, a ręka ociągnięta jasną rękawiczką powiewała białym puszystym wachlarzem. Oprócz tego, miała na sobie kosztowną złotą broszę, także kolce, i parę bransolet na śnieżnych, widniejących z za muślinu ramionach.

Była to pani Olimpija Rostowiecka, majątna obywatelka z okolicy, większą część roku przepędzająca w mieście. Państwo Rostowieccy posiadali obszerne majątki i bardzo świetne kolligacje, w skutek czego liczyli się do miejscowej arystokracji rodu i majątku. Wprawdzie wiedziano powszechnie, że na wielkich majątkach ciążyły wielkie długi; że dla długów tych tylko, sama pani zmuszoną była wyrzec się życia w stolicy lub zagranicą, a poprzestać na przebywaniu w X.; niemniej jednak w ostatnim tem mieście prowadziła dom na wielką skalę; miała salony, powozy, liczną służbę, i kosztowne a coraz nowe stroje. Na wsi spędzała zaledwie trzy lub cztery miesiące w roku, nie mogąc znieść, jak mówiła, ciszy i samotności wiejskiej. Pan Rostowiecki za to mieszkał ciągle na wsi, zaledwie parę razy na miesiąc odwiedzając X, dla widzenia się z żoną, którą kochał do ubóstwienia. Gospodarzył on, pracował, borykał się z ciężkimi czasami i interesami, aby najdroższej pięknej Olimpij dostarczyć środków na życie, do którego przywykła od dzieciństwa — bo pochodziła z bogatego domu, i była córką ojca który cały fundusz przemarnował na zbytki. Złośliwi ludzie dziwili się, jak odłużony i zrujnowany fundusz państwa Rostowieckich, przy całych nawet usiłowaniach pana Jana, mógł wystarczyć na coraz nowe

meble, powozy i klejnoty dla pani Olimpji. Ale było sekret domowy małżeństwa, które zresztą zachwycało wszystkich zobopólną zgodą i miłością. Pani Olimpja miała z górą lat trzydzieści, ale wyglądała na dwadzieścia kilka, mając bardzo piękne kształty i świeżą pleć przy jasnych włosach. Głowę nosiła wysoko, bardzo wysoko, i w ogóle ukazywaną była jako typ wielkiej pani, umiejącej utrzymać w całej swej nieskazitelności honor swego wysokiego w świecie położenia.

Tuż obok pani Olimpji, na pniu ściętej sosny siedział mężczyzna czterdziestoletni, wykwintnie ubrany, z wysokim kapeluszem w ręku. Twarz miał bladą i ściągłą, oczy zamglone o niewyraźnym spojrzeniu, w którym było i znudzenie, i przeżycie, i pogoń za rozrywkami i wrodzona instynktowo uczciwość. Z postawy zaś i ubioru jego można było odgadnąć, iż był człowiekiem światowym, pełnym wykwintnej grzeczności i salonowej oglądy — słowem gentlemanem, znudzonym tylko nieco i oryginalnym albo chcącym ująć za oryginalnego. Był to pan Spirydjon As, bogaty obywatel także z okolic X, znany z zamilowania do gry kartowej i piękności kobiecej, czy to gdy znajdował ją za kulisami tego świata, który się przyzwoitym nazywa, czy też gdy mu się objawiła w świetnym otoczeniu salonów. Powszechnie wiadomo że pan Spirydjon od roku był gorącym adoratorem pani Olimpji; dla częstszego widywania jej, po parę miesięcy przesiadywał w X. i asystował jej wszędzie gdzie się ukazała. Niemniej jednak spostrzeżenia te nie czyniły żadnej ujmy opinji pani Rostowieckiej, bo ogólnie miano o niej przekonanie iż była kobietą nieposzlakowaną i niezachwianą cnoty, i że prędzejby umarła niżby najlżejszą plamą zaćmiła dwie tarcze herbowne błyszczące w połączeniu na drzwiczkach jej karety, lub najlżejszym złym rozgłosem zachwiała honor swego wysokiego w świecie położenia.

O parę kroków od siedzącego na pniu pana Spirydjona, siedział na murawie wysoki i barczysty o grubych rysach twarzy i rękach ściągających na siebie uwagę swoją wielkością, pan Feliks Rokowicz, urzędnik zajmujący dość znaczną posiadłość w X. Był to człowiek którego inteligencją nikt nigdy się nie zachwycał, ale którego za to surową i pełną powagi cnotą zachwycali się wszyscy. Był on Katonem społeczności wśród której żył, i jak jeden ze starożytnych mędrców, w obronie cnoty wychyliłby bez wahania kubek cykuty, jeśliby wiedział z góry, że ta cykuta zamiast jemu, odbierze życie grzeszącemu jego bliźniemu. Główną troską jego życia była czystość obyczajów publicznych; po niej następowała troska o nieskazitelną opinię, i niezachwiane w świecie położenie jego domu. Milczący zwykle gdy chodziło o te dwie idee pochłaniające jego ducha, powstawał z powagą, prostował się całą wysokością swej wysokiej figury, i zaczynał mówić — a tak bywał przejęty tem co wygłaszał, że stałby się niezawodnie wymownym, gdyby nie lekka zajękliwość, i dwa nieszczęśliwie posiadane przysłowia: „tedy” i „więc” o które co chwilę potykała się jego elokwencja. Mógłby wprawdzie jak Demostenes pójść na brzeg rzeki, i dla wydoskonalenia wymowy swej przy szumie wody z kamykiem w ustach wyłamywać swe głosowe organa; ale nie czynił tego, bo nad szum wody przekładał szum ulic, wśród którego uważał się za stróża publicznych obyczajów, a raczej niż włożyć kamyk w swe usta, wołał go rzucić na każdego kto śmiał przekraczać przyjęte przezeń zasady publicznej moralności.

Dla czego tak bardzo dbał o cnotę bliźnich? Zdawało się, że sam o tem nie wiedział — a zresztą może i wiedział, ale wypowiedzieć nie mógł; bo ile razy już już miał to uczynić, plątały mu się w mowie nieszczęśliwe „tedy” i „więc;” oprócz kamyka na głowę bliźniego, nic więcej z ust jego nie wypadało.

Bardzo blisko przy panu Feliksie Rokowiczu, z ręką romantycznie otaczającą jego szyję, z głową melancholijnie zwieszoną mu na ramię, siedziała małżonka jego pani Teresa Rokowiczowa trzydziesto letnia kobieta, w dziewiczej błękitnej sukience, w naiwnym kapelusiku słomianym, ozdobionym naiwnym pęczkiem fijołków. Była to kobieta ani brzydka ani ładna, mogła nawet być ładną gdy miała lat dwadzieścia i mniej. Teraz powierzchowność jej uderzała tylko pozorem niezmiernie skromności i niewinności graniczącej z niewiadomością dziecięcą. Z pozorem tym sprzeczały się nieco wyrazem swym niewielkie szare oczy, niezmiernie ruchliwe i błyszczące. Ktoś nieznaną pani Teresy mógłby może wyczytać w oczach tych coś nakształt złośliwości i jakichś tajonych grzeszków terazniejszych czy przeszłych; ale ktokolwiek znał ją choć trochę, strzegłby się najmocniej wydania podobnego o niej sądu; bo pani Rokowiczowa znaną była jako wzór cnoty kobiecej, czystości serca, przezroczystości uczuć i najwierniejszej, do ekstazy posuniętej miłości małżeńskiej. O kilka kroków od tej z czterech osób złożonej grupy

siedziały dwie kobiety, i jeden mężczyzna. Mężczyzna siedział pośrodku, i nazywał się Paweł Rumiański. Był to postać długa i sucha, z twarzą również długą i bladą, z ustami otwartymi nawpół pod wąsem niepewnego koloru, z oczami niepewnego także koloru, ale posiadającymi pewien wyraz uczciwości i dobroci. Obok niego, jak drobna polna różyczka, rozkwitała dwudziestoletnia żona jego, Stanisława, zwana ogólnie pieśczonek imieniem Stasi. W istocie niepodobna było inaczej ją nazywać jak zdrobniale — takie to było drobniutkie, wesołe i zwinne. Wszystko w niej było drobne, począwszy od wzrostu i ręki aż do zadartego figlarnie noska, i nóżki dziecięcej niemal małości. Córka dość mąjnego obywatela, bardzo starannie wychowana, niewiadomo dla czego po śmierci ojca zdecydowała się wyjść za suchego i bladego, o umyśle niepewnej wartości pana Rumiańskiego. Może nie chciała zamieszkać przy bracie, który nie uchodził za wzór braci, może mimo nie świetnych pozorów, oceniła poczciwe serce, i przywiązanie do siebie pana Pawła? Dość że odkąd została jego żoną, była zawsze jednako świeżą i wesołą aż do pustoty, i nie przestawała nią być nawet zostawszy matką dziecięcia, które ubóstwiała, i którym zajęta była dniem i nocą.

Z drobnej twarzyczki Stasi, obok nieudanej niewinności i dobroci tryskał świeży, i żywy dowcip; ubierała się zawsze bardzo starannie lubo nie kosztownie, a w ubraniu lubiła przedewszystkiem różowy kolor. Dla tej ciągłej wesołości i zamięłowania w różowym kolorze, ogólna opinia zwała ją pustą, wietrzną i lekkich zasad kobietą, oraz wodzącą swego męża na pasku.

I teraz Stasia cała różowo ubrana siedziała na murawie obok męża, a drobną główkę osypaną złocistymi loczkami sparłszy na malutkiej rączce, figlarnym wzrokiem patrzyła na siedzącą naprzeciw kobietę.

Był to zupełne przeciwstawienie jej samej. Pani Apolonia Kuderska wyglądała na lat czterdzieści, ubrana była w czarną wełnianą suknię, takąż mantylę średniowiecznego kroju, oszytą szeroką jedwabną frendzlą, a na rudawych i siwiejących włosach miała czepek z czarnych koronek z fijołkowemi wstążkami. Czarny atlasowy kapelusz wisiał na jej ręku zawieszony na związanych wstęgach, i przy każdym poruszeniu tłukł się o wyłaczany krzyż różańca, okręconego nakształt bransolety w pobliżu pięści. Takież krzyż, tylko nieco mniejszy, wyglądał na piersi z pod frendzli od mantyli, a z kieszeni wysuwał się, z trudem w nią wpakowany „Złoty ołtarzyk.” Pani Apolonja była żoną męża, o którym nikt nigdy nie słyszał i matką dzieci, których nikt nigdy nie widział. Nikt też nigdy nie widział na niej innego ubrania — jak to które miała na sobie obecnie — ale nie dziwiono się temu, bo wiadano że pani Kuderska nie była bogatą. Mąż jej był urzędnikiem pobierającym nie zbyt wielką pensję, a i tej jeszcze część znaczną pani Apolonja oddawała ubogim, i na msze. Nos miała ogromny, czerwono rozkwitający śród żółtej twarzy, i opinię niezmiernie cnotliwej i świętobliwej niewiasty. Mimo opinii tej nie była jednak sympatyczną: to też oddając cześć przynależną jej cnocie, nazywano ją niekiedy pocichu żartobliwym mianem pani Antyfona. Oprócz tych dwóch grup zawierających najwybitniejsze, i najbardziej charakterystyczne postacie zebrania, na spadzistości wzgórze siedziało parę innych złożonych z poważnych kobiet i mężczyzn, a nie opodal między sosnami, parami i pojedynczo przechadzało się kilka młodych i strojnych panien, w towarzystwie dwóch czy trzech młodych mężczyzn.

Słońce zataczało się coraz niżej, smugi czerwonych promieni rzucając po gładkiej powierzchni rzeki, po której zdala mknęło kilka łódek rybackich. Na przeciwległym brzegu z jednej strony widniał między zielenią biały pałacyk jakiejś willi, z oknami ozłocconymi słońcem; z drugiej miasto pobudowane na górze w amfiteatr, błyszczało czerwonymi dachami, i strzelało wysoko wieżami kościołów. Wzgórze na którym rozsiadło się towarzystwo, czarownie wyglądało ustrojone sukniami i twarzami kobiet, migocącymi pośród zieleni, na którą zachodzące słońce rzucało roje drżących iskier.

Kilka promieni słonecznych przeciskając się między krzakami jałowcu upadło na strojną głowę pani Olimpji. Pan Spirydjon podjął z ziemi błękitną jej parasolkę, i osłonił nią piękną panię. Skinęła mu głową z wdziękiem połączonym z pewną dumą, potem rozejrzała się około, i rzekła głośno:

— Gdzież jest panna Wanda Rodowska? nie widzę jej tu nigdzie?

Na to pytanie pani Teresa Rokowiczowa podniosła głowę spoczywającą dotąd na ramieniu małżonka, a uśmiech przebiegł jej wązkie usta.

— Przed pół godziną, odrzekła, widziałam jak odeszła w głąb lasu z panem Edwardem Gaczykim. Ci państwo muszą zapewne przyjemnie przepędzać czas z sobą, kiedy dotychczas nie wracają do nas.

Wyrzekłszy słowa te z niewypowiedzianą słodyczą ujęła ogromną rękę męża, spojrzała mu w oczy, i zapytała z przymileniem:

— Nie chciałbyś pewno Feluniu abym tak z kim sam na sam poszła w głąb lasu? nieprawdaż?

Pan Feliks spojrzał na nią takimi oczami, jakby sama myśl czegoś podobnego pomieścić mu się w głowie nie mogła.

— Moja Tereniu, odrzekł, wiem że nie popełnisz nic... tedy... coby sprzeciwiało się...

Niewiadomo co dalej chciał powiedzieć, bo przerwała mu pani Apolonja, która na wzmiankę o pannie Wandzie Rodowskiej przysunęła się do pani Olimpji i jej towarzystwa.

— Jaka to szkoda tej kochanej Wandzi, wyrzekła z pobożnym westchnieniem — taka śliczna i dobra panienska, a tak niestosownie postępuje! Któż widział aby młoda osoba taka swobodna była z mężczyznami, chodziła z nimi podręczkę i sam na sam z młodym człowiekiem oddalała się od towarzystwa! Mój Boże! co też to za świat teraz!

— Wszystko to wina matki, ozwała się pani Teresa; nie umiała ona prowadzić Wandy od dzieciństwa, zapomniała o tem, że najpierwszą cnotą kobiety powinna być skromność. Nieprawdaż, Feluniu?

Rokowicz skinął głową.

— Naturalnie — wyrzekł — żeby panna Wanda była moją córką... tedy...

Niewiadomo co dalej chciał powiedzieć, bo pani Olimpja przerwała mu znowu. Ponieważ jąkał się i mówił bardzo powoli, niecierpliwe audytorjum najczęściej przerywało mu mowę.

Pani Olimpja podniosła dumnie głowę i rzekła:

— Moje panie! sądzę że panna Wanda mimo całej niekonsekwencji swego postępowania, nie zdolna jest uczynić nic, coby jej rzeczywistość przynosiło ujmę. Przecież jest panną dobrego urodzenia, i należy do wyższego towarzystwa; a nie pojmuję jak osoba naszej sfery może dopuścić się czegoś, coby nie było zgodnem z jej położeniem w świecie.

— Moja Olimpko, odpowiedziała pani Teresa, nie każda kobieta posiada taką szlachetną jak ty dumę, która służy w życiu za puklerz od wszelkiego złego. Są nieszczęśliwe, które jakkolwiek wysoko stoją, zapominają o skromności, która jest najwyższą ozdobą kobiety!

— I o przykazaniach bożych! wtrąciła z nowem westchnieniem pani Apolonja.

— I o obmowach ludzkich! dodała bardzo serjo różowo ubrana Stasia, która dotąd słuchała w milczeniu całej rozmowy, główkę oparłszy na dłoni.

Całe towarzystwo spojrzało na nią ze zdziwieniem, ale nie uważało za potrzebne odpowiadać pustej i lekkomyślnej kobiecie. Po kilku chwilach dopiero pani Olimpja zwróciła mowę do pani Pawłowej:

— Wszakżeto pani opiece powierzyła dziś swą córkę pani Rodowska. A jednak straciłaś ją pani z oczu!

Twarz Stasi przybrała wyraz komicznego przerażenia.

— W istocie, zawołała: niedarowanato z mej strony nieuwaga, że nie pogoniłam za Wandzią gdy oddalała się z panem Edwardem! Ten straszny człowiek zasztyletował ją gotów w głąbi lasu, albo zrzucić w jaką otchłań bezdenną! Cóż robić jednak? teraz już zapóźno doganiać! niech się dzieje wola boża.

Pan Paweł zwrócił na żonę swoje pocziwe acz niezbyt rozumne spójrzenie i szepnął:

— Cicho! cicho Stasiu, narażasz się!

Pani Olimpja wzruszyła nieznacznie ramionami, i szepnęła do pani Apolonji:

— Co za niedarowana lekkość form i wyrażania się w kobiecie wyższej sfery!

— A jaka bezbożność! odszepnęła Antyfona — wzywa imienia boskiego nadaremnie!

— Dziwnie lekkomyślna i pusta kobieta, dodała również cicho pani Teresa. Zawsze zapomina o skromności właściwej młodej kobiecie. Alboż ten wiecznie różowy ubiór, czy stosownym jest dla mężatki i matki dzieci?

— Przyznać trzeba, że pani Stanisławie bardzo w nim jest do twarzy, rzekł milczący dotąd pan Spirydjon, nachylając się ku szepczącym kobietom.

Brwi pani Olimpji zsunęły się nieco, a pani Teresa żywo odrzekła:

— Mężatka, pamiętająca o swych obowiązkach, powinna myśleć tylko o podobaniu się swemu mężowi. Nieprawdaż Feluniu?

— I o chwale Pana Boga! dodała Antyfona.

— Spodziewam się, zabrała głos pani Olimpja, że pan Gaczycki, jako człowiek wyższego towarzystwa, kompromitując tak ciągle pannę swem assistowaniem, zechce się z nią ożenić.

— I czyniąc ją miljonową panią, przemienić w przyjaciół jej wszystkich tych, którzy ją dziś obmawiają — podjęła Stasia.

— Moja kochana pani Stanisłavo, słodziutko wyrzekła pani Teresa, właśnie dla tego że pan Edward jest miljonowym panem, nie można mieć nadziei ażeby się ożenił z panną Rodowską; bo na niewielki jej posąg nie połakomi się, a wątpię żeby się zajął szczerze osobą która zapomina...

— O skromności będącej najpiękniejszą ozdobą kobiety! dokończyła Stasia.

— Co do mnie — podjął pan Spirydjon, nie dziwiłbym się Edwardowi, gdyby się starał o rękę panny Wandy. Jestto jedna z najpiękniejszych kobiet jakie znam.

Tymrazem po czole Olimpji wyraźna przemknęła chmura.

— Należy pamiętać i o tem — wycedziła zwolna, niby niezważając na słowa swego adoratora, że panna Rodowska, bez uwagi na sferę do której należy, nie z pierwszym panem Gaczyckim kompromituje się w podobny sposób. Odkąd ją znam, zawsze zapomina o formach przyjętych w wyższym towarzystwie.

— I o przesadach panujących w tem towarzystwie! dodała zawzięta Stasia.

— Cicho Stasiu, cicho, narażasz się! szepnął pan Paweł.

— Gdyby jednak pan Gaczycki ożenił się z kochaną Wandziulką, czego jej życzyć szczerze, bo kocham ją z całego serca, zaczęła pani Apolonja, byłaby z nich bardzo dobrana para — szkoda tylko że tak w dobrem jak w złem. Oboje są śliczni, kochani, serdeczni, ale nie mają żadnej religii. Niech mię Bóg strzeże i broni od obmowy lub odbierania sławy bliźniemu, ale, co prawda, nie widuję nigdy w kościele ani pana Edwarda ani panny Wandy. Nieprawdaż pani Stanisłavo, że panna Wanda nie bywa w kościele? pani o tem wiesz jako najlepsza jej przyjaciółka.

— Nie umiem pani na to odpowiedzieć, odrzekła spytana; bo choć rzadko chodzę do kościoła, to jednak gdy raz tam jestem, to już modłę się tylko — a zatem nie widzę kto jest w kościele a kogo niema.

Antyfona przygryzła sobie usta. Z miną jednak pełną namaszczenia zwróciła się do młodej kobiety i rzekła:

— Bardzo to pięknie że pani jesteś tak pobożną. Nasz Ojciec niebieski który sam tylko patrzy w serca swoich wiernych, policzy ci to na sądzie ostatecznym, na którym ważyć się będą grzechy i zasługi ludzkie.

— Amen, pocichu dokończyła Stasia.

— A ja powiadam państwu, ozwała się pani Teresa, że pan Gaczycki z pewnością nie ożeni się z Wandą. Jest to człowiek zimny i bez serca — pokochać zatem nie może; a jak mówiłam już, na posąg się nie połakomi będąc sam tak bogatym.

— O, co prawda to prawda! zawołała Apolonja; to człowiek bez serca! nie widziałam nigdy żeby dał grosz ubogiemu!

— Niemoralny, ozwał się pan Rokowicz; prowadzić pannę... tedy... w głąb lasu... sam na sam... więc... to obraża... tedy...

I znowu nie dokończył, bo przerwał mu pan Spirydjon:

— Moi państwo! sądy wasze są niesłuszne; ani Edward jest, jak mówicie, bez serca, ani panna Wanda bezbożna. O pierwszym wiem wiele rzeczy, które mówią na jego korzyść; drugą widziałem raz na prymarji w katedrze.

— Pan chodzisz na prymarję? zapytała z przekąsem pani Olimpja.

Pan Spirydjon pochylił się prawie do jej ucha, i szepnął.

— Byłoto owego pamiętnego ranka... kiedym wracał od pani... zaszedłem do kościoła, aby tak rano nie być widzianym na mieście...

Na twarz pani Olimpji wystąpił nagły rumieniec. Zasłoniła się wachlarzem i szepnęła gwałtownie:

— Milcz pan! mogą usłyszeć!

Niepodobna jednak było, aby ktokolwiek posłyszał cichy szept pana Spirydjona, bo w tej samej chwili pan Rokowicz zerwał się nagle z siedzenia, wyprostował się całą swą wysokością i prostopadle wyciągnął przed sobą prawicę. Nie trudno było odgadnąć, że nagle jakaś a pełna zgrozy myśl uderzyła jego czworograniastą głowę, i sprowadziła zdarrzający się mu niekiedy napad wymowy.

— Przepraszam, wyrzekł nagle, bo od tego wyrazu zaczynał zwykle, gdy miał wiele do powiedzenia. Po tym wyrazie wyrzuconym z ust jak z procy, milczał chwilę, i wodził wzrokiem po audytorjum.

— Tedy... więc... mówił dalej, panna Wanda kompromituje się nietylko z jednym panem Gaczyckim... Widziałem sam wczoraj... tedy... i słyszałem... bo to tak było... wyszedłem wieczorem na przechadzkę... Terenia została w domu, bo była niezdrowa... więc... poszedłem za miasto... (P. Feliks miał zwyczaj rozpoczynać opowiadania swe od potopu). Poszedłem więc za miasto i tedy myślę sobie: krótko będę bawił, bo Terenia w domu została...

— Najmilszy mój! wyrzekła Terenia.

— Idę sobie aleą, kontynuował pan Feliks nie zważając na czułą przerwę, aż spotykam Karolka N. Tedy poszliśmy razem... bo to on, państwo wiecie razem ze mną w biurze pracuje... Więc — to o tem to o owem zaczęliśmy gadać, i tedy wieczór nadszedł. Więc późno było... Karolek mówi: chodźmy bliższą drogą — więc chodźmy! odpowiadam, i poszliśmy tedy Wiejską ulicą. Idziem więc i słyszym muzykę. Karolek mówi: to panna Rodowska gra — więc spojrzałem na pierwsze piętro, bo to ona z matką na pierwszym piętrze mieszka... I patrzę więc... prawda! ona gra, i okno od jej pokoju otwarte... a Karolek mówi: panna Rodowska gra, a pan August Przybycki słucha. Spojrzałem więc na okno pana Przybyckiego — prawda, okno otwarte, i pan August siedzi przy nim i słucha jak panna Wanda gra. Tedy — myślę ja sobie: co to za panna co tak późno wieczorem okno otwiera i gra, kiedy z drugiej strony ulicy siedzi przy otwartem oknie mężczyzna, i słucha... I mówię to Karolkowi... tedy Karolek mówi, że to tak co wieczór bywa odkąd wiosna i okna się otwierają — że panna Wanda gra, a pan August słucha. Oboje więc przy otwartych oknach, jedno na pierwszym piętrze drugie na dole — jedno z jednej strony ulicy drugie z drugiej... Tedy mnie się zdaje że panna Wanda takim postępowaniem kompromituje się, i że tedy młoda panna która jest jak należy, tak postępować nie powinna... Przepraszam!

Wypowiedziawszy znowu to początkowe i ostateczne słowo najniespodzianiej w świecie, pan Feliks usiadł znowu przy swej małżonce, która zaglądając mu z przymileniem w oczy, poczęła przesuwac dłoń po jego włosach.

Stasia parsknęła śmiechem; po ustach pani Olimpji i pana Spirydjona przesunęły się też ironiczne uśmiechy. Ale pani Apolonja westchnęła głęboko, i wyrzekła z żalem:

— Mój Boże! jaki też to świat teraz! młode panny zamiast modlić się wieczorem, i dziękować Panu Bogu za dzień szczęśliwie przebyty, a gotować się do śmierci która lada chwila nadejść może, grają przy otwartych oknach...

— A żonaci mężczyźni słuchają! — jęknęła Teresa.

— Żonaci! żonaci! niech im Bóg odpuści ciężkie grzechy! westchnęła Antyfona.

Pan Spirydjon zaśmiał się prawie głośno.

— Moi państwo, rzekł, zdaje mi się że przesadzacie. Panna Wanda może i nie wiedziała że gry jej słuchał pan Przybycki.

— Przepraszam! — wystrzelił znowu jak z procy pan Feliks; wiedziała, bo potem patrzyła sama przez okno — i tedy widziałem że patrzyła na okno pana Augusta.

— A to widzę, wtrąciła Stasia, żeś pan sam stał nie mały czas pod oknem Wandzi; a co na to pani Teresa powie?

— Cicho Stasiu, cicho, narażasz się! szepnął pan Paweł.

— Ciekawe też to indywiduum — ten pan August Przybycki, odezwała się pani Olimpja; widziałam go kilka razy na ulicy. Bardzo miłą i dystygowaną ma powierzchowność, a prowadzi życie jakieś tajemnicze — nigdzie się nie pokazuje...

— Nieszczęśliwy jakiś człowiek, ozwała się Stasia z litością na twarzy.

— Owszem, szczęśliwy, odpowiedziała Apolonja; bo wszelkie cierpienia pomagają do zbawienia duszy. Kogo Pan Bóg kocha temu krzyżyki zsyła!

— W takim razie Pan Bóg musi nas bardzo kochać kiedy nam zesłał tę Antyfonę, szepnęła Stasia do ucha mężowi.

— Cicho Stasiu, cicho, narażasz się! odszepnął pan Paweł.

W tej chwili pani Olimpja powstała, i ująwszy ramię pana Spirydjona odeszła z nim ku rzece. Teresa przysunęła się do Apolonji, i zaczęła z nią szeptać ukazując nieznacznie na odchodzącą parę. Pan Feliks zaś zadumał się głęboko, zapewne nad upadkiem obyczajów publicznych, i nad tem jak młode panny gorsząco grają wieczorami przy otwartych oknach...

Stasia wzięła rękę męża, i rzekła doń zcicha:

— Co ty mi Polciu mówisz zawsze, abym była cicho, i nie narażała się! Mamże milczeć kiedy oni obmawiają moją przyjaciółkę? alboż ja się ich lękam? alboż dbam o ich zdanie? Dla mnie całe szczęście to ty, dom nasz — i dziecko nasze — a co o mnie powiedzą ci ludzie u których cnota na języku, a djabełek rogaty w sercu, to mi wszystko jedno! Potakiwać ich głupstwom i złości nie myślę!

— Pan Paweł wpatrzył się w pół figlarną, w pół nadąsaną, a nieskończenie dobrą twarz żony, i podniósł rękę jej do ust.

— Ty anioł jesteś, Stasiu, szepnął, a oczy jego błysnęły w tej chwili, napełniły się wyrazem wielkiej miłości, i nagle popiękniały. Stasia uśmiechnęła się do męża, żwawo powstała, i podsunąwszy mu rękę pod ramię, ze śmiechem i podskokiem pociągnęła go ku gronu panienek.

Pani Apolonja ukazała ją pani Teresie.

— Co to za pusta i wietrzna kobieta! rzekła.

— A jaka nieskromna!

— Wodzi męża na pasku! trzyma go pod pantoflem!

— A ręczę że go ani trochę nie kocha! tylko patrzeć jak go zacznie zdradzać.

— At! bezbożność tylko, i obraza Pana Boga! Mój Boże! mój Boże! co to za świat teraz! dokończyła Antyfona.

VI

Daleko od rozmawiającego w ten sposób towarzystwa, bo po spadziowości innego wzgórza, zstępowała powoli para ludzi: mężczyzna i kobieta. Mężczyzna był człowiekiem lat około czterdziestu, wyniosłej i wytwornej postaci, bladej i nieco przychudłej twarzy, z włosami jasnymi i przerzedzonymi nad wysokim czołem, z oczami blado błękitnymi, które były bardzo rozumne i bardzo obojętne zarazem. Obojętność była też obok rozumu główną cechą jego fizjonomji, a nawet i postaci, która surowo choć z najwyższym smakiem ubrana, wydawała się chłodną, nieco sztywną i dumną.

Prowadził on pod rękę bardzo piękną dwudziestoletnią pannę, która powierzchownością swą stanowiła z nim zupełną sprzeczność. O ile on wydawał się chłodnym i obojętnym, o tyle w twarzy jej i całej postaci malowała się pełnia nietkniętych jeszcze, nieświadomych siebie uczuć. Ale widoczne było zarazem że uczucia te nie skierowane były jeszcze ku żadnemu wyłącznie przedmiotowi, i odzywały się dotąd w piersi dziewiczej jako przeczucie tylko, spoczywały w niej cichą warstwą łagodnego marzenia. Marzenie to, było w szafirowych oczach młodej panny, wielkich i na wpół przysłoniętych długą ciemną rzęsą; w powolnem podnoszeniu się jej przezroczyściego wzroku; było ono na czole jej gładkiem i białem, po którym kiedy niekiedy przemykały leciuchne różane odcienia; w składzie ust zamyślonych — i w ruchach łabędziowych postaci, która zdawała się nie chodzić lecz płynąć po ziemi. Sam ubiór jej miał w sobie coś marzącego i idealnego; mogłaby w nim stanąć przed malarzem na wzór średniowiecznej dziewicy rozdającej nagrody turniejowym zwycięzcom. Biała powłoczysta suknia sunęła się za nią muskając lekko leśne mchy i nieśmiertelniki; w płowych, wysoko nad czołem zaczesanych włosach, rozkwitała bladoróżowa *rosa thea*; złoty pasek ścisnął szczupłą kibić, i takiż łańcuszek jak wężyk cieniuchny wił się po szyi śnieżnej białości i posągowych kształtów. W ręce spuszczonej i podtrzymującej fałdy sukni trzymała prosty słomkowy kapelusz, białą ozdobiony wstęgą.

W miejscu którym szli, las rzadki był i czysty; niemniej jednak mężczyzna z wielką ostrożnością i troskliwością prowadził pannę, która opierając się na jego ramieniu, piękne

swe szafirowe oczy podnosiła marząco ku złocącym się od słońca szczytom sosen, zdając się wsłuchiwać w ich szum monotony, a zapominać całkiem o towarzyszu przechadzki. On także nie starał się o prowadzenie z nią rozmowy; obojętnymi oczami spoglądał prosto przed siebie, i tylko starannie uchylał przed swą zamarzoną towarzyszką kolczaste gałęzie jałowcu, czepiające się jej powłóczystej sukni.

Spojrawszy wtedy na nich, odrazu można było odgadnąć że ona marzyła, on myślał; ona wyobraźnią snuła sobie jakąś nić podniebnych poezij, on rozważał wyborny gatunek drzew sosnowych które w koło niego rosły, i myślał że przydałyby się na maszty do statków zbożowych, które właśnie budował.

A jednak mimo tych sprzeczności zeszli się z sobą, wybrali siebie, i oddalili się sam na sam od licznego towarzystwa.

Czy może mimo sprzecznych pozorów mieli między sobą coś wspólnego?

Może zimnego człowieka pociągało marzycielstwo dziewczyny z za którego chciał ujrzyć ciepło młodego serca?

Może obojętny człowiek miał urok dla marzącej dziewczyny, która po za chłodem dopatrywała w nim hartu ducha — tej w oczach każdej kobiety, idealnej cnoty mężkiej?

Powoli, piękna panna oderwała swe szafirowe oczy od wysoko powiewających gałęzi sosnowych, spuściła je po wężykowato wijącym się promieniu słońca, i zatrzymała na twarzy towarzysza.

— Jakże wdzięczną panu jestem, rzekła głosem, który brzmiał bardzo dźwięcznie, żeś mię pan odprowadził od tego gwaru i tego towarzystwa z którym przyjechaliśmy tutaj, i dał mi sposobność użyć prawdziwej przechadzki wśród ciszy i samotności.

— Niech pani wierzy, iż ta nasza ekskursja sprawia mnie samemu żywą przyjemność, z pełną grzeczności lubo chłodną galanterją, odrzekł mężczyzna.

— Od pewnego czasu, mówiła dalej panna, coraz mniej znajduję przyjemności w towarzystwach. Najczęściej nawet nudzę się między ludźmi, którzy mię otaczają. Nie śmiem i nie umiem może wydawać o nich stanowczego sądu; wiem tylko że mają pewne cechy, które mię rażą i nieraz zastanawiam się nad tem, dla czego ten świat, którego byłam tak ciekawa mając lat szesnaście, do którego tak mi było pilno, o którym marzyłam jak o czemś cudownem, dziś wydaje mi się płaskim i nie zajmującym, męczy mię często, czasem nudzi, a niekiedy nawet gniewa?

Mężczyzna przeniósł swe obojętne oczy na twarz panny, która w tej chwili okryła się wyrazem rozważa — i odpowiedział.

— Jest to na nieszczęście własnością wielu na świecie rzeczy, iż zdają wyglądać jasno a zbliska ciemno.

— Wielu! ale przecie nie wszystkich? zapytała panna, a w głosie jej zadrgała obawa i smutek.

— Prawie wszystkich zewnętrznych, odpowiedział mężczyzna; to tylko ma wartość gruntowną i niezmienną, co człowiek w sobie samym wyrobi siłą woli i pracy, i to co ukocha z myślą rozumną i celem świadomym siebie.

Panna spuściła wzrok ku ziemi, i kilka chwil zdawała się głęboko zastanawiać nad słowami towarzysza. Podniosła potem głowę, i rzekła powoli ze smutnym wyrazem:

— Ja tego dobrze nie rozumiem, co pan powiedziałeś. Ja piękności i światła szukam wkoło siebie; między ludźmi, na świecie pragnę znaleźć ideał — coś nieskazitelnego, coby mię zachwyciło; cóż niezwykłego, coby wyraźnie odbiło się od tła codziennej prozy...

— To znaczy, przerwał mężczyzna, że pani marzy. Bardzo to zresztą właściwe jej wiekowi, ale dopóki tak będzie, zawsze się pani zawodzić będziesz — aż te zawody marzenia pani w spokojną myśl przemienią, za pomocą której poznasz pani istotną stronę świata i życia...

Młoda panna nie odpowiedziała nic na te słowa, i postępowali dalej w milczeniu, i znowu ona marzyła — on myślał.

Nagle stanęli.

U stóp ich ukazał się parów głęboki — prawdziwa przepaść, nad której brzeg przyszli nie wiedząc sami o tem gdzie przyjdą.

Było to miejsce zachwycająco piękne.

W okolo porastał bór wyniosły, rzadki, mchem zasłany i murawą — rozłożystemi konarami sosen powiewający w górze. Od stóp tych sosen spuszczały się dwie wysokie

ściany parowu — miejscami gładkie, skaliste i ciemno żółte; miejscami porosłe karłowatą jedliną, pomiędzy którą powiewały bujne wysokie grona różowych dzwonek, dzikie astry liljowe wychylały kołyszące się głowy, albo strzelała gdzieniegdzie oparta o ścianę wysmukła gładka sosenka. I znowu kończył się pas roślinności, tworząc niby wielki schód, ręką natury utworzony z zieloności i kwiecia — a rozpoczynała się gładka i spadzista ściana, zdająca się z niezmierną bystrością lecieć do dna przepaści. Ale na dnie tem najpiękniej było. Z sosen, jodeł i różnokształtnych dzikich krzewów, tworzyły się tam gęste altany i gaiki; z pośrodku ich wypływały strumienie to pojedynczo to snopami wążuchnych nici srebrzystych, kręto i bystro płynęły po kamykach, tworząc miejscami szmerzące wodospady, znikając na chwilę w nowej masie zieleni i znowu ukazując się, opływając stopy grubych drzew samotnie rosnących gdzieniegdzie, i niknąc ze szmerem w oddali której nie dosięgało oko. Po samym środku urwiska, między grupą oplątanych powojem krzewów, pobożna ręka jakaś wkopała krzyżyk biały; wążuchny strumyk przeciskał się tamtędy, i płynąc tuż koło krzyża zdawał się całować stopy jego. W innej grupie zieleni odzywały się kiedy niekiedy pojedyncze, oderwane tony śpiewu słowika; w borze, daleko, kukała kukułka, a oprócz tych słabych głosów, żadnego innego głosu słyhać nie było. Tylko wysoko szumiały drzewa, i woń żywiczna boru wraz ze świeżem tchnieniem wiejącem od strumieni i rzeki pobliskiej, napełniała powietrze.

Przechadzająca się para stała nad brzegiem parowu w milczeniu. Młoda panna wysunęła rękę swą z pod ramienia mężczyzny, oparła się plecami o sosnę, która obok niej rosła gładka i wysoka, i z założonemi na piersi rękami ściagała wzrokiem bieg strumieni na dnie przepaści.

Mężczyzna stał obok niej milczący, zamyślony także, i wpatrzony w przeciwległą stronę parowu; ale z wyrazu twarzy jego prawie odgadnąć można było, iż myślał nad tem z jakich geologicznych pokładów składa się ściana urwiska.

— Boże mój! jak tu pięknie! zawołała nagle panna, jakby nie mogła zachwyty swego dłużej w piersi zamknąć. I pan powiadasz, mówiła dalej zwracając się do mężczyzny, i pan powiadasz, że ideałów niema na świecie! Alboż nie jest ideałem piękności i potęgi natura bez granic, piękna i silna w swych objawach, tak rozmaita a tak jednak pełna harmonji! O tak, zaczynam wierzyć, że nie między ludźmi ideałów szukać należy, ale w samotności i ciszy, między błękitem niebios i drzew wyniosłych zielenią, pod gwiazdami, wysoko, kędy duch boży unosi się w nieprzerwanym słońcu pochodzie, i na ziemi, nisko, kędy rozkwita kwiecie leśne wonne a niewinne! Tam na świecie — między ludźmi taka proza, taki chaos próżności, blahostek, egoistycznych uczuć i myśli — tu wśród natury tylko wielkość i piękność bez granic — ideał!

Umilkła, złożyła ręce na piersi jak do modlitwy i marzący wzrok swój podniosła znowu wysoko. Mężczyzna utkwiał w niej oczy pełne badawczego wyrazu. Zdawało się że poddawał stojącą przed nim dziewczę rozbiorowi krytycznego rozumu.

— Ciekawym, szepnął do siebie bardzo cicho, ciekawym, czy egzaltacja ta jest wynikiem rozbijającej wyobraźni, czy istotnie ciepłego serca?

Panna nie słyszała szeptu tego, zwróciła znowu wzrok na towarzysza i zaczęła mówić:

— Często zastanawiam się nad tem, dla czego, gdy w naturze wszystko tak niezmiernie jest rozmaite, że nawet dwóch listków jednakowych niema na drzewie, ludzie są tak dziwnie, tak prozaicznie, tak nudnie do siebie podobni?

Rzekłszy to zamyśliła się; mężczyzna zapytał:

— Jak to pani rozumiesz?

— Tak — odpowiedziała; gdy przebiegam myślą wszystkich mych znajomych, zdaje mi się że widzę szereg mannekinów jednostajnie ubranych, chodzących, gadających, śpiących i jedzących. Wszyscy są sobie podobni i wszystkie istnienia są do siebie podobne. Nigdzie wielkiego szczęścia ni wielkiej niedoli, wielkiej cnoty ni wielkiej zbrodni — wszystko mierzone, konwencjonalne, objęte formami, sztywne, zimne. Każdy zaczyna dzień od śniadania, spędza go w pracy machinalnie spełnianej, albo i bez pracy, kilka godzin przepędza na pustej gadaninie, i wieczorem idzie spać po zmówieniu pacierza z takim samem natchnieniem, z jakim jadł kotlety na śniadanie, a z daleko mniejszem niż obmawiał bliźniego. Gdzież tu więc myśl wzniosła, gdzie dążenia wspaniałe, gdzie te wielkie dramata radości lub bólu, w których objawia się potęga uczuć ludzkich? Nic, nic, prócz egoizmu, gastronomicznych funkcji, przymusowej pracy, albo pelzające-

go próżniactwa. Doprawdy! wśród tego wszystkiego ogarnia mię czasem nuda śmiertelna i żałuję, że minął czas zaklętych królewiczów, błędnych rycerzy, i zbójców zjawiających się w dobrych towarzystwach pod przybranymi nazwiskami!

W czasie mowy pięknej panny, mężczyzna nie spuszczał z niej badawczego oka, a gdy skończyła, szepnął:

— A! pragnienie wrażeń!

A głośno dodał:

— Więc pani chciałabyś spotkać między ludźmi coś niezwykłego, coś zachwycającego albo przerażającego?

— Tak, odpowiedziała panna, chciałabym nareszcie po tylu zwyczajnościach choć raz ujrzeć na świecie bohaterstwo lub zbrodnię — szczęście które człowieka pod gwiazdy porywa, albo rozpacz od której serce pęka, i życie się łamie.

Mężczyzna chciał coś odpowiedzieć, ale uwagę jego i jego towarzyszek zwrócił szelest kroków kogoś za nimi idącego. Odwrócili głowy, i zobaczyli między rzadką kolumnadą sosen postępującego młodego mężczyznę, a tak zamysłonego, że wzrokiem tak upornie wlepionym w ziemię, że ich nie spostrzegł.

Na widok zbliżającego się, dwa różne wyrazy zagrały na twarzach stojącej nad parowem pary. Obojętne oczy mężczyzny rozświeciły się czemś nakształt zadowolenia i serdeczności, lubo bardzo umiarkowanej; panna zapłonęła tak szkarłatnym rumieńcem, że oblał czoło jej i szyję, spłynął aż na ramiona widniejące pod białym muslinem, a bladuróżowa *rosa thea* zbladła przy nim bardziej jeszcze, i wydawała się śnieżną.

Mężczyzna towarzyszący płonącej się pannie nie dojrzał jej gwałtownego rumieńca, bo patrzył na nadchodzącego — i zarazem wyrzekł dość głośno, tonem uprzejmie brzmiącym:

— Dobry wieczór, panie Augustcie!

Nadchodzący podniósł nagle oczy jak człowiek zbudzony z głębokiego zamyślenia; spojrzął na tego który go zawołał po imieniu, uśmiechnął się przyjacielsko, i odpowiedział:

— Dobry wieczór panie Edwardzie, nie spodziewałem się...

Nagle stanął jak wryty. Oczy jego zatrzymały się na twarzy panny towarzyszącej temu z kim się witał.

O ile ona zarumieniła się spostrzegłszy go, o tyle on zbladł spojrzawszy na nią. Oboje znać doświadczyli silnego wzruszenia; tylko że u dziewicy objawiło się ono rumieńcem, u mężczyzny bladością.

A z tym rumieńcem, i z tą bladością oboje byli bardzo piękni. Bledziuchna *rosa thea* drżała w płowych włosach panny nad czołem, które pochylało się nieco; promyk słońca igrał nad bladą twarzą mężczyzny, ukazując na niej zdumienie i zachwyt. Pan Edward Gaczycki ze zrecznością światowego człowieka szybko spostrzegł wzruszenie towarzyszek, a przypisując je zapewne pomieszaniu sprawionemu widokiem nieznanego, wyciągnął na powitanie dłoń do nadchodzącego, a do niej zwróciwszy się, rzekł:

— Pani zapewne nieznanym jest pan August Przybycki, mój dobry przyjaciel.

A zwracając się do niego, wyrzekł:

— Panna Wanda Rodowska.

Skłonili się sobie w milczeniu. Wanda powoli podniosła na Augusta swe szafirowe wielkie oczy, i również powoli wysunęła do niego rękę.

— Nie znałam pana dotąd osobiście, rzekła głosem cichszym nieco niż ten którym wprzód mówiła, ale widuję go bardzo często. Od kilku miesięcy jesteśmy bliscy sąsiedzi, dodała zwracając się do Edwarda; pan Przybycki odkąd bawi w X. mieszka naprzeciw domu w którym my mieszkamy.

August skłonił się po raz drugi, i uściśnął końce palców ślicznej podanej mu ręki.

— Ja także, odpowiedział, mam szczęście widywania pani codziennie stojącej w oknie lub idącej ulicą — a nawet...

Zawahał się chwilę, i uśmiech ozdobił jego kształtne, świeże usta.

— A nawet, dokończył, ośmielałem się każdego wieczoru słuchać jej pięknej muzyki...

Wanda splonęła się znowu.

— Doprawdy? odrzekła z wolna, nie wiedziałam dotąd że miesza słuchacza...

— I wielce kompetentnego, przerwał pan Edward. Widzisz pani przed sobą człowieka o chybionem powołaniu; mógł być artystą muzykiem, a został urzędnikiem...

— Czy tak? wymówiła Wanda — a oczy jej znów się podniosły na twarz Augusta, i zamigotały wyrazem zajęcia — pan lubisz sztukę i sam może grywasz?

— Sztuka pani, odpowiedział August, miała być celem mego życia. Mówiono kiedyś dorastał, że na artystę stworzony. Na muzyka kształciłem się do dwudziestego roku życia; ale potem okoliczności kazały mi wejść na inną drogę, na której łatwiej i pewniej zdobyć mogłem chleb powszedni.

— Dla powszedniego chleba chybić powołaniu swemu! to rzecz okropna! zawołała Wanda z niezmiernym smutkiem w głosie.

Czoło Augusta zasnuło się chmurami, oczy jego spuściły się może dla ukrycia gorzkiego wyrazu, który się w nich pojawił. Po chwili jednak podniósł głowę, i odpowiedział ze spokojem lubo głosem niższym nieco:

— Bywają w życiu pewnych ludzi epoki w których nie wolno im myśleć o sobie, i w których obowiązek i honor nakazuje im wyrzec się najdroższych nawet celów i miłości życia.

Wanda nie odpowiedziała — była zamyśloną. August po chwili mówił dalej całkiem już swobodnie:

— Chociaż jednak opuściłem wyłączny zawód muzyczny do którego sposobilem się za młodu, nie idzie zatem abym całkiem wyrzekł się sztuki. Poświęcam jej dotąd wszystkie wolne chwile moje, i znajomość jej a miłość dla niej uważam za najpiękniejszą stronę mego życia.

— Otóż znaleźliście się państwo, na wspólnie ulubionym gruncie, zawołał pan Edward. Bo trzeba ci wiedzieć Auguste, że panna Wanda urodziła się też artystką, wiele czasu poświęca muzyce, i gra prześlicznie.

— O ostatniem wiem dobrze, odpowiedział August, ośmielam się nawet złożyć pani serdeczne dziękczynienie za niewypowiedziane miłe chwile, jakimi pani mimo swej wiedzy darzyłaś mnie nieraz przez zachwycającą w istocie grę swoją.

Usta Wandy otworzyły się w uśmiechu, który czarowny wyraz łagodności i niewinności rozlał po jej marzącej twarzy. Znowu podniosła na twarz Augusta spojrzenie, w którym tym razem malowała się pewna nieśmiałość, i rzekła:

— Może więc pan zechce bardziej zbliżyć grę tę posłyszeć... i odwiedzić nas... mieszkamy przecie tak blisko... moja matka będzie panu bardzo rada...

August uklonił się głęboko, z podzięką i uszanowaniem, ale w milczeniu. Nie wiadomo było czy przyjął lub odrzucił zaprosiny pięknej panny. Przez chwilę milczeli wszyscy troje. Pan Edward zdawał się znowu rozważać pokłady geologiczne przeciwległej ściany urwiska; Wanda ściagała okiem bieg strumieni na dnie przepaści; po śniadej i wyrazistej twarzy Augusta przebiegały ruchome cienie i światła, to czoło chmurami się zasnuło, to z ocz strzeliła błyskawica, to po ustach przebiegł smutny uśmiech, i spojrzenie zawisło na pływających dziewczycy warkoczach. Nakoniec odezwał się pierwszy:

— Nad podziw niespodzianie spotkałem państwa nad brzegiem tego parowu. Co do mnie jest to miejsce ulubionych przechadzek moich; przychodzę tu prawie codzień, gdy tylko czas mi na to pozwala.

— Pięknebotęz to miejsce! wyrzekła przeciągle Wanda nie spuszczać oczu z szmerzących na dnie srebrnych nitek wody.

— Właśnie przed chwilą, odezwał się pan Edward, panna Wanda wyrażała swój zachwyt nad pięknnością natury tutaj i zadowolenie, że dla niej opuściła liczne towarzystwo z jakim przybyliśmy do tego borku na zaimprovizowaną majówkę.

— A! państwo tu przybyli z towarzystwem! wyrzekł August, i z wyraźnym niepokojem rozglądał się w koło, jakby się obawiał ujżenia tuż tuż wysuwającego się z pomiędzy lasu mnóstwa ludzi.

— Zostawiliśmy je daleko poza sobą, odrzekła Wanda, i wdzięczna jestem panu Gaczyckiemu, że mi to przypomniał. Ja tak lubię ciszę i pięknność lasu, że gotowabym się zapomnieć tu, i długą nieobecnością nabawić o siebie niepokojem znajomych moich. Panie Gaczycki, już czas abyśmy wrócili do naszego towarzystwa.

To rzekłszy zebrała w dłoń długie fałdy swej sukni, jedno jeszcze spojrzenie rzuciła na dno parowu, jakby trudno jej było rozstać się z jego widokiem — i pełnym poważnego wdzięku ruchem postąpiła pomiędzy sosny w stronę, z której wraz z panem Edwardem nadeszła.

Dwaj mężczyźni szli obok niej, ale żadnemu już z nich nie podała ręki, a wstępowała sama na strome wzgórze spokojna i zamyślona, krokiem lekkim a pewnym, z którego można było poznać siłę i zdrowie najpierwszej młodości. Przy trudnym wspinaniu się na górę, pierś jej nawet nie wzdymała się bynajmniej przyspieszonym oddechem zmęczenia; tylko białe policzki zaróżowiły trochę, i delikatnością barwy sprzeczały się o pierwszeństwo z drżąca w płowych włosach *rosa thea*.

Pan Edward znowu obojętnymi swemi oczami rozglądał się wkoło, jakby myśląc o zdatności otaczających sosen na maszty do statków zbożowych. August szedł ze schyloną głową, a oczy jego z pod powiek spuszczonej ścigały brzeg białej sukni Wandy, muskający leśne mchy i nieśmiertelniki.

Po kwadransie lub więcej takiego milczącego pochodu, do uszu trojga idących doszedł gwar rozmów, i w dali między zielenią zabłysły barwy kilku sukien.

August przystanął.

— Przychodzi mi tu pożegnać państwa, rzekł z ukłonem; państwo zbliżacie się do licznego towarzystwa — ja zaś który go nie znam, wrócę tam dokąd szedłem.

Wanda zatrzymała się, i znowu powolnym ruchem wysunęła do niego rękę.

— Spodziewam się wkrótce zobaczyć pana, wyrzekła — ponieważ oboje jesteście zwolennikami muzyki a w mieście naszym tak mało znajduje się ludzi podobnego nam zamiłowania — więc może bliższa znajomość między nami wyjdzie na korzyść nam i sztuce. — I znowu cudownej słodyczy i niewinności uśmiech otworzył usta Wandy.

August podniósł twarz bardzo bladą. Oczy jego mgliły się i płomieniły na przemian; w głosie prześlizanej panny usłyszał prośbę. Skłonił się z szacunkiem i wdzięcznością, a uściskawszy rękę Edwarda oddalił się szybko.

Wtedy pan Gaczycki grzecznie podał ramię Wandzie, i oboje postąpili ku widniejącemu między zielenią towarzystwu.

W chwili gdy Wanda zapraszała Augusta do domu swej matki, o kilka kroków od nich zaszeleściło coś w gęstwinie młodych sosenek i jałowcu, i pomiędzy kolczatami gałęzmi przemknął kolor fijałkowy wstążek, i błysnął wyłaczany krzyż różańca. Była to pani Apolonja Kuderska, która zdjęta niezmierną troskliwością o „śliczną, dobrą, kochaną Wandziulkę,” pomknęła na jej spotkanie ukrywając się między gęstwinę zarośli, aby niewidzialna, spotkać ją wracającą z panem Gaczyckim, i z ukrycia móżdź lepiej czuwać nad zbawieniem jej duszy.

VII

Pani Olimpia Rostowiecka stała nad brzegiem rzeki, wsparta na ramieniu pana Spirydjona Asa; obok niej, w tklwym uścisku swych dłoni trzymając ogromną rękę małżonka, wzrokiem pełnym słodyczy i skromności patrzyła na pluskające w wodzie rybki pani Teresa Rokowiczowa; o parę kroków od nich stała niemłoda jakaś pani w białej mantyli i amarantowej sukni, zagrządzając sobą drogę do rzeki dwom dosyć brzydkim i nie pierwszej młodości córkom. Całe to grono rozmawiało z sobą z ożywieniem, prócz pani Olimpii, która zachowywała w rozmowie rezerwę właściwą damie wysokiej sfery, i pana Rokowicza, zadumanego nad upadkiem obyczajów publicznych.

Nagle, rozległo się za nimi ciężkie westchnienie, i pomiędzy niebiesko ubranem ramieniem pani Teresy a śnieżną odkrytą szyją pani Olimpii, ukazał się pąsowo kwitnący nos pani Apolonji.

— Boże najwyższy! jęknęła Antyfona, jakaż to nieodżałowana szkoda tej ślicznej, kochanej Wandziulki!

Towarzystwo obejrzało się.

— Cóż się stało nowego z panną Wandą? z lekką ironją zapytał pan Spirydjon.

Ale państwo Rokowiczowie oboje, dama w amarantowej sukni, i dwie jej córki pełen ciekawości wzrok wpiły w twarz przybyłej do grona ich kobiety.

Pani Apolonja zdyszana od biegu, wydobyła z kieszeni z za złotego Ołtarzyka chustkę niepewnej czystości otarła nią pot z pełnego żółtych plam czoła, i jęknęła po raz wtóry:

— Boże najwyższy! jakaż jej szkoda! jaka jej szkoda!

— Cóż? co się stało? pytało towarzystwo.

— Niech mnie Bóg strzeże i broni, jęknęła Antyfona, abym miała obmawiać kogoś, odbierać sławę bliźniemu! ależ to obraza Pana Boga! Panna chodząca po lesie nie tylko już z jednym mężczyzną, ale z dwoma!

— Z dwoma! zawołała pani Teresa, ktoż był więcej z panną Rodowską oprócz pana Gaczyckiego?

Pani Apolonja milczała przez chwilę, i kiwała głową ze zgrozą, i politowaniem; potem plasnęła rękami odzianymi w grube czarne rękawiczki, i wyrzekła podnosząc oczy do nieba:

— Pan August Przybycki!

— Milczała znów długo wodząc wzrokiem po twarzach obecnych, potem znów ją mówić:

— Niech mię Bóg strzeże i zachowa abym miała obmawiać kogo i odbierać sławę bliźniemu! ale widziałam, widziałam na własne oczy, jak Wanda szła od strony parowu z panem Gaczyckim po jednej stronie, a panem Przybyckim po drugiej — i słyszałam że pana Przybyckiego zapraszała do siebie mówiąc, że nudzi ją całe nasze towarzystwo, i że z nim jednym przyjemność znaleźć może. A on pocałował ją kilka razy w rękę, i coś szepnął do niej tak żeby pan Gaczycki nie słyszał. Musiał jej nie lada komplement powiedzieć, bo zarumieniła się po uszy. Nie byłabym nawet tego mówiła państwu, ale żal mi jej serdeczny — taka poczciwa, taka dobra panienska, i takich rodziców córka, a tak się gubi! Mój Boże! co to za świat teraz!

Oprócz pana Spirydjona, całe grono słuchało opowiadania pani Apolonji z najwyższym oburzeniem, które u każdego inaczej się objawiało. Pani Olimpja wyżej jeszcze głowę podniosła, i ciemne brwi zsunęła z pogardą; pani Teresa spuściła wstydliwie oczy, pan Rokowicz otworzył usta; a dama w amarantowej sukni stała się tak amarantową, jak jej suknia, i z trwogą o dziewicze uszy swych córek obejrzała się na nie, a one chciwie nastawiły swe dziewicze uszy, i usta wygięły w wyraz złośliwego zadowolenia.

Pani Olimpja odezwała się pierwsza:

— Nie darowanato rzecz osobie wyższej sfery, kompromitować w podobny sposób swe położenie w świecie, i pomiatać formami przyjętymi w wyższych towarzystwach!

— Nie pojmuję jak młoda osoba może zapominać tak dalece o skromności, która jest najpiękniejszą ozdobą kobiety! wyrzekła ze słodyczą i litością w głosie pani Teresa — a zarazem poprawiła nad czołem niewinny pęczek fijołków.

— Przepraszam! — wystrzelił pan Rokowicz wyciągając nagle i prostopadle prawicę; dopóki... tedy... panna Wanda chodziła z jednym panem Gaczyckim... więc... była to nieprzyzwoitość... ale tedy... zaczyna już chodzić. z dwoma mężczyznami na raz... więc... jestto skandal... który obraża... tedy... przepraszam!

— A do tego jeszcze, uważaj mój najmilszy Feluniu, że jeden z tych mężczyzn jest żonaty! wyrzekła słodko pani Teresa.

— Oj żonaci, żonaci! niech im Bóg odpuści ciężkie grzechy! jęknęła Antyfona.

Tu dama w amarantowej sukni zasłoniła plecami odzianymi w białą mantylę dziewicze uszy swych córek, i odezwała się sapiąc z oburzenia:

— Dziwię się panu Gaczyckiemu że osłania sobą jakieś schadzki panny Wandy z żonатыm człowiekiem. Cóżto za przykład dla naszych córek!

— Boże najwyższy! zawołała pani Apolonja, pan Gaczycki to najlepszy, najzaczniejszy człowiek — lubię go i poważam z całego serca; ale co prawda to prawda! niema żadnej religii, i zepsuty jest w formie, niemoralny! niech mnie Bóg broni i strzeże abym miała obmawiać bliźniego, ale co prawda to prawda!

— Przepraszam! wybuchnął znowu pan Rokowicz, póki pan Gaczycki chodził z panną Wandą... tedy... sam na sam... więc... byłato nieprzyzwoitość... ale kiedy więc... pan August, więc człowiek żonaty słucha codzien przy otwartem oknie na dole... tedy... jak młoda panna gra przy otwartem oknie na pierwszym piętrze... a potem tedy spotyka ją w lesie i więc... całuje ją w rękę... tedy to skandal który obraża... bo więc pan August jest żonaty człowiek... przepraszam!

— Oj żonaci! żonaci! niech im Bóg... zaczęła pani Apolonja, ale nie skończyła, bo o kilka kroków od rozmawiającej grupy błysnęła z za sosen biała suknia Wandy, i po chwili ona sama spokojnie wsparta na ramieniu Gaczyckiego zbliżyła się nad brzeg rzeki.

Na widok nadchodzącej, pani Teresa wypuściła rękę męża którą dotąd piastowała w swych dłoniach, i ze słodziuchną minką postąpiła parę kroków.

— Kochana Wandziulko! zawołała słodkim głosem, tak długo pozbawiałaś nas twego towarzystwa! tęskniliśmy za tobą!

To mówiąc objęła kibić Wandy, która opuściła ramię swego towarzysza, długi pocałunek złożyła na jej policzku, i wyrzekła pełnym czułości głosem:

— Pieszczoszka moja!

Zbliżyła się i pani Apolonja.

— Nie pięknie, nie pięknie tak nas opuszczać! mówiła biorąc rękę Wandy; ja moje stare oczy wypatrzyłam oglądając się, gdzie się moja śliczniutka Wandzia podziała! już cię nie puszcze teraz za to dzieciaku miły; musimy razem wrócić do miasta, a jutro pójdiesz ze mną na summę — nieprawdaż? wszak jutro niedziela! przyjdę po ciebie, dobrze?

I objęła z drugiej strony kibić Wandy, na drugim jej policzku złożyła pocałunek, i wyrzekła pełnym czułości głosem:

— Slicznotka moja!

Wanda ze spokojną uprzejmością przyjęła te pieszczoty i oświadczenia się dwóch kobiet, i odeszła do innej grupy między którą błyszczała różowa sukienka Stasi. Pan Edward połączył się też z kilkoma mężczyznami stojącymi na uboczu. Po ich odejściu amarantowo ubrana pani wzięła za ręce obie swe córki, i pompatycznie odchodząc z niemi, rzekła pół głosem:

— Mes filles! powinnyście unikać towarzystwa panny Rodowskiej. Daje wam zły przykład!

Pani Olimpja podniosła głowę bardzo wysoko, z dumą zsunęła brwi, i zwracając się do pani Rokowiczowej wyrzekła:

— Dziwię ci się kochana Tereniu, jak możesz z taką czułością obchodzić się z panną, która nietrafnem postępowaniem tak uwłacza swemu wyższemu położeniu w świecie!

— Nie przypuszczajże Olimpko droga, tłumaczyła się pani Teresa, abym ja Wandę kochać miała, albo stawić ją na równi z tobą naprzykład, tak szlachetnie dumną i tak wzorowo umiejącą utrzymać swoje położenie w świecie. Ale widzisz mam trochę nadziei, że wpływem moim zdołam ją nawrócić na drogę skromności kobiecej, z której nieszczęśliwa zeszła.

— A ja przy pomocy bożej pragnęłabym natchnąć ją religją i miłością dla cnoty, o których ta biedna kochana Wandziulka zapomina! dodała pani Apolonja.

— Tereniu! ozwał się pan Rokowicz prostopadle wyciągając ku żonie prawicę, nie życzę sobie... tedy... abyś wiązała się przyjaźnią z panną Rodowską... więc... ani żeby ona bywała w naszym domu... tedy... wiem że żadna osoba, która popelnia nieprzyzwoitość... nie powinna bywać w naszym domu.

Ostatnie dwa wyrazy pan Rokowicz wymówił z taką powagą i uroczystością głosu, jak gdyby sądził, że na dachu *domu jego* siedzi cała społeczność ojczysta, i że przy najbliższym ciosie zadany powadze ścian jego, dom ten runie, a społeczność spadnie z dachu i nos sobie stłucze.

Słońce zaszło, zmrok zapadał. Tam kędy kończyły się wzgórza a rozpoczynała droga do miasta, stały trzy powozy: jeden pani Rostowieckiej, drugi pana Spirydjona, trzeci pana Gaczyckiego. Reszta towarzystwa albo nie miała powozów, albo przekładała pieszy powrót do domów.

Pani Olimpja opuściła na chwilę ramię pana Asa, aby się pożegnać z towarzystwem; pan As skorzystał z urlopu i zbliżył się do Stasi wspartej na ramieniu pana Pawła.

— Czy mogę państwu ofiarować mój powóz? zapytał z pełnym galanterji ukłonem, i wyrazistem na młodą kobietę spojrzeniem.

— Dziękuję panu, odpowiedziała, już nam swój pan Gaczycki ofiarował i przyjęliśmy.

— Pozwoli pani odwiedzić siebie jutro? spytał znowu z wyrazistszem jeszcze spojrzeniem adorator pani Olimpji.

— I owszem, odparła Stasia, chciej pan przyjść, tylko w porze, gdy mąż mój z bióra powraca; bo w nieobecności jego tak jestem zajęta domem i dzieckiem, że nikogobym przyjąć nie mogła.

Pan Spirydjon uklonił się raz jeszcze i odszedł z lekkim niezadowoleniem na twarzy.

— Czy widzi pani Wincetowa, mówiła nieopodal stojąca pani Apolonja do amaran-
tovej damy, jak ta wietrznica Rumiańska kokietuje pana Asa! co oni tak szeptali z sobą?
a biedne to Pawlisko stoi obok i nic nie widzi i nie słyszy!

— Osiół z niego, za pozwoleniem, a ona kokietka, odrzekła amarantowa dama i do-
dała: Co to za przykład dla naszych córek!

Pan Spirydjon, widząc że pani Rostowiecka kończy żegnać się z towarzystwem po-
śpieszał ku niej, aby pomódz jej wsiąść do powozu, gdy musnęła go błękitna sukienka
pani Rokowiczowej przechodzącej mimo z małżonkiem. Pan Feliks opowiadał coś idą-
cemu obok jakimś mężczyźnie, zaczynając rzecz swą od potopu; a niewinny pęczek
fijołków pochylił się prawie do ucha pana Spirydjona i zarazem słodziutki usteczka pani
Teresy szepnęły:

— Jak uważam, wspaniała pani Olimpja nie zupełnie zasłania panu — i inne mniej
świetne piękności... i pani Stanisława...

— Gdybyś pani nie była teraz wzorem cnoty małżeńskiej, przerwał również cichym
szepem pan Spirydjon, przełożyłbym wznowienie przeszłości nad wszelką terażniejszość...

— Milcz pan! mogą zasłyszec! szepnęła gwałtownie pani Teresa, a mrok osłonił krwa-
wy rumieniec, który na twarz jej wybuchnął.

— Nie usłyszą, odszepnął pan Spirydjon; a czyliż podobna nie wspominać przeszło-
ści... gdy ona zostawiła tak miłe wspomnienia...

Pani Teresa spuściła rękę między fałdy sukni, pan Spirydjon spuścił także rękę, i obie
ręce uściśniły się śród mroku.

— Felunieczku najdroższy! jednocześnie zawołała pani Teresa, pan Spirydjon żegna
się z nami! nie uważasz!

Pan Feliks obrócił się żywo.

— Moje uszanowanie tedy... szanownemu panu, wyrzekł wyciągając swą ogromną
rękę do pana Spirydjona; żegnam... tedy pana... niechże pan więc nas odwiedzi... niech
pan tedy co najczęściej zaszczyca swą obecnością nasz dom...

Towarzystwo z gwarem, pocałunkami i uściskami rąk żegnało się czas jakiś — potem
ruszyły powozy.

VIII

August, po powrocie z przechadzki, która niespodzianie dała mu spotkać i poznać niewi-
działną artystkę, czarującą go swą muzyką co wieczór od kilku tygodni, wszedł do swego
szczelnie zamkniętego, kurzem i stęchlizną tchnącego mieszkania.

Anastazja siedziała jak zwykle przed ogniem kominka, nogi swe bezwładne, nie ogrze-
wane krwi obiegami, rozgrzewając przed płomieniem. Z płomienia tego wydobywały się
małe kłęby dymu, i duszącą szarą mgłą napępniały pokój.

Na twarzy Augusta ukazało się przy wejściu ciężkie wrażenie, jakim napępnił go ten
pokój zamknięty, sztywny, duszny i zadymiony, w którym się znalazł nagle po świeżości,
zieleni i woni majowego wieczoru.

Zbliżył się jednak do żony, wyciągnął do niej rękę i rzekł łagodnie:

— Dobry wieczór, Anastazjo.

Ale Anastazja nie przyjęła jego ręki i nic nie odpowiedziała. Zagasły jej oczy upo-
rnie wpatrywały się w płomień, i ani razu nie zwróciły się na twarz męża. Palcami mięła
i szarpała bezprzestannie suknię, z większą jeszcze niż wczoraj gwałtownością.

August usiadł przy niej i coś do niej przemówił. Nie odpowiedziała.

Dym z komina owiał mu twarz, i niezmierne gorąco płomienia go ogarnęło. Zakrztusił
się, zakaszłał, i odstąpił na środek pokoju, aby oddalić się od dymu i gorąca.

— Anastazjo, rzekł, zdaje mi się, iż źle czynisz siedząc nieustannie przed ogniem
i w tak dusznym powietrzu. Gdybyś pozwoliła choć raz okno otworzyć! doktor nawet
zalecał ci świeże powietrze.

Anastazja milczała i nie zwracała oczu na męża. Tylko coraz gwałtowniej mięła i szar-
pała suknię, przyczem coraz częściej błyskała przed ogniem złota ślubna obrączka.

Błysk ten uderzył parę razy oczy Augusta — może raził je przykro, bo odwrócił się
i usiadł przed pianinem. A może też dźwiękami muzyki chciał rozbudzić nieszczęśliwą

kobietę z jej milczenia upornego, pełnego wewnętrznego wrzenia, i wlać choć trochę słodczy w tę pierś wyschlą od choroby, a targaną i rozdrażnioną boleśnie, gorzko.

Zaczął grać. Palce jego mistrzowsko wydobywały, z klawiszów tony, i łączyły je w rozliczne pasma melodji.

Po kilku chwilach znać było z twarzy jego, że zapomniał całkiem o tem co go otaczało, o duszącej atmosferze, którą oddychał, i o tym szkielecie kobiety, który siedział przed ogniem komina, i błyskał co chwilę złotą obrączką ślubną.

Grał z natchnienia, improwizował — i w muzyce jego powtórzyły się chwile, które niedawno przebywał poza ścianami swego domu. Głębokie tony basu naśladowały chwilami uroczyście i poważny szum boru, wiolin szemrał jak biegnące po kamyczkach strumienie — i zdawało się że gdzieś w dali, cicha woda sączy się zwolna ze stromego urwiska, i kropla po kropli spada na piaszczyste dno głębokiej przepaści. Potem zabrzmiały smętne akordy i łagodne *andante* popłynęło z dwóch przeciwnych stron klawiatury, niby rozmowa dwóch głosów, z których jeden mężczy był jędrnej pełen poezji, drugi zdawał się wychodzić z niewinnej, marzeniem zasnutą piersi dziewczęcej. Ale stopniowo oba te głosy nabierały energii i mocy; w oddali słycać było jeszcze szum boru i bieg kroplisty strumieni, lecz głużyła je dwojga ludzi rozmowa, coraz gorętsza, żywsza, namiętniejsza. Aż nagle palce artysty uderzyły gwałtownie jeden akord niezmiernej mocy; ozwały się w nim westchnienia, straszne jęki rwące piersi, namiętność bez granic i bez granic rozpacz. Potem ręce Augusta odpadły nagle od klawiszów — struna z jękiem pękła w pianinie.

August długo siedział nieruchomy, z rękami obwisłymi i głową opadłą na piersi. Ciemne oczy jego nie strzelały w tej chwili iskrami, ale z pod zsuniętych brwi patrzyły nieruchomie w jeden przedmiot, niby zakłete jękiem pękającej struny, który drżał w przestrzeni długo — długo.

Po chwili młody mężczyzna podniósł głowę, i spojrzał na siedzącą u komina kobietę. Nie zmieniła postawy i nie odwróciła zagasłego wzroku od płomienia, a palce jej nie przestawały miąć i szarpać suknię.

Na twarzy Augusta ukazała się znowu litość i dobroć. Zbliżył się do żony.

— Anastazjo, rzekł, może chcesz abym ci co przeczytał?

Nie odpowiedziała.

Wziął ze stołu książkę, przybliżył lampę, i mimo duszącego dymu i gorąca, usiadł przed płomieniem i zaczął czytać głośno.

Przeczytał kilka kart i spojrzał na żonę. Nie zmieniła postawy! nie odwróciła oczu od ognia, i nie przestała drżącymi palcami miąć i szarpać sukni.

Zmęczenie ukazało się znowu na twarzy Augusta.

— Anastazjo, — zwrócił się do niej raz jeszcze, co ci jest dzisiaj? czyś bardziej chora? może chcesz abym wezwał lekarza?

Nie odpowiedziała.

Tym razem brwi Augusta zsunięły się, twarz jego buchnęła na chwilę wyrazem głuchego zniecierpliwienia, oczy płomieniem zapłonęły. Nie rzekł jednak nic, tylko zacisnął zbladłe wargi i utkwiał na chwilę wzrok w posadzkę.

Potem powstał zwolna uspokojony mocą woli, i przeszedł parę razy pokój.

Wtedy Anastazja pierwszy raz odwróciła oczy od ognia i zawołała ochrypłym głosem:

— Tekło! Tekło!

Weszła służąca.

— Zatocz mój fotel do sypialnego pokoju. Chcę spać.

Sługa fotel na kółkach potoczyła w stronę sypialni. Kościsty profil Anastazji przesunął się na tle płomienia, i raz jeszcze błysnęła na jej palcu złota obrączka ślubna.

— Dobranoc ci Anastazjo, rzekł zbliżając się do niej August, i podając jej rękę.

Nie podała mu swojej i nie odpowiedziała.

Jak wczoraj w przystępie głośnych wyrzutów, jęków i skarg, tak dziś była w fazie upornego, zawziętego milczenia.

August wszedł znowu do swego pokoju, gdzie czekała go lampa pod zasłoną płonąca, i biórko pełne ksiąg i papierów.

Otworzył okno i spojrzenie jego podniosło się ku pierwszemu piętru przeciwległej kamienicy.

Ale oświetlone okno pierwszego piętra otwarte wczoraj, i wylewające na zmęczoną głowę jego potoki słodkiej dziewiczej muzyki, zamknięte było i milczące. Tylko na tle bladawo błyszczących szyb rysowały się doniczki z różami, i biała firanka.

August patrzył na nie długo, długo — potem odstąpił, usiadł przed biurkiem, i czoło pełne chmur ciężkich nad otwartą pochylił książką. Chwilami przerywał sobie czytanie, i przystępując do okna spoglądał ku pierwszemu piętru; zdawałoby się że czekał, czy nie ozwie się wśród nocy cichej czarowna gra niewidzialnej artystki. Ale okno z różami milczało. Czy mieszkająca za niem dziewica tak zatoneła dziś w myślach swych i marzeniach, że zapomniała o instrumencie któremu co dzień o tej porze zwykła była dumy swe powierzać? — czy nieśmiałością dziewiczą i nieokreślonym wstydem niepokalanego serca zdjęta, nie chciała już dum tych wypowiadać muzyką, wiedząc o tem iż ma słuchacza?

I tylko długo, długo w noc dwa okna same jedne oświetlone i czuwające wśród ciemnych i uspiomych okien sąsiednich domów, zdawały się patrzeć na siebie i wieść z sobą tajemniczą rozmowę. Pośrodku, ulica mroczna i cicha zapadała między niemi, niby przepaść...

IX

Na najcichszej i najstronniejszej, a nawet niebrukowanej ulicy miasta, w dworku otoczonym zielonem podwórzem i ogrodem pełnym drzew owocowych i kwiatów, mieszkała pani Joanna Starowska, kobieta licząca lat przeszło sześćdziesiąt, wdowa oddawna, niegdyś bogata obywatelka, potem zubożała w skutek nieszczęść ogólnych i dziś: żyjąca w skromnej acz niezależnej mierności.

W kilka dni po zaimprovizowanej na zamiejskich wzgórzach majówce, pani Starowska siedziała w bawialnym pokoju swego małego, lecz czyściutkiego mieszkańka przy otwartem oknie, na którym rozrastały się gęsto kwitnące bzy i jaśminy ogródka. Gładka biała firanka zdobiła okno, a nad głową starej kobiety szczebiała w klatce para kanarków.

Czarna wełniana suknia skromna, lecz bardzo starannie włożona, okrywała pochyloną nieco od wieku, ale czerstwą jej postać; śnieżnej białości czepek przykrywał siwe włosy gładko przyczesane i otaczające czoło, które mimo licznych zmarszczek jaśniało pogodą; wielkie ciemne oczy nieco zapadłe, rozumnie i z dobrocią patrzyły przez okulary w złotej oprawie.

Siedziała w staroświeckim fotelu amarantową materją obitym, a przed nią na stoliczku stał koszyk z rozpoczętą jakąś robótką z białej bawełny, i leżała roztwarta księga Starego Testamentu.

U stóp jej na niskim stołeczku, siedziała jasnowłosa dziesięcioletnia dziewczynka, w błękitnej perkalikowej, osłaniającej ramiona sukience; rączki drobne złożyła na czarnej sukni starej kobiety, i błękitne jak niebo oczy podnosiła ku jej twarzy z dziecięcą ufnością i ciekawością.

Pani Starowska jedną rękę oparła na otwartej księdze, drugą gładząc z pieśczętą włosy dziewczynki mówiła — ciągnąc dalej opowiadanie świętych dziejów:

— Tak więc moje dziecko, kiedy lud Izraelski stanął u stóp góry Synai, ten który go wyprowadził z niewoli Egipskiej i wiódł przez pustynię wstąpił na wierzchołek, i wśród grzmotów a błyskawic ogłosił ludowi dziesięć przykazań bożych...

— Tych samych dziesięć przykazań, babuniu, które ja codzień przy pacierzu powtarzam? przerwało dziecię.

— Tych samych, droga moja. Potem gdy Chrystus zstąpił na ten świat, i ogłosił na ziemi swoją świętą naukę, do przykazań tych przybyło jeszcze jedno, a obejmujące je wszystkie razem: Miłuj bliźniego twego jak siebie samego.

— Babuniu! jakżeto trzeba miłować bliźniego jak siebie samego? zaszcebiała znowu dziewczynka.

— Miłość bliźniego, odrzekła stara kobieta, a głos jej nabrał niezmiernej słodyczy, — to, dziecko moje, nietylko unikanie wyrządzania jakiegokolwiek komu krzywdy na sercu, majątku lub sławie, ale jeszcze gotowość poświęcenia się za innych, do podzielenia się z ubogim wszystkim co się posiada, do przyniesienia pociechy cierpiącemu, a przebaczenia choćby najciężej grzeszącym. Miłość bliźniego, moja droga, to cała treść religii

naszej, to ciągle powtarzająca się w nauce Chrystusa zwrotka; kto jej nie posiada w duszy, to jest kto krzywdzi bliźniego swego w jakikolwiek sposób, albo nie dzieli się swem mieniem z bratem ubogim, albo potępia nieodwołalnie grzesznika i cnoty przebaczenia nie zna, ten nie spełnia najwyższego przykazania bożego, i zwać się Chrześcijaninem nie godzien.

— Jak ty to ładnie mówisz babuniu, wyrzekło dziecko, zamyślane oczy podnosząc do nieba widniejącego za oknem; jakbym ja chciała kochać bliźniego tak, jak Bóg przykazał a ty opowiadasz!

Pani Starowska pełnem czułości okiem ogarnęła złotowłosą główkę dziewczynki.

— Babuniu, wyrzekła zwolna Anielka, dla czego do mnie nie stosuje się czwarte przykazanie boże. Tam powiedziano: Czcij ojca twego i matkę swoją, a ja nie mam rodziców...

Oczy pani Starowskiej posmutniały nagle, i z lekkim pomięszaniem odwróciły się od twarzy dziecka.

— Babuniu! nalegała dziewczynka z dziecięcą natarczywością, dla czego ja nie mam ojca i matki?

Stara kobieta, wyraźnie i coraz bardziej pomięszana odwróciła się, chrząknęła, i parę razy poprawiła okulary.

— Rodzice twoi umarli, Anielciu, — wyrzekła zcicha i z trudnością.

— Wiem o tem, odpowiedziała Anielka, mówiłaś mi to już nieraz. Ale dla czego oni umarli? mnie smutno że ich nie mam...

Ostatnie wyrazy wymówiła ze smutkiem w głosie, a błękitne jej oczki w niebo utkwione, drobną łzą zamigotały.

Stara kobieta spuściła na nią wzrok macierzyński prawie, położyła dłoń na jej czole, i z czułością spytała:

— Alboż ci źle ze mną Anielciu?

— O, dobrze, dobrze! babuniu najdroższa! zawołało dziecko rzucając się jej na szyję, ale moja mama była taka dobra, taka piękna... tęskno mi za nią...

— Dziecko! z przerażeniem nieledwie krzyknęła pani Starowska, z kąd ty wiesz że taką była twoja matka?

— Śniła mi się, odpowiedziało dziecko zcicha, tuląc główkę do piersi opiekunki, śniła mi się wczoraj... Byłam w ogrodzie, mówiła dalej, położyłam się pod gruszą na murawie, i usnęłam... I zdawało mi się, że z za drzewa wyszła matka moja w białej sukni, ze światłemi długimi włosami, przyklękła obok mnie na murawie, wzięła mię na ręce, i tak mię ścisnęła, całowała i płakała... i ja płakałam i pytałam się: czemuś tak późno przyszła do mnie mamo? a ona ukazała mi w stronę naszego domu, i rzekła: patrz dziecko, ojciec twój idzie! I już, już miałam ojca mego zobaczyć, gdy nagle wiatr silnie zaszumił, potrząsnął gruszą i zbudził mię... Babuniu droga — odkąd się obudziłam ze snu tego, tęskno mi za matką i za ojcem, i czuję że zawsze już tęskno mi będzie... sierocie...

Załkała cicho kryjąc twarz w fałdach czarnej sukni opiekunki.

— Biedne, opuszczone dziecko! szepnęła pani Starowska ze smutkiem.

— Babuniu, zawołała raz jeszcze Anielka, podnosząc twarzyczkę łzami zalaną, powiedz mi jak było na imię matce mojej i ojcu memu?

Tym razem wielkie już pomięszanie ukazało się na twarzy starej kobiety. Milczała czas jakiś, pilnie poprawiając okulary, potem zwróciła się do dziecka, i rzekła żywo:

— Anielciu, idź do ogrodu, i narwij mi pęczek rezedy!

Posłuszne dziecko porwało się z miejsca, i wybiegło. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju pani Starowskiej wszedł Edward Gaczycki.

Obojętne oczy milionowego pana mniej były w tej chwili obojętne niż zwykle, wytworna postać jego mniej wydawała się sztywną. Schylił się nawet przed panią Starowską dość głębokim ukłonem, i z wielkiem uszanowaniem pocałował jej rękę.

— Jakże wdzięczną ci jestem, łaskawy panie, przemówiła gospodyni domu, że tak rychło pośpieszyć raczyłeś na wezwanie moje!

— Niech pani wierzy iż być jej gościem, a tembardziej stać się jej w czemkolwiek użytecznym, stanowi dla mnie prawdziwą przyjemność i zaszczyt — odpowiedział pan

Gaczycki, a w głosie jego zamiast zwykłej mu suchej grzeczności, zabrzmiała serdeczna szczerłość, i wielki szacunek.

— Sprawa dla której wezwałam pana, mówiła pani Starowska, gdy gość jej naprzeciw niej usiadł, jest dla mnie wagi wielkiej. Idzie tu o moją Anielkę, o tę biedną opuszczoną dziecinę, o której nie wiem dotąd sama czy jest w istocie sierotą.

— Masz pani we mnie najuważniejszego słuchacza, wyrzekł pan Edward, a pani Starowska mówiła dalej.

— Nie wiem czym opowiadała panu kiedy, w jaki sposób Anielka dostała się pod moją opiekę...

— Słyszałem od innych, przerwał Gaczycki, że dziecię to zostało pani podrzucenem, i że pani, przyjąwszy je niby za wnuczkę po utraconej siostrzenicy, wychowujesz je z troskliwością prawdziwej babki.

— Tak, mówiła gospodyni domu — ośm lat temu, w pewną piękną noc majową, obudził mię słaby krzyk dziecięcia pod oknem mojej sypialni. Wyjrzałam śpiesznie, i zobaczyłam na murawie złożone kilkunastomiesięczne niemowlę — płaczące pod przykrem dotknięciem oblanej nocną rosą wysokiej trawy. Wraz ze służącą której zawołałam, wnieśliśmy dziecię do mieszkania, i między grubą a podartą bielizną która je owijała, znaleźliśmy małą kartkę z uwiadomieniem, że dziecię jest ochrzczone imieniem Anieli, ma jedenaście miesięcy, i urodziło się z nieślubnych rodziców daleko ztąd mieszkających. Żadnych więcej objaśnień nie było na tej karteczce, napisanej grubym i niekształtnym charakterem, z mnóstwem błędów ortograficznych, wyraźnie przez osobę niskiej społecznej sfery. Jak pan powiedziałaś, przyjąłam Anielkę za wnuczkę, hodowałam ją jak mogłam najtroskliwiej, aż do wczorajszego dnia będąc pewną, że pochodzenie jej zostanie nazawsze tajemnicą. Wczoraj dopiero nad wieczorem, nieznana kobieta jakaś przyniosła tu, i oddała służącej mojej dla wręczenia mi list, który chce pan przeczytać.

Mówiąc ostatnie wyrazy, pani Starowska z koszyka od roboty wyjęła niekształtnie złożony gruby arkusz zapisanego papieru, i podała go panu Gaczyckiemu. Ten rozwinął pismo, i w głos przeczytał.

„Umierająca z nędzy i długiej choroby kobieta, pragnie przed tobą pani wyznać tajemnicę, która od lat sześciu ciąży na jej sumieniu. Przed sześciu laty zostało ci pani podrzucenem dziecko, dziewczynka, ochrzczona imieniem Anieli, i mająca jedenaście miesięcy wieku. Pisząca te wyrazy ma do uczynienia ważne zeznanie co do pochodzenia tego dziecka, stanu i nazwiska jej rodziców. Zeznania te mogą wielce wpłynąć na przyszłość dziewczynki; chce pani zatem udając się dla ich przyjęcia na ulicę N. do domu N. przywieźć z sobą jakiego wiarogodnego świadka, któryby wyznanie moje przeniósł na papier, i świadectwem swem mógł stwierdzić prawdę przed światem.”

— Podpisu niema, rzekła pani Starowska, ale charakter pisma jest ten sam, jaki był na owej kartce znalezionej wraz z Anielką.

— Pani więc życzy sobie zapewne abym ja był tym świadkiem którego wzywa mająca czynić zeznania kobieta. Bardzo chętnie służę pani będę.

— Po tysiąc razy dziękuję ci szanowny panie, zawołała stara kobieta wyciągając rękę do gościa swego; tegom się spodziewała po tobie! Czyjeż ucho godniejsze jest posłyszeć ważną tajemnicę, i czyjeż nazwisko wiarogodniej stwierdzi przed światem treść tej tajemnicy jeśli nie samego pana Gaczyckiego.

— Pochlebiasz mi pani w wielkiej na mnie łaskawości swojej, wymówił pan Edward z ukłonem.

— Stara jestem i niezdolna mówić nieprawdy, odpowiedziała z powagą pani Starowska — ale wierz mi pan, że nauczyłam się szczerze cię szanować od owej pamiętnej dla mnie historii z tą umierającą z głodu rodziną, którą pan podźwignąłś z nędzy i upodlenia...

Po bładych policzkach pana Edwarda przemknął rumieniec lekki.

— Nie mówmy pani o tem; to był fakt tak prosty! Pani wzięłaś mię tylko do spółki w swych dobrych czynach.

— I z radością wyznaję że jesteś pan dobrym spółnikiem, i dzielnie mi pomagasz. Ale ponieważ zaczęliśmy mówić o tem, mam prosić pana o podanie mi pomocy jeszcze w jednym względzie.

Pan Edward skłonił się uprzejmie.

— Wiesz pan o tem, że mam fundusz bardzo mierny, lubo zupełnie wystarczający na me skromne potrzeby. Lecz zaspokojenie potrzeb własnych, toć nie wszystko jeszcze! tyle jest biedy ludzkiej w około, a tak mało mogę jej przyjść z pomocą! Otóż wpadłam na pewien pomysł. Zostały mi dotąd przechowane jako pamiątka pewne klejnoty rodzinne, które, zdaje mi się, muszą mieć znaczną wartość. Postanowiłam je spieniężyć — i lubo nie bez przykrości rozstanę się z przedmiotami które uważałam dotąd za pamiątkowe i święte, ale zato ze sprzedaży ich utworzy się choć mały kapitalik dla moich biednych, z którego czerpać będą mogli po trochu. Chcę więc prosić cię łaskawy panie abys zajął się spieniężeniem przedmiotów o których mówię... Mnie starą mogliby kupcy oszukać, a na tem straciliby moi biedni... Przebac pan jeśli go zbyt utrudzam...

Kończąc swe słowa stara kobieta patrzyła na swego gościa z rodzajem nieśmiałości, ale obojętne oczy pana Edwarda stawały się coraz mniej obojętne. Skłonił się znów, i rzekł niemal z zapalem:

— Daj mi pani jakie zlecenie do Abissynji albo Indij wschodnich, a pojedę aby jej usłużyć!

Pani Starowska powstała, wyraźnie ucieszona, przeszła do swej sypialni, i niebawem wróciła niosąc parę safjanowych pudełek. Edward otworzył je, i ujrzał w jednym cenny pierścień z wielkim soliterem, w drugim broszkę i kolce szmaragdowe, w staroświeckiej oprawie, i przyozdobione dość dużymi brylantami.

— To śliczne i cenne są rzeczy! wyrzekł pan Gaczycki, pani weźmiesz za nie znaczną summę!

— Doprawdy! o jakżem rada! zawołała pani Starowska; lubo z innej strony, dodała po lekkim wahaniu się, są to przedmioty na których, lubo ich nie używałam oddawna, wzrok mój lubił zatrzymywać się często. Promienie tych dyamentów były niby łańcuchy przywodzące ku mnie wspomnienia chwil dawno ubiegłych, porannych mego życia. Kolce te i broszkę otrzymałam z rąk mojej matki w dniu, gdym po raz pierwszy w świat występowała; ona miała je dane sobie przez babkę moją w tenże sam sposób. Pierścień zaś z soliterem ofiarował mi narzeczony, później mąż mój, w przeddzień ślubu naszego. I wyznam panu, że ile razy w podeszłych już latach patrzyłam na brylant ten, zawsze przed oczami memi stawała szlachetna twarz człowieka, który był jedyną miłością mego serca... Miałam niegdyś córkę jedynaczkę, i marzyłam, że kiedyś włożę jej na palec pierścień ojcowski wtedy, gdy włos jej ślubnym będę wieńczyła kwieciem. Umarła... Anielka sierota — klejnotów nie potrzebuje. Niech więc pamiątka moja najdroższa posłuży za wsparcie niedoli bliźniego.

Przestała mówić, i w oczach jej podniesionych w górę błysnęła powstrzymywana łza.

Oczy zaś patrzącego na nią pana Edwarda przestały całkiem być obojętne, i zamglily się szczerem uwielbieniem.

— I nie jednego bliźniego niedolę wesprzesz pani tą ofiarą swoją, wymówił; bo jestem pewny, że przedmioty te sprzedadzą się drogo — naprzód dla tego, że same przez się piękne i cenne, a potem staroświeckie klejnoty właśnie wchodzą w modę. Pozwolisz pani, dodał z nowym a głębokim ukłonem, abym do summy otrzymanej przez panią ze sprzedaży jej dyamentów, dołączył ze swej strony drugą podobną summę, i abyśmy tym sposobem utworzyli kapitał, którym będziemy obracali wspólnie na korzyść bliźnich...

Pani Starowska z serdeczną czułością popatrzyła na swego gościa.

— Nie mam prawa odrzucać podobnej współki, wyrzekła.

— Pani lubisz przede wszystkim wspierać doraźnie niedolę ludzką, ciągnął pan Edward; ja zaś patrzę w przyszłość, i pragnę chronić od nieszczęść młode pokolenie, oświatą. Będziemy więc wynajdywali rodziny potrzebujące naszych wspierających dłoni; pani będziesz od nędzy i moralnego upodlenia ratowała starych i niedołącznych — ja młodym źródła oświaty otworzę...

Dziwnie wypiękniła i wyszlachetniała twarz pana Gaczyckiego, gdy to mówił; wydawał się innym zupełnie człowiekiem. Nie był już sztywnym, ani dumnym, ani obojętnym — i można było patrząc nań wtedy odgadnąć, iż wypowiadał myśli swe o tem, co wedle słów jego, wyrzeczonych do Wandy w czasie przechadzki: „Posiadało wartość gruntowną i niezmienną, bo było ukochanem z myślą rozumną i celem świadomym siebie”.

Pani Starowska podała mu obie ręce w milczeniu, on ucałował je z synowską czułością.

— A teraz, rzekła gospodyni domu, pójdźmy zacny panie do tej nieszczęśliwej, która nas wzywa.

— A raczej pojedźmy, rzekł pan Edward; powóz mój stoi przed bramą pani mieszkania, i czeka na jej rozkazy.

Byli już u progu, gdy z pękiem rezydy w rączkach wbiegła do pokoju Anielka.

— Babuniu droga! zawołała czepiając się sukni opiekunki, przebac żem bawiła tak długo w ogrodzie.

Pani Starowska pocałowała ją w czoło.

— Weź książeczkę Anielciu, którą ci wczoraj dałam, i czytaj póki nie wrócę.

— Dobrze, babuniu, odrzekło dziecko, wezmę książeczkę i pójdę do ogrodu pod gruszkę; poczytam trochę, a potem zamknę oczy i postaram się zasnąć, może mi znowu mama się przyśni!...

X

W parę godzin potem na ustronny dziedziniec pani Strowolskiej zajechał piękny powóz pana Edwarda, a właściciel jego wyskoczywszy, pierwszy pomógł z uszanowaniem wysiąść zeń starej kobiecie.

Potem oboje weszli do mieszkania, i oboje mieli twarze poważne i bardzo zamyślane.

Pani Starowska usiadła na swym staroświeckim fotelu, wzrokiem pełnym pytania wpatrzyła się w twarz gościa swego, i pierwsza wyrzekła:

— Ktoby się tego spodziewał! Któżby się był tego spodziewał?

Pan Edward zatrzymał się przed nią; uśmiech ironji zawisł mu na ustach, które znów obojętne były.

— Co do mnie, łaskawa pani, — rzekł, odkrycie jakie uczyniła nam nieszczęśliwa kobieta, nie zdziwiło mię bynajmniej. Mam zawsze w silnem podejrzeniu ludzi zbyt wiele mówiących o cnocie; a pod ciągle spuszczaćcami się skromnie powiekami kobiety, szczególnie, gdy ta niejest już młodziuchną panienką, skory jestem do podejrzewania jakiej ukrywającej się, a nie zbyt czystej tajemnicy terażniejszej lub przeszłej.

— Wprawdzie, mówiła pani Starowska, słyszałam ja o niej i wprzódy to i owo — ale jako nie rada słuchać plotek i obmów, puszczałam to mimo uszu. Zresztą ta surowość sądów jej o innych młodych kobietach, to nieustanne wielbienie i zalecanie skromności jako cnoty najwyższej, wydawała mi się niepodobnem do udania.

— A we mnie, odrzekł pan Edward, to wszystko właśnie wzbudzało podejrzenie, że ta kobieta musiała koniecznie wykroczyć kiedyś sama przeciw tej skromności, którą tak gorliwie innym zaleca. Bądź co bądź, dodał, staliśmy się dziś panami tajemnicy ważnej dla opuszczonego dziecka, i należy nam dobrze zastanowić się nad tem, czy mamy z niej zrobić użytek.

— Jakimby on mógł być, nie widzę — odpowiedziała kobieta; matka jej widocznie bez serca, boć dawno wie o istnieniu tu swego dziecka, i nigdy się o nie nie zatroszczyła. Ojciec jest zbyt swobodnych obyczajów i lekkiego charakteru człowiekiem, by mógł...

— Nie jest on tak lekki i zepsuty jakim się zdaje; i przypuszczam, że gdyby wiedział...

Zaczął Edward, ale nie dokończył, bo otworzyły się drzwi szeroko, i naiwnym, drobnym krokiem wbiegła przez nie pani Teresa Rokowiczowa. Tym razem ubrana była w dziewiczej prostoty sukienkę z białego muślinu, i ten sam co wprzódy niewinny pęczek fiolzków tkwił na jej kapeluszu. Słodziuchna i uśmiechniona witała gospodynię domu, na której poważnej twarzy pojawił się wyraz pewnego zmięszania, połączonego z niesmakiem. Nagle spostrzegła przybyła stojącego nieco opodal pana Gaczyckiego; spuściła oczy i oddała mu naiwny paniński ukłon. Pan Edward odklonił się ze sztywną grzecznością, w mgnieniu oka stał się zimnym, dumnym i obojętnym, jakim okazywał się zwykle.

— Jakże dawno nie widziałam szanownej i kochanej pani, wyrzekła z przymileniem pani Teresa do gospodyni domu; trzeba było abym bardzo i niezmiernie pragnęła ją widzieć, kiedym aż wyszła na miasto bez mego Felunia!

— Państwo jesteście jak owe ptaszki nierozłączne, istniejące w podzwrotnikowych krajach, które bez siebie jednej chwili żyć nie mogą — z lekką ironją wyrzekł pan Edward.

Pani Teresa znowu spuściła oczy.

— O tak, szepnęła zcicha, kochamy się! Felunio mój jest jedynym człowiekiem jakiego kiedy kochałam! pierwsza to i ostatnia miłość mego życia!

Pani Starowska i gość jej zamienili między sobą dziwne spojrzenia; wysoki niesmak był w oczach kobiety — oczy mężczyzny błysnęły ironją.

— A zresztą, kończyła pani Teresa, czyliż przyzwoitem jest, aby mężatka chodziła po mieście z wizytami bez męża! — ja znajduję, że to się rozmija ze skromnością...

— Która jest najpiękniejszą ozdobą kobiety, dokończył ze sztywnym ukłonem pan Edward.

— Tak, potwierdziła wzorowa małżonka — i trzeba tylko całego mego przywiązania i szacunku jaki mam dla pani (tu zwróciła się do gospodyni domu), abym odważyła się rozminąć z memi zasadami i wyjść na miasto — tem bardziej z wizytą, bez mego Felunia.

Pani Starowska dziwnie się jakoś i przymuszenie uśmiechnęła; miała coś powiedzieć, gdy otworzyły się cichutko drzwi, i na progu zabrzmiało pozdrowienie pobożne:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Do pokoju weszła pani Apolonja Kuderska ze swemi dwoma krzyżami na rękę i piersi, i w swoim wieczystym czepku o fijołkowych wstęgach.

Pan Gaczycki ujął kapelusz, pożegnał gospodynię domu i sztywnie skłoniwszy się dwom innym kobietom, wyszedł.

— Co za sztywny i niemiły człowiek, wyrzekła pani Teresa po odejściu pana Edwarda i odbytych powitaniach z Kuderską.

— Egoista i bez serca, dorzuciła pani Apolonja; nie widziałam nigdy, aby grosz dał ubogiemu na ulicy!

— Nie należy sądzić z pozorów, z zimną powagą rzekła gospodyni; pan Gaczycki nie jest wcale takim za jakiego panie go macie.

— Oj, już że nie nabożny i żadnej religii niema, za to ręczę, zawołała Antyfona; nigdy prawie nie widuję go w kościele.

— A przytem niemoralny, dodała pani Teresa, kompromituje młode panny, i ułatwia im schadzki z żonatymi ludźmi.

— Co też to panie wygadujecie! zawołała z wyraźnem niezadowoleniem pani Starowska.

— Ale tak, tak, kochana pani, żywo odpowiedziała Kuderska. Przed kilku dniami widziałam na własne oczy, jak w czasie majówki za miastem poprowadził pannę Rodowską w głąb lasu, aby tam mogła się spotkać z panem Augustem Przybyckim, który jest przecie człowiekiem żonatym. Wracali potem razem we troje... Oj, coto za świat teraz! zgorzenie tylko i obraza Pana Boga!

— Cóżto za nowa historia wymyślona na tę dobrą i śliczną Wandę? — z żywszem jeszcze niezadowoleniem wyrzekła pani Starowska.

— Niech mię Pan Bóg strzeże i broni od obmowy i odbierania sławy bliźniemu, żywo odparła Apolonja; ale co prawda to prawda! kochana Wandzieczka najdobrowolniej gubi się takim postępowaniem! żonaty ch bałamucić! to obraza boska!

— I nieskromność! dorzuciła pani Teresa.

— Widziałam wczoraj na własne oczy, prawda dalej Apolonja, że pan August Przybycki szedł do ich mieszkania na pierwsze piętro. Widać że zaczął już u nich bywać! potrzebne to żonatemu człowiekowi? Oj, ci żonaci, żonaci! niech im Bóg ciężkie grzechy...

— Mój Felunio, przerwała pani Teresa, słyszał wczoraj wracając z przechadzki, muzykę na cztery ręce w mieszkaniu pani Rodowskiej; zatrzymał się tedy i zobaczył, jak gdy muzyka ucichła, panna Wanda stanęła w otwartym oknie z panem Przybyckim...

— Boże najwyższy! tak się publikować z żonatym człowiekiem! zawołała i splasnęła rękami Apolonja.

— I dopuszczają się takich nieskromności młodej pannie! jęknęła Teresa.

Pani Starowska słuchała rozmowy dwóch kobiet w milczeniu z za okularów przesuwając po ich twarzach wzrok niedowierzający. Przy ostatnich jednak wyrazach pani Teresy, oczy jej zabłysły, i stały się surowe. Podniosła głowę poważnym ruchem, i z odzieniem surowości w głosie wyrzekła:

— Moje kochane panie, przesadzacie ważność opowiadanych mi faktów, i niesłusznie krzywdzicie sławę dobrej i ślicznej panny, którą znam z najlepszej strony. Że w tym domu

w którym ona mieszka ze swą matką, bywa ktoś tam żonaty, że z tym żonatym grywa ona na cztery ręce, i stoi przy otwartym oknie, sąto rzeczy bardzo zwyczajne, i w których umyślnie tylko dopatrzeć można coś złego. Nieskromności zaś niewłaściwej młodej pannie w tem wszystkim nie widzę — a wiem że zdarzają się wypadki daleko gorsze, które się jednak bardzo zręcznie ukrywają. Kto z nas bez grzechu moje panie, niech rzuci kamień!

Przy ostatnich wyrazach mówiąca utkwiała w twarzy pani Teresy wzrok przenikliwy i surowy. Obronicielka skromności kobiecej spuściła oczy jakby wzroku tego znieść nie mogła, i ledwie dostrzegalny rumieniec przemknął po jej czole. Nie straciła jednak rezonu, i powstając rzekła zwykłym sobie słodziuchnym głosem:

— Pozwól pani abym przeszła się po jej ogródku, i zobaczyła jej śliczne kwiaty które tak lubię.

Pani Starowolska skłoniła głowę z chłodną uprzejmością.

— Przebaczonej pani że jej towarzyszyć nie będę, bo chodziłam dziś po mieście, i zmęczona się czuję.

— O, niech pani nie zadaje sobie fatygi dla mnie, słodziuchno zawołała Teresa; z unieżonością niemal pocałowała w ramię starą kobietę, i zniknęła za szklannymi drzwiami wychodzącymi z bawialnego pokoju na ogródek.

— Niech mię Bóg strzeże i broni od obmowy albo odbierania sławy bliźniemu, zaczęła po wyjściu Rokowiczowej Apolonja, i ciągnęła dalej rozpoczętą rozmowę, komunikując — rozmaite miejskie wiadomości pani Starowolskiej, słuchającej z obojętnością, niekiedy z niezadowolaniem.

Tymczasem Teresa czując się uwolnioną od przenikliwego i surowego wzroku starej kobiety, odetchnęła pełną piersią, ale zarazem oczy jej błysnęły gniewem, i zamigotały obawą.

Spuściła głowę na piersi.

— Ona wie o wszystkim! szepnęła, jestem pewna że ona wie o wszystkim! Ta nieznośna stara kobieta! wyraźnie dała mi to dziś do zrozumienia! gdybyż przynajmniej nie powiadała o tem nikomu...

Wzdrygnęła się.

— Och, jak się tego lękam... nie przeżyłabym chwili w którejby świat przypomniał sobie... tak przypomniał — bo dawniej wiedzieli o tem niektórzy, ale...

Uśmiechnęła się z tryumfem.

— Potrafiłam rzucić na przeszłość zasłonę... a gdyby doszło co do Feliksa...

Uśmiechnęła się z ironją.

— Ten głupiec! tak dba o nieskazitelną czystość i pozycję swego domu, a nie wie...

Nagle urwała, i szkarłat głęboki zalał twarz jej, dostał się aż na czoło i szyję.

Naprzeciw niej biegnę dziecko, mała Anielka, z rączkami wyciągniętymi do niej z radośnym powitaniem.

Przez chwilę zdawało się że Teresa odwróci się i ucieknie od tej jasnowłosej zbliżającej się dzieciny; ale obejrzała się i zobaczyła, że ze wszech stron całkiem była niewidzialną — gęste krzewy bżów, rozłożyste grusze i jabłonie otaczały i zasłaniały ją zewsząd.

Nagłym, namiętnym błyskiem zaświeciły jej szare oczy, poskoczyła i pochwyciła dziecko w objęcia.

— Tak dawno pani nie była u nas! szczebiotała dziewczynka, tęskno mi było za panią! ja panią tak kocham!

Pani Teresa z dziwną, namiętną, gorączkową niemal czułością przyciskała ją do piersi, całując jej czoło, usta i oczy. Twarz jej zmieniała się niezmiernie, oczy płonęły, na ustach zawiśł wyraz niezmiernego cierpienia.

Nagle Anielka utkwiała w niej wzrok zamglony, tęskny.

— Jak pani jesteś podobna do mojej mamy! wyrzekła z pieszczotą.

Na te słowa Teresa odskoczyła o parę kroków, jakby nagle zraniona, i odepchnęła od siebie dziecko z taką mocą, że aż zachwiało się, i drobną rączką oparło o drzewo.

— Co ty mówisz, dziewczyno? zawołała; jak ja mogę być podobną do twojej mamy! gdzieś ty swoją mamę widziała?

Oczy Anielki napelniły się łzami.

— Sniła mi się mama, odpowiedziała cicho; w takiej samej białej sukni była jak pani, i z twarzą bardzo podobną, tylko włosy miała piękniejsze i rozpuszczone, i nie odpychała mię od siebie, ale ścisłała, całowała i pieściła...

Szkarłatny rumieniec złączył się na twarzy Teresy z wyrazem goryczy, bóleści i trwogi. Ostatnia zapanowała po krótkiej chwili. Zbliżyła się do Anielki, pochyliła nad nią, i szepnęła cicho a prędko:

— Słuchaj Anielko, ty nigdy nie mów tego co powiedziałaś przed chwilą! Ja do twojej mamy nie mogę być podobną! ja jej nawet nie znałam, i nie widziałam nigdy! Czy słyszysz, dziecko, nigdy! nigdy jej nie widziałam nawet. Nie powtarzaj nikomu tego coś mi powiedziała, bo nie przyjdę tu więcej, i nigdy cię nie pocałuję!

Anielka objęła rączkami fałdy jej sukni, podniosła ku niej wzrok łzami zamglony, i znowu z pieszczotą przytulić się do niej chciała; ale Teresa usunęła ją z wolna od siebie, i szybkim krokiem zmierzyla ku domowi.

Gdy wróciła do pokoju, znalazła panią Kuderską podnoszącą się już ku pożegnaniu gospodyni.

— Żegnam, żegnam kochaną panię, mówiła Apolonja, dzwonią na majowe nabożeństwo, biegnę, lecę, ażeby się do kościoła nie spóźnić! Nieprawdaż że dziwnych rzeczy dowiedziałaś się pani odemnie? Ta Rumiańska i pan As, Wandziulka i pan Przybycki! mój Boże najwyższy! mężatka z kawalerem! żonaty z panną romanse zawiązują! Zgorszenie tylko i obraza Pana Boga! Żegnam, żegnam kochaną panię! pilno mi do kościoła, na majowe nabożeństwo! zapisanam w szkaplerne i różańcowe bractwo — opuszczać się nie godzi!

— I ja także żegnam najlepszą, najszanowniejszą panię, wymówiła pani Teresa całując w ramię panią Starowolską z większą jeszcze słodyczą i uniżonością jak pierwej; śpiesząc do domu, aby mój Felunio zbyt długo za mną nie tęsknił.

— Jakto? pani nie będziesz na majowym nabożeństwie! z oburzeniem spytała pani Apolonja.

— Nie, moja pani Kudersko; mój Felunio ma zwyczaj spać o tej porze, a ja bez męża nawet do kościoła nie chodzę. Mężatka nie powinna bez męża znajdować się w żadnym miejscu gdzie wiele ludzi znaleźć może! to nieprzyzwoicie i nieskromnie!

— Pani dla męża opuszczasz chwałę Pana Boga, ze świątobliwym napomnieniem wyrzekła Antyfona.

— A pani dla chwały Pana Boga zaniedbujesz męża, ze słodziutką żartobliwością odrzekła Teresa.

— Chwała Boża przedewszystkiem! rzekła skłaniając głowę Apolonja.

— A dla mnie mój Felunio i skromność przedewszystkiem, odparła spuszczać oczy naiwna Teresa.

Po tej rozmowie pożegnały ostatecznie gospodynię, i odeszły. Z progu raz jeszcze odezwało się pobożne pozdrowienie pani Kuderskiej.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Gdy odeszły dwie kobiety, pani Starowolska niezwykle jakoś smutne i zamyśłone spojrzenie zwróciła na małą Anielkę, która z łezką kręcącą się w błękitnych oczach stała w drzwiach od ogrodu, i oglądała się jeszcze na drzwi które wyszła pani Teresa. Wyciągnęła do niej rękę, i zawołała z niezmierną czułością:

— Pójdź do mnie biedne kochane dziecko moje!

Anielka poskoczyła, objęła opiekunkę rączkami, i główkę przytuliła do jej piersi. Pani Starowolska przycisnęła usta do jej czoła, i jedna łza wypływając z pod okularów zrosiła jasne włosy dziecięcia.

Smutne dziecię podniosło bladą twarzyczkę, a siadając na stołeczku u stóp babki, rączki złożyło na jej kolanach i wyrzekło z cichą prośbą:

— Babuńciu, tłumacz mi dalej przykazania boże! — Stara kobieta dłoń złożyła na głowie dziewczki, i łagodnym ozwała się głosem.

— Pamiętaj dziecię moje, że najwyższem, wszystkie inne zamykającym w sobie przykazaniem bożem jest: kochaj bliźniego twego i nie czyn mu krzywdy żadnej na sercu, ni na majątku, ni na sławie...

Chciała coś mówić jeszcze, ale w przezroczystym powietrzu cichego wieczoru zabrzmiały z ulic odległych przeciągłe i donośne głosy dzwonów kościelnych, wzywających na nabożeństwo wieczorne.

Stara kobieta i dziecię wsłuchały się w ten odgłos poważnej a podniebnej pełen melodji.

— Dziecko moje, znowu po chwili wyrzekła pierwsza, tam po kościołach, do których dzwony te zwołują ludzi, modli się wiele serc obłudnych, fałszem i pokrzywdzeniem bliźniego splamionych. Pamiętaj o tem, pamiętaj na całe życie, aby gdy modlić się będziesz, serce twe było nie tylko dla Boga, ale i dla ludzi miłości pełne, i że ten kto się modli, cnoty szczerości, cnoty miłosierdzia i cnoty przebaczenia nie znając, ubliża Temu dla którego cześć wygłasza ustami i ze świętej wiary czyni sobie płaszcz ku pokryciu swej złości.

Rzekłszy to, zamyśliła się głęboko pani Starowolska — i w zadumę cichą wpadła jasnowłosa u jej kolan dziewczynka.

XI

August Przybycki był człowiekiem, któremu jak wielu innym na tym świecie ludziom, życie nie dotrzymało swych obietnic.

Poszedł niewłaściwą sobie drogą, i nigdy już nie dorósł miary, jaką mu zrazu zakreśliła natura.

Jednego błędu, jednego nieszczęścia wystarczyło aby skrzywić istnienie, które pięknem być mogło.

Artysta z zamilowania i wykształcenia, do artystycznego zawodu sposobił się przez lata młodzieńcze z miłością, nadzieją, zapalem niewysłowionym. Czuł się dumny i szczęśliwy obranem i wrodzonymi skłonnościami popartem powołaniem; kochał ludzi, świat i sztukę, śnił o sławie i laurach.

Laury te już zbierać począł, już mistrzowska gra jego zachwycała w stolicy tłumy którym dał ją słyszeć; utwory jego pełne natchnienia i młodzieńczego ciepła, rozchodziły się po świecie porywane, sławione.

Zaczęto pisać o nim, znakomici mistrze zwali go bratem młodszym, i dłonie podawali mu z zachętą i sympatją. Przyszłość przed nim jaśniała szeroka, daleka, bo był jeszcze bardzo młodym — miał dwadzieścia dwa lata.

Nagle na drodze jego stanęła kobieta.

Była nią wdowa o dziesięć lat starsza od niego, ale bardzo piękna jeszcze a zalotna, przebiegła, namiętna. Z całą gwałtownością natury płomienistej, a rozhukanej śród burzliwej i samowolnej przeszłości, rozkochała się w młodym artyście — i póty go wabiła polyskami swojej białej twarzy, paliła namiętnym ogniem czarnych oczów, rozwijała przed nim bogactwo krucznych warkoczy, aż uległ kuszeniu rozkochanej zalotnicy — rozszalał na chwilę.

Potem już honor pojąć mu ją kazał za żonę. Uczynił to, i wnet poczuł, że spełnił jeden z tych kroków, które łamią życie.

Anastazja piękną była jeszcze, ale piękność jej miała się już ku schyłkowi. Czuła to, widziała sama, i tem więcej przywiązała się do młodego męża, który ostatnią miał być jej miłością — a zarazem tem straszniej drżała o utratę jego serca.

Ztąd wywiązała się w tej kobiecie szalona zazdrość, zgryźliwa a nierozsądna podejrzliwość, ciągle wybuchy gwałtownej namiętności objawiającej się rozzaleniem, nie dającym się utulić niczem, bo źródłem jego był brak wiary w samą siebie.

W domu młodego artysty wrzały ciągle kłótnie, skargi, płacze, i rzucanie się. On szalał cierpieniem, wrzał młodzieńczą niecierpliwością, a natchnienie słabło coraz, i zamierało mu w piersi; ręce odpadały od instrumentu, duch omdlewał. Jemu potrzeba było miłości słodkiej i łagodnej, coby do coraz nowych marzeń kołysała jego artystyczną duszę; towarzyszkę rozumnej, której powierzaćby mógł myśli co mu się w głowie roiły; cichego a ciepłego rodzinnego życia, przy którego ognisku podniecałby się wciąż płomień jego serca.

Anastazja dawała mu tylko burze i niepokoje; miłość jej podobną była do rzucania się wścieklej tygrysy. Życie z nią rodzinne byłoby męczarnią dla każdego, stało się piekłem dla artysty.

Nie miał dla niej nigdy miłości tylko szal. Szal minął, obojętność przyszła. Na widok obojętności tej, kobieta rozszalała jeszcze bardziej — on ją znienawidził.

Znienawidził ją za to, że go pociągnęła w piekło cierpień domowych; a bardziej jeszcze za to, że przy niej utracił to co mu życiem ducha było i przyszłością — natchnienie.

I ona także schła i więdła, trawiona niepohamowanym ogniem który w niej gorzał. Zaczęła chorować, twarz jej okryła się żółtością, czoło porysowało się zmarszczkami, oczy zapadły, i zapłonęły wiecznym wrzeniem wewnętrznym. Potem, w pewną mroźną i wietrzną noc zimową, porwana dzikiem uniesieniem zazdrości i podejrzenia, wypadła z mieszkania nagiemi stopy, i przewiewną okryta bielizną; owiał ją w bramie domu silny podmuch wichru, i upadła bezwładna na ręce ścigającej ją sługi. Kiedy August wrócił do domu, znalazł ją nawpół zdjętą paralizem.

Na widok niezmiernego nieszczęścia które ją dotknęło, nienawiść zniknęła w jego sercu, a zastąpiła ją litość, i silniejsze jeszcze od niej poczucie obowiązku. Wszystkie środki na jakie tylko zdobyć się mogła sztuka lekarska, przyzywał do łóża nieszczęśliwej żony — ale nadaremnie. Paraliż okazał się nieuleczonym; do niego przyłączyło się mnóstwo innych chorób targających i dręczących to biedne ciało, w którym nieprzestała jednak mieszkać nieposkromiona, burzliwa dusza.

I odtąd Anastazja zasiadła u domowego ogniska Augusta na wpół bezwładna, żółkła, zeschła, wyniszczona, — a wciąż wyrzucająca na niego żuzle z wulkanu, który nie przestał płonąć w jej piersi.

Oprócz tego, nędza w dom zawitała. August nie był bogaty, i Anastazję wziął ubogą. Niewielkie zasoby jakie posiadał wyczerpały się w dwóch latach bezczynnego życia, i na bezskuteczne ratowanie chorej kobiety. Przyszł dzień w którym młody artysta zamiast śnionych niegdyś laurów i bogactw, ujrzał przed sobą możebną śmierć głodową.

Ale podniósł dumnie czoło. Uczuł, że bądź co bądź, oprócz własnego życia niósł na swojej odpowiedzialności byt kobiety dotkniętej nieszczęściem, a której egzystencją przyjął na swoje barki. Porzucił sztukę która mu nie dawała już natchnienia ni chleba, i rzucił się w urzędniczy zawód.

Zdolny i otwarty jego umysł, umiał sobie i tam utorować drogę. Zdobył wkrótce byt i położenie, ale młodzieńcze struny jego piersi pękały jedna po drugiej śród łamania się z trudnościami pracy, do której się nie sposobił wprzód, z którą się nie zrósł, która mu suchą i wstrętną była. A dawne anioły jego młodości, które mu nad głową śpiewały niegdyś pieśni cudowne, i coraz nowe dumy, a melodie poddawały mistrzowskim palcom jego, odlatywały odeń coraz dalej — i darmo je pochwycić, zatrzymać przy sobie pragnął. Znikały i rozwiewały się w prozie walki o byt codzienny, w głębokim niesmaku płynącym z domowego nieszczęścia.

Któż zdoła określić straszny proces psychiczny, odbywający się w duchu człowieka który widzi, że chybił powołaniu swemu, że skłamał prawdzie jaka w nim leżała; że mogąc być olbrzymem stał się karłem; będąc wezwanym do działania wielkich rzeczy na właściwej sobie drodze, zszedł na tę, która mu nie była przeznaczoną, i na której wytworzyć mógł tylko dach nad własną głową, i kawał powszedniego chleba dla siebie!

Ten tylko pojmie w całej rozciągłości nieszczęście to, kto był twórcą a stał się machiną, był mistrzem a został wyrobnikiem. Posiadać natchnienie i utracić je, to rzecz okropna! Jestto śmierć głodowa, tylko srozsza, powolniejsza niż ta, jaką człowiek z braku chleba kona. Tam ciało — tu duch umiera z głodu.

August przestał być artystą, i czuł że być nim przestał.

Rozpaczał zrazu, szalał z bólu, pełną piersią przyzywał ogień który z niej uciekał — potem uspokoił się, zmęźniał, zrósł ze swym losem, ale nigdy się nie zrezygnował.

Nie mógł zapomnieć o świetnym błysku swej młodości; nie mógł z piersi wyrwać tęsknoty za rozkoszą tworzenia, ni żalu po zgasłych nadziejach swoich.

Milczał ale marzył, i tęskniąc ciągnął ciężką taczkę żywota.

Tak minęło lat ośm — długich lat dla Augusta, ciągłych prób, walk zewnętrznych i wewnętrznych. Aż przyszła pora że uczuł głębokie zmęczenie życiem; gorycz wjadała się mu w piersi — wypędział ją ale wracała i stawiała się mu ciąglą towarzyszką. Pochyliło

się dumne czoło jego, usta złorzeczenia na ślepy a niesprawiedliwy los wyrzuciły, i stanął u tego kresu, do którego gdy dochodzą nieszczęśliwi ludzie, biada im! stają się z nich pijacy, gracze, lotry.

Czuł niepohamowaną żądzę wrażeń gwałtownych, wstrząsających, wśród których zapominałby o sobie, przeszłości swej, teraźniejszości, przyszłości — o tem co mógłby mieć, a co utracił, o tem, o czem śnić nie przestawało serce młode. Czuł tę potrzebę, a złe nalogi niosące wrażenie w darze nieszczęśliwym, wabiły go coraz ponętniej. Jeszcze krok jeden, a wpadłby w otchłań moralnej zaguby.

W tejo porze otrzymał posadę w X., i przybył tam ciągnąc za sobą cały ciężar swego losu. Nie znał nikogo z mieszkańców miasta, i obojętnem mu to było, bo oddawna prowadził życie pustelnicze prawie. Trudna praca pochłaniała go; lękał się, by wśród ludzi bardziej nie rozbudzić targań swych i żalów.

Miał wtedy lat trzydzieści, ale zdawało mu się że przeżył dwa razy tyle.

Żółtkły szkielet kobiecy który siedział przy jego ognisku domowem, rzucał na niego tchnienia starości, znużenia, goryczy.

I w tejo także porze wzrok jego zatrzymał się raz na przechodzącej mimo okna jego postaci kobiecej, i ścigał ją póki nie znikła; ścigał jeszcze gdy znikła, migające odbłaski jej powłoczystej sukni.

Ujrzał ją raz drugi i trzeci i czwarty, i widywał ją co dnia, to w oknie otwartem, to na ulicy; a gdy ją widział, zdawało mu się że śni, że jest jeszcze młodym artystą o czole marzącem i piersi niedotkniętej cierpieniem. Czuł że fale ożywczego ciepła przenikały go na wskrós, że coś w nim tworzyło się wówczas, coś mu szeptało, śpiewało do ucha. Złe myśli i pociągi odleciały, jak zakłęte — a z wezbraną piersią codziennie oczekiwał chwili, tej chwili krótkiej jak mgnienie oka, w której ją spostrzegł.

I dnia pewnego gdy ona przeszła mimo okna jego mieszkania łabędzim swym krokiem, poważna jak kobieta, spokojna jak dziewica; objął oczami płowe jej warkocze, puścił wzrok za falującym krańcem jej sukni — potem usiadł przed instrumentem, i grać zaczął.

Zaczął grać — i nagle posłyszał dawne anioły swoje śpiewające mu nad głową melodie cudowne. Powróciły! tworzyły! znowu tworzyły! natchnienie pierś mu przepelniło — był artystą, odrodził się!

Jak długo i co grał, sam nie wiedział; ale gdy ocknął się z zachwyty, poczuł dla tej nieznajomej przesłicznej dziewicy wdzięczność niezmierną za to, że słodką postacią swą odpędziła odeń złe duchy i ogień który był zagasł, przywołała do serca.

I byłby upadł przed nią na kolana, jak przed świętą, i byłby ucałował skraj jej szaty!

Znowu widywał ją codziennie, ale zdaleka, na mgnienie oka zawsze. To mu starczyło.

W piersi wrzał mu wulkan cały nieużytych, tęsknotą długą i pragnieniem roznieconych uczuć, ale myśli miał czyste jak dziecko.

Gdy spostrzegł ją, zaledwie śmiał wzrokiem zawisnąć na jej wyniosłem, marzącem czole, albo spojrzeniem ogarnąć płową jej koronę z warkoczy. Nie wiedział nawet dobrze czy ona go spostrzegła — czuł tylko, że tak być musiało. Przeczynał jej rumieniec gdy szła mimo niego, i sam bladł od przyspieszonego ruchu krwi co mu do serca zbiegała.

Wiedział że imię jej Wanda, ale w myśli nazywał ją swoim „słowikiem podniebnym” i „gwiazdą nieznaną”, bo słała mu z góry co wieczór pasma słodkich melodij, a świeciła przed nim dniem i nocą choć jej nie znał.

Jakim było to uczucie, które w nim dla niej istniało? jakie miało nazwanie w ludzkiej mowie? z kąd powstało? dokąd dążyło? Ani wiedział o tem, ani się o to pytał siebie, ani z tego co czuł sprawę chciał zdawać przed sobą. Było świt, błyskawica, przemknienie anioła po ciemnem jego niebie, pasmo promieni przerzynające jego mglistą drogę.

Dobrze mu było, pierwszy raz dobrze oddawna; nie chciał się budzić, nie pytał o nic.

Pewnego dnia grać zaczął, i znowu usłyszał obok siebie śpiewające dobre dawne anioły swoje. Grał i tworzył, a z tonów wychodzących mu z pod ręki upleciona, wylaniała się przed nim coraz wyraźniej postać nieznaney dziewicy. I ujrzał naprzód kibić wysmukłą, gibką, niby dzika wśród gaju brzezina; potem słodkie lica zajaśniało jak lilji śnieżnej kielich; płowe włosy rozpromieniły się nad czołem z marmuru, i drobne białe ręce przycisnęły pierś falującą. I całe to cudowne zjawisko uniosło się przed nim w powietrzu oblane powodzią muzyki, chyląc się i pływając w tonach niby sennie rozmarzone. Nagle — z pod dloni jego wypłynęły akordy dziwnej treści; była w nim boleść, szczęście,

modlitwa, i żal bez granic. Zjawisko promienne zadrzało — pochyliło się, rozplotły się i wyciągnęły drobne ręce, a słodkie różane usta szepnęły: Auguście!

August jęknął i grać przestał, bo ręce mu opadły bezwładne. Zamyślił się potem, roz tęsknił, i ból w sercu poczuł — ból wielki!

W parę dni potem August po raz pierwszy zblizka spotkał Wandę, i po raz pierwszy przemówili do siebie, stojąc nad brzegiem przepaści.

Po raz pierwszy przemówili do siebie stojąc nad brzegiem przepaści, ale nie widzieli że to przepaść... Słyszeli tylko szum srebrzystych na dnie strumieni, a konary sosnowego boru podniebną pieśń nad ich głowami śpiewały... Pośrodku urwiska, w grupie gęstej zieleni, błyskał wprawdzie przed nimi krzyżyk biały; ale nie pamiętali że jest on godłem cierpienia — widzieli w nim tylko znak wiary...

Nie pytali siebie zkąd im przyszło to piorunne wrażenie, jakie uczuli spotykając się tak nagle oko w oko; ani pomyśleli o tem, jakich uczuć zaczątkiem to wrażenie było.

I mógłż ona myśleć w owej chwili, kim on był i mógł być dla niej? — jakim było położenie jego według zwyczajnych warunków tego świata?

I mógłże on wtedy przypomnieć sobie swoje kajdany, i pomyśleć, że one mu ją czynią niedosięglą jak gwiazdy, niepochwytą jak woń lilji?

Nie. Oboje artyści, poeci i marzyciele, nie tknęli myślą zwyczajnego biegu spraw ludzkich; wszelka rachuba i obawa o przyszłość daleką była od nich.

Nie znając się przeczuli siebie, pochwycili się w objęcia duszami, a o uścisku rąk, nawet nie pomyśleli jeszcze. Dalecy od siebie jak dwa obłoki, które przegradza firmament cały, czuli przecież, że się posiadają wzajem na mocy nieśmiertelnego prawa miłości duchów, i tych atrakcyj niezmiernych a niepojętych, co unoszą się ponad ziemskimi prawami i sądami, a same w sobie są prawdą wiekuiącą. W piersi przecież Augusta zadrgało nie wyraźne przeczucie bólów niezmiernych, ale zarazem niewyraźny również głos w nim się odezwał: niech boli serce i niech pęknie, ale niech czuje!

Bywają w życiu pewnych ludzi epoki, w których czepiają się oni bólu nawet i cierpienia jak deski zbawienia, byle ich one uniosły ponad warunki otaczającego bytu, i uchroniły od snu apatii, lub sroższego jeszcze nadeń zwątpienia o wszystkim.

Przyszedł więc dzień w którym Wanda przestała być dla Augusta „gwiazdą nieznaną”; wstąpił ku niej kierowany spuszczaćemi się ku niemu promieniami jej lica.

Pani Apolonja mówiła tym razem prawdę w pobożnych opowiadaniach swych o młodej parze. August zaczął bywać w domu Wandy i jej matki.

I widywali się codziennie, już nie na mgnięcie oka jak wprzód, ale po godzin kilka; a gdy pożegnali się braterskim rąk uściśnieniem, długo jeszcze potem dwa okna ich, same jedne oświetlone i czuwające wśród ciemnych i uspionych otaczających okien, błyszczały słabem światłem, i zdawały się wśród ciszy nocnej wieść z sobą tajemniczą rozmowę. Pośrodku ulica mroźna i cicha zapadała między niemi niby przepaść.

XII

Pani Olimpia Rostowiecka przyjmowała u siebie liczne towarzystwo, zaproszone przez nią na herbatę.

W dość dużym salonie ostawionym amarantowo obitemi sprzętami, ozdobionym pięknym parketem, białem ze złoconemi szlakami obiciem, i dwoma wielkimi zwierciadłami w rzeźbionych ramach, siedziało i chodziło ze dwadzieścia osób różnej płci i wieku.

Na kanapie, przed stołem zarzuconym albumami w bogatej oprawie, siedziała gospodyni domu, z postawą pełną zwykłej jej dumy i godności.

Ubrana była w suknię ze srebrzystej materji, a u szyi jej i przy uszach błyszczały brosza i kolce szmaragdowe w staroświeckiej oprawie, przyozdobionej dość dużemi brylantami. Na białem ręku spoczywającym wśród srebrzystych fałdów sukni, między kilku pierścionkami jaśniał najsilniejszym blaskiem piękny pierścień z dużym i kosztownym soliterem.

Obok niej na dwóch fotelach i bardzo blisko siebie siedzieli oboje państwo Rokowiczowie, trzymając się za ręce; z drugiej strony pan Gaczycki, milczący jak zwykle i zimny, obojętnie przesuwiał albumy. Naprzeciw, pan Spirydjon, niedbale rozparty w fotelu, żartobliwą prowadził rozmowę z gospodynią domu — przyczem z roztargnieniem rozglądał

się po salonie, i niekiedy poziewał nieznacznie, jak człowiek który się nudzi i nietylko przed innymi, ale i przed sobą przyznać się do tego nie chce.

Dalej, na kozetce siedziała Stasia w białej sukni pełnej różowych kokard i z różą we włosach; a obok niej pan Paweł suchy, blady i milczący jak zazwyczaj. Parę młodych panienek stało przy kozetce i wesołą pogadankę wiodło z ożywioną i dowcipną panią Rumiańską.

Dama w amarantowej sukni rozsiadła się na fotelu niedaleko jednego z okien, mając przed sobą panią Apolonję z dwoma krzyżami, a za sobą dwie córki swe, których nie puszczała od siebie ni na krok, aby w ciągłej pieczy mieć ich dziewicze uszy i oczy. Przy drugim oknie jakiś niemłody jegomość w okularach, znać obywatel tylko co ze wsi przybyły, rozповідаł o urodzajach innej niemłodej damie, ubranej w zieloną suknię i ścigającej okiem siostrzenicę, dość ładną panienkę, chodzącą po salonie z eleganckim i ugrzecznonym jakimś młodzieńcem.

Jeszcze inna niemłoda dama w fioletowej sukni siedziała w pobliżu amarantowej damy, i wtrącała się niekiedy do rozmowy jej z panią Apolonją, spoglądając często na syna, rumianego i otyłego młodzieńca, markotnie jakoś siedzącego między piecem a fortepianem. Zresztą, były jeszcze w salonie dwie panny stojące przy fortepianie i przerzucające nuty; byli dwaj młodzi ludzie, którzy z temi pannami o muzyce rozmawiali; jedna stara panna z długą twarzą i czerwonym nosem, siedząca na fotelu prosto, nieruchomie i milcząco; jeden stary kawaler z wielką łysiną, strojący koperczaki do wszystkich na raz panien, które naturalnie chichotały po cichu, zerkając nań jednak często z ukosa, bo miał majątek jeszcze większy od łysiny; dwóch czy trzech obywateli wiejskich, sąsiadów państwa Rostowieckich, biadali na ciężkie czasy, a spoglądali od niechcenia do przyległego pokoju, ażali tam lokaje nie otwierają zielonego stolika dla partyjki preferansa.

Lubo dzień miał się już ku końcowi, nie oświetlono jeszcze salonów, bo według zwyczaju panującego w niewielkich miastach, towarzystwo zeszło się dość wcześnie na wieczorek, który nie był formalnym wieczorem, ale tylko herbatą incognito. Słońce dopiero zachodziło i przez rozwarne okna rzucało pąsowe promienia na parket salonu.

Od blasku tych pąsowych promieni białe czoło Olimpji wydawało się jeszcze dumniejsze jak zwykle; złotowłosa główka Stasi bardziej ożywioną, amarantowa dama jaskrawiej była amarantową, dwa krzyże pani Apolonji rzęsiściej złote, a obojętna twarz pana Gaczyckiego mniej obojętną.

Twarz sztywnego i zimnego człowieka mniej była niż zwykle obojętną, bo pąsowy promień ślizgając się po jego kształtnych arystokratycznych ustach, oświecał na nich ukrywany wyraz delikatnej ironji.

Ironja ta pojawiła się wtedy gdy śliczna ręka pani Olimpji zamigotała mu przed oczami świetnym soliterem pierścienia, albo gdy oczy jego zawisły na pięknych szmaragdach broszy jej i koleców.

Widocznie brylant i szmaragdy posiadały tajemniczą jakąś własność wywoływania na usta jego ironji; z oczu jego było widać, że patrzył na klejnoty te jak na dobrych swych znajomych; a gdy na nie popatrzył chwilę, przenosił spojrzenie na pana Spirydjona, jakby znowu między świetnymi ozdobami toalety pięknej pani a jej adoratorem upatrywał jakąś niewidzialną dla innych łącznicę.

Nie mieszał się wcale do otaczających go zewsząd rozmów; wyraźnie rozmawiał z własnymi myślami, które mówiły mu o klejnotach pani Olimpji i przypominały mu zarazem pewną starą kobietę o rozumnych oczach i zacnem obliczu, z której rąk niedawno jego ręce wzięły staroświecko oprawne szmaragdy i pierścień z soliterem, i niebawem oddały je w ręce bogatego żyda jubilera.

Nic nie mogło być prostsze nad to, że pani Rostowiecka nabyła cenne przedmioty, za jego pośrednictwem sprzedane przez panią Starowolską, i ustrojona w nie siedziała teraz w obec swych gości, piękna jak bogini a dumna jak królowa.

Zapewne, nic nie mogło być prostsze nad to; a jednak pan Edward uśmiechał się ironicznie, ile razy promienie djamentów uderzyły wzrok jego, i wraz potem rozumne a przenikliwe, lubo obojętne swe oczy przenosił na pana Spirydjona.

Nikt nie zauważył tej gry fizjonomji bogatego pana, bo była ona pokryta najwytworniejszą grzecznością i najsztwniejszym chłodem; a przytem pan Gaczycki znany był

powszechnie jako człowiek więcej milczący niż mówiący, i bardzo często z ironją poglą-
dający na ludzi — lubo nikt inny prócz niego do ironji tej nie widział powodu.

Rozmowy w salonie to wznęły się w gwar głośny, to ucichały chwilami, jak zwykle
bywa w towarzystwie złożonym z kilku oddzielnych kółek, z których każde na swoją
rękę prowadzi konwersację. W jednej z chwil w których wszyscy rozmawiali ciszej albo
wcale nie rozmawiali, młoda panna, siostrzenica zielonej damy, dotąd chodząca po salonie
z kawalerem, który miał minę starającego się o jej rękę, stanęła przed Stasią Rumiańską
i zapytała:

— Czy dawno pani widziałaś się z Wandzią Rodowską? od wieków jej nie widziałam,
i tęskno mi za nią. Dla czego jej tu dziś niema? czyżby nie była zaproszona przez panią
Rostowieckę?

— Owszem — rzekła Stasia, na której twarzy pojawiło się trochę zakłopotania; ale
nie dała jej dokończyć pani Apolonja, która siedząc w pobliżu usłyszała pytanie panny.

— Kochana panno Ludwiko! zawołała, nasza Wandziulka jest teraz zbyt zajęta, aby
nam udzielać swej milej obecności. Utraciliśmy ją, utraciliśmy...

— Utraci pani swój krzyż od różańca, podjęła żywo Stasia, której oczy błysnęły, i uka-
zała na jeden z krzyżów pani Apolonji, który w istocie bliskim był oderwania się.

— Dziękuję, dziękuję za ostrzeżenie, odparła Antyfona przyprowadzając do porządku
swą pobożną bransoletę; krzyż zgubić, to wielki grzech! Niech mię Bóg broni i strzeże
od niego!

— I od obmowy albo odbierania sławy bliźniemu, — półgłosem dodała Stasia. Stojąca
przed nią panna Ludwika uśmiechnęła się a pan Paweł szepnął:

— Cicho Stasiu, cicho, narażasz się!

— Widziałam wczoraj pannę Wandę, ozwała się z przekąsem fioletowa pani, matka
rumianego syna, który markotnie siedział między piecem a fortepianem; widziałam wczoraj
pannę Wandę przechodzącą ulicą. Była tak zamyślona, że nie spostrzegła mnie i nie
ukłoniła się. A przecież znam ją od dziecka, i hodowało się to razem z moim Ignasiem...

Na to wspomnienie rumiany Ignas podjął głowę, żałośliwe spojrzenie rzucił na matkę,
i westchnął tak, że aż zadrgała poblizka adamaszkowa portjera.

— Już to prawdę mówiąc, Wandzia zawsze wygląda tak jakby gwiazdy liczyła na niebie,
choć ich w dzień nie widać, a na ziemię i patrzeć nie raczyła — ozwała się z przekąsem
starsza córka amarantowej damy, z za białą mantylą okrytych pleców matki.

Na te słowa poruszyła się amarantowa dama, i starannie zakrywając plecami dziewicze
uszy córek, rzekła półgłosem:

— Moje córki nie chodzą wprawdzie po ulicach jakby gwiazdy liczyć chciały, niby
astronomki jakie, ale zato też i żonaty nie bałamucą.

Siedząca w pobliżu stara panna o długiej twarzy i czerwonym nosie, poprawiła się na
fotelu przy tych wyrazach, i nic nie mówiąc kiwnęła energicznie głową na znak potwier-
dzenia. Ale dama w zielonej sukni, ciotka panny Ludwiki, ozwała się.

— Dajcie państwo pokój tej biednej Wandzi; mnie się zdaje że ona nie jest tak lek-
komyślną jak sądzicie. To tylko pozory! a serce ma dobre.

Tu stara panna poprawiła się na fotelu, i nic nie mówiąc pokręciła energicznie głowę
na znak przeczenia — a rumiany Ignas siedzący między piecem i fortepianem westchnął
znowu, że aż drgnęła poblizka portjera, i pokiwał głową na znak twierdzenia.

Stasia podczas tej rozmowy rumieńszą się stała niż róża w jej włosach kwitnąca, a pan-
na Ludwika wzruszyła ramionami i rzekła:

— Co do mnie, kocham Wandę, i nie wiem za co ludzie tak się uwzięli na nią.

— Niech mię Bóg broni i strzeże od obmowy albo odbierania sławy bliźniemu, tem-
bardziej tej ślicznej i dobrej Wandziulce, którą na własnem ręku nosiłam — wyrzekła
pełnym żalu głosem pani Apolonja; ale pocóż się tak naraża, i kompromituje? Bałamucić
żonatego człowieka! to grzech i obraza Pana Boga. Wczoraj zaczęłam odmawiać godzinki
do Przemienienia Pańskiego, i będę siedm Piątków pościła na intencję, aby Bóg natchnął
ją swoją łaską świętą, i nie oddawał na zagubę tej milej istoty!

— O wilku mowa, a wilk tuż! zawołała amarantowa dama wychylając głowę przez
otwarte okno; mówimy o Wandzi Rodowskiej, a ona właśnie przechodzi ulicą!

Kilka osób rzuciło się na te słowa do okien. Ruch ten zwrócił uwagę gospodyni domu,
i osób najbliżej niej siedzących. Powstawali też z miejsc, i wyjrżeli na ulicę.

Przeciwnym chodnikiem szła Wanda z matką swą wspartą na jej ramieniu. Obok dwóch kobiet postępował August Przybycki. Wracali znać wszyscy troje z zamiejskiej przechadzki, bo pani Rodowska niosła w ręku wielki pęk polnych kwiatów, i na słomkowym kapeluszu Wandy błękitniało kilka świeżo zerwanych bławatków do białej przypiętych wstęgi. Delikatne policzki pięknej panny barwiły się lekkim rumieńcem zmęczenia, ale nie zdawała się w tej chwili chcieć liczyć gwiazdy, jak się wyrażały o niej znajome jej panie, tylko całą uwagę swą zwracała na powoli i z trudnością idącą matkę, podtrzymując jej słabe kroki, i prowadząc ją wygodniejszą nieco do przebycia stroną chodnika.

August szedł obok poważny, lubo dziwne jakieś promienienie, niby duma z wewnątrz płynąca, otaczała bladą twarz jego. Ale promienienie to było spokojne, a gesta z jakimi opowiadał o czemś swym towarzyszkom, pełne głębokiego uszanowania, czci nieledwie. Pani Rodowska z wyraźną przyjemnością i uśmiechem na bladych dobrych ustach, słuchała rozmowy toczącej się między córką jej a młodym człowiekiem; Wanda zaś wspierając i ochraniając od niewygodnych przejść matkę, patrzyła przed siebie swemi przezroczytymi oczami śmiało i spokojnie. Oczy te zdawały się być mniej marzące jak dawniej; przebijają się w nich zato jakaś myśl światła i piękna, która płynęła zapewne z rozmowy wiedzionej w tej chwili z Augustem.

Tak szli sobie we troje spokojnie, bliscy siebie. Stara matka postępowała troskliwie strzeżona przez dwoje młodych ludzi — młoda para rozmawiała z sobą bezpiecznie i ufnie pod okiem matki. Zajęci sobą i swoją rozmową ani spostrzegali, że przez przeciwną okna wielkiej kamienicy, w której mieszkała pani Olimpja, natłoczone w czterech okna dwadzieścia par oczów spoglądało na nich ciekawie, z różnemi wyrazami złości, ironji, pogardy. Tylko oczy panów Edwarda i Spirydjona spojrzwały na nich życzliwie, Stasi kochająco, a zielonej damy i jej siostrzenicy z nieśmiałością i ukrywanem spólczuciem.

Zresztą kobiety stare i młode uśmiechały się złośliwie, stara panna nic nie mówiąc trzęsła głową na znak nagany, stary kawaler szeptał do ucha młodym ludziom dwuznaczne o przechodzącej parze żarciki, a rumiany i barczysty Ignas westchnął kilka razy, aż zatrzęsły się wszystkie pobliskie portjery i firanki. Macierzyńskie serce fioletowej damy przeszycie znać zostało temi westchnieniami syna, bo pierwsza odwróciła się od okna z twarzą oburzenia pełną, i temi ozwała się słowy:

— Jak nie wstyd pani Rodowskiej pozwalać na takie nierozsądne awanturowanie się córki z żonatymi ludźmi! alboż mało było porządnych kawalerów na świecie, między którymi panna Wanda wybierać sobie mogła męża? ale żadnego nie chciała, przetrzucała starającymi się niby jabłkami lub orzechami, a teraz pewno żaden porządny kawaler jej nie weźmie, jak się rozbałamuciła z żonatymi — i zostanie starą panną, zostanie!

Stara panna o długiej twarzy i czerwonym nosie nic nie mówiąc energicznie pokiwiała głową na znak twierdzenia — ale barczysty Ignas wrócił na swoje miejsce pomiędzy piecem a fortepjanem, westchnął i pokręcił głową na znak przeczenia, mówiąc jak tylko można było najciszej:

— Gdyby tylko chciała panna Wanda! gdyby tylko chciała! Ale nie chce...

Tu popatrzył na swą granatową marynarkę i niebieski krawat, zerknął zezem na jasny wąsik obrastający mu pulchne wargi — i miał taką minę, jakby myślał: nie pojmuję, czemu nie chce!

Na hasło dane przez fioletową damę, poruszyły się wszystkie usta, powstał gwar i zamieszanie; wszyscy mówili razem przerywając sobie wzajem, i oprócz kilku osób, jednomyślnie naganiając Wandę za znajomością się jej z Augustem, granie z nim na cztery ręce, ukazywanie się obok niego w otwartym oknie, i odbywanie w jego towarzystwie przechadzek pod opieką tylko... swej matki.

Dama amarantowa i dama fioletowa, pani Olimpja, pani Apolonja, i oboje państwo Rokowiczowie — każde w swój sposób wyrażało zdumienie swe i oburzenie; Ignas wdychał pomiędzy fortepjanem a piecem, stara panna nic nie mówiąc energicznie kiwała głową na znak potwierdzenia, zielona dama i jej siostrzenica Ludwika milczały nie mając odwagi płynąć przeciw ogólnemu prądowi, pan Edward obojętnie, i z ironją błędzącą po ustach przetrzucał album, Stasia płonęła szkarłatnym rumieńcem, i lzy kręciły się w jej oczach.

Nad całym jednak gwarem zapanował po chwili głos gospodyni domu, która zasiadłszy znowu na kanapie, i rozpostarłszy szeroko wkoło siebie fałdy srebrzystej sukni, podniosła głowę bardzo wysoko, i rzekła:

— Moi państwo! pojmuję zapomnienie się, i niewłaściwe postępowanie w osobie należącej do niższych sfer społecznych; ale nie rozumiem, jak kobieta należąca do wyższego towarzystwa, może w podobny sposób poniewierać przyjętymi formami. Gdyby panna Wanda była jaką ciemną, nieznaną dziewczyną, wybaczyłabym niekonsekwentne jej kompromitowanie się z tym panem Przybyckim; ale położenie jakie my kobiety z wyższej sfery posiadamy, wkłada na nas obowiązek zachowania go w nieskazitelnej czystości. Sama duma szlachecka powinna być jej nakazać...

W tej chwili lokaj wniósł wielką płonąca lampę, i zapuściwszy sztory u okien postawił ją na stole przed kanapą. Pod światłem lampy silnymi ogniami zaiskrzyły się szmaragdy u szyi, i przy uszach pani Olimpji, i wielki brylant błysnął na jej palcu. Pan Edward podniósł wzrok machinalnie utkwiony w album rozwarte, i pierwszy raz odzywając się w czasie rozmowy, przerwał pani Olimpji półgłosem:

— Jaki pani masz piękny brylant na ręku! prawdziwie, zwraca on na siebie uwagę! musi też być cenny! Pozwolisz pani abym jako amator drogich kamieni, zapytał ją gdzieś go nabyła?

Gdy to mówił, bladobłękitne przenikliwe jego oczy utkwili upornie w twarzy pięknej pani.

Nagły, szkarłatny rumieniec wystąpił na policzki Olimpji: opuściła szybko rękę i machinalnie zasunęła ją pomiędzy koronki zdobiące suknię. W oczach jej bystrych, dumnych i błyszczących, zamigotały naprzemian pomieszanie, obawa i gniew. Pan Edward skłonił się bardzo grzecznie, i wyrzekł z ledwie dostrzegalną ironją:

— Przebacz pani jeśli pytaniem mem uczyniłem jej przykrość; ale prawdziwie brylant ten jest tak piękny...

— O, żadnej mi pan nie uczyniłeś przykrości, odrzekła żywo Olimpja odzyskując śmiałość; pierścień ten otrzymałam od mego męża... przywiózł mi go z zagranicy...

Usta pana Edwarda zagięły się w dziwny tajemniczy uśmiech, a oczy jego przeniosły się powoli na twarz pana Spirydjona, który siedział dość blisko, aby mózgi mimo gwaru panującego w salonie usłyszeć rozmowę. Ale pan Spirydjon nie słyszał albo udawał że nie słyszy; wzrok miał spuszczoney, i trochę ukrywanego zmieszania na twarzy.

Olimpja powstała, i z dumnie podniesioną głową przeszła do innej grupy towarzystwa zgromadzonego około kozetki, na której siedziała Stasia. Pomiędzy grupą tą, jaśniały jak słońca damy amarantowa i fioletowa, a wśród nich błyszczwały dwa krzyże pani Apolonji.

Rozmowa o Wandzie Rodowskiej nie ustawała. Była to znać kwestja paląca dla zebranego w salonie pani Olimpji towarzystwa. Trzy kobiety śpiewały o niej *trio* do którego niemyym akompanjamentem było milczące kiwanie głowy starej panny.

— Moi państwo, mówiła Stasia, z trudem dobijając się do słowa, powiedźcież mi w końcu, czem tak bardzo w oczach waszych zawiniła ta biedna Wanda? Przecież nie popełnia nic takiego...

— Popelnia, popelnia! zawołała fioletowa dama, odrzuca porządných młodych ludzi którzy się o nią starają, a bałamuci żonatych...

To mówiąc rzuciła przelotne spojrzenie na rumianego Ignasia, który z pomiędzy pieca i fortepjanu przesiadł się pomiędzy piec i konsolę, i siedział tam ciągle markotny.

— Daje zły przykład naszym córkom! dodała amarantowa dama, i przelotne spojrzenie rzuciła na stojące za jej plecami dwie córki, a w spojrzeniu tem odmalowała się wyraźnie myśl: „oddawna już spostrzegam że jest piękniejszą, i o dziesięć lat młodszą od moich córek.”

— Uwłacza swej towarzyskiej pozycji, którą każda z nas powinna zachować w nieskazitelnej czystości, wyrzekła nadchodząca do grupy pani Olimpja.

— Prześlizgniesz się dziś pani szmaragdy, zabrzmiał tuż obok niej zniżony nieco głos pana Edwarda; przebacz pani że będę niedyskretnym po raz drugi, i jako amator drogich kamieni zapytam, gdzieś je pani nabyła?

Znów przenikliwe oczy bogatego pana z dziwnym wyrazem utkwili w twarzy Olimpji, i znowu na policzki pięknej pani wytrysnął szkarłatny rumieniec. Przygryzła usta,

a w oczach jej zamigotała nie już obawa, ale przestrasz. Szybko jednak zwróciła się do swego gościa i odrzekła:

— Mam je po babce, jestto pamiątka familijna.

Pan Edward skłonił się niby z podziękowaniem za objaśnienie, ale usta jego zagięły się znowu w wyraz delikatnej ironji, a oczy przeniosły się na twarz pana Spirydjona.

— Proponuję państwu, zawołał ten ostatni zbliżając się do towarzystwa, odmienić przedmiot rozmowy i sposób bawienia się. Gdybyśmy naprzykład poprosili którą z pań o grę na fortepianie...

— Może pani dasz nam słyszeć swoją muzykę, przemówił ktoś z młodych ludzi do Stasi.

— Prosimy, prosimy! zawołało kilka głosów.

— Zagraj Stasiu, szepnął zonie pan Paweł, o którym wiadano że był dumny z pięknego w istocie muzycznego talentu swej żony.

Stasia zamyśliła się — jakaś wesoła, żartobliwa myśl mignęła po jej ożywionej twarzy.

— Nie, moi państwo, odrzekła po chwili, nie mam dziś usposobienia do muzyki; ale ażeby nie odpowiadać odmową na grzeczne wasze prośby, zadekłamuję wam pewien wierszyk...

Otaczające kobiety zamieniły między sobą spojrzenia.

— Cóż to będzie nowego? szepnęła fioletowa dama do amarantowej.

— Co ta trzpiotka znowu wymyśliła? rzekła cicho do sąsiadek swych pani Apolonja.

Ale panowie i młode panny otoczyły miłą i wesołą panią Rumiańską, prosząc o spełnienie obietnicy.

Stasia z figlarną minką skrzyżowała ręce na piersi, podniosła swą złotowłosą główkę rezolutnie, i ozwała się:

— Wierszyk ten, moi państwo, wyczytałam już nie wiem doprawdy gdzie, ale przy pewnych okolicznościach często mi przychodzi na myśl...

— Słuchamy! słuchamy! zawołało kilka głosów.

Pan Spirydjon zbliżył się i stanął tuż obok młodej kobiety, patrząc na nią z wielkiem zajęciem.

— Zaczynam więc, rzekła Stasia, i z poważno-figlarnym wyrazem twarzy, z rękami skrzyżowanymi na piersi wydekłamała:

«Stara czapła, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła
W straszny się gniew i złość wzmogła,
Że młodsze od niej czapelki,
Przezrocze wody kropelki
W zgrabne swe dzióbki chwytaly,
A przytem rybki łapały,
Jadły i chichotały.
Rzecz do nich: wy nie wiecie,
A tu o was idzie przecie!
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały.

Wczora,

Z wieczora,

W dumaniu głębokiem,
Tocząc po niebie nabożnem okiem,
Słyszałam jak święci Pańscy mówili:
»Nie trać czaplo ani chwili,
Idź, ratuj dusze co giną,
Grzesznej swawoli przyczyną!
Oto tam nad jeziorem,
Młode czapelki chórem,
Łowią rybki, chichoczą,
O nic się nie kłopotczą;
Ni o święte natchnienie,

Ni o duszne zbawienie.
Zginą w grzechu niebogie!
Idź, opowiedz im srogie
Przykazy nasze z nieba:
Że ryb łowić nie trzeba,
Ani śmiać się, ni bawić,
Tylko w postach dni trawić;
Jęczeć, wzdychać, narzekać,
Godziny śmierci czekać!«
Jam przelekła i zbladła,
Tu pomiędzy was wpadła,
By wam święte ogłosić wyroki;
A że kocham was szczerze,
Tedy w zupełnej wierze,
Wedle słów mych kierujcie swe kroki!

*

Młode czaple słuchały,
Potem w głos się zaśmiały,
Srebrne rybki łowić jęły na nowo;
Stara krzywy dziób wzniosła,
Żwawo w świat się poniosła,
Z przekrzywioną, półślepą swą głową,
Jęcząc, krzycząc, wzdychając,
A młode czaple łając:
Że niegodne grzesznice,
Swawolnice, wietrznice,
W weselu czas swój trawiają,
Łowieniem ryb się bawiają,
Nie pomne na sądy boże;
Gdy ona, ach, straszniego,
Lubo wielce miłego,
Grzechu tego samego,
Popępiać już nie może!»

Skończyła Stasia, i filuterne oczy, w których teraz przebijała się pewna złośliwość, utkwiała w twarzy pani Apolonji.

Zarazem oczy wszystkich prawie mężczyzn zwróciły się w tym samym kierunku, i ze wszech stron śmiech wybuchnął homeryczny. Nawet p. Paweł nie mógł tym razem powstrzymać się od śmiechu, i patrząc na piękną twarzyczkę żony, z wyrazem uwielbienia i zachwytu szeptał jej do ucha:

— Cicho Stasiu, cicho, narażasz się!

Panienci chichotały też pocichu wszystkie z wyjątkiem córek amarantowej damy, która złośliwe i ironiczne spojrzenia z damą fioletową zamieniała, tudzież starej panny w milczeniu i z oburzeniem głową kiwającej. Pani Apolonja zaś żywo powstała; na twarzy jej malowało się zagniewanie i nos rozkwitł najpiękniejszą purpurą. Brzęcząc krzyżem różańca o krzyż wiszący na piersi, odeszła na drugą stronę salonu, gdzie państwo Rokowiczowie w pełnym skromności odosobnieniu siedzieli obok siebie trzymając się za ręce.

— Czy słyszałaś pani, szepnęła do Teresy, z jaką bajeczką wystąpiła ta mała nieznośna Rumiańska? Imienia Świętych Pańskich używa do swoich grzesznych żarcików! wszak to obraza pana Boga!

— I nieskromność! dorzuciła Teresa.

— Przepraszam, wyrzekł raptem p. Rokowicz, już oddawna tedy uważam... że pani Rumiańska więc nie jest przyzwoitą i moralną kobietą... deklamować takie wiersze przy mężczyznach... to obraża... tedy... przepraszam!

— Czy uważacie państwo, mówiła pani Apolonja coraz mocniej stukając niby kastanjetami krzyżami swemi, czy uważacie państwo, jak się to mizdrzy do pana Asa?

I wskazała na kozetkę, gdzie rzeczywiście przysiadł się do Stasi p. Spirydjon, i prowadził z nią ożywioną rozmowę.

— Nie pojmuję jak można tak lekceważyć skromność i obowiązki zamężnej kobiety! wzruszając ramionami wyrzekła p. Teresa.

— Niech mię Bóg broni i strzeże od obmowy, albo odbierania sławy bliźniemu, kończyła p. Apolonja; ale ja o niej wiem wiele różnych rzeczy...

— Cóż? cóż? zawołała ciekawie Teresa.

— Widziałam już nieraz, jak p. Spirydjon wychodził z jej mieszkania...

— Doprawdy? zawołali obaj małżonkowie; a p. Rokowicz dodał:

— To obraża... tedy...

— I to w porach kiedy Rumiański w biurze pracuje... ciągnęła Apolonja.

— Mój Boże! przyjmować gości, kiedy mąż w biurze; to dla mnie niepojęte! jęknęła Teresa.

— Przepraszam, wybuchnął Rokowicz; skoro tak jest, tedy pani Rumiańska nie powinna bywać w naszym domu! więc... bo nasz dom Tereniu powinien być wolnym od wszelkiej skazy... tedy... kiedy taka osoba jak pani Rumiańska w nim bywa, to obraża... tedy... przepraszam!

— Tak będzie jak sobie życzysz najmilszy mój Feluniu! Wiesz przecie, że we wszystkim stosuję się do twojej woli! zresztą i sama nie mam sympatji do osoby, która pozbyła się skromności, będącej...

— Czy pani dawno odwiedzała panią Starowolską? zabrzmiał nagle obok pani Rokowiczowej głos pana Gaczyckiego, który niewiedzieć jak się tam znalazł. Teresa drgnęła zrazu; lecz obróciła się ku niemu ze zwykłą sobie słodyczą, i odrzekła:

— Parę dni temu! mój Boże! ja tak kocham i poważam tę zacną osobę...

— Śliczną też pani Starowolska wychowuje dziecinę, nieprawdaż pani? ciągnął pan Edward. Ładneto, i nad wiek swój rozumne dziecko; a tak boleśnie zdaje się odczuwać swoje sieroctwo...

Przy tych słowach jasnoblękitne przenikliwe oczy jego utkwily w twarzy Teresy, która bladła, i wnet rumieniła się chwilowo. Zaraz jednak odzyskała zwykłą sobie słodycz, i miała coś odpowiedzieć, gdy nagle i z hukiem otworzyły się drzwi salonu, i wpadł przez nie wysoki i barczysty mężczyzna w podróżnym ubraniu, z mocno opaloną twarzą pełną poczciwości, ale zarazem dobrodusznego, a jakby stale już na niej wrytego zafrasowania. W ogóle była to postać wiejskiego gospodarza, nosząca na sobie ślady kłopotów, spracowania, słońca, sloty, zasiedzenia się na wsi. Nie był wcale brzydki, i owszem miał wzrost piękny, rysy twarzy regularne, i gęstą czarną czuprynę. Znać nawet było po ubraniu i całej powierzchowności, że musiał być niegdyś światowym człowiekiem, a w każdym razie urodził się, i wzrósł wśród dobrego towarzystwa.

— Przepraszam, przepraszam państwa! zawołał zaraz od progu, że wchodzę tak *sans façon* w podróżnym ubraniu! Ale nie wiedziałem że żona moja przyjmuje dziś gości, przyjechałem na jedną dobę tylko do miasta dla załatwienia interesów, i zobaczenia się z Olimpką! Oj! te interesa! te interesa!

— Jak się masz, Jean! zawołała gospodyni domu, żywo postępując na spotkanie przybyłego; tak dawno nie byłeś u mnie! mon cher Jean!

I podała mu obie ręce, które on z zapalem ucałował; poczem zaczął witać gości, którzy wszyscy serdecznie mu ręce ściskali.

— A, i ty tu jesteś! zawołał ujrawszy pana Spirydjona. Jakżem rad, jakżem rad że cię tu widzę!

Uściskał obie ręce pana Asa, i ucałował go w oba policzki. Pan As wzajemnie całował męża pięknej Olimpji, ale zdawał się być nieco pomieszany.

— Bo to nie wyobrażacie sobie państwo, jaki nieoceniony znajomy i przyjaciel z tego poczciwego Spirydjona, mówił pan Rostowiecki nie wypuszczając go z objęć; moja

Olimpka ma z niego najlepszego opiekuna. Gdy wiem że on jest w X. jestem zupełnie o nią spokojny... kobieta zawsze potrzebuje opieki... Jaby tu z nią rad siedział, ale gospodarstwo i interesa... oj! te interesa! te interesa!

— Jean! może odmienisz toaletę? szepnęła przestrzegająca forma wyższej sfery towarzyskiej pani Olimpia.

— No, jakże się ty miewasz, moje życie? jak się bawisz? co porabiasz? — pytał małżonek, nie odpowiadając na propozycję, i znowu pochwycił obie śliczne rączki żony, i całował je z zapalem.

— A, zawołał nagle, jakiż śliczny pierścionek! Co za brylant przepyszny! Jeszczem go u ciebie nie widział! Zkądżeś go wzięła, moje życie?

Tym razem piękna Olimpia nie zarumieniła się lecz zbladła. Milczała chwilę, potem odrzekła:

— Nabyłam go przedwczoraj Jean; oddałam w zamian jego kilka dawnych moich pierścionków.

— Co to za mądra kobieta z mojej żony! zawołał Rostowiecki zwracając się do towarzystwa; zawsze ma mnóstwo ślicznych nowych rzeczy, a nabywa je tanim kosztem. Wynajdzie sobie jaki handelek, i ma nowe cacko!

I znowu parę serdecznych całusów wycisnął na rękach żony. Ale po nad schyloną przed nią głową męża, i po nad jego gęstą czupryną, oczy Olimpii spotkały się z utkwionym w nią wzrokiem pana Edwarda. Wzrok ten był obojętny, nic nie mówiący; grzeczność czy inne może względy wyrugowały zeń nawet poprzednią ironję; niemniej jednak przykre wrażenie odbiło się na twarzy pięknej kobiety, i oblała się znowu szkarłatem.

— Usiądźże, Jean, rzekła do męża, szybko tłumiąc wzruszenie; spodziewam się że przepędzisz z nami wieczór. Zmień tylko podróżne ubranie na inne; dodała ciszej.

— Nie mogę, moje życie, nie mogę! odpowiedział Rostowiecki; przyjechałem tylko na jedną dobę; mam mnóstwo interesów i biegnę, lecę dziś jeszcze na miasto, aby je w części załatwić... oj! te interesa!

— Na tak krótko przyjechałeś pan do miasta? spytał ktoś z mężczyzn.

— Tak, tak, nie mogę inaczej! gospodarski czas, panowie! Gorzelnię przerabiam, i parobków przyjmuję... oj, co kłopotów! co kłopotów!...

— Ale cóż tak późno będziesz robił na mieście, Jean? Nie idź już dziś, nalegała żona.

— Nie mogę, nie mogę, moje życie; kontraktuję pszenicę Josielowi... idę do niego dla napisania kontraktu... Myślałem że to uczynię tutaj; ale skoro masz gości sam pójdę do Josiela...

— Kontraktujesz pan pszenicę na pniu? spytał ktoś z sąsiadów.

— A cóż robić panie dobrodzieju! Na robotnika pieniądze płyną jak woda — a tu i gorzelnię przerabiam w tym roku, bom jeszcze dotychczas nie miał Pistorjusza; parowa wicie panowie że niedogodna... wołownią powiększam; tej zimy: sto wołów postawię, a dotąd stawiałem sześćdziesiąt... No, jakież tam u was urodzaje? U mnie pszenica piękna, ale jarzyny poschły od tych siarczystych upałów jakie mamy w tym roku! ach! gdyby to deszcz! Owies na nic będzie od takiej suszy! kartofle jeszcze nie kwitną... a u was? Co tam słyhać z kartoflami? deszczu potrzebują — nieprawdaż?

Przysiadł na chwilę między sąsiadami, i rozmawiając z nimi o gospodarstwie, wypił parę szklanek herbaty, którą lokaje roznosili na srebrnych tacach.

Potem zerwał się, i zaczął żegnać towarzystwo.

— Biegnę, lecę pisać kontrakt na pszenicę z Josielem. Jutro muszę wnieść do kasy rządowej kupę pieniędzy! Rządowe należności nie czekają! Oj! te interesa! te interesa!

— Jean! mam z tobą do pomówienia nim pójdiesz, rzekła Olimpia powstając, przesunęła rękę pod ramię męża, i wyprowadziła go do przyległego gabinetu.

Stanęli we framudze okna. Rostowiecki przyciągnął żonę do siebie, i parę razy z miłością pocałował ją w usta.

— Tak dawno nie widziałem cię, moja Olimpko, wymówił; cóż mi masz do powiedzenia, moje drogie życie!

— Jean! czy przywozisz mi pieniądze? Jestem bez grosza!

— Jaktto! zawołał Rostowiecki ze zwiększonym zafrasowaniem na twarzy; niemasz już pieniędzy? Toż przy ostatniej tu bytności mojej przywozłem ci trzysta dukatów!

— Cóż to znaczy, mój drogi? życie w mieście kosztuje, mianowicie jeśli komu trzeba jak mnie utrzymać dom stosownie do stanowiska posiadanego w świecie...

— Oj, to stanowisko! djabelnie kosztowna rzecz! szepnął pan Jan.

— Mój Jasiu! żywo odparła Olimpja; wiesz że nie przywykłam oszczędzać się, i mam potrzeby właściwe kobiecie mojej sfery. Pamiętasz pewno jak było w domu mego ojca, i do jakiego życia przyzwyczaiłeś mię przez kilka pierwszych lat po ślubie... I tak przez wzgląd na ciężkie czasy urządzam się bardzo skromnie, i wydatkuję bardzo mało w stosunku do stanowiska, jakie posiadam w świecie. Ale jeśli byś mi i tego odmawiał...

— Ależ ja ci nie odmawiam, moja najdroższa, pośpiesznie przerwał pan Jan; jabym ci chciał nieba przychylić, brylantami ci osypać, ale sama wiesz, w jakim stanie jest nasz majątek, i jak ciężkie przeżywamy teraz czasy... Rządowe opłaty nie czekają, a mam ich po uszy; wierzyciele dokuczają także; na gospodarstwo trzeba pieniędzy...

— Jean, odparła Olimpja, zgodzisz się na to, że i ja bez pieniędzy być nie mogę...

— Naturalnie! wiele ich potrzebujesz teraz? moje życie!

— Mówiłam ci że jestem bez grosza! Na najpilniejsze potrzeby muszę mieć teraz jakie dwieście dukatów.

Pan Jan zatopił obie ręce w gęstej swej czuprynie.

— Zlituj się Olimpko! Tak wiele! A z kąd ja ci ich wezmę?

— Kontraktujesz przecie pszenicę!

— Ale to na opłaty rządowe...

— To nie opłacaj ich jeszcze, a mnie daj...

— Majątek zasekwestrują, i sprzedadzą...

Olimpja zmarszczyła piękne brwi.

— Jean, wyrzekła usuwając się od męża, i cofając ręce, które on dotąd trzymał w swoich; chcesz abym żyła w nędzy...

— Olimpko! nie gniewajże się tylko! Cóż za myśli przychodzą ci do głowy! Ty, w nędzy! Dopóki ja żyję, i pracować mogę, tego pewno nie będzie... Ale żebyś mogła tak jakoś wymiarkować się, i obejść przez czas jakiś tylko stu dukatami...

Olimpja pogardliwie ruszyła buzią.

— Sto dukatów! I cóż to znaczy? Na bieżące wydatki wystarczyłoby może; ale ja potrzebuję nowych mebli do salonu...

Pan Jan znowu zatopił rękę w gęstej czuprynie.

— Nowe meble! Zdaje mi się, że i te jakie dziś stoją w salonie są jeszcze dobre, i nawet ładne...

— Wyszły z mody, i mają amarantowe obicie. Szkaradnie mi, nie do twarzy w salonie z amarantowemi meblami. Potrzebuję mieć modniejsze i błękitne...

Pan Jan opuścił głowę na piersi. Pocziwe jego oczy zafrasowały się bardzo, i ogorzałe czoło powlekło chmurą.

— Hm, rzekł po chwili, zrobię co będę mógł. Nie przyrzekam ci jednak więcej jak sto dukatów. Jeżeli Josiel zaawansuje mi na pszenicę większą sumę niż myślałem dotąd, dam ci dwieście...

Rzekłszy to, pocałował znowu usta żony dwa razy, obie ręce ze dwadzieścia, i wyszedł wraz z nią z gabinetu.

— Cóż? opuszczasz nas? Nie przepędzisz z nami wieczoru! Ot zagrałbyś partyjkę preferansa! mówili najpoufalsi jego znajomi.

Ale pan Jan wyglądał tak jakby mu ani podobna było myśleć o partyjce preferansa. Wydawał się mocniej jeszcze zafrasowanym niż wprzód, i z roztargnieniem żegnał gości swej żony.

— Biegnę, lecę kontraktować pszenicę! Ciężkie czasy, panowie! Opłaty rządowe, procenta kredytorom, a i domowe potrzeby są! Przerobienie gorzelnii djable mię kosztuje w tym roku! oj! te interesa! te przekłete interesa!

— Ależ niegrzecznie jest z twej strony że nas tak porzucasz, ozwał się ktoś żartem.

— Wybaczcie! wybaczcie tłumaczył się Rostowiecki. Przyjechałem tylko na jedną dobę... mam mnóstwo interesów... Olimpka tu gospodynią; ja gość, jak i wy.

W tej chwili spojrzenie jego padło na pana Spirydjona.

— Ot macie gospodarza! zawołał dobrodusznie i wesoło; zostawiam tu na mojem miejscu Spirydjona... Zastąp mię, pocziwy...

Uderzył kordjalnie dłonią w dłoń pana Asa, wrócił raz jeszcze aby pocałować w obie ręce Olimpję, uklonił się wszystkim i wybiegł.

Po wyjściu męża gospodyni, towarzystwo zaczęło się bawić. Grano, śpiewano, tańczono nawet trochę, rozmawiano wiele; lokaje roznosili cukry i owoce, a mimo to wszystko prawdziwego ożywienia i wesołości nie było. Gospodyni była niby zwarzona; oczy jej z wyrazem dziwnej jakiejś obawy i tłumionego gniewu, szukały pana Edwarda, a spotkawszy jego spojrzenie wnet się spuszczały.

To samo robiły oczy pani Teresy. Z wyrazem obawy i tłumionego gniewu szukały twarzy pana Edwarda, a gdy spotkały jego spojrzenie wnet się spuszczały. Niewiadomo dla czego, ale wyraźnie obecność tego człowieka ciążyła dwom kobietom; widocznym było, że podejrzewały go o coś w głębi duszy; może o to, że on je o coś podejrzewa? Lecz o cóżby je mógł podejrzewać? One tylko o tem wiedziały. Gdyby ten podejrzany o podejrzenie był kim innym, bardzo być może iż pani Olimpja dałaby mu raz na zawsze odpawę ze swego domu, i usunęłaby na wieki od siebie tę bladą obojętną twarz, i te blade obojętne oczy, które jednak mimo obojętności swej wydawały się dość przenikliwymi aby wzbudzać obawę i niepokój. Ale pan Gaczycki urodzeniem i stosunkami należał do najwyższej towarzyskiej sfery; a oprócz tego posiadał 2,500,000 wyraźnie półtrzecia miliona złotych polskich majątku w pięknej pszennej glebie, i kapitale włożonym w przemysłowe przedsięwzięcia, które go coraz powiększały. Ludziom więc obdarzonym tak pięknymi przymiotami rodowitości i kieszeni, domu się nie wymawia! Obecność takich ludzi podnosi owszem wysokie towarzyskie tego domu położenie. Niegrzeczność jakąby komu innemu możnaby zapłacić za zbyt przenikliwe oczy, staje się niepodobną względem człowieka posiadającego 2,500,000, wyraźnie półtrzecia miliona majątku w pszennej glebie i kapitale. Takiemu człowiekowi za zbyt przenikliwe oczy płaci się przeciwnie zdwojoną grzecznością, to jest zdwojoną grzecznością usiłuje się rozbroić jego zbytnią przenikliwość.

To też pani Olimpja, mimo widocznego pomieszania i niesmaku który wyrzył się na jej dumnej twarzy, starała się być dla pana Gaczyckiego jeszcze grzeczniejszą, a pani Teresa okazywała mu jeszcze większą słodycz. Obie kobiety podawały mu na przemian cukry i owoce; z tego powodu pani Rokowiczowa zmuszoną nawet była wypuścić z dłoni swych piastowaną w nich czule rękę małżonka. Korzystając z tego połączył się on zaraz z gronem mężczyzn, i zacząwszy rzecz swą od potopu, opowiadał im historję bolesnego upadku obyczajów publicznych. Pani Olimpja posunęła uprzejmość dla pana Edwarda aż do zapytania go czy życzy sobie aby śpiewała; bo jeśli sobie tego życzy, ona gotowa zaśpiewać — dla niego jednego wyłącznie. Ale pan Gaczycki niewzruszony był jak opoka. Ze sztywną etykietą przyjmował przymilenia dwóch kobiet, a na ustach osiadał coraz częściej uśmiech ironji. Niechcąc może aby uśmiech ten zanadto się uwyrażnił, bardzo wcześniej opuścił towarzystwo.

Po jego wyjściu pani Olimpja stała się swobodniejszą, lubo nie zupełnie swobodną. W połowie wieczoru widziano jak długo w przylegającym do salonu gabinecie rozmawiała półgłosem z panem Spirydjonem. W czasie rozmowy tej, oczy jej błyskały niespokojnie, i również niespokojnie zdawały się błyskać — na jej szyi wielki szmaragd, a brylant na ręku. Pan As miał minę uspakajającą, i wyraz jego twarzy zdawał się mówić: „nie obawiaj się pani niczego! Tajemnica się nie wyda, i fakt może być jeszcze powtórzonym nieraz z zupełnem bezpieczeństwem.”

Ta długa rozmowa na osobności pięknej pani i jej wielbiciela, nie obudziła żadnych komentarzy. Ktokolwiek ją zauważył, przypuszczał co najwięcej że pani Olimpja powierza panu Spirydjonowi jakąś troskę lub zasięga jego rady, jako najlepszego przyjaciela domu. Niepodobna było o nic innego posądzić kobietę, która tak niezmiennie dbała o nieskazitelnę przechowanie swego wysokiego w świecie położenia, i posiadała niezmiernie wiele szlachetnej podniosłej dumy.

Zresztą czyliż nie widziano, jak czule witała się z mężem, i była przez niego witana? i czyliż ten mąż najczulej nie obchodził się z panem Asem, i sam nie zostawił go w domu swej żony, jako zastępcę swego w przyjmowaniu jej gości, i rozciąganiu nad nią męskiej opieki? Cnota więc pani Olimpji jaśniała jako słońce, mimo długiej rozmowy jej na osobności z panem Asem.

Oprócz gospodyni domu i pani Teresy, znajdowała się w towarzystwie jeszcze jedna markotna osoba; była nią pani Apolonja. Nie mogła ona zapomnieć bajki „o starej czapli,” i wciąż z ukosa a z niechęcią spoglądała na Stasię, która bawiła się wesoło i swobodnie. Raz siedząc osobno, i patrząc na Stasię, rzekła cicho do siebie.

— Poczekaj ty różowa trzpiotko! podstawię ja ci stołeczka! Uszyję ja ci dobre buciki! Nauczę cię układać bajki o starych czaplach, i mówiąc je, na mnie patrzeć!

To wyszeptawszy brzęknęła krzyżami jak kastanijetami i przeniosła wzrok na pana Spirydjona.

Zresztą towarzystwo bawiło się jak mogło. Panienki i młodzi ludzie tańczyli i rozmawiali; amarantowa, fioletowa i zielona dama siedziały obok siebie reprezentując sukniami tęczę, a twarzami znużenie; obok nich stara panna siedziała wyprostowana na fotelu kiwając głową; ale już ani na znak twierdzenia, ani na znak przeczenia, tylko na znak drzemania. Obywatele wiejscy w przyległym salonie grali w preferansa; państwo Rokowiczowie siedzieli obok siebie trzymając się za ręce; rumiany Ignasъ wzdychał między piecem i konsolą, gdzie ostatecznie obrał sobie stanowisko; — stary kawaler śmieszył towarzystwo dwuznacznymi żarcikami i koperczakami strojonemi do panien; z tych niektóre mile zerkwały na jego wielką łysinę, upatrując na niej zapewne, jakby wyrytą cyfrę większego jeszcze niż ona jego majątku.

Niektórzy zapytywali dokądby się udał pan Gaczycki, i dla czego tak wczesnie opuścił towarzystwo zebrane w salonach p. Olimpij? Nikt jednak nie umiał na to odpowiedzieć.

Dopiero nazajutrz p. Rokowicz opowiadał wszystkim, że Gaczycki wprost z wieczoru p. Olimpij udał się do mieszkania p. Rodowskiej, i jej córki; że znalazł tam p. Przybyckiego, i że do późna słychać było na pierwszym piętrze kamienicy muzykę fortepjanu, a po oświetlonych szybach okien przesuwwały się cienie czterech postaci, tojest: p. Rodowskiej, córki jej, panów Augusta i Edwarda. Z ruchu cieniów wnieść także można było, że osoby do których cienie te należały bawiły się wybornie i były z siebie zupełnie zadowolone.

Jakim sposobem p. Rokowicz posiadał te wszystkie szczegóły o oknach mieszkania p. Rodowskiej, kiedy do końca późno zakończonego wieczoru przetrwał u p. Olimpij? Niewiadomo. Może dla lepszego dozoru obyczajów publicznych posiadał agentów, zdających mu raporty z dziennych i nocnych spostrzeżeń? Byłoby to nawet naturalnem; bo nie miałże do strzeżenia nieskazitelnosci swego domu, na którego dachu jak mu się zdawało, siedziała cała społeczność ojczysta? i nie byłże mężem dźwigającym na swych barkach ciężar moralności publicznej?

XIV

Na jednej z mniejszych ulic miasta, w domku upiętronym przedpotopową facjatką i pomalowanym na zielono, było skromne bardzo mieszkanie o dwóch pokojach i ciemnej sionce służącej za przedpokój, wreszcie kuchence, z której kręte, ciasne i wiecznie zabłocone wschodki prowadziły na podwórze. Z sionki alias przedpokoju, do którego prowadziło kilka wschodów mających przyzwoitszą nieco powierzchowność, wchodziło się do stacji dość dużej, mającej dwa okna o szybach miejscami pokrytych pajęczyną, miejscami stłuczonych i pozaklejanych bibułą. Podłoga była z prostych desek, niepomalowana, brudna, z szerokiemi w kilku miejscach szczelinami. Sprzęty za to wcale nie ubogie, owszem świadczące o pewnym dostatku, lecz zarazem i o niezmiernem zapuszczeniu i niedbalstwie. W głębi stała dość piękna kanapa mahoniowa, obita wełnianym adamaszkiem podartym i opadającym w szmatach; z pod którego widać było grube szare płótno i połamane sprężyny. Cztery fotele, ustawione przy kanapie w podobnym znajdowały się stanie; zresztą każdemu z krzesel ustawionych przy ścianach brakowało to poręczy, to nogi, to obicia, którego całkiem obdarte kawałki wały się w kącie. Pomiędzy oknami wisiało dość duże i kosztowne zwierciadło; ale tak opstrzone przez muchy, że nic się już w niem nie odbijało, a nad kanapą kilka za szkłem krajobrazów tak były kurzem pokryte, że niepodobna było poznać co przedstawiały. Oprócz tego wszystkie kąty i sprzęty wypełnione były i pokryte rozmaitego rodzaju przedmiotami: tam rzucone jakieś okrycie kobiece pomięte, tam sukienka dziecinna zakurzona, ówdzie wisiał zatłuszczony szlafrok męzki, to znów sterczał nadtłuczony garnek, obok którego parę łyżek srebrnych, lecz zaśniedziałych i pogiętych leżało. Ztamąd wchodziło się do drugiej stacji mniejszej nieco,

także o dwóch oknach i równie brudnej i bezładnej. Dwa łóżka stały niezasłane, z brudną pościelą; parę sofek u ścian piętrzyło się również zrzuconymi na nie poduszkami, piernatami i kołdrami bardzo wątpliwej czystości; po ścianach wisiały suknie kobiece i odzież męzka; na stole, przy jednym z łóżek, stał lichterz mosiężny z kawałkiem lojowej świecy, która spływając zalala łojem stół i podłogę. Śród tego wszystkiego w jednym miejscu płonęło światełko. Była to lampa zapalona przed obrazem Najśw. Panny Częstochowskiej w złożonych ramach zawieszonym na ścianie. Obraz ten był przysłonięty różową krepową firanką, naszytą srebrnymi blaszkami, ozdobiony wieńcem z róż i lilij, święconymi palmami, kolorowymi paciorkami i pęczkami piór pawich; pod nim stał stolik, zasłany białą serwetą spuszczającą się aż do ziemi, na stoliku zaś mieściły się różnej wielkości krucyfiksy, książki do nabożeństwa w różnych oprawach, figurki i statuetki świętych, stoczki kolorowe, lichterze srebrne z woskowymi świecami, zwiędłe bukiety kwiatów w kolorowych kubkach i t. d. Wszystko to razem stanowiło pewien rodzaj ołtarza, który dziwnie odbijał od panującego dokoła zaniedbania.

Z drugiej tej stancji wychodziło się już do kuchenki, w której płyta przeznaczona do sporządzania potraw wyglądała tak jak gdyby na niej nigdy nic nie sporządzano, a naczynia kuchenne nieschludne i porozrzucane, miały minę zupełnej nieużyteczności.

Wszystkie okna mieszkania tego wychodziły na ciasne i obstawione budynkami podwórko, wiecznie ciemne i niewypowiedzianie posępne. Wilgoć i pleśń rozpościerały się wszędzie; powietrze było zatęchłe i pełne niezdrowych wyziewów, jak zwykle w mieszkaniach, gdzie się wiele osób mieści, a wzorowa nie panuje czystość.

Ku temu to domostwu dążyła pewnego dnia letniego, wyszedłszy z kościoła p. Apolonja Kuderska. Już była na zakręcie ulicy, na której się ono znajdowało, gdy z bramy innego uboższego domku wyszła stara żebraczka o kiju, i wyciągnęła do niej rękę z jękliwą prośbą o jałmużnę.

— Idź precz! ofuknęła ją Apolonja półgłosem, i już ją minąć miała, gdy nagle ujrzała naprzeciw siebie wytwornie ubranego i wytwornym krokiem zbliżającego się mężczyznę. Poznała w nim pana Edwarda Gaczyckiego; żywo więc obróciwszy się do żebraczki, wydobyla z sakiewki kilka groszy, i dała jej z prośbą o pacierz za dusze zmarłych. W tej samej chwili zbliżył się p. Gaczycki i uchylił kapelusza.

— Pani zawsze jesteś pełną miłości bliźniego i politowania nad nędzą! rzekł z wielką grzecznością, pod którą wprawne ucho dosłyszałoby jednak ironję.

— Niech mię Bóg strzeże i broni abym miała kiedy cierpiącego bliźniego minąć bez podania mu pomocy! odparła z pobożnym westchnieniem Apolonja! Co dacie jednemu z maluczkich braci moich, mnie dacie — powiedział Chrystus!

Pan Edward uklonił się raz jeszcze i poszedł swoją drogą, a gdy odwrócił się od spotkanej kobiety, nieskrywany już wyraz ironji i lekceważenia osiadł na jego ustach. Pani Apolonja zaś postępowwała dalej ulicą, aż wzrok jej zatrzymał się na oknach sklepu, w którym, jak zwykle po niewielkich miastach, sprzedawało się wszystko, co tylko do potrzeb życia codziennego służy. Pani Apolonja weszła do sklepu, a po jakimś czasie pokazała się znów na ulicy z mnóstwem w rękach i na rękach pakunków, któremi obładowana, weszła w bramę zielonego domku, gdzie było owo pełne nieporządku o dwóch pokoikach mieszkanie. Jeszcze nie zdołała otworzyć drzwi pierwszego, gdy dało się słyszeć silne uderzenie drzwiami od kuchni, a potem szybki bieg męzki po wązkich wschodach drugiego wyjścia, pośpieszne kroki przebiegły podwórze i bramę na ulicę wychodzącą.

Wszystko to nie zwróciło bynajmniej uwagi p. Apolonji; jakby coś codziennego, do czego była przyzwyczajoną. Z trudnością podtrzymując swe pakunki weszła do pierwszego pokoju.

Tu zastała gwar wielki; albowiem znajdowało się tam pięcioro dzieci różnego wieku i płci.

Najstarsza dwunastoletnia dziewczynka, o bladej i smutnej lubo ładnej twarzyczce, siedziała pod oknem z brodą opartą na dłoni, i z oczyma utkwionymi w trzewiki, które miała na nogach, spadające jej prawie ze stóp tak były stare i dziurawe. Jej włosy jasne i obfite były porządnie zaczesane w górę i splecione w warkocze, lecz za to szafirowa z kamlotu sukienka podarta, poplamiona, ze stanikiem z którego już wyrosła, i który ją czynił garbatą, ze spódniczką zbyt krótką, nie mogącą zasłonić brudnych i wycerowa-

ných pończoszek. Kołnierzyka nie miała, tylko jakąś pąsową wełnianą tasiemkę na szyi, lekko ożywiająca blade i chude jej policzki, na których malował się dziwny, bo przedwczesny w tak młodym dziecku smutek. Na środku pokoju, dwaj chłopcy od lat 7miu do dziesięciu w podartem również obuwiu, z rozczochranymi głowami, w kurtkach z grubego materiału, brudnych i także już za krótkich, wydzielali sobie z rąk szarego kota. Kot wrzeszczał i drapał im twarze i ręce; starszy chłopak porywał młodszego za włosy, ten wywijął przeciw niemu jedną pięścią, a drugą z całej siły trzymał kota za ogon; obaj zaś krzyczeli wykrzywiając na się wzajem chude, blade i podrapane twarze. Na kanapie siedziała pięcioletnia dziewczynka w bluzce perkalowej, ze skulonemi pod siebie bosemi nóżkami; żółtawa jej cera wskazywała stan chorowitości; oczy wielkie i błękitne, lecz zapadłe, patrzyły smutno. Siedziała nieruchoma, zapuściwszy obie ręczki w gęste, jasne włosy, zwijające się naturalnie, któremi czoło i policzki były w części zasłonięte. Około kanapy pełzało po brudnej podłodze trzyletnie dziecko, brudną też okryte koszulką, z rączkami czarnymi od kurzu, z twarzą podrapaną przez kota, i płacząc głośno ciągnęło za sukienkę chorą na kanapie siedzącą siostrzyczkę, która wszelako żadnej na to nie zdawała się zwracać uwagi.

Przykry i smutny widok przedstawiały te dzieci zaniedbane, nieschludne, samopas widocznie puszczone.

Pani Apolonja wszedłszy zamknęła drzwi z trzaskiem, nie ustępującym w sile owemu niedawno stuknięciu drzwi od kuchni.

Na widok jej najstarsza dziewczynka powstała z wolna przy oknie, chłopcy zaniechali bójki i puścili z rąk kota; chore dziecko nie zmieniło postawy, a najmłodszy chłopczyzna przestał ciągnąć siostrzyczkę za suknię, i wlaźszy pośpiesznie pod stół, przysiadł, i wytrzeszczył na wchodzącą przestraszone oczy:

— Gdzie ojciec, Michasiu? zawołała od progu p. Apolonja; a głos jej nie miał tutaj tego pokorno-nabożnego dźwięku z jakim mówiła między ludźmi; przeciwnie, brzmiał ostro i gniewliwie.

— Wyszedł kiedy mama wchodziła, — odparła zapytana najstarsza dziewczynka.

— Uciekł od mamy! zawołał starszy dziesięcioletni chłopak, i zaśmiał się na całe gardło, junacko ujmując się pod boki.

— Milcz błaznie! krzyknęła przystępując do niego p. Apolonja.

— Ha, ha, ha, śmiał się coraz mocniej chłopak; dlaczego ja mam milczeć, kiedy to prawda! Jak mama w jedne drzwi, to papo w drugie! i to tak zawsze! Mama jednymi drzwiami: bach! a papo drugimi drzwiami: bach! cha, cha, cha, cha!

— Będziesz ty milczał, rozpustniku jakiś! krzyknęła w coraz większą złość wpadając matka, i porwała chłopca za ucho.

— Aj aj aj! aj aj aj! wrzeszczał synek chwytając ją za rękę i tupiąc z całej siły nogami.

— Mamo! główka mię boli! jęknęło boleśnie chore dziecko, skurczone na kanapie; ale jęk ten zagłuszyły krzyki najmłodszego, które wylazło z pod stołu i wołało z płaczem.

— Jeść! jeść! Mamo! jeść!

— A to skaranie boże z temi przekłętymi dzieciakami! zawołała p. Apolonja, której nos rozkwitł najpiękniejszą purpurą, jak zwykle gdy była czemś silnie poruszoną. Michasiu! czemu nie nakarmiłaś dzieci kiedy mnie w domu nie było?

— Nie miałam im co dać na śniadanie, tłumaczyła się Michasia; mama wyszła z domu bardzo rano i nic nie zostawiła; Zośka także poszła sobie na miasto, i dotąd nie wróciła. Dziś nic nie jedliśmy wszyscy, i papo nic nie jadł...

— Papo dziś był pijany! zachichotał młodszy chłopiec; ale wnet umilkł, bo mu starsza siostra pogroziła nieznacznie paluszkami.

— Nie jedliśmy! nie jedliśmy! wołała p. Apolonja, już to wy zawsze takie żarłoki przebrzydłe! Powyjadacie wszystko co tylko jest w domu, a potem krzyczycie znowu — jeść! jeść! A co ja wam dam jeść! Czy nie widzicie że jesteśmy biedni! Ojciec całą pensję przepija!

— Ojciec pijak! ojciec głupiec! zachichotał znowu młodszy chłopak; ale chora siostrzyczka skurczona na kanapie zawołała nagle:

— Olesiu! nie wymawiaj takich słów na ojca! Ojciec dobry! ojciec biedny!

W błękitnych wielkich oczach jej zakręciła się łza; ale wnet pochwyciła się za główkę obu rączkami, i jęknęła:

— Główka mię boli! boli! boli!

Po twarzy Michasia rozlał się wielki, przejmujący smutek. Pogroziła raz jeszcze paluszkami braciszki, który lał ojca, i rzekła do matki:

— Mamo! Andzia bardzo chora! głowa ją boli ciągle; w nocy miała gorączkę!

— A co ja jej poradzę? ofuknęła p. Apolonja; na doktora pieniędzy niema! wicie dobrze że ojciec wszystkie przepija!

Z temi słowami weszła do drugiej stancji, i drzwi za sobą zamknęła. Po jej wyjściu gwar dzieci wzmógł się na nowo; kot znowu zaczął miauczyć w rękach dwóch malców, Michasia napominała braci, chora dziewczynka jęczała, a najmłodsze dziecko wrzeszczało siedząc pod stołem.

Tymczasem p. Apolonja wszedłszy do sypialni, pokładła na stole pakunki, któremi była obciążona; potem przyklękła przed ołtarzem, przeżegnała się parę razy i zmówiła pacierz. Skończywszy modlitwę rozwinęła z papierów butelkę wina, ser, wędlinę i parę białych bułek, i poszukawszy noża w szafeczce stojącej przy ścianie, szybko i łakomie poczęła pożywać bułkę z szynką.

Gwar dzieci nie ustawał; krzyk dwóch chłopców i jęk chorej dziewczynki przemagany był płaczącym wołaniem najmłodszego dziecka.

— Jeść! jeść! jeść!

Pani Apolonja przestała na chwilę poruszać ustami, z nożem w jednym ręku, a kawałem sera holenderskiego w drugim zamyśliła się.

— Dać może kawałek bułki temu dzieciakowi? szepnęła do siebie.

Myślała jeszcze chwilę; potem położyła na stole nóż i jedzenie, i zaczęła liczyć na palcach, mówiąc do siebie półgłosem.

— *Pierwsze pycha, drugie łakomstwo, trzecie gniew, czwarte nieczystość, piąte obżarstwo.*

Zatrzymała się, i podniosła w górę wskazujący palec.

— Otóż to, rzekła, obżarstwo! jeden z grzechów głównych! jak będę dzieciom dawała łakocie, to je przyuczę do obżarstwa! Nie potrzeba! Przyjdzie Zośka i zgotuje im krupniku, albo zacierki! Niech trochę poczekają!

Włożyła w usta jeszcze jeden kęs sera i bułki, wyjęła korek z butelki, wychyliła parę haustów wina; poczem zawinawszy starannie wszystkie prowizje w papier, schowała je pomiędzy piernat i poduszki swego łóżka.

— No, rzekła, teraz czas iść na nieszpory! Wołałabym wprawdzie zasnąć trochę, bo jakoś zmęczoną się czuję! Ale cóżby to powiedzieli ludzie, gdyby mnie na nieszporach nie ujrzeli! mnie! Nie mogę przecie psuć sobie reputacji!

Mówiąc to, kładła na głowę kapelusz zdjęty przy wejściu, i zawiązywała pod brodą fioletowe wstążki.

— Potem pójdę do tego Pawła, mówiła znowu do siebie, i tej różowej trzpiotce, co to takie piękne bajki o starych czaplach układa, postawię dobrego stołeczka! Potem na herbacie będę u Rokowiczów...

W tej chwili dały się słyszeć zdala dzwony kościelne.

— Ot masz tobie! już dzwonią! mogę się jeszcze spóźnić!

Porwała Złoty Ołtarzyk, wsunęła go do kieszeni czarnej sukni, okręciła na rękę różaniec, który była zdjęła przed jedzeniem, i wyszła z sypialni do pierwszego pokoju.

Znalazła tam Michasię siedzącą pod oknem jak wprzód, z brodą opartą na dłoni; tylko że przed nią leżała tym razem podarta jakaś książeczka, po której wierszach zwolna przesuwali się smutne oczy dziewczęcia. Chłopcy przestali nareszcie bić się i męczyć kota; przykucnęli na krzesłach pod drugim oknem, bezmyślnie patrząc przed siebie; chore dziecko jęczało ciągle, a najmłodsze wołało z pod stołu: jeść!

— Michasiu! rzekła p. Apolonja przechodząc przez pokój, pilnuj dzieci, a jak Zośka przyjdzie z miasta, powiedz żeby wam zgotowała krupniku albo zacierki; krupy i mąka są u niej!

To mówiąc wyszła, a jeszcze drzwi nie zamknęły się za nią, gdy starszy chłopak porwał się z miejsca, przyłożył wielki palec do swego nosa, drwiącym gestem rozstawił resztę palców, i w całej długości wywiesił jej za plecami język.

Michasia nie widziała tego gestu brata, powstała od okna, zbliżyła się do chorej siostrzyczki, i uklękła przed nią na podłodze.

— Andziu! wyrzekła pieszczotliwie, przyciągając ją do siebie; czy bardzo cię główka boli?

— Bardzo, Michasiu, bardzo! jęknęło dziecko tuląc się do siostry.

Oczy dziewczęcia były łez pełne.

— Biedna siostrzyczka moja! biedna dziecina! mówiła zcicha; główkę Andzi położyła na swej piersi, i pocałowała ją w czoło i w oczy.

— Michasiu, mówiło dziecinnie słabym i przerywanym głosem; czy wszystkie dzieci takie nieszczęśliwe jak my? Ojciec dobry, ale na krótko przychodzi do domu, i jak tylko mama idzie, ucieka od nas! A mama nigdy nie pocałuje nas! Rzadko ją widzimy! Zośka nas szturcha i łaje! Jeść nam nigdy zgotować nie chce! Michasiu, czy wszystkie dzieci takie nieszczęśliwe? Jeżeli tak to ja nie chcę być dzieckiem! Niech mię Bozia do siebie zabierze!

Umilkła i jęknęła. Michasia nic nie odpowiadała tylko płakała pocichu, a łzy jej rzęsiście płynęły pomiędzy kędziory małej siostry.

Tymczasem dwaj chłopcy skradali się pocichu do sypialni.

— Ona tam gdzieś schowała to co przyniosła z miasta — mówił najstarszy.

— Aha! przerwał młodszy, widziałem że ser wyglądał z papieru...

— A ja widziałem bułkę...

— Chodźmy, poszukajmy! ona to gdzieś tam schowała...

I oba malcy weszli do przyległej izby. Po chwili dał się słyszeć krzyk.

— To moje! to moje! ja znalazłem!

— Dawaj mi ser! bierz sobie szynkę!

— Bułka moja!

— Otóż moja!

— Podzielmy się?

— Nie chcę! wezmę sobie całą!

I wrzawa powstała wielka, słychać było tupanie nogami i szamotanie się dwóch chłopców.

Michasia ostróżnie usunęła od siebie siostrzyczkę, pobiegła do przyległego pokoju, i ujrzała braciszków wodzących się za łby obok matczynego łóżka. Wyrywali sobie wzajem bułkę i ser. Butelka leżała obok nich na ziemi, a wino się rozlało, i szynka pokrajana rozleciała się po podłodze.

— Olesiu! Stasiu! wstydzicie się, co robicie! wołała Michasia rozłączając dwóch zapaśników i odbierając im ser i bułki.

— To moja bułka! Jeść mi się chce! wołał Oleś.

— Ja też głodny! wtórował Staś; to mój ser!

— Gdzieżeście to znaleźli? pytała Michasia strojąc poważną i surową minkę, choć i sama nie mogła oderwać zgłodniałych oczu od smacznego jada, które trzymała w ręku.

— Mama schowała między poduszkami, a my znaleźliśmy i będziemy jedli! Dla czego ona ma tylko jeść!

— Nie będziecie tego jedli, wymówiła Michasia, owijając w papier prowizję, i chowając je znowu między poduszki; nie będziecie tego jedli, bo to nie wasze; bo wam tego nie dano. A kto bierze to co do niego nie należy, ten nazywa się złodziej. Czy chcecie być złodziejami?

— Złodziejami? powtórzyli oba chłopcy razem, i w pół przelęknione, w pół gniewne oczy wlepili w siostrę.

— Tak, złodziejami! powtórzyła, to jest takimi, którymi wszyscy gardzą, których biorą do więzienia, a potem wieszają na szubienicy... Idźcie ztąd! Wzięła za ręce obu malców, wyprowadziła ich z sypialni, i drzwi za sobą zamknęła. Potem usiadła znowu pod oknem, postawiła obu braci przed sobą, i gładząc ich z kolei po twarzach mówiła:

— Trzeba być cierpliwymi, moi drodzy; trzeba być cierpliwymi! Zośka przyjdzie zaraz, to wam zgotuje jedzenie, a tymczasem usiądźcie tu przy mnie, i poczytamy trochę razem...

Starszy chłopak nadąsaną miał minę; wyraźnie jednak siostra posiadała nad nim wpływ wielki, bo usiadł naprzeciw niej na krześle, i markotnie podparł brodę pięścią. Młodszemu zaś kręciły się łzy w oczach. Objął szyję siostry i rzekł żałośliwie:

— Ależ Michasiu, mnie się jeść strasznie chce!

— Zaczekaj póki Zośka nie przyjdzie, pocieszała Michasia; a tymczasem poczytaj zemną, to zapomnisz trochę o głodzie...

Otworzyła książeczkę podartą, i głośno czytać zaczęła jakąś tłumaczoną na polski bajkę Lafontena. Młodszy chłopak nie spuszczał z niej oka; wyraźnie zajęła go bajka o lisie i wronie, może dla tego, że była w niej mowa o serze; ale starszy marszczył czoło, nadymał usta, czochrał ręką włosy, nakoniec gwizdać zaczął.

— Olesiu! ty nie słuchasz tej ładnej bajeczki? rzekła Michasia podnosząc na brata poważne oczy.

— Co mi tam bajeczka! zawołał Oleś tupiąc nogą i pięścią uderzając o okno. Ja głodny jak pies, a ty mi tam bajeczki czytasz, i chcesz żebym słuchał! wołę już iść na ulicę i bawić się z tymi chłopcami co po ulicach się włóczą! to weselej! A jak będzie jaki pan przechodził, to go o kilka groszy poproszę, i bułkę sobie kupię!

To mówiąc zerwał się rezolutnie, i miał się ku wyjściu.

Michasia załapała się rumieńcem; przestraszona odmalowała się na jej twarzy.

— Olesiu! zawołała, to ty chcesz zostać ulicznikiem i żebrakiem! Wstydz się!

— Co mi tam! ofuknął chłopak; albo to ja nie taki chłopiec bez rodziców jak ulicznicy, albo nie taki głodny jak żebrak? Ojca nigdy niema w domu, i mamy nigdy niema w domu! A mama kiedy i przyjdzie to tylko za ucho pokręci albo szturchnie, i sama zajada w swoim pokoju różne dobre rzeczy, a nam nic nie daje, i znowu sobie idzie od nas! Co mi tam! będę ulicznikiem, i będę żebrakiem!

Michasi znowu łzy popłynęły po twarzy. Chwyliła brata za rękę i chciała mu coś powiedzieć, ale w tej samej chwili najmłodsze dziecko z pod stołu wypelzło, i czolgając się do niej na czworakach zawołało płacząc:

— Michasiu! daj jeść!

A mała Andzia chwyciła się za główkę obiema rączkami, i przechylając się z jednej strony na drugą jęczała.

— Aj! jak mnie główka boli! Michasiu! daj mi co, żeby mię tak główka nie bolała, albo niech mię już Bozia do siebie zabierze!

Michasia załamała rękę.

— Boże mój, Boże! zawołała z płaczem; co ja im zrobię? Jak ja im wszystkim poradzę?

Na ten jej wykrzyk bolesny Oleś zatrzymał się u drzwi, i spuścił głowę, a Staś skoczył do siostry, objął ją i zawołał:

— Nie płacz, siostrzyczko, nie płacz! Już będziem bardzo grzeczni, tylko ty nie płacz!

Michasia stała na miejscu jak skamieniała; jasnowłosa jej głowa opadła na piersi, a po twarzy migotały różne myśli. Znać w dziecinnej jej główce coś działo się, i przerabiało.

— A, wiem co zrobię, wyrzekła po chwili, z determinacją podnosząc głowę; pójdę do tej pięknej pani w różowej sukni, którą kilka dni temu, pamiętacie, spotkaliśmy na ulicy, i która pytała mnie kto ja jestem, czemu mam taką bladą twarz i smutne oczy, a potem całowała mię i pieściła? Pójdę do niej, bo wiem gdzie ona mieszka, i poproszę ją dla Andzi o lekarstwo, a dla was o jedzenie! Czy dobrze?

— Dobrze, dobrze! Michasiu, zawołali chłopcy.

— Ale trzeba abyście byli bardzo grzeczni gdy mnie nie będzie. Ty Olesiu, jako starszy, powinieneś pilnować resztę dzieci, żeby sobie co złego nie zrobiły. Widzisz, ja jestem najstarszą z was, i dla tego was wszystkich doglądam.

— Dobrze Michasiu, odpowiedział Oleś, który nagle spowaźniał; tylko nam jeść przynieś!

Michasia poszła do drugiego pokoju, i po chwili wyszła ztamtąd w zniszczonem ciemnem okryciu, i zmiętym słomianym kapelusiku.

Pocałowawszy Andzię w czoło, pogłaskawszy najmłodsze dziecko, i raz jeszcze poleciwszy Olesiu aby był grzeczny i resztę dzieci doglądał, szybko wybiegła na ulicę.

XV

Piękna pani w różowej sukni, o której mówiła najstarsza córka pani Apolonji, byłato Stasia Rumiańska. Szła ona przed kilku dniami ulicą, a za nią dreptało w podartem obuwiu dwoje dzieci: dziewczynka dwunastoletnia, i dziesięcioletni chłopczyk. Wypadkiem obejrzała się, i uderzyła ją blada i ładna, a nad wiek swój smutna i zamyślona twarzyczka dziewczynki. Obejrzała się więc drugi raz, trzeci i czwarty, i żywe zajęcie dzieckiem odmalowało się na jej twarzy, tembardziej że dwunastoletnia dziewczynka z trudnością i zmęczeniem zdawała

się postępować po nierównym chodniku, i półgłosem ale z wielką powagą napominała swawolnego brata, który idąc obok niej nadymał usta, marszczył czoło, pogwizdywał, — a rozswawoliwszy się próbował nastąpić nogą na ogon długiej różowej sukni idącej przed nimi Stasi. Z żywością cechującą ją zwykle, odwróciła się Stasia, i powstrzymawszy kroku, poszła tuż obok dwojga dzieci.

— Dokąd idziecie moje dzieci? spytała z zajęciem patrząc na ubogą odzież, i bladą twarzyczkę dziewczynki.

— Do apteki, po lekarstwo dla chorej siostrzyczki, odpowiedziało z nieśmiałością dziecko.

— Cóż jest waszej siostrzyczce? ponowiła pytanie Stasia z litością w głosie.

— Nie wiem, pani.

Stasia pomyślała: biedne jakieś dzieci; rodzice ich pewno w nędzy! i głośno spytała:

— Czy doktor odwiedza waszą chorą siostrę?

— Nie pani, odparła ośmielając się dziewczynka, mama mówi że na doktora pieniędzy nie ma.

— Bo papo je przepija wszystkie, dodał swawolny chłopak.

— Cicho, Olesiu, nie mów tego; napominała go siostra półgłosem.

— Jakże się nazywają wasi rodzice? spytała raz jeszcze Stasia, której litość i zajęcie wzrastały.

— Kuderscy, odpowiedziały dzieci jednogłośnie.

Stasia stanęła jakby piorunem rażona.

— Kuderscy! szepnęła do siebie; mój Boże, ależ oni wcale biedni nie są! Jak można tak zaniedbywać własne dzieci!

Poszła dalej ze smutkiem i oburzeniem na twarzy; dzieci szły obok przypatrując się jej ciekawie.

— Więc po jakież lekarstwo idziecie do apteki, skoro doktor nie widział waszej chorej siostry? spytała znowu Stasia po chwili.

— Żona stróża który pilnuje domu poradziła ziółka, i idziemy ich kupić w aptecę za dwa złote cośmy dziś od ojca dostali, odpowiedziała dziewczynka.

W tej chwili doszli do bramy jednej z większych kamienic; Stasia uprzejmie skinęła głową dzieciom, i już wejść miała w bramę, gdy nagle zwróciła się raz jeszcze do dziewczynki.

— Jak ci na imię mała? wyrzekła miękkiem głosem, i pogłaskała ją po twarzy.

— Michasia, odparło dziecię.

Dostała z kieszeni parę karmelków, i wcisnęła je w rękę dziewczynki. Chciała znowu odejść, i znowu nie odchodziła, tylko oczami łzą litości zaszłemi patrzyła na Michasię. Nagle objęła ją za szyję, przycisnęła głowę jej do piersi, i schyliwszy się pocałowała ją parę razy w blade czoło. Potem odwróciła się żywo, i zniknęła w bramie.

Michasia stała na chodniku, i długo patrzyła w bramę do której weszła piękna pani w różowej sukni. Dwie łzy płynęły po jej chudych policzkach; karmelki wypadły jej z ręki; czuła tylko na czole słodki i litościwy pocałunek nieznanym. Dzieciństwo jej ubiegało bez rodzicielskiej miłości i pieczy; łagodne obejście się z nią pięknej pani poruszyło ją do głębi, obudziło w jej sercu mnóstwo żalu i tęsknoty, ale zarazem i wdzięczności.

I byłaby Bóg wie jak długo stała tak przed bramą kamienicy, ze łzami płynącymi po policzkach, ze wzrokiem utkwionym w miejsce gdzie zniknęła różowa suknia nieznanym pani, gdyby ją był brat nie pociągnął za sukienkę, przypominając że pilno im do apteki.

Odeszła; ale odtąd ile razy wychodziła na ulicę, oglądała się czy nie zobaczy pani w różowej sukni; tęskno jej było do jej słodkiego pocałunku, i zatrzymywała się niekiedy przed bramą domu gdzie ją była z oczu straciła, i podnosiła głowę ku dwom oknom pierwszego piętra ozdobionym różową franką; bo zdawało się jej koniecznym, że tam musi mieszkać pani w różowej sukni. Raz nawet dojrzała chwilowo białą jej twarz, i złociste włosy za szybami okna.

Stasia mieszkała w istocie w kamienicy, do której weszła po spotkaniu się z dziećmi pani Apolonji, a okna ozdobione różowymi frankami należały do jej bawialnego saloniku.

Salonik ten oryginalny był i wesoły, jak ona sama. Obicie na ścianach miał białe z malowanymi wieńcami róż i zieleni; w trzech rogach pokoju stały zgrabne mahoniowe

kanapki; nad niemi, na wysokich podstawach, wznosiły się marmurowe popiersia sławnych poetów krajowych, a u stóp ich rozścielały się na gładko wywoskowanej posadzce kwieciste dywany. Przed każdą z kanapek stały zgrabne stoliczki przykrywane pięknymi serwetami domowej roboty; na każdym ze stoliczków było po jednej lampie osłoniętej ażurowym nakryciem z wycinanego delikatnie różowego papieru, a wkoło lamp leżały rozrzucone książki, albumy, dzienniki krajowe i zagraniczne, oraz stały plecione leciuchne koszyczki z pelą, jedwabiami, i tym podobnymi materiałami do robót kobiecych. W czwartym rogu pokoju był kominek żelazny, i obok niego ekran z wyszytym na kanwie bukietem róż. Naprzeciw okna stał fortepjan, i etażerka pełna nut, a nad fortepianem wisiał w szerokich ramach wielki obraz dobrego pędzla, przedstawiający jakąś wojenną scenę z dziejów ojczystych. Pomiedzy oknami zwierciadło górowało nad brązowym zegarem, postawionym na konsoli między dwoma wielkimi bukietami świeżych kwiatów w dużych kubkach porcelanowych. Na oknach, między fałdami firanek z różowego adamaszku, kwitło kilkanaście roślin w wazonach. Pod ścianami zgrabne fotele i krzesła mahoniowe, różowym adamaszkiem także pokryte, ustawione były z symetrią i wdziękiem.

Salonik ten miał troje drzwi, z których jedno prowadziło do przedpokoju, przez drugie widać było pokój jadalny, czyściutki, z wielkim stołem jesionowym pośrodku, trzecie otwierały się do sypialni zacienionej zielonemi żaluzjami.

Śliczne to było mieszkanko, nie zbyt bogate i obszerne ale czyściuchne, pełne ładu i gustu; salonik mianowicie tchnął wesołością, i zalany był cały bladą różową barwą, jaka spływała z firanek i pokrycia na meblach. Nawet białe popiersia poetów różowiały lekko, zdawały się uśmiechać i drgać życiem, a kwiaty obicia wyglądały jakby tylko co zerwane z ogrodu lub pola, i w świeżych wieńcach po ścianach rozwieszona.

Śród tej różowej atmosfery, na jednej z kanapek siedziała Stasia, i pilnie szyła małą dziecinną sukienkę z białego żagnotu, ozdabiając ją delikatnymi koronkami. Ubrana była w białą suknię z różowymi ozdobami; gęste złociste loki osłaniały pochyloną jej nad robotą twarz; śród nich barwiło się kilka niedbale zatkniętych bławatków, gwoździków, i zielonych gałązek. Policzki młodej kobiety jaśniały świeżym i zdrowym rumieńcem, koralowe usta uśmiechały się na jakąś wesołą myśl, która niby promień przebiegała po białym gładkim czole. Przed nią na stoliku leżała książka otwarta, za nią wznosiło się białe popiersie sławnego poety, i zdawało się z przyjemnością spozierać na jej złotowłosą głowę.

Fortepjan był otwarty, a klawisze jakby drgały jeszcze niedawno wygrywaną na nich melodią; z jadalnej sali dochodził kiedy niekiedy świergot dwóch kanarków, skaczących w klatce zawieszzonej między zielenią mirtu i bluszczu.

Zegar brązowy wskazywał szóstą poobiednią godzinę. Stasia podniosła głowę, spojrzała na zegar, i szepnęła do siebie.

— Zaraz Polcio przyjdzie!

Potem zaczęła układać w koszyczku koronki, nici, igły i inne materiały któremi się posługiwała w robocie, a przytem zanuciła sobie półgłosem: „Rosła kalina w gaju zielonym...”

Dzwonek rozległ się w przedpokoju, Stasia poskoczyła, i w mgnieniu oka ze śmiechem i wykrzykami zawisła na szyi pana Pawła, który stanął w progu.

Ktoby widując przedtem pana Rumiańskiego tylko w towarzystwach, i między obcymi ludźmi, ujrzał go wchodzącego do siebie, do swego miłego domu, byłby mocno zdziwiony. Nie był to ten pan Paweł, suchy, milczący i apatyczny, jakim się zwykle przedstawiał za domem. Oczy jego jaśniały zadowoleniem, blada twarz drgała życiem, wążkie usta zdobiły się uśmiechem niewymownej czułości. Czy ożywił go w podobny sposób różowy blask, zapelniający salonik Stasi? Czy z jej dobrej, wesołej twarzy spłynął mu w serce i na twarz potok dobroci i młodego życia? Czy domowe bogi powiały nań tchnieniem szczęścia i rodzinnych radości? A może należał on do rzędu ludzi, którzy przeważnie żyją sercem i uczuciem; dla których świat cały to dom i rodzina; którzy między obcymi sobie wydając się ograniczonymi i tępymi, śród istot ukochanych rozjaśniają się miłością, rozgrzewają zapalem uczuć głębokich a rzewnych?

Pan Paweł przycisnął Stasię do piersi, i z niewypowiedzianą czułością ucałował jej rękę. Usiedli obok siebie na tej samej kanapie, gdzie przed chwilą sama jedna Stasia siedziała.

— Późno dziś przyszedłeś do domu, Polciu! zaszczebiotała młoda kobieta przesuwając białą dłoń po czole męża.

— Naczelnik zatrzymał mię dziś dłużej niż zwykle dla ważnej pracy, odpowiedział pan Paweł; inaczej pewniebym się nie spóźnił z powrotem do ciebie, mój śliczny aniele!

I poprawił jej we włosach parę zsuwających się na czoło bławatków.

— A ja tu tymczasem, mówiła Stasia, skończyłam sukienkę dla naszego Władysia. Patrz jaka ładna! Uszyłam ją sama caluteńką!

Wyjęła z koszyczka bluzkę dziecinną, istne arcydzieło wprawnych rąk kobiecych, i rozkładając ją pokazywała mężowi delikatny haft i misterne ozdoby roboty.

— Zobaczysz jak się to nasz Władek ustroi w przyszłą Niedzielę; a zrobiłam mu oprócz tego śliczniuchny czepeczek z różowemi wstążeczkami. Każę go piastunce nieść za nami, gdy pójdziemy na przechadzkę! Toż dopiero będę dumna z mojego syna!

Zaśmiała się srebrzysto i oczy jej płonęły szczęściem. Oczy pana Pawła śmiały się także szczęściem i miłością; objął ramieniem giętką kibić żony, i patrząc w jej twarz rozradowaną zapytał:

— I cóż więcej robiłaś w mojej nieobecności?

— Grałam, odrzekła Stasia; nauczyłam się już wybornie na pamięć tej pieśni Szuberta, którą ty tak lubisz; zagram ci ją wieczorem... Czytałam też trochę. Wskazała na książkę otwartą.

— Przeglądałam oto tę książkę, ale zobaczywszy że jest piękną i zajmującą, nie chciałam jej czytać sama: — postanowiłam sobie, że przeczytamy ją razem... Czy dobrze, Polciu?

— Dobrze mój aniele; będziemy nawet mogli czytać ją dziś wieczorem; bo całą resztę dnia dzisiejszego mam zupełnie swobodną.

— Doprawdy! O jakże to dobrze! zawołała Stasia; nie pójdziesz już nigdzie na miasto! Czy i do pisania w domu nic nie masz?

— Nic, moje życie!

— To dobrze, powtórzyła Stasia z zadowoleniem; cały więc wieczór przepędzimy we dwoje, i tylko Władzia przyjmujemy do naszego towarzystwa. Szarą godziną pogram ci na fortepianie, a potem jak światło podadzą, będę sobie szyła tę suknię, którą mi niedawno kupiłeś, a ty mi będziesz czytał głośno. Czy dobrze?

— Dobrze, dobrze, mój aniele; wszystko co czynisz, co mówisz i co chcesz, dobrem jest i ślicznem...

I znowu poprawiał kwiaty we włosach żony.

W tej chwili dało się słyszeć słabe i niewyraźne odzywanie się dziecka.

— Władek mój obudził się! Myślałam już nawet o tem, że śpi dziś zadługo! zawołała Stasia; porwała się z kanapki i poskoczyła żywo.

Po chwili wyszła z sypialni z kilkunastomiesięcznym dzieckiem na rękę, zaspanem nieco, ale białem, pulchniutkiem, o kędzierzawych jasnych włosach, i w białej czyściutkiej sukience. Usiadła z niem znowu obok męża z wielką powagą, układając rozrzucone śród snu włoski dzieciny.

Oczy p. Pawła podwójnego nabrały blasku; twarz jego podwójnem ożywiła się życiem. Pochylił się do dziecka, i zagadał doń językiem, jakim tylko ojcowie i matki mówić umieją. Dziecko zaśmiało się, wyciągnęło rączkę, i zaczęło ojca klepać po twarzy, chociaż coraz mocniej. Śmiechowi dziecka zawtórował śmiech młodej matki, i wywołał podobnyż na usta p. Pawła. Śmieli się uszczęśliwieni wszystko troje. Rodzice utkwili wzrok w twarzyczce dziecięcia; ono podskakiwało na kolanach Stasi, i obracając figlarnie główkę w stronę to matki to ojca, szczebiotało bez ustanku.

— Stasiu, rzekł p. Paweł po chwili ująwszy rękę żony; dziwnego zawsze doznaję uczucia, gdy z miasta do domu i do ciebie powracam. Tam między ludźmi czuję, że żyję na tym biednym padole, gdzie trzeba cierpieć i pracować i walczyć z przeciwnościami, i złe serca ludzkie napotykać; czuję słowem wszystkie niedogodne i przykre strony życia, tracę wesołość, mało rzeczy zajmuje mię żywo; czuję się onieśmiałym jakoś, obcym dla wszystkich i wszystkiego. Gdy zaś przestępuję próg domu, gdy wchodzę do naszego miłe-

go mieszkania, i oglądam ciebie i dziecko nasze, zdaje mi się że tam za progiem umarłem, skończyłem ziemskie życie, a za to żem żył uczciwie i pracowałem jak mogłem, dostaję się do raju... mnóstwo uczuć i myśli powstaje we mnie; szczęście przepelnia mię całego, i jestem pewny żem w niebie.

Stasia przerwała mu mowę pocałunkiem; twarz jej przy słowach męża promieniała radością i rozrzewnieniem.

— Dobry mój, pocziwy mój Polciu! zawołała; jakżem szczęśliwa przez to, że ty się czujesz tak szczęśliwym! O, bo i mnie tu błogo i spokojnie... Między ludźmi wesoło mi także, ale nigdzie tak dobrze jak w domu... Ciche życie i ciche szczęście... dodała szeptem prawie, a długi pocałunek złożyła na czole dziecka, które oparło główkę o jej piersi.

W przedpokoju ozwał się dzwonek. Dźwięk jego był cichy; można było odgadnąć, że pociągnęła go słaba jakaś i nieśmiała ręka.

— Ktoby to przychodził? rzekła Stasia; nie spodziewam się dziś żadnej wizyty. A ty Polciu?

— Ani ja; zresztą ktoś tak cicho i nieśmieie zadzwonił...

Zaledwie zamienili z sobą te wyrazy, gdy otworzyły się powoli drzwi przedpokoju, i na progu stanęła Michasia w swojej poplamionej sukience, podartych trzewikach i pomiętym słomianym kapelusiku.

Stanęła w progu i nie śmiała postąpić dalej; ręce opuściła na suknię, bladą twarzyczkę pochyliła nisko, a na jasnych długich jej rzęsach drgały łzy.

Stasia powstała z kanapki zdziwiona, ale zawsze z uśmiechem; oddała dziecę piastunce, która ukazała się we drzwiach sypialni, i zbliżyła się do dziewczynki.

— Co chcesz moja mała? spytała łagodnie, biorąc ją za rękę. Czy przyszłaś mię odwiedzić? Jakże się dowiedziałaś, gdzie mieszkam? Polciu, dodała zwracając się do męża, to córka p. Apolonji Kuderskiej; poznałyśmy się wypadkiem na ulicy.

Pan Paweł ze zdziwieniem patrzył na ubogą odzież i smutną minę córki p. Apolonji, którą spotykał we wszystkich wyborowych towarzystwach miasta i widywał nieraz rozdając obfite jałmużny ubogim pod kościołem lub na ulicy. Michasia zaś ośmielona słodkim głosem Stasi i uściśnieniem jej ręki, podniosła na nią smutne zażawione oczy, i rzekła cicho:

— Pani była taka dobra dla mnie, spotkawszy na ulicy; pani mnie pocałowała... Ja tego nigdy nie zapomnę... Pani mi się śniła kilka razy. Oto przyszłam teraz do pani... bo mię serce boli.

Stasia ze współczuciem patrzyła na dziewczynkę.

— I czegoż cię tak serduszko boli, moja droga? spytała pieszczotliwie, prowadząc ją za rękę do kanapki.

Michasia podniosła nagle rękę jej do ust, i całując ją załkała głośno.

— Przyszłam pani prosić, żeby mi pani dała jaką robotę... umiem trochę szyć, będę szyła... albo niech mię pani weźmie na usługę... będę służyć... będę wszystko robiła co pani każe... czy zamiatać, czy prac... czy prasować... Tylko proszę pani o jakie lekarstwo dla mojej chorej siostrzyczki, bo umrze... a jeszcze co do zjedzenia dla moich braci, bo się z nich zrobią włóczęgi i złodzieje...

Zaniosła się znowu od płaczu, przypadła do kolan Stasi i całowała jej ręce. Stasia i pan Paweł zamienili między sobą pełne zdumienia i smutku spojrzenie.

— Dziecko moje, rzekła młoda kobieta, przecież macie ojca i matkę! Gdzież oni są? Czemu nie myślą o siostrzyczce i braciach?

Żywy szkarłat oblał bladą twarzyczkę Michasi; spuściła głowę, i zaczęła mówić prędko, a bardzo cicho:

— O pani droga! My jesteśmy bardzo nieszczęśliwe dzieci! mamy rodziców, ale jesteśmy tak jakbyśmy ich wcale nie mieli... Prawdziwe z nas sieroty... Ja wiem że nie powinnam tego mówić... źle mówić o rodzicach to grzech;... ale serce mi pęka patrząc na moje biedne rodzeństwo; a kiedy przyszłam do pani po prośbie, toć już wszystko powiedzieć powinnam...

— Mów, mów, rzekła Stasia, tuląc rozplakane dziecko do piersi; ja przed nikim nie powtórzę tego, ci mi powiesz. Ale trzeba przecie abym wiedziała, co się z wami dzieje i jak wam pomódz...

Michasia otarła z łez oczy i śmieiej już mówiła.

— Jest nas pani pięcioro; ja najstarsza, bracia mają po lat dziesięć i ośm, Andzia ma lat pięć, a najmłodszy braciszek skończył niedawno rok trzeci.

Ojciec nasz bardzo dobry, ale bardzo nieszczęśliwy... Pamiętam, że jak byłam bardzo mała, wszyscy o nim mówili: to porządny i uczciwy człowiek! Ale mama kłóciła się z nim zawsze, dokuczala mu okropnie; w domu nieład był straszny, ojciec coraz częściej całe dnie przepędzał na mieście, a gdy był w domu, uciekał jak tylko posłyszał, że mama z miasta przychodzi. Pewnego dnia przyszedł chwiejąc się na nogach, bardzo czegoś rozgniewany, a tak niewyraźnie mówił, żeśmy go zrozumieć nie mogli... Zośka służąca powiedziała mi wtedy że ojciec był pijany...

Umilkła na chwilę; znowu rumieniec twarzy jej oblał i łzy zakręciły się w oczach. Otarła je i mówiła dalej, nie podnosząc oczu na Stasię.

— Z początku rzadko się zdarzało, żeby ojciec w takim stanie wracał do domu; ale potem coraz częściej to bywało, mama zaczęła więcej jeszcze kłócić się z nim; jak tylko zeszli się razem, wrzawa straszna była u nas, i nam się nieraz dostawał szturganiec... od mamy — bo ojciec nigdy żadnego z nas nie dotknął. Potem przestali się zupełnie widywać; bo jak tylko mama wchodzi jednymi drzwiami do mieszkania, ojciec zaraz drugimi ucieka, żeby jej nie widzieć... Mama nigdy prawie w domu nie bywa; ciągle w kościele albo u znajomych, a my sami jesteśmy zupełnie; bo i Zośka służąca po całych dniach na mieście siedzi, a kiedy przyjdzie, to bije nas i łaje... bardzo to zła dziewczyna...

— No, a jakże! — przerwała Stasia, cała zrumieniona od żalu i oburzenia; mówiłaś mi, że rodzeństwo twoje niema co jeść, a siostra umiera bez lekarstwa? Rodzice przecie nie ubodzy.

— Owszem, odparła Michasia, ojciec bardzo mało zarabia od czasu jak... i traci za domem; a mama odbiera mu resztę pieniędzy i rozdaje ubogim, albo kupuje sobie różne rzeczy, które zjada sama a chowa przed nami... Nam Zośka gotuje krupnik i zacierki, a kiedy nie przyjdzie cały dzień z miasta, to i cały dzień nic nie jemy... Mama o tem nie wie, bo wraca późno do domu od znajomych; a kiedy się nazajutrz skarżymy przed nią na Zośkę, łaje nas, albo ją, ale to nic nie pomaga, bo Zośka mamy nie słucha, i jak tylko mama wychodzi na miasto jednymi drzwiami, ona ucieka drugimi.

— To okropne! zawołała Stasia; a pan Paweł zerwał się i zaczął wzburzony chodzić po pokoju.

— I tak po całych dniach sami jesteście? dopytywała się dalej pani Rumiańska, i nie uczycie się niczego? i nikt was nie dogląda?

— Tak, pani, tak, zawołała Michasia, której rozzalenie wzrastało przy opowiadaniu swej biedy; zawsze jesteśmy sami i głodni i opuszczeni i niczego się nie uczymy! Mnie ojciec nauczył czytać parę lat temu, a ja uczę tego samego starszego brata; ale on nie chce się uczyć, bo mówi, że głód mu ciągle dokucza!

— Nieszczęśliwe dzieci! zawołali jednogłośnie państwo Rumiańscy.

— O, nieszczęśliwe, nieszczęśliwe z nas dzieci! załkała Michasia kryjąc twarz w obu dłoniach. Mnie o siebie nie idzie — jak podrosnę pójdę gdzie w służbę, ale serce mi pęka gdy patrzę na biedne moje rodzeństwo! Ach pani, ciągnęła dalej, odkrywając twarz łzami zalaną — mam siostrzyczkę Andzię; taka śliczna dziecina... kocham ją... mój Boże! ona chora a niema lekarstwa. Mama doktora sprowadzić do niej nie chce... Dziś nie mogłam wytrzymać patrząc na jej męki i na głód i na swawolę braci, i przybiegłam do pani...

Przypadła do kolan Stasi, i zawołała ze zdwojonym płaczem:

— Ratuj pani moją chorą siostrzyczkę... moich braci... pomóż nam jakkolwiek... nie wiem dla czego serce mi mówi, że pani jesteś aniołem dobroci, i zlitujesz się nad biednymi dziećmi. Ja pani za to całe życie służyc będę...

Oczy Stasi napelniły się łzami. Spojrzała pytająco na męża.

— Polciu! rzekła, co tu robić? jakim sposobem nieść ratunek tym nieszczęśliwym istotom? gdyby były sierotami! ale wdzierać się w prawa rodziców...

Pan Paweł stanął na środku pokoju, i zamyślił się.

— Radziłbym ci Stasiu, odpowiedział po chwili, żebyś poszła do nich, i zobaczyła sama co się tam dzieje. Jeśli tak jest w istocie jak ta mała opowiada, to każdy uczciwy człowiek śmiało może się wderać w prawa podobnych rodziców, i przeciwko nim samym bronić ich dzieci.

— O, dzięki ci panie! zawołała Michasia dziękczynnie składając ręce, a zwracając się z błaganem do Stasi dodała: o niech pani idzie za mną, niech pani zobaczy moje biedne rodzeństwo, jakie to wszystko mizerne, odarte i chore!.. Jak zobaczysz, zlitujesz się nad nami, i uczynisz dla nas cokolwiek! Niech nas dobrzy ludzie odbiorą od mamy, a pozwolą tylko ojca widywać czasem! będziemy im za to służyć całe życie, bylebyśmy tylko mogli uczyć się czegokolwiek, i nie mrzeć z głodu! O, chodź, chodź ze mną śliczna pani! dobry aniele mój! chodź! ty nas uratujesz!

Stasia powstała z litością i smutkiem na twarzy, ale widocznym było że sama nie wiedziała co ma uczynić.

— Michasiu! rzekła, ależ ja mogę spotkać u was waszą mamę! cóż ona powie gdy mię z tobą przychodzącą zobaczy?

— O, nie lękaj się pani tego, odparła żywo dziewczynka; mama poszła na nieszpory, potem przepędzi cały wieczór gdzie u znajomych, i do domu wróci późno w nocy, jak zazwyczaj. Niech państwo nawet nie mówią mamie żem tu była, i wszystko opowiedziała, bo strasznieby się na nas rozgniewała!

Stasia zdawała się jeszcze namyślać, ale wzrok jej upadł w tej chwili na świeżuchno ustrojonego i rumianego Władka, który wesoło bawił się na ręku piastunki stojącej w drzwiach sypialni. Łzy zakręciły się w jej oczach.

— Mój Boże! szepnęła, gdyby z mojem dzieckiem tak się działo. Pójdę! dodała głośno, i ze zwykłą sobie żywością poskoczyła do sypialni.

Po chwili wyszła ubrana. Pocałowała mimochodem Władka, uściśnęła rękę męża, i odedrzwiz jeszcze skinąwszy mu głową, wyszła z Michasią.

Pan Paweł stanął na środku pokoju, szeroko otworzył swoje blade ale poczciwe oczy, i kiwając głową z oburzeniem, wyrzekł.

— Otóż to pobożna i cnotliwa kobieta z tej Kuderskiej! a posłuchać tylko jak ciągle mówi o Bogu i cnocie, i popatrzyć jak żarliwie się modli i ubogim jałmużny rozdaje, gdy widzi że ludzie na nią patrzą! A dzieci mrą z głodu, i mąż rozpił się z rozpacz!

W wielkiem wzburzeniu i oburzeniu zaczął chodzić po pokoju, i nie uważał nawet że mały Władek wyciągał do niego rączkę.

XVI

Pan Paweł tedy z wielkiem wzburzeniem i oburzeniem chodził po pokoju, i nie spostrzegł że mały syn jego wyciągał rączyny, i nie posłyszał że w przedpokoju znowu odezwał się dzwonek. Nagle jednak stanął i podniósł głowę, bo otworzyły się drzwi, i w progu błysnęły dwa poślaczane krzyże, i zabrzmiał pokorny a pobożny głos kobiety:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Gdyby deska z sufitu oberwała się, i spadając uderzyła po głowie pana Pawła, nie byłaby go wprowadziła w taki stan moralnego osłupienia, jak wejście w tej chwili do mieszkania jego — pani Apolonji, tej samej kobiety, o której właśnie myślał ze zgrozą i gniewem. Stał jak wryty na miejscu, szeroko otworzył oczy, i ani myślał powitać wchodzącą choćby ukłonem.

Kuderska jednak nie dała się zderutować tą nieruchomością gospodarza domu; widując go zresztą zawsze tylko między obcymi mu ludźmi, wśród których najniekorzystniej się przedstawiał, przywykła go uważać za głupowatego i nieradnego człowieka, któremu nieśmiałość przeszkadzała nieraz znajdować się tak jak wypadło w danej okoliczności. I owszem, na widok komiczno osłupiałej jego postawy, tajemna radość błysnęła w jej oczach; i ktoby wtedy badawczo na nią patrzył, wyczytałby na jej twarzy myśl: „tem lepiej że on taki głupi, łatwiej uwierzy wszystkiemu co powiem, i dopnę mego celu!”

Radośno-złośliwa myśl ta szybko jednak przemknęła po jej nabożnie pochylonej twarzy, i Apolonja ze słodkim uśmiechem na ustach, z miodowym wyrazem w oczach, i krokiem niewydającym żadnego szelestu zbliżyła się do pana Pawła.

— Czy znajduję w domu kochaną panię Stanisławę? spytała słodkim głosem, podczas gdy oczy jej obiegały wszystkie kąty salonu, i zdawały się chcieć przedrzeć w głąb zaciemnionej sypialni.

Pan Paweł począł budzić się z odrętwienia.

— Żona moja wyszła na miasto, odpowiedział nie ruszając się jeszcze z miejsca na którym stał.

Apolonja brzęknęła okręconym na rękę różańcem w sposób bardzo radośny, który zdawał się mówić: „tem lepiej! tego się nawet i spodziewałam przychodząc tutaj.”

Potem rzekła głośno i ze zdziwieniem, którego ton łagodzony był pokorą, i pobożnością głosu.

— Mój Boże! jakaż to szkoda! tak pragnęłam zobaczyć kochaną, pocziwą panią Stanisławę! No, ale gdy się już tak stało, trzeba się zgodzić z wolą Pana Boga! Innym razem może znajdę ją w domu, a teraz pozwolił mi pan, drogi panie Pawle, odpocząć tu trochę, bo zmęczyłam się! Porządny to kawał drogi z kościoła do waszego mieszkania!

Rzekłszy to, podążyła ku jednej z kanapek.

Pan Paweł ocknął się już zupełnie z odrętwienia, w jakie go wprawiło jej przyjście; nie odzyskał jednak tego blasku oczów i ożywienia twarzy, jakie posiadał będąc ze Stasią sam na sam. Oddał pani Apolonji coś nakształt ukłonu, i zrobił gest mający znaczyć niby zaproszenie do zabrania miejsca na kanapce. Wszystko to jednak uczynił w milczeniu, i z niezmierną sztywnością. Pani Apolonja usiadła, i pan Paweł usiadł na niedaleko stojącym fotelu. Było kilka sekund milczenia.

Kuderska wydostała z kieszeni czarnej wełnianej sukni z za wpakowanego w nią Złotego Ołtarzyka chustkę niepewnej czystości, otarła nią twarz i czoło, i odchrząknęła parę razy. Potem zwróciła na pana Pawła oczy pełne słodyczy i miłości chrześcijańskiej, i zaczęła mówić:

— Mój Boże! jaka też to szkoda że nie znalazła w domu tej kochanej, ślicznej pani Stanisławy! ale bo też doprawdy trudno znaleźć ją w domu! ciągle widuję ją na mieście, to na ulicy, to w towarzystwach! Porywają, porywają ludzie tę śliczną istotkę! bo też istne z niej cacko! Ale co panu panie Pawle, to niemiło być musi że żona pańska zmuszona jest tak często wydalać się z domu? nieprawdaż?

Na to skierowane ku niemu pytanie pan Paweł zwrócił ku mówiącej oczy utkwione dotąd w przeciwległą ścianę, i zapytał najobojetniej w świecie:

— Co pani mówi? nie słyszałem.

Najbiegłęjszy fizjonomista nie mógłby odgadnąć czy pan Paweł w istocie nie słyszał, czy udawał że nie słyszał.

Na rękę Apolonji różaniec brzęknął, a brzęk ten wyraźnie mówił: „źle!” Westchnęła, i zaczęła z innej beczki.

— Mój Boże! prawda, jak też tu u was ślicznie i wesoło! jaki piękny salonik! musicie państwo żyć w wielkiej zgodzie i przykładowie chwalić Pana Boga! — widać to po wszystkim! Oj, nic tak Pana Boga nie chwali, jak zgodne i przykładowe małżeństwo!

Wyrazy te posłyszał już pan Paweł; dotknęły one najczulszej struny serca jego i umysłu. To też poruszył się na fotelu, i odpowiedział:

— Niezawodnie.

Różaniec na rękę pani Apolonji brzęknął w sposób radośny; właścicielka jego mówiła dalej:

— Mój Boże! ale jakże rzadko teraz widzieć można pary zgodne i żyjące w bojaźni Bożej! Świat teraz pełen jest próżności i obrazu Pana Boga! Często ludzie myślą się uważając się za szczęśliwych, a nie wiedzą, że grzech mają przy sobie, a nieszczęście za sobą. Boże! oświeć jednych, a upamiętaj innych!

Złożyła pobożnie ręce, i westchnęła parę razy. Potem mówiła znowu, a wymowa jej wzrastała w miarę jak pan Paweł z większą uwagą zdawał się ją słuchać.

— Niech mię Bóg broni i strzeże od obmowy albo odbierania sławy bliźniemu — ale co prawda to prawda! Teraźniejsze kobiety płocze są, zalotne, lekkomyślne; nie pamiętają o zbawieniu duszy, a gonią tylko za próżnością i grzechem. Na żadnej cnotę liczyć nie można! na żadnej!

Na ostatnie wyrazy położyła przycisk, i westchnęła.

— Nie sądzę aby tak źle było, jak pani mówi, odrzekł pan Paweł — i zapewne pomyślał o Stasi, bo oczy jego rozpromieniły się na chwilę.

— Oj tak, tak jest, kochany panie Pawle! jęknęła Apolonja brzękając różańcem. Nikt tak jak ja, nieboleje nad grzechami bliźnich i obrazą Pana Boga — ale co prawda to

prawda! Ot i panu, kochany panie Pawle, zdaje się że jesteś szczęśliwy, i że masz żonę która cię kocha i w bojaźni bożej żyje; a tymczasem...

Pan Paweł z niezwykłą sobie żywością obrócił się do pani Apolonji, do której dotąd siedział profilem, i wpatrzył w nią oczy, w których było zdziwienie i nieme pytanie. Ten ruch jego do najwyższego stopnia ośmielił i zachęcił panię Apolonję do dalszego mówienia w tym samym tonie. Tylko twarz jej stała się poważniejszą, uśmiech słodszy, i oczy bardziej miodowe.

— Nikt pewnie tak jak ja, nie kocha tej kochanej, ślicznej pani Stanisławy; duszębym moją za nią oddała, i sama nawet czuję, że grzeszę przywiązując tak do stworzenia serce, które całe powinno być oddane Stworzycielowi. Ale nie mogę nie widzieć... nie mogę nie widzieć...

— Czego? nagle rzucił pytanie pan Paweł głosem, który wiązał mu w gardle. Wyrazu twarzy jego nie mogła dojrzeć Apolonja, bo siedział plecami zwrócony do okna.

— Kochany panie Pawle, mówiła po kilku chwilach milczącego kiwania głową — wiesz przecie jak cię poważam; i któżby wreszcie nie poważał tak zacnego i dobrego człowieka? Wiesz o tem że znałam nieboszczkę matkę twoją (niech Bóg na tamtym świecie miłosiernym dla niej będzie), i że byłam z nią w przyjaznych stosunkach. Dla tych więc wszystkich powodów nie bierz mi za złe tego co powiem... Jestem kobietą która niczyjej zguby nie chce, a rano i wieczór prosi Pana Boga, aby ją od grzechu zachował... To też niech mię Bóg strzeże i broni od obmowy będącej największym grzechem... ale przez miłość bliźniego i dla uniknięcia obrazy Pana Boga, muszę cię ostrzedz kochany panie Pawle... twoja śliczna, kochana Stasia...

— Co? naglej jeszcze wymówił pan Paweł, i pochylał się połową postaci ku mówiącej, jakby chciał rzucić się na nią. W tej jednak postawie został jak skamieniały.

— Nie irytuj się, nie irytuj tak, kochany, zacny panie Pawle, wymówiła najśłodszym głosem Antyfona; chcę tylko ostrzedz cię dla własnego twego dobra... a to co powiem niech zostanie między nami najświętszą tajemnicą.

To mówiąc cichym, kocim ruchem przysunęła się do pana Pawła, oczy jej błysnęły i stały się zielone jak u kota, pochyliła się prawie do jego ucha, i kładąc dłoń na jego rękę szepnęła:

— Kochana, śliczna twoja Stasia nie kocha cię tak jak ci się to zdaje... miej ją na oku... Pan Spirydjon As kocha się w niej, i jestem pewna że mają z sobą...

Nie skończyła — bo pan Paweł odrzucił nagle rękę jej od siebie, niby gadzinę która go ukąsić chciała; powstał, wyprostował się i wymówił:

— Niech pani dalej nie mówi! bardzo proszę!

Głos jego stanowczy był i nieledwie rozkazujący, lubo czuć było, że wiązał mu w gardle.

— Ależ kochany panie Pawle, mam dowody... przekonam cię... zaczęła raz jeszcze Apolonja.

Lecz tym razem pan Paweł odstąpił od niej o parę kroków, i światło z okna padło mu prosto na twarz. Apolonja drgnęła, powstała, i cofnęła się także nieco — tak przelękną się widoku tej twarzy zwykle bladej i nieruchomej, a z której teraz buchał gniew, żal, oburzenie, pogarda.

— Milcz pani, zawołał pan Paweł; nie jesteś nawet godną obłudnemi swemi ustami wymawiać imienia mojej żony — tego anioła dobroci... tej ślicznej istoty, która nawet i w tej chwili jak prawdziwa chrześcijanka i zacna niewiasta, poszła do...

Zatrzymał się.

— O, nie mogę powiedzieć wszystkiego co wiem o pani, ciągnął dalej, wzrokiem pełnym pogardy patrząc na Apolonję; są pewne względy, które wstrzymują mię od powiedzenia pani wszystkiego co wiem o niej... Powiem tylko że jesteś obłudną, nieuczciwą kobietą; pokrywasz się nabożeństwem jak płaszczem, aby ludzie nie ujrzeli twego serca złego... Szarpiesz sławę bliźniego wymawiając wciąż imię Pana Boga, — dajesz jałmużny ubogim publicznie i modlisz się krzyżem leżąc przed ołtarzem — a najświętsze zaniedbujesz obowiązki...

— Panie! przerwała Apolonja, której twarz między fioletowemi wstążkami kapelusza zaczerwieniła tak jakby z niej wnet krew wytrysnąć miała; panie! krzyknęła brzękając z całej siły różańcem — mówić nie grzeczności kobiecie...

— Samaś je pani wyzwała na usta moje, odpowiedział pan Paweł miarkując się, i wracając do zwykłego sobie spokoju. Jak pani śmiałaś przyjść tu do mnie, i przedemną, przedemną lżyć kobietę którą kocham nad wszystko w świecie, która mi jest najlepszą żoną i najlepszą matką mego dziecka, która... Ah! czy pani ją znasz? nie! takie istoty jak pani, nie zdolne są patrzeć na takie istoty jak ona bez olśnienia, a zatem pojąć je i poznać... Ale ja ją znam! Ludzie powiadają, że niemam wiele rozumu... Wiem o tem, i może oni prawdę mówią; ale mam go jednak tyle, i tyle serca, abym mógł poznać i ocenić anioła, którego Bóg w niezmiernej dobroci swej postawił przy mnie, aby był radością moich oczów, światłością mego domu, mocą i pięknością mego życia!

Zatrzymał się owładnięty wzruszeniem. Pani Apolonja stała przed nim jak skamieniała sapiąc, ocierając twarz chustką, i brzęcząc różańcem.

Pan Paweł spuścił znowu na nią wzrok, który się był na chwilę lżą zamglił, i wyrzekł jeszcze:

— Prosto od ołtarzów przed którymi modliłaś się, szłaś pani tutaj z myślą zburzenia domowego spokoju dwojga ludzi, którzy się kochają. Nie pamiętając o własnych grzechach ośmieliłaś się spotwarzać kobietę czystą i zącną, przed człowiekiem, który jest jej mężem i dziecka jej ojcem... Czy pomyślałaś pani o tem, jak niezmierne nieszczęścia sprowadziłabyś na nas oboje, gdybym był dość zły i głupi aby ci uwierzyć?

— Kochany, drogi panie Pawle, przerwała pani Apolonja, która odzyskała już całą zimną krew, i cichym pokornym krokiem przystąpiła do męża Stasi; dziwię się doprawdy, że się nie poznałaś na żartach! Jakże mogłaś wziąć na serjo to co mówiłam? niech mię Bóg broni i strzeże od obmowy, a tembardziej abym podobne rzeczy miała mówić na serjo o tej kochanej, poczciwej Stasi, za którąbym duszę moję oddała! Ot, chciałam po prostu zażartować z ciebie, nastraszyć cię! przekonać się jakiego też Stasiulka ma męża! A pan to zaraz tak do serca przyjąłeś! Cha, cha, cha! godny, zacny z pana człowiek! Jutro zacnę na intencję waszego małego Władka nowennę odmawiać!

Mówiła to tak łagodnym głosem, zaśmiała się tak filuternie i dobrodusznie, i tak pobożnie poprawiła swój krzyż, który się jej wśród poprzedniego wzburzenia za nisko na piersi osunął, że pan Paweł zdretniał znowu ze zdumienia, otworzył szeroko oczy, i patrzył na nią osłupiały. Korzystając z tej chwili Apolonja pochwyciła rękę jego w swoje ręce odziane grubemi czarnemi i podartermi na końcach palców rękawiczkami, i wzdychając rzekła:

— Kochany, zacny panie Pawle, wierz mi, że oboje nie macie lepszej przyjaciółki nademnie! Modlę się za was codzień rano i wieczorem, a to co powiedziałam o Stasiulce, było żartem. Przebac mi że tak sobie zażartowałam! ot zwyczajnie, jak niemądra kobieta! Wszak nie gniewasz się, prawda? i Stasi kochanej o tem nie powiesz? bo mogłaby się także rozgniewać na mnie! A ja ją ślicznotkę drogą, tak kocham! No cóż? zgoda między nami? Przypomnij sobie panie Pawle słowa których nas nasz Pan Jezus Chrystus nauczył: „i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!”

Pan Paweł dretniał coraz bardziej, i coraz szerzej otwierał oczy. Pani Apolonja wyściła jego rękę z uścisku i dobrodusznie zawołała:

— Mój Boże! zagawędziłam się z tobą mój miły panie Pawle, i zapomniałam że mi do domu wracać trzeba. Do dzieci! do dzieci moich! kochane dziecieczki stęskniły się tam pewnie za mną. Bądź zdrow, panie Pawle, bądź zdrow! Uściskaj odemnie kochaną Stasiulkę! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Brzęknęła parę razy różańcem, krokiem nie czyniącym żadnego szelestu zbliżyła się do drzwi i zniknęła.

Pan Paweł pozostał jak przykuty do miejsca, z szeroko otwartymi oczami. Po chwili zwrócił osłupiały wzrok na drzwi którymi wyszła Apolonja, i podnosząc zwolna ramiona wymówił:

— A niechże ją djabli!... cóż za szkaradna obludnica!

Zaczął chodzić po pokoju szerokimi krokami, do czego mu wielce pomagały długie z natury jego nogi.

— Powiedzieć Stasi o całej tej niegodnej historii, czy nie powiedzieć? pytał siebie cichym szeptem. Powiedzieć, mówił dalej, to znaczy zmartwić ją; nie powiedzieć, to coś przed nią utaić! Nigdy jeszcze nie miałem przed nią żadnej tajemnicy, spaćbym i patrzeć jej prosto w oczy nie mógł! Eh! chyba powiem!

Zatrzymał się i myślał chwilę.

— Nie, chyba nie powiem, bo zmartwi się!... ale znowu dobrze aby wiedziała wszystko o tej Kuderskiej, i strzegła się jej języka!

Przymrużył oczy, oddalił ręce jedną od drugiej, i wyprostowawszy wskazujące palce, zaczął ciągnąć z ich pomocą kabalę.

— Powiedzieć, nie powiedzieć, powiedzieć, nie powiedzieć — powtórzył kilka razy.

Wskazujące palce zetknęły się przy wyrazie „powiedzieć.”

— Powiem, wyrzekł rezolutnie pan Paweł — w tej samej chwili otworzyły się drzwi i do salonu wbiegła Stasia.

XVII

Ładna twarz młodej kobiety mocno była zarumieniona, błękitne oczy jej błyszcząły bardzo i miały na sobie ślady łez. Rzuciła parasolik na pierwsze lepsze krzesło, i drżącymi rękami odwiązując wstążki kapelusza, zawołała:

— Ach, mój Polciu! co też ja tam widziałam! co widziałam! Jaki nieporządek, nieład i nieczystość w domu, jaka nędza i opuszczenie tych biednych dzieci! O! cóż to za nieszczęśliwe istoty!

Silnie wzruszona zdejmowała okrycie, i poprawiając przed lustrem rozrzucone włosy, mówiła ze zwykłą sobie żywością:

— Spotkałam tę Kuderską o kilkadziesiąt kroków od naszego mieszkania, i ledwie mogłam się powstrzymać aby jej nie wypowiedzieć całego mego oburzenia. Nie uczyniłam tego przez wzgląd na te biedne dzieci, któreby mogły przez to ucierpieć. Mówiła mi że była u nas, i że się z tobą o coś posprzeczała, ale nie powiedziała mi o co. Czyś się nie wygadał przypadkiem, Polciu? I wycalowała mię w dodatku w oba policzki... fi! nie lubię pocałunków od takich osób!

To mówiąc wyjęła z kieszeni chusteczkę, i otarła nią zrumienioną twarz, jakby z niej zetrzeć chciała ślady pocałunków kobiety, o której przekonała się że była złą matką. Zarazem odwróciła się od lustra, i spojrzała na stojącego w środku pokoju męża.

— Polciu! co tobie? zawołała podbiegając do niego, uderzona zapewne wyrazem niezwykłego wzruszenia jaki się malował na twarzy pana Pawła.

— Stasiu, mój aniele drogi! odpowiedział pan Paweł biorąc żonę w objęcia, ta kobieta śmiała spotwarzać cię przedemną... mówiła mi że pan As kocha się w tobie, a ty w nim...

Stasia wyrwała się z objęć męża, odskoczyła o parę kroków, i wpatrzyła się w niego wielkimi oczami. Na ruchomej jej twarzy zjawił się naprzód gniew, potem żal, potem figlarne błyski poczęły przebiegać po ustach, i nakoniec parsknęła głośnym, długim, srebrzystym śmiechem.

— Ach mój Boże! zawołała śród śmiechu, jakaż to zabawna kobieta! To dopiero wymyśliła niestworzoną historję! Wiesz Polciu? ona się tak zemścić chciała za moją bajkę o starej czapli; ale ja jej jeszcze dwadzieścia takich bajek powiem przy sposobności!

I śmiała się jeszcze, a coraz bardziej.

— Stasiu, ty się śmiejesz z takiej potwarzy! wyrzekł pan Paweł zdziwiony nieco.

Stasia zbliżyła się, położyła dłoń na jego rękę, i spoważniała nagle.

— Mój drogi, rzekła, prawdziwie uczciwą i kochającą swego męża kobietę nie gniewają, i nie smucą wymyślone na nią baśnie, ale tylko śmieszą i litość wzbudzają dla tych co je sieją. Wiara jaką ty masz we mnie, i sumienie moje spokojne, czynią mię nieprzystępną wszelkim potwarzom. Nie warto o tem myśleć ani mówić. Oto lepiej pomyślmy jak poradzić tym nieszczęsnym dzieciom, które dziwnym jakimś trafem, rządzeniem Opatrzności może, do nas udały się o pomoc w swej biedzie.

Usiadła na kanapce, pociągnęła męża aby usiadł przy niej, i długo, z przejęciem się, opowiadała mu o wszystkim co widziała w domu Kuderskiej.

— Nie idzie tu, mówiła kończąc opowiadanie, o przyniesienie biednym dzieciom jednorazowej pomocy. To już uczyniłam. Wychodząc od nich wzięłam z sobą Michasię, wstąpiłam do sklepu z wiktuałami, i nakupiłam różnych prowizji które im przez Michasię posłałam. Biedna dziewczyna uniesiona była radością, że rodzeństwo jej przez parę dni głodne nie będzie, i mówiła mi, że starannie wszystko co otrzymała odemnie ukryje przed matką, aby się nie dopytywała z kąd wzięły jadlo, i nie odkryła wszystkiego.

Potem wstąpiłam po drodze do żony doktora L., i prosiłam ją, aby gdy mąż jej wróci do domu, zobowiązała go odemnie do odwiedzenia, tak niby z jakiego wypadku, chorej dziewczynki. Jestem pewna że to uczyni, bo i dobry z niego człowiek, i z tobą Polciu jest w przyjaznych stosunkach. Ale wszystko to jest niedostateczne. Powtarzać często to co dziś uczyniłam, niepodobna, i na nicby się ostatecznie nie przydało. Oprócz pokarmu, dzieciom tym potrzeba jeszcze odzieży, zdrowszego pomieszkania, a co najwięcej, nauki i opieki. O ile oszczędzić mogłam, zdaje mi się że Kuderscy są rzeczywiście w niemożności starannego ich wychowania, lubo po części dobrowolnie; bo on traci za domem pieniądze na nieszczęśliwy nałóg, ona na jałmużny rozdawane w oczach ludzi. Zresztą słusznie powiedziałaś, kochany Pawle, że godzi się obcym, a uczciwym ludziom wdrzeć się w prawa tak złych i niedbałych rodziców jakimi są oni. Idzie tu o zachowanie nie tylko pięciu ciał ludzkich od cierpień fizycznych, ale pięciu dusz od ciemnoty i zepsucia, w które wpadną niezawodnie przy takim zaniedbaniu. Sądzę więc, że należałoby radykalnie i stanowczo zająć się wychowaniem tych dzieci, odbierając je nawet całkiem rodzicom — na co zresztą oni z pewnościąby się zgodzili, skoro jak widać ze wszystkiego, uważają swe dzieci za niepotrzebny i dokuczliwy ciężar. Nieprawdaż, Polciu? jak ty o tem myślisz, mój drogi?

Zadawszy to pytanie, umilkła Stasia, i patrzyła na męża niespokojnie. Pan Paweł zamyslił się głęboko.

— To prawda, wyrzekł po chwili, ale cóż tu poczyć, w jaki sposób ratować od zguby dzieci, które przecie mają rodziców.

— Otóż to! co tu poczyć? powtórzyła Stasia z zakłopotaniem; sami przecie nie możemy wziąć je wszystkie do siebie — bo ani nam funduszu starczy, aniby się też i Kuderscy zgodzili na to. Trzebaby, sądzą, wezwać kogoś do pomocy, zasięgnąć czyjejś rady.

— Ale czyjej? wymówił pan Paweł w zamyśleniu.

— Otóż to, czyjej? powtórzyła Stasia, i oboje mocno się zamyslili.

Nagle pan Paweł podniósł głowę z wyrazem tryumfu.

— Stasiu! zawołał, trzeba o wszystkim opowiedzieć panu Edwardowi Gaczyckiemu...

Przerwała mu Stasia radośnem w ręce klaśnięciem.

— To prawda, to prawda! on taki bogaty...

— I taki szlachetny...

— I taki rozumny, dodała młoda kobieta; jestem pewna że znajdzie radę na wszystko! Polciu! zkąd ci też on do głowy przyszedł...

— Bardzo po prostu, odpowiedział pan Paweł; przebiegałem myślą wszystkich naszych znajomych, szukając człowieka któryby zdolnym był do dobrego czynu, i pomyślałem o Gaczyckim...

Stasia pełen czułości wzrok zatrzymała na mężu.

— Polciu, wymówiła, jak ty umiesz poznawać ludzi! Pan Paweł uśmiechnął się swoim dobrym poczciwym uśmiechem.

— Widzisz moja Stasiu, rzekł, gdy znajduję się między ludźmi, najczęściej milczę, i rzadko odzywam się z mojem zdaniem, bo jakaś dziwna ogarnia mię nieśmiałość. Ale za to przypatruję się i przysłuchuję wszystkiemu daleko więcej, jak ci którzy wiele mówią. Ludzie też powiadają o mnie, że mało mam rozumu; może i mają słuszność — ale i ja także wiem o każdym z nich jakim jest, i czego wart...

— Mój Polciu, rzekła Stasia kładąc dłoń na ramieniu męża, ludzie nie mają słuszności że ty masz mało rozumu; tylko widzisz, jak bywa cnota prawdziwa i cnota na pokaz, tak też i rozum jeden błyszczący i świetniejszy na zewnątrz, w gruncie do niczego dobrego nie służący; a drugi zamyka się sobie cicho we własnem wnętrzu, i staje się niewidzialnym kierownikiem życia i czynności. Ty mój Polciu posiadasz ten drugi gatunek rozumu, który nie świetniejszy i nie błyszczący, ale czyni cię uczciwym człowiekiem za domem, a w domu miłym i dobrym członkiem rodziny.

Pan Paweł uśmiechnął się, pociągnął żonę do siebie, i rzekł:

— Moja Stasiu, ślicznie powiedziałaś, ale nie wszystko jeszcze. Mój rozum, to ty; dajesz mi go wraz ze szczęściem i spokojem domowym. Gdybym miał inną żonę, rozpiłbym się może jak Kuderski, albobym wpadł w zupełne odrętwienie umysłowe, do którego byłem skłonny nim zostałem twoim mężem.

Stasia chciała coś odpowiedzieć, ale zamknęła jej usta pocałunkiem. Uścisnęli się długo, serdecznie.

— Więc postanowionem zostało, rzekła po chwili Stasia, że powiemy o wszystkim panu Gaczyckiemu, i wezwiemy jego rady i pomocy w dziele ratowania pięciorga nie-
szczęśliwych dzieci.

— Tak, odpowiedział pan Paweł, jutro przed udaniem się do bióra pójdę do niego, i poproszę aby w poobiedniej porze przyszedł do nas. Ty mu sama najlepiej o wszystkim opowiesz.

Tymczasem zmierzchać się zaczęło. W sali jadalnej kipiał samowar, a około dużego jesionowego stołu kręciła się zgrabna służąca przygotowując wszystko do herbaty, i chodziła piastunka z małym Władkiem śmiejącym się, i szczebiocącym na jej rękę.

Stasia brzęknęła kluczykami które wydostała z kieszeni, wbiegła do sali jadalnej, i zaczęła gospodarować. Nalewała herbatę, podawała ją mężowi, poiła nią małego syna, przemawiała do pierwszego, szczebiotała z drugim. Biała suknia jej co moment powiewała około stołu, a pąsowe usta otwierały się uśmiechem. Nakoniec zamknęła cukiernicę i szafkę, włożyła do kieszeni kluczyki, i przeszła do salonu. Zapaliła sama lampę przed jedną z kanapek, wzięła syna z rąk piastunki, i całując go a śmiejąc się do niego, poniosła do sypialni.

Pan Paweł usiadł przy lampie, i przerzucił książkę. Po chwili z głębi sypialni doszło do uszu jego ciche stukanie poruszanej kolebki, i głos Stasi powoli i zcicha nucącej piosenkę do snu synowi.

Piosenka ta smętna, przeciągła, wychodziła z półciemnego pokoju, i płynęła do różowego saloniku, którego połowa w mrok też zapadała. Pan Paweł podniósł głowę i słuchał, a niewymowne poczucie szczęścia rozlewało się na jego twarzy. Białe posągi poetów wychylały się z cieniów, i z zachwytem a w zadumie zdawały się słuchać także pieśni młodej matki.

Umilkła pieśń, a po chwili w progu sypialni stanęła Stasia z koszykiem od roboty w rękę, z którego wyglądała różowa jedwabna materja.

— Usnął nasz Władysław, rzekła siadając obok męża, teraz już zupełnie należą do ciebie aż do końca wieczoru. Czytaj mi, a ja będę szyła swoją sukienkę.

Rozłożyła materję na kolanach, i nawlekała igłę różowym jedwabiem.

Pan Paweł otworzył książkę, i głośno czytał.

Czytał, a twarz jego coraz bardziej się ożywiła wyrazem pojęcia i uczucia. Stasia szyła pilnie, a na czole jej osiadło także zamyślenie skupionej uwagi.

Nagle przestała szyc i słuchać, podparła twarz ręką, zamyśliła się bardzo, i w oczach jej zakręciła się łza. Zdawałoby się że łzę tę w jej oku przeczuł pan Paweł, lubo czytał z wielkim zajęciem; oderwał wzrok od książki, i spojrzął na nią.

— Stasiu! co tobie? o czym tak zamyśliłaś się? zawołał.

— O tych biednych dzieciach Kuderskiej! odrzekła powoli Stasia.

Mąż spojrzął na nią z uwielbieniem.

— Nie martw się niemi, odpowiedział; jestem pewny że z pomocą pana Gaczyckiego urządzimy wszystko na ich korzyść. Ale powiedz mi, dodał po chwili, czyliż myśląc tak bardzo o dzieciach tych, i troszcząc się o nie, żadnego nie poczujesz żalu, żadnej urazy do matki ich, która pragnęła zachwiać twój domowy spokój? Jeśli odważyła się przedemną źle mówić o tobie, toć musi cię w dwójnasób ogadywać przed innymi?

Stasia zwróciła na niego łagodne swe zamyślane oczy.

— Polciu, rzekła spokojnie, czyliż dzieci winne są grzechów rodziców swoich, i odpowiadać za nie mają? Co do niej samej, czyliż przebaczyć jej nie powinnam? Wszak codziennie przy pacierzu mówię do Boga: „odpuść nam nasze winy, jak my odpuszczamy je naszym winowajcom.”

Milczeli chwilę oboje. Pan Paweł zamyślił się. Ostatnie słowa Stasi nasunęły mu może porównanie dwóch cnót, dwóch serc kobiecych, dwóch różnych sposobów pojmowania wiary Chrystusa.

I długo, późno w noc, dwa okna dwojga pocziwych ludzi, zdobne w różowe powłóczyte firanki, i słabo oświetlone płonąca w głębi mieszkania lampą, błyszczwały i migotały pomiędzy rzędami ciemnych i uśpionych okien otaczających domostw.

XVIII

Pani Starowska siedziała w swoim bawialnym pokoju, na swoim staroświeckim amarantowo obitym fotelu, obok otwartego okna, na którym zamiast okwitłych już bżów i jaśminów, rozkwitały pachnące groszki, rezeda i gwoździki. Między zielenią ogródka migotała błękitna sukienka chodzącej po ścieżce z książką w ręku Anielki; nad głową starej kobiety wśród fałdów białej firanki, świegotała para kanarków, a naprzeciw niej siedział Edward Gaczycki. Na twarzy poważnej niewiasty malował się smutek; spokojne oczy bogatego pana utkwione w nią były ze zwykłym im wyrazem obojętności, z za której przeglądał odcień ironji.

— Tak, szanowna pani, mówił ciągnąc rozpoczętą rozmowę; wiem że szlachetne serce pani musi doświadczać zdziwienia dowiadując się o rzeczach tak niskich, tak niezgodnych z naturą człowieczą. Co do mnie nie zdziwiłem się wcale usłyszawszy o tem wszystkim od pani Rumiańskiej. Niewiedząc szczegółów domowego życia pani Kuderskiej, które zresztą umie ona przed całym światem zręcznie pokrywać tajemnicą, wiedziałem z góry co o niej sądzić. Jeżeli bowiem klęczenie przed ołtarzami, i noszenie różańców na ręku łączy się w kimkolwiek ze skłonnością do szarpania sławy cudzej, i wystawianiem na pokaz własnej cnoty; to tworzy się z tego zawsze potworność moralna, której podstawą próżność i złość serca, i dla której granic w niegodnych postępkach naznaczyć niepodobna...

— Ja także, przerwała pani Starowska, nie miałam nigdy dobrego o tej kobiecie wyobrażenia, i towarzystwo jej znosiłam dla tego tylko, że mi je sama narzucała. Ale, słusznie pan rzekłeś, że tajemnicę swego domowego życia umiała ona chronić zawsze z niezmierną zręcznością. Udając ubogą nie zapraszała nikogo do domu swego, a sama była wszędzie przyjmowana i poważana, jako osoba pełna cnót i pobożności. Tymczasem jakichże strasznych dowiaduję się rzeczy!..

— Straszne są one w istocie, mówił Gaczycki. Kiedy mi wczoraj pani Rumiańska opowiadała o smutnych swych odwiedzinach w domu Kuderskich, przypomniałem sobie nagle — jak się często przypomina o rzeczach zapomnianych bo obojętnych — że samego Kuderskiego znałem niegdyś gdy był bardzo młodym. Przypominam sobie także iż był on ogólnie uważany za człowieka uczciwego, i niemałych zdolności umysłowych, ale słabego charakteru, i lubiącego przedewszystkiem ciszę domowego życia. Dla podobnych ludzi przymioty lub wady kobiety z którą się połączą, stanowią wszystko. Podczas gdy silny i hartowny człowiek oprze się ciosom domowych nieszczęść, i mimo nich pozostanie człowiekiem; wówczas słaby i cichy da się znękać, traci wolę i poryw do dobrego, głupieje albo wpada w złe nałogi. Ani wątpić, że nieszczęśliwy Kuderski, znajdując zawsze w domu nieład i kłótnię, straciwszy szacunek i przywiązanie dla kobiety z którą się połączył, uległ losowi słabych acz często uczciwych ludzi, i zginął marnie w nałogu, i niedbałości o wszystko. Pobożna więc pani Apolonja winna jest grzechu zaguby swego męża. Ale smutny ten fakt stał się już, i poradzić mu niepodobna. Inaczej z dziećmi — te ratować należy.

— Niezawodnie, koniecznie, przerwała pani Starowska.

— Od chwili gdy dowiedziałem się o ich materialnej i moralnej nędzy, mówił dalej Gaczycki, nie schodzą mi one z myśli. Pochodzi to zapewne stąd, że wzrost i wychowanie młodego pokolenia uważam za główną dźwignię naszego społeczeństwa; za pracę, która powinna być najważniejszą naszą troską — bo od jej rezultatów zależy powodzenie lub upadek spraw najdroższych naszemu sercu. Nie nad jednostkami cierpiąciami boleję, bo wiem że cierpienia i nędze niezbędnie są przywiązane do bytu ludzkości; i uważałbym za dzieciństwo lub marzycielstwo ronić lzy nad tem, że komuś bieda dokucza, skoro ta bieda musi być koniecznie czymś na świecie udziałem. Ale żal mi zawsze skarbów duchowych które marnują się w ludziach przez brak oświaty, i błędne kierowanie. I ze smutkiem patrzę jak zaniedbanie w wychowaniu młodych pokoleń, oddała szczęśliwszą przyszłość społeczeństwu, na którą przecie wszyscy uczciwi i rozsądni ludzie pracować winni. Dla tego też rzadko rozdam jałmużny któreby mogły doraźnie wesprzeć biednego, i na dni kilka zabezpieczyć go od głodu fizycznego — a cała usilność moja skierowana jest na wyszukiwanie tych, którymby mógł dostarczyć dobrodziejstwa oświaty. Dla tego także w całym potwornym fakcie zdarzonym z rodziną Kuderskich, najsmutniej uderzyło mię

moralne zaniedbanie ich dzieci, i bądź co bądź postanowiłem je z niego podźwignąć, a ku dopełnieniu tego przyszedłem dziś szanowna pani wezwać twjej pomocy...

Pani Starowolska skupiła całą uwagę na słowa gościa swego.

— Słucham cię łaskawy panie, rzekła z powagą.

— Spółka którąśmy z panią zawarli dla korzyści bliźniego, powinna teraz działać z całą mocą, z uśmiechem zaczął Gaczycki. Idzie o to, aby dzieci Kuderskiej wyzwolić ze złej rodzicielskiej opieki jaką mają teraz, a dać im lepszą, troskliwszą o ich terażniejsze i przyszłe dobro. Trudność cała w tem leży, aby się oni na to zgodzili...

— Co do niej, przerwała gospodyni domu, jestem pewna że zgodzi się z ochotą na oddanie z domu swych dzieci; przecie stanowią one dla niej ciężar, z którym się obejść nie umie; postępek zaś ten potrafi ona pokryć jak dotąd kryła wszystkie swe postęпки, pozorrem biedy, niedostatku, nieszczęśliwego nałogu męża, dbałości o zbawienie dusz swych dzieci, i t. d.

— I ja tak myślę; sądzę tylko, że nikt lepiej jak pani nie spełni posłannictwa przedstawienia tej kobiecie, aby przynajmniej w tym razie spełniła obowiązek matki, i zgodziła się na nasze żądanie.

— Uczynię to, i pewna jestem że mi się powiedzie; ale i cóż potem uczynimy z temi dziećmi?

— Dwóch starszych chłopców biorę na siebie. Oddam ich do szkół, i pokieruję każdego według zdolności jakie w nich dopatrzę; najmłodsze ofiarowali się wziąć na opiekę Rumiańscy, a dla dwóch pozostałych dziewcząt pomyślę o lokacji w której mogłyby się czegoś wyuczyć. Wyznam pani otwarcie, że podobne odbieranie rodzicom dzieci, nad któremi oni naturalną pieczę mieć winni, a zatem niby pobłażanie ich niedbalstwa, i zdejmowanie z bark ich ciężaru a wkładanie go na inne, sprzeciwia się wprost pojęciom moim o słuszności i prawidłom ekonomji społecznej. Ale niema reguły bez wyjątku, a zdaje mi się że rodzina Kuderskich do wyjątków należy. Niepodobna marzyć ani o stworzeniu w Kuderskim energii, której nigdy nie miał, a pochłonięty dziś upadającym nałogiem mniej mieć może niż kiedy; ani o poprawieniu jego żony. Drapieżne zwierzę, otwarcie wypowiadające wojnę człowiekowi, można ulaskawić i do pewnego stopnia uszlachetnić; ale pelzająca gadzina zawsze gadziną zostanie, bo wysłiznie się z ujęcia, i znienacka ukąsi rękę którą ją ugłaskać chciała. Gdy więc tak jest, czyliż biedne niewinne istoty mają być oddane na zagubę dla tego, że ojciec ich jest pijakiem a matka obłudnicą, i bez serca kobietą? — zdaje mi się że tak być nie powinno, a nawet jestem tego pewny — i w imię tej pewności postaram się wszelkimi siłami usunąć na stronę rodziców, którzy być nimi nie umieją, a ratować dla społeczności kilka zagrożonych jej członków.

— Masz pan zupełną słuszność, odparła pani Starowolska. Odrzucając, jak mówisz, prawidła ekonomji, rządysz się pan tym razem zasadami elementarnego, niemniej jednak chrześcijańskiego miłosierdzia.

Zamyśliła się, i dodała po chwili:

— Zdaje mi się że uczynię dobrze, jeśli wezmę do siebie najstarszą córkę Kuderskich, aby z niej i moja biedna Anielka miała towarzystwo. Dawno już o tem myślę że źle jest iż to dziecię hoduje się tak samotnie, ze mną tylko starą, bez odpowiedniej wiekowi swemu towarzyski.

Na te słowa Gaczycki dziwnie się uśmiechnął.

— Przypuszczam, rzekł, że Anielka nie długo zostanie u pani.

— Jakto! przerwała pani Starowolska, pan więc trwasz w przekonaniu że ojciec jej mógłby...

— Trwam w przekonaniu łaskawa pani, że gdy się tylko dowie o wszystkim, wróci opuszczonemu dziecku dach ojcowski, imię, majątek, a co najważniejsze serce i opiekę ojca.

Westchnęła pani Starowolska.

— A, smutno mi będzie bez tej dzieciny, do której szczerze się przywiązałam; niemniej jednak nigdybym nie czyniła żadnej przeszkody, gdyby...

Nie skończyła, i ze zwątpieniem pokiwała głową.

— Ale zdaje mi się że to być nie może, dodała; tacy ludzie jak *on* nie szukają ale unikają ciężarów, któreby przeszkodziły im czynić z życia ciągłą zabawę.

— Tacy ludzie, łaskawa pani powtórzył Gaczycki, gdy dochodzą do pewnego wieku, bywają znudzeni i przesyleni zabawą, i zaczynają szukać sobie zdrowszego, jędrniejszego celu egzystencji. W takiej właśnie fazie życia jest on.

— Być może! być może! odparła pani Starowska; bywają ludzie w których sercach leżą niezmiernie skarby dobroci i uczciwości, uszione i przysypane grubą warstwą niezdrowych naleciałości życia. Ale przychodzi pora w których okoliczności lub szczęśliwe natchnienia zmiatają ten pył naleciały w ich wnętrza, a to co leży pod spodem odzywa się, ożyje, i popycha ich do myśli i czynów, które lekceważyli wprzód. Daj Boże aby tak było w wypadku o którym mówimy. Moją Anielkę oczekiwałyby w takim razie świetna, a przynajmniej choć nie sieroca przyszłość.

Umilkli i zamyślili się oboje. Pan Edward pierwszy przerwał po kilku chwilach milczenie:

— Dziwnym zrządzeniem trafu w jednym przeciągu czasu, i bez udziału w tem mej woli, zbiegają się w mem ręku nici kilku tajemnic, a tajemnic dziwnie zręcznie ukrywanych przez osoby których są własnością. Nikt mniej odemnie nie zajmuje się sprawami swych bliźnich, a mimo to los zda się obrał mię za narzędzie, abym jeśli uznam to za potrzebne, mógł odkryć trzy obłudy, trzy cnoty zrzucić z piedestału, i pokazać ich nicotę a kłamstwo. I czy uwierzy pani, że klejnoty któreś mi pani przed kilku tygodniami powierzyć raczyła, stanowią jedną z tych tajemniczych nici, na których drga wielka nędra moralna, przykrywająca się płaszczkiem dumnej i wyniosłej cnoty!

— Czy być może? zawołała pani Starowska; mówiłeś mi pan żeś je sprzedał jednemu z bogatych tutejszych jubilerów.

— Tak, odpowiedział Gaczycki, i przypadkiem dowiedziałem się kto je od jubilera tego nabył, a potem zobaczyłem je na kimś, kto się bardzo rumienił, i mięszał i kłamał zapytany o nie przezemnie. A to wszystko połączone z innymi pobocznymi okolicznościami, stworzyło w oczach moich szereg faktów niemiłosierniej jasności, z której znowu występki wypełzały przedemną, i okrzyknął pewne bardzo dumne czoło, i w całej nagości ukazał mi serce, które świat za pełne szlachetnej dumy i cnoty uważa.

Pani Starowska z zajęciem lubo bez zbytnej ciekawości słuchała słów Gaczyckiego, który mówił dalej.

— Wiem, że tajemnica przypadkiem odkryta przez człowieka honoru, powinna być przez niego uszanowaną święcie. Ale w tym jak i w innych razach, bywają wyjątki. Jednym z takich wyjątków może być wypadek w którym te cnoty udane, te gadziny występkiwów pełzające w cieniach, szarpia, obalają na ziemię i kamienują prawdziwą niewinność, i prawdziwą cnotę. Wtedy pozwolono jest każdemu rzucić straszliwą prawdę w oczy obłudników i fałszerzy; wstydem oblać ich czoło, i obronić od zjadliwych ich żądań tych, którzy powinni by właściwie stać na ukradzionym obłudą tamtych piedestale. Nie mam bynajmniej pretensji do grania w świecie Donkiszotowskiej roli obrońcy uciśnionej niewinności, i nigdy się w to nie wdawałem. Przecież wiem o pewnej ślicznej istocie, czystej jak kryształ, zacnej, prawej grzeszącej tylko zbytciem może rozmarzeniem, mającym źródło w młodem i gorącym sercu, — a którą ci właśnie, których tajemnicę trzymam dziś w ręku, pragnę oblać cieniami jakie w piersiach swych noszą, rozszarpać, zhańbić w oczach świata, gubiąc przez to całą jej przyszłość może. Podoba mi się więc myśl, że w danej chwili będę mógł jak Nemezis stanąć przed tymi świętymi, którzy z błota świętość swą czerpią, i strącając ich z wysokości wynieść na nią tę, którąby oni w otchłani hańby zrzucić pragnęli.

Gdy Gaczycki wymawiał kilka ostatnich frazesów, czoło jego oblekło się chmurami, a w oczach tak obojętnych i poważnych zwykle, zapaliły się dwie żywe iskry uczucia. Przytem coś naksztalt smutku, naksztalt żalu przemknęło po jego twarzy. Powstał nagle jakby się obawiał powiedzieć więcej, ujął kapelusz, i żegnał gospodynię domu.

— Żegnam cię, i do widzenia łaskawy panie, mówiła powstając pani Starowska; jutro więc mówić będę z Kuderską w interesie jej dzieci. Odwiedźże mię kiedy zacny mój spółnik, choćby dla interesu naszej spółki, dodała z uśmiechem.

XIX

Do niezbyt wielkiego ale ładnego salonu pani Rodowskiej, wszedł pan Edward Gaczycki. Nikogo w salonie tym nie było. Fortepjan stał otwarty z mnóstwem rozrzuconych nut na pulpicie; po stołach leżały książki i dzienniki w nieładzie świadczącym, że się nie mi zajmowano. Pod oknem stał rejbret z rozpoczętym rysunkiem i wszystkimi doń przyrządami a na etażerkach i konsolach barwiły się i woniały wielkie bukiety astrów, georginij, lewkonij, a gdzieniegdzie i skromnych a wonnych polnych kwiatów.

Pan Gaczycki obejrzał się po tym cichym pokoju, w którym na każdym kroku znać było zamieszkujący go umysł światły, rękę czynną, i po którym zdawało się rozlewać tchnienie poetycznego jakiegoś serca, co sobie w tych czterech ścianach założyło siedlisko pracy i marzeń.

Obejrzał się dokoła, z kapeluszem w ręku stanął na środku pokoju, pochylił nieco głowę i wpadł w zamyślenie. W zamyśleniu tem wyniosłe czoło jego zasunęło się chmurą, usta straciły zwykły im wyraz zimnej powagi i delikatnego sarkazmu, a okrążył je smutek graniczący prawie z żędką a trzymaną na wodzy boleścią.

Szmer który go doszedł obudził go z zamyślenia. Spojrzał i zobaczył drzwi wpółotwarte od przyległego pokoju. Szmer który usłyszał z pokoju tego wychodził, i zdawał się być sprawionym szelestem stłumionego stąpania i powiewem lekkiej sukni muskającej posadzkę.

W mgnienu oka twarz Gaczyckiego przybrała właściwy mu obojętny a nieco dumny wyraz; postąpił kilka kroków ku drzwiom wpółotwartym, a dość głośno, aby dać wiedzieć o swem przybyciu miejscowym paniom, których obecność tam przypuszczał.

Wszakże nikt nie wyszedł na jego spotkanie — wyraźnie nie posłyszano go. Zdawał się być nieco zakłopotany, i już postąpił parę kroków ku drzwiom przyległego przedpokoju, zapewne aby przez służącego dowiedzieć się czy może widzieć panie domu, gdy w głębi pokoju o drzwiach wpółotwartych mignęła biała suknia, a zarazem odezwał się cichy i łagodny głos dziecięcy.

— Pani moja śliczna! aniele mój! chodź do mnie!

Gaczycki zatrzymał się na miejscu jak przykuty i spojrzenie jego przez drzwi półotwarte pobiegło do przyległego pokoju.

W głębi, pod ścianą, stało tam małe łóżeczko dziecinne, a na niem śród śnieżnej pościeli leżała blada i złotowłosa pięcioletnia dziewczynka. Leżała, ale nie zupełnie, bo podniosła się nieco na poduszkach i wspierając głowę na wychudłej małej rączynie, błękitnymi jak niebo, ale zapadłymi nieco i zwiększonymi wychudzeniem twarzy oczami, spoglądała w górę, na pochyloną nad nią twarz stojącej obok młodej panny. Była to Wanda, która stała nad chorem dziecięciem, w białą ubrana suknię; warkocze niedbale splecione opadały na jej ramiona, głowę pochyliła nisko, a dłoń złożyła na bladym czole uśmiechającej się do niej dziewczynki.

Zielona firanka przykrywała do połowy szerokie a jedyne okno pokoju, napelniając go półmrokiem; przez nieosłonięte szyby wdzierало się słabe światło, i różowy promień zachodzącego słońca wciskając się przez nie, ślizgał się wązką nicią po białej sukni i płowych warkoczach Wandy.

Gaczycki stał i patrzył. W wązkich ramach drzwi półotwartych, wyraźnie widział złotowłosą głowę małej dziewczynki o smutnym, cierpiącym licu; a obok niej smukłą postać Wandy i biały profil jej twarzy, o ustach okrążonych łagodnym uśmiechem, i spojrzeniu spuszczałym się ku chorej dziecinie.

W tem z innego jeszcze pokoju łączącego się z tym, który przytykał do salonu, ozwał się głos pani Rodowskiej:

— Wando! czy to Andzia się obudziła? zdaje mi się że jej głos posłyszala?

— Tak, mamu, odpowiedziała Wanda, zbudziła się biedna dziecina; zdaje mi się że jest zdrowsza — czoło ma mniej gorące.

I niżej jeszcze pochylając się nad dzieckiem, spytała dziwnie łagodnie i międko.

— Jakże się czujesz Andziu? czy główka nie tak boli?

— O, lepiej mi, lepiej! odrzekło słabym głosem dziecię, zupełnie nawet dobrze mi jest, i główka wcale już nie boli, i oddychać tak miło, tak lekko, jak gdyby mię już Bozia

do siebie zabrała... do tego rajy o którym mi opowiadała Michasia, w którym aniołki Boże w białych sukienkach noszą na ręku, całują i pieszczą biedne chore i płaczące dzieci...

Po pięknym profilu Wandy przemknął wyraz rozrzewnienia.

— Cicho Andziu, rzekła, dłoń przesuwając po włosach dziewczyny — nie mów tak wiele; doktor zabronił ci wiele mówić...

Ale dziecko nie zważało na tę słodką przestrożę, i mówiło dalej:

— Kiedy pierwszy raz obudziłam się tutaj, a spałam chyba długo... długo...

— Nie spałaś, moje dziecię, aleś była w gorączce, przerwała jej Wanda.

— Nie wiem pani; ale zdawało mi się że spała i gdym się obudziła, a zobaczyła ten śliczny pokój, kwiatki przy mojem łóżeczku, i poczuła że koło mnie tak cicho, spokojnie, byłam pewna że mię już Bozia do siebie zabrała, i że jestem w niebie... I tak mi było dobrze, — tak dobrze... żałowałam tylko mego biednego ojca, który na świecie został... Michasi i braciszków... ale... ale...

Uśmiechnęła się do Wandy uśmiechem pełnym promieni i dokończyła:

— Ale gdym ciebie pani zobaczyła w tej białej sukience, zdało mi się, że twoje włosy to promienie, i że ty sama jesteś jednym z tych aniołów Bożych, które w niebie noszą, całują i pocieszają biedne, chore jak ja dzieci... A kiedyś mię wzięła na ręce i pocałowała w czoło, to już nie żałowałam ani ojca, ani Michasi, ani braciszków, i pokochałam cię — tak pokochałam... bardzo...

Poniosła rękę Wandy do ust bladych, i okrywała ją, pocałunkami.

— Wando! ozwał się znowu głos pani Rodowskiej, nie pozwalaj Andzi tak wiele mówić, bo może znowu dostać gorączki.

Wanda odstąpiła parę kroków od łóżka ku stolikowi na którym stał wielki bukiet różowych astrów, wyjęła parę kwiatów z bukietu i podała je Andzi.

— Baw się dziecię kwiatkami, rzekła, a nie mów więcej, bo ci to zaszkodzi!

Potem naląła do szklanki trochę jakiegoś ochładzającego płynu i przyłożyła brzeg naczynia do ust chorej.

Andzia wypila kilka kropel, potem opuściła główkę na poduszki, a wychudłe rączki jej zaczęły obrywać z wolna listki astrów. Uśmiech słodki, łagodny, igrał po jej bladych usteczkach; aż gdy przymknęła oczy, astry z palców jej wypadły — i zasnęła.

Wanda patrzyła na nią ciągle spojrzeniem, w którym troskliwość łączyła się z czułością, potem odeszła do okna i zamyśliła się.

Zamyśliła się, a w oczach jej zagrał smutek niewypowiedziany. Podniosła rękę do czoła i westchnęła z głębi piersi.

Przez cały ten czas Gaczycki stał nieruchomo o kilka kroków od drzwi wpółotwartych, i nie spuszczał z oka sceny odbywającej się przed nim w głębi ocienionego pokoju.

Teraz dopiero przypatrując się jej zdaleka i niewidzialny mógł on dostrzedz zmianę jaką od pewnego czasu zaszła w twarzy Wandy. Cera jej przejrzysta zawsze i biała, przybrała żywszy koloryt, słabe rumieńce przebijały się z pod delikatnej tkanki, błękitne żyłki na skroniach pulsowały żywiej. Mimoto jednak policzki jej schudły nieco, i wielkie oczy zapadły trochę, a długie rzęsy spuszcających się co chwilę powiek, rzucały na jej lice nieokreślony cień smętnej rzewności i zadumy. Cała postać jej zresztą miała tę samą co i dawniej wiotkość i powagę ruchów; tylko, że ruchy te powolniejszymi jeszcze się stały. Patrząc na nie można by rzec, że piękna dziewczyna owiana była na jawie urokiem jakiegoś snu. Sen ten musiał być spokojny, ale zarazem smutny i tajemniczy, bo dziewczyna spokojna była i smutna nieco, i wiała od niej nieokreślona tajemniczość.

Dla czego oczy Gaczyckiego oderwać się nie mogły od lica i postaci Wandy? czemu obojętne zwykle, strzeliły teraz one błyskawicą wzruszenia, a na ustach jego zamiast dumy i sarkazmu, osiadł łagodny, rzewny uśmiech, niby odpowiadający łagodnej rzewności rozlanej na twarzy młodej panny?

Ktoby go widział w owej chwili, byłby bardzo zdumiony. Czy blada a obojętna twarz dumnego pana była maską, pod którą krył gorące acz hartowne serce? — czy Wanda posiadała niewidzialną moc wzbudzania w nim marzeń dawno zapomnianych, i uczuć od których na pozór wydawał się dalekim?

Stała przed oknem w pół przysłoniętem firanką, zamyślona, nieruchoma, z czołem opartem na dłoni; a promyk słońca różowy wnikał ciągle przez szyby, ślizgał się po sukni, i zdawał się całować jej warkocz.

Nagle drgnęła i odwróciła się, bo posłyszała za sobą głos mężki.

Pan Gaczycki stał w salonie o parę kroków od progu pokoju w którym była, z kape-
luszem w ręku, zimny i obojętny już jak zwykle.

— Dobry wieczór pani, mówił do niej z lekkim uśmiechem; przebac pani, że prze-
rywam jej zamyślenie, ale stoję już od kilku minut około progu tego, i czekam, aż będę
mógł zostać przyjętym przez panie domu.

Wanda uprzejmie postąpiła ku niemu, i wszedłszy do salonu podała mu rękę.

— Przebac pan, żeś czekał, wyrzekła z serdecznym uśmiechem; spodziewaliśmy się
nawet z mamą widzieć pana, bo przecie same prosiłyśmy go wczoraj, abyś nas odwiedził.
Ale służba nie oznajmiła nam pana przybycia sądząc zapewne, że się znajdujemy w salonie.
Tymczasem mama dziś trochę cierpiąca i nie opuszcza od rana swego pokoju, a ja byłam
w tej chwili zajęta naszą biedną Andzią.

Pan Gaczycki nie spuszczał wzroku z Wandy. Czy nie miał siły oderwać oczu od jej
twarzy? czy pragnął coś na niej wyczytać? Po chwili odezwał się:

— Ja także proszę panie o przebaczenie, i to za winę mocno wykraczającą przeciw
przyjętym towarzyskim formom. Od kwadransa może lub więcej stałem tu sam jeden,
i przez drzwi półotwarte przypatrywałem się staraniom jakimi pani otaczasz to biedne
chore dziecko.

Lekki rumieniec zabarwił policzki Wandy.

— Starania te są dla mnie bardzo miłe, odrzekła; dziecię to, które mając rodziców
może się zwać sierotą, wzbudza we mnie niezmiernie współczucie. Odkąd je mam u siebie
ciągle o niem myślę; mam cel każdego dnia i zajęcie każdej godziny. i szczerze wdzięczną
panu jestem, żeś je powierzył naszej opiece. Matka moja także się bardzo zajmuje chorą
dzieciną.

— O tem że matka pani zajmie się losem biednego dziecka, znając oddawna wielką
dobroć jej serca, nie wątpiłem ani na chwilę, przerwał Gaczycki; ale wyznam pani otwar-
cie, że nie przypuszczałem abyś pani tak młoda mogła żywo zainteresować się staraniami,
któreby wiele osób w jej wieku za uciążliwe uważało...

Wanda podniosła na niego zdziwione oczy.

— Dla czegożby mię to dziecię i starania około niego żywo zająć nie miały? odrze-
kła z prostotą. Wszakże nie ma na świecie większego zadowolenia, a nawet szczęścia,
jak uczynić komuś dobrze, ulżyć czyjemuś cierpieniu, sprawić komuś przyjemność, tem-
bardziej jeśli ten ktoś potrzebujący naszej pomocy jest biednym, niewinnem dzieckiem,
które nic jeszcze nie uczyniło złego a już cierpi.

— Poczucia te pani wzbudzają we mnie uwielbienie, wyrzekł Gaczycki.

Słowa te wydawały się w jego ustach zwyczajną tylko, a przez światowego człowieka
wygłoszoną grzecznością. Ukłon, który im towarzyszył był sztywny, a twarz została przy
nich obojętną. Tylko w oczach, w dalekiej głębi blado-błękitnych źrenic zapłonęły mu
żywo dwie srebrne iskiereki, zamigotały i znikły prędko. Iskierek tych nie dojrzała Wanda,
bo pan Edward siedział plecami zwrócony do okien; uśmiechnęła się więc tylko i odrzekła:

— Uwielbienie! to za wielki i zbyt brzmiaący doprawdy wyraz, dla tak prostego faktu,
jak przyjęcie w domu i otoczenie opieką nieszczęśliwego dziecka.

Gaczycki nic nie odpowiedział, ale dwie iskiereki w głębi oczów zapłonęły żywiej jeszcze
jak wprzód, i zwrócone ku twarzy Wandy długo nie gasły. Nie chciał może by je ona
ujrzała, bo powstał i zbliżył się do rysunku rozpiętego na rejsbrecie pod oknem.

Przedstawiał on krajobraz narysowany z natury wprawną i umiejętną ręką Wandy. Był
zupełnie prawie ukończony, i potrzebował tylko ostatecznych wycieniowań; a Gaczycki
poznał w nim owo miejsce w zamiejskim borze, w którym nad brzegiem parowu po
raz pierwszy Wanda w obec niego spotkała Augusta. Na rysunku była właśnie ta część
przepaści nad którą wtedy stali wszyscy troje; wysokie sosny powiewały wokoło, a na
przeciwległej stromej ścianie parowu, wśród grupy drzew i krzewów, widniał krzyżyk.

Niewiadomo dla czego, ale rysunek przypominający miejsce poznania się Wandy
z Augustem, widocznie przykro uderzył oczy pana Edwarda; bo odwrócił się i ujął książkę,
która otwarta leżała na pobliskim stole. Spojrzał na tytuł i rzekł.

— Jak widzę pani się trudni poważną literaturą.

— Tak, odpowiedziała Wanda; długo bardzo zajmowałam się samą pobieżną i lekką, ale od czasu gdy poznałam pana Przybyckiego, zaczęłam więcej pracować myślą. Przynosi mi książki, które sam czytuje, a niekiedy czytamy z nim razem.

Mówiła to z zupełnym spokojem, a jednak twarz jej powlekła się nagłym, ledwie dostrzegalnym rumieńcem, i różane wargi przy wymawianiu imienia Augusta zdrząły lekko.

Gaczycki nie spuszczał z niej badawczego wzroku, ale ona tego nie widziała, bo spuściła oczy.

— Grywamy też razem z panem Przybyckim, mówiła cichszym nieco głosem jak ten, którym rozmawiała wprzód; daje mi on nawet lekcje muzyki, i śmiało mogę powiedzieć, że zaczęłam dopiero pojmować sztukę w całej piękności jej i głębi, odkąd on mi w poznawaniu jej przewodniczy. Przytem uczy mię pan August czytać i mówić po włosku. Prześlicznyto język, pełen słodczy i śpiewnej harmonji.

Milczała chwilę, potem dodała:

— Jużto w ogóle od pewnego czasu czuję, że życie moje daleko więcej zapełnione jest niż dawniej; czas mi schodzi mniej bezużytecznie, mniej próżniaczo, a przez to czuję się daleko, daleko szczęśliwszą.

Niepodobna było z większą prawdą i dziecięcą niemal naiwnością słów tych wymówić; a jednak obok uśmiechu jaki im towarzyszył, nieokreślony, ale wyraźny smutek wybił się na twarz Wandy, niby kłam zadając jej słowom. Może było cień padający od rzęs spuszczonej oczów, albo od warkoczy, które się osuwały na czoło; ale dojrzały go badawcze oczy Gaczyckiego — po spokojnym jego czole przemknęła chmura. Milczał chwilę; zdawało się, że się zawahał z wyrzeczeniem jakiegoś słowa, które mu ta chmura przebiegająca po czole do myśli niosła. Ale trwało to krótko, i patrząc ciągle na Wandę, wyrzekł:

— Towarzystwo pana Augusta jest rzeczywiście bardzo miłem, i sądzę, że pani brak jego poczujesz, gdy pan Przybycki opuści X.

Słowa te wywarły na Wandę piorunujące wrażenie. Poprzedni leciuchny rumieniec zniknął nagle z jej twarzy — zbladła, i widać było że zdrząła.

Gaczycki nie spuszczał z niej wzroku, i gdyby nie firanka okna, która mu cień na twarz rzucała, możnaby było dojrzeć, jak nagła błądność Wandy odzwierciadliła się w nagle też pobladłem jego czole.

— Pan Przybycki opuści X.! wyrzekła po chwili panna — i można było dostrzedz jak przy tych wyrazach przezroczyta suknia jej podnosiła się od drżących a śpiesznych serca uderzeń. Czy pan Przybycki zamierza opuścić nasze miasto? powtórzyła wlepiając spojrzenie w przykrytą cieniem firanki twarz Gaczyckiego.

— Powinien to uczynić, odparł pan Edward; a w głosie jego zabrzmiała pewna surowość.

— Powinien! dla czego powinien? zawołała Wanda blednąc bardziej jeszcze — a we wzroku jej było zdumienie z przerażeniem graniczące.

Gaczycki milczał parę minut. Potem z właściwem sobie, obojętnem lubo pełnem wytworności zaniebdaniem ruchów, oparł się o poręcz fotelu, na którym siedział i rzekł:

— Pozwoli pani, abym zamiast bezpośredniej na jej pytanie odpowiedzi, powtórzył przed nią pewną powieść wschodnią, którą wyczytałem gdzieś, kiedyś, a która teraz dziwnym trafem na pamięć mi przyszła.

Wanda milczała zdziwiona, wzruszona, blada — Gaczycki mówił dalej:

— W Indjach Wschodnich, nad brzegami błękitnego Gangesu był las ogromny, gęsty, dziewiczy, pełen bogactw podzwrotnikowej natury, kwiecista, drzew wyniosłych, tęczowobarwnych motyli, zjadliwych węzów, śpiewających ptaków; wichrów, które szumiały w gęstwinach, bagnisk pokrytych pleśnią, i wód przezroczystych szerokiemi szymbami błyszczących wśród ciemnych głębi. W tym lesie rosła malwa żółta, pochylona, półzwiedła, a złośliwi bogowie leśni ożenili z nią złoty słońca promień, który światły, gorący i wesoły tylko co spłynął z niebios, i igrał swobodnie wśród puszczy zieleni. Promień smutny był przy ślubowinach, a po ślubowinach smutniejszy jeszcze: potem malwa zaczęła coraz bardziej więdnąć i usychać, a promień któremu leśni bogowie kazali nieustannie wic się i świecić koło niej, blednął też, tracił swe iskry złote, i zamiast jak dawniej igrać swobod-

nie w powietrzu i pod niebem, schylił się ku ziemi, i smutny pełzać po niskich trawach począł.

W tym samym lesie, niedaleko kwitła na zielonej zwieszona gałęzi wspaniała a śnieżna i wonna magnoljka. I ona także smutna była choć sama nie wiedziała dla czego; może dla tego, że nad nią zwieszały się szerokie liście palm, zakrywając jej niebo, a wkoło niej rosły same powoje drobne i słabe, albo niskie, bezbarwne kwiecie pełzało po ziemi, nie mogąc dosięgnąć wysokości na której kielich jej biały drżał, wyglądając nieznanego światła, za którym tęskno mu było.

Raz, ożeniony z żółtą malwą promień słoneczny blady i smutny, przesuwając się przez lasu gęstwiny i ujrzał białą magnolję. Prześliznął się koło niej i nagle odzyskał dawną światłość swoją, sygnął wkoło rojem iskier złotych, i rozpałił się szeroko niby płomień. Magnoljka ujrawszy światło za którym tęskniła, podniosła smutnie wprzód pochylony swój kielich, rozlała wkoło potok zdwojonej woni, a białosc jej rozpromieniła się także rojem iskier srebrnych.

Odtąd promień sypwał często na listki magnolji, ale zawsze na krótko, bo wracać musiał do żółtej zwiędłej malwy, nad którą nieustannie od rana do zmroku świecić mu kazali bogowie leśni.

Magnolji smutno było, że promień ciągle opuszczał ją musiał. Tęskniła i cierpiała zrazu trochę, i sama niewiedząc o tem że cierpi; potem więcej, potem jeszcze więcej, i bardzo i niezmiernie — aż od rdzy zgryzoty pociemniały jej listki srebrzyste. Zaczęła wędznąć, przestała woń wydawać, i wspaniały kielich swój pochyliła nisko.

Gdy raz stęskniona i rozboleła, kroplami rosy płakała wśród nocy, skarżąc się na dolę swą gwiazdom, które przeglądały przez liście palmowe, zobaczył ją w przelocie dobry genjusz lasu; a gdy ranek nastał, przywołał do siebie promień ożeniony z malwą, i rozkazał mu aby więcej nigdy nie dotykał listków magnolji, ani się ukazywał w jej pobliżu.

Promień usłuchał dobrego genjusza, bo wiedział, że był to duch prawdy i dobra. I odtąd magnoljka daremnie oczekiwała przybycia jego. Schodziły dni za dniami — promienia jej ukochanego nie było.

Płakała długo rześną rosą, tęskniła i była bladą bardzo — aż dobry genjusz zwrócił ku niej pewnego poranka inny promień, światły też i gorący, aby ją pocieszył.

Magnoljka długo zapomnieć nie mogła o pierwszym swym promieniu; ale drugi tak ją kochał, tak jasno a łagodnie przyświecał nad nią, że nakoniec stęskniona do światłości i ciepła podała mu do uścisku kielich swój przesliczny, i rozkwitła znowu białą śnieżną, a zajaśniała rojem iskier srebrzystych.

Bogowie leśni ożenili z magnolją światły i swobodny promień — i odtąd on świeci nieustannie dla niej od ranka do wieczora, a ona czysta, śnieżna i wspaniała jak królowa, zwiesza się na swej wyżynie, śląc w świat potoki woni czarownej, i olśniewając pięknoscą swą wijące się u stóp jej słabe powoje.

A dobry genjusz lasu cieszy się, że promień ożeniony z malwą na wieki od magnolji oddalił; bo inaczej onaby zwiędła i uschła przed czasem w tęsknocie i niespokojnym smutku, a promień biedny ze zgryzoty i bólu zgasłby na jej grobie.

Umilkł na chwilę pan Gaczycki, a potem dodał:

— Taką jest fantastyczna opowieść wschodnia o magnolji i promieniu; ale jak w każdej bajce wysnutej fantazją ludów, leży i w tej prawda życiowa.

Wanda powstała, ręce jej bezwładnie opuściły się na suknię.

— A cóż się stało, wyrzekła głosem, który znać było jak drżał i zamierał w jej piersi, cóż się stało z biednym promieniem, któremu wydarło magnolję?

— Biedny promień ten, odpowiedział powstając pan Gaczycki, cierpiał bardzo i długo; ale na osłodzenie cierpień jego, litościwi bogowie leśni dali mu lutnię o złotych strunach, po których ślizgając się grał on cudownie, a pieśni jego milionowem echem powtarzały się w przestrzeni, rozlewały wokół czar niewymowny, i pogrążyły w zachwycie wszystkich mieszkańców lasu.

Rzekłszy to pan Gaczycki skłonił się przed Wandą i szybko opuścił salon. Gdyby nie zmrok coraz gęstszy zapadający w salonie, Wanda mogłaby dostrzedz silne wzruszenie na twarzy obojętnego pana.

Zamknęły się drzwi za wychodzącym gościem, cisza i zmrok zapeliły salon. Wanda stała nieruchoma u okna, z czołem na dłoń opuszczonem, i smętnym wzrokiem patrzyła

jak jedna po drugiej zapalały się czerwone latarnie uliczne. Znać było że pracowała myślą, bo usta jej drżały niekiedy, i poruszały się powtarzając cicho jakieś wyrazy. Ale zarazem blask padający na nią od jednej z latarni ulicznych, ukazywał na twarzy jej trwogę, boleść, a nadewszystko zdumienie z przerażeniem graniczące.

— On miałby wyjechać! rzekła do siebie podnosząc twarz bladą i cierpiącą; on miałby wyjechać ztąd! na zawsze może! dla czego? mój Boże! dla czego? dla czego?

Załamano ręce ruchem bolesnym, a zarazem wzrok jej spuścił się nisko ku najniższemu rzędowi okien przeciwległej kamienicy, i zatrzymał się na jednym z nich, które w tej samej właśnie chwili zadrsało bladym światłem zapalonej w głębi mieszkania lampy. Potem oczy jej przesunęły się z wolna ku innym dwóm oknom, leżącym w tym samym co i tamto rzędzie, i oświetlonym czerwona łuną, wyraźnie od płonącego na kominku ognia. Patrzyła na nie długo, i ujrzała przesuwając się za szybami dziwną postać. Była nią kobieta w czarnej wełnianej bluzie, i czepcu białym o szerokiej lisztwie, wyraźnie nie idąca o własnych siłach, ale sztywnie, martwo, automatycznie oparta o poręcz krzesła posuwanego czyją ręką. Postać ta bardziej podobna do widma lub do trupa, niż do żyjącej kobiety, sunęła z wolna i bezwładnie; a wystający z pod szerokiej lisztwy profil jej twarzy, ostry, suchy, żółty, fantastycznymi niemal kształtami przesunął się powoli za szybami okien kominkowym ogniem oświetlonych, i zniknął za innym, którego mgliste światło przysłonięte było z wewnątrz grubą zasłoną.

W tej samej chwili w oknie oświetlonym lampą zarysował się cień mężczyzny o smukłych, pełnych siły i młodości kształtach, o regularnym profilu twarzy śniadej, i wielkich ciemnych oczach, które z pod powiek spuszczonej zdawały się ciskać iskrami.

Wanda odwróciła twarz bardzo bladą; znowu drżącą rękę do czoła podniosła, i wyrzekła cicho:

— Byłżeby to on promieniem ożenionym z żółtą malwą, a ja, byłabym magnolją?

Nagłym ruchem złożyła ręce, i zawołała:

— Ależ to okropne! dla czegoż więc... Boże mój... dla czego? dla czego?...

XX

W sypialnym pokoju, u okna w pół przysłoniętego zieloną sukieną sztorą, siedziała Anastazja. Przed nią na stoliku stało lustro, w którym odbijała się twarz jej wychudła, bledsza jeszcze niż zwykle, od zielonego odbłasku jaki nań rzuciła zasłona u okna. Dnia tego jednak dziwna jakaś odmiana zaszła w całej postaci nieszczęśliwej kobiety. Zamiast codziennej wełnianej bluzy miała ona na sobie jedwabny szlafroczek popielatego koloru, widocznie w lepszych dla niej a dość dawnych sporządzony czasach — bo krój miał staroświecki, i stał się zbyt szerokim na jej wyniszczoną postać. Zżółkła od nieużywania koronka otaczała wyschlą szyję; także mankiety opadały na białe o kościstych palcach i wydatnych żyłach ręce. Ręce te Anastazja trzymała podniesione ku głowie, zaplatając i fryzując ogromne swe czarne włosy, które niesplecione jeszcze z tyłu głowy, opadały za poręcz fotelu zwieszając się końcami aż na podłogę.

Po bladych i wąskich ustach Anastazji błędził dziwny uśmiech, wykrzywający je raczej niż zdobiący; zapadłe jej czarne oczy błyszcząły gorączkowo.

Za fotelem i trochę z boku, stała służąca Tekla nadając głowie swej kierunek taki, aby twarz jej nie mogła być widzianą w lustrze przez strojącą się kobietę. W szarych oczach Tekli błyszcząca z trudnością pokrywana ironją, a z ruchu jej puciołowatych rumianych policzków znać było, że z trudnością wstrzymywała się od zbyt widocznego uśmiechu.

— Teklo, ozwała się Anastazja, wszak ja dziś lepiej wyglądam? nieprawdaż?

— O, pani dziś ślicznie wygląda! odparła sługa z nagięciem głosu, w którym drżała chytrość i uniżoność. Odkąd jestem u pani, to jest od lat czterech blisko, nie widziałam pani tak dobrze jak dziś wyglądającej. Zapewne pani czuje się zdrowszą?

Anastazja okręciła wkoło głowy gruby warkocz, i odwracając się nieco do sługi spytała:

— Teklo! czy dobrze mi z tym warkoczem?

— Doskonale! zawołała sługa; doprawdy nie poznaję dziś pani! niech pani jeszcze ułoży włosy nad czołem!

Anastazja uśmiechnęła się z większym jeszcze zadowoleniem, i zaczęła skręcać na palcach, podnosić i układać pasma włosów.

— Zdaje mi się, rzekła, że wkrótce będę zupełnie zdrową; dziś nawet czuję się już znacznie rześwieszszą i silniejszą, i gdyby nie te moje nogi...

— O, jestem pewna że się pani zupełnie wyleczy! Czy to pani tak stara żeby się już wyleczyć nie mogła? w tym wieku, miły Boże! zdrowie dziesięć razy uciec, i dziesięć razy jeszcze powrócić może. Wyraz niezmiernego zadowolenia oświecił twarz, i rozmarszczył czoło Anastazji.

— Czy doprawdy sądzisz że jestem jeszcze dość młodą? spytała po chwili wahania.

— Miły Boże! zawołała Tekla, wszak ja nie wiem ile pani ma lat; ale pani nie wygląda na więcej jak na trzydzieści, a gdybyś pani zupełnie wyzdrowiała, nie wyglądałabyś i na tyle!

— Otóż zdaje mi się że wkrótce odzyskam zdrowie zupełnie! Teklo, włóż mi grzebień we włosy.

Tekla wzięła ze stołu staroświecki sztyldkretowy grzebień, i spinając nim warkocze Anastazji z tyłu głowy, mówiła:

— Gdybyś pani chciała tylko poradzić się pewnej dobrej starej kobiety, którą pani od roku już stręczę, to onaby panią w parę tygodni uleczyła zupełnie. Ci doktorowie proszę pani nic nie umieją, a przychodzą tylko dla tego aby brać pieniądze; tyle lat panią leczą, i wyleczyć nie mogą! Ta kobieta leczy ludzi cudownym sposobem, od wszystkich chorób jakie są na świecie. Nie każe ona choremu pić mikstur ani tam żadnych wód i kąpiele mineralnych używać, ale ma pewne zioła i maście, które sama zna tylko; przytem mówi nad chorym pacierze, robi jakieś znaki, koła i krzyże, których znaczenia nikt prócz niej nie rozumie — i tym sposobem kilka osób w moich własnych oczach uleczyła. Jestem pewna, że gdyby ją pani wezwała, w parę tygodni byłaby pani zdrowa jak ryba, i piękna jak królowa.

— A gdzie mieszka ta twoja znajoma? spytała Anastazja.

— O kilka mil od X. proszę pani; we wsi L.

— Napiszże do niej żeby przyjeżdżała jak najprędzej.

— Napiszę dziś jeszcze, zawołała sługa. O, jakżem rada że pani zgodziła się nareszcie na jej przyzwanie! ja tak kocham panię! jabym własne zdrowie pani oddała!

— Dobrze, dobrze Teklo, odparła Anastazja; wiesz także że cię lubię — i jeśli ta kobieta mię wyleczy, nietylko ją ale i ciebie wynagrodzę. A teraz wysuń środkową szufladę w komodzie, i podaj mi pudełko ze wstążkami.

Tekla wypełniła rozkaz, a Anastazja zaczęła wydobywać z pudełka wstążki różnych kolorów, spłowiąła nieco od starości.

— Jak myślisz Teklo, w jakim kolorze będzie mi dziś najlepiej do twarzy?

— Zdaje mi się że w niebieskim, odpowiedziała sługa, a tłuste jej policzki poruszyły się widoczniej, ukrywając uśmiech który się gwałtem na chytre wydierał usta.

Ręce Anastazji przebierając między wstążkami i koronkami drżały nieco — od słabości fizycznej czy może od wzruszenia, w jakie wprawiał ją widok strojów dawno przez nią nieużywanych?

— W niebieskim? powtórzyła zwolna przymierzając kokardę tego koloru, dawniej do twarzy mi było w żółtym.

Odrzuciła niebieską, a wzięła żółtą kokardę.

— Wybornie pani w żółtym kolorze! zawołała Tekla, a gdyby pani spróbowała kolor pąsowy?

— Pąsowy dobrze przypada do czarnych włosów — spróbuję.

Wzięła pąsową kokardę, i przykładła ją do głowy w różnych miejscach — z tyłu nad warkoczem, z boku przy skroniach, aż nareszcie przypięła ją złotą szpilką nad samem czołem.

— Prześlicznie! zawołała Tekla zachodząc z przodu, i przechylając głowę na obie strony niby dla lepszego przypatrzenia się pozycji pąsowej kokardy. Prześlicznie! powtórzyła, niechże pani weźmie jeszcze wstążkę na szyję!

Coraz większe zadowolenie rozlewało się na twarzy Anastazji, usta jej drgały, i ręce trzęsły się coraz bardziej.

Wzięła w rękę kilka wstęg długich i szerokich, wyciągnęła je przed sobą, i przypatrując się im zaczęła mówić zwolna niby do siebie.

— Kiedy byłam młodą...

— Kiedy pani była zdrową... poprawiła szybko sługa.

Anastazja podniosła głowę jakby zbudzona, znać głos służącej przerwał jej wątek jaiego wspomnienia z młodości. Uśmiechnęła się jednak, i rzekła:

— Tak, kiedy byłam zdrową, lubiłam niezmiernie wstążki. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz ujrzałam Augusta, miałam na sobie białą kaszmirową suknię ubraną błękitnymi wstążkami i kokardami.

Zamyśliła się znowu, ręka jej trzymająca zwój wstęg drżała coraz bardziej, oczy mgliły się łzami. Tekla nie przerywała milczenia, bo wzrok jej chciwy przywiązał się do jednej ze wstążek, najszerzej i najdłuższej, w barwiste szkockie kraty.

Po chwili z oczu Anastazji jedna duża łza spłynęła po zwiędłej twarzy, a usta poruszyły się ledwie słyszalnym szeptem:

— On pokochał mię wtedy... piękną byłam...

Głębokie westchnienie pierś jej podniosło, ale wnet przerwane zostało gwałtownym napadem kaszlu.

— A zkądże się pani wziął ten kaszel! zawołała Tekla. Miły Boże! to resztki choroby! To zaraz przejdzie! niech pani weźmie w usta parę pastylek!

Anastazja drżącą ręką wzięła od sługi pudełko z pastylkami, i po chwili kaszlać przestała. Spojrzała wnet w lustro.

— Przeklęty ten kaszel! rzekła, zdaje mi się że znowu gorzej wyglądam.

— Ale gdzie tam! odpowiedziała Tekla; jaką też pani ma imaginację! od czegożby tam znowu miało być gorzej! Albo to pani tylko kaszle? niema osoby któraby czasem nie zakaszlała, a czy też ma zaraz źle od tego wyglądać! Ot niech pani zawiąże na szyję tę wstążkę błękitną — to panu przypomni dzień w którym panią pierwszy raz widział.

Anastazja uspokoiła się i uśmiechnęła. Okręciła wstążkę na szyi, i chciała ją zawiązać na kokardę, ale drżące ręce odmawiały posłuszeństwa.

— Zawiaż Teklo, rzekła zwracając się do sługi. Tekla przyklękła, i grubemi palcami zawiązała u szyi Anastazji ogromną kokardę.

— Zrób trochę mniejszą, rzekła strojącą się kobieta spojrzawszy w lustro.

Tekla podciągnęła końce wstążki.

— Teraz znowu zamała, ofuknęła już z niecierpliwością Anastazja.

Tłuste policzki Tekli tak trzęsły się i nadymały, że aż wśród nich zniknęły całkiem jej wązkie chytne usta, a z niemi razem zniknął złośliwy ironiczny uśmiech. Przerobiła znowu kokardę.

— Teraz dobrze, wyrzekła patrząc w lustro Anastazja, włóżże mi jeszcze w uszy te kolczyki.

Tekla wzięła z pudełka długie złote kolce ozdobione szmaragdami, i niezgrabnie zaczęła je wkładać w uszy Anastazji.

— Aj, boli! jakżeś niezgrabna! syknęła z bólu Anastazja.

— Proszę pani, odparła sługa, pani Z. u której służyłam nim się dostałam do pani, mówiła zawsze ubierając się: trzeba cierpieć ażeby być piękną!

Na te słowa chmura oblekła znowu twarz Anastazji. Popatrzyła w lustro, pokiwała głową, i rzekła zcicha jakby do siebie:

— Alboż ja mogę jeszcze być piękną!..

— Co też pani ma za dziwne myśli! zawołała Tekla, komuż być piękną jeśli nie pani! Z takimi włosami, z takimi oczami! miły Boże! niechno pani tylko wyzdrowieje zupełnie, a pewno zakasuje pani wszystkie najmłodsze panny w X.!

I znowu chytne usta i złośliwy uśmiech zniknęły w tłustych policzkach Tekli.

Anastazja rozchmurzyła czoło, i wyciągając z pudełka barwistą szkocką wstążkę podała ją słudze.

— Weź to sobie Teklo, rzekła, może ci się na co przyda! Szare oczki Tekli błysnęły radością, chwyciła wstążkę, i ucałowała obie ręce swej pani.

— A teraz, rzekła Anastazja, zatocz mój fotel do bawialnego pokoju.

Po chwili fotel na kółkach z siedzącą na nim Anastazją, popychany ręką sługi wytaczał się z nawpółciemnej sypialni, i żywe światło dnia letniego przez szerokie odkryte okna bawialnego pokoju rzuciło się na jej dziwaczną postać. Dziwaczną była ona w istocie, dziwaczniejszą i wstrętniejszą niż zwykle. Żółta i pomarszczona twarz nieszczęśliwej nawpół znikła pod czarnymi lokami, ukazując tylko wązkie blade usta, zapadłe a żółtemi

powiekami osłonięte oczy, i kilka głębokich zmarszczek nad czarnymi, energicznie zarysowanymi brwiami. Na głowie warkocze piętrzyły się wysoko, a u ich szczytu pasowa kokarda niezgrabnie przypięta drżącą ręką, wiewała i okręcała się wkoło sterczącej złotej szpilki; grzebień szylkretowy przypięty krzywo niezręcznie a może i złośliwymi palcami Tekli, chwiał się też z tyłu głowy, i co chwilę zdawał się z włosów wypadać. Popielaty kolor szlafrocza, i niebieska barwa wstążki zawiązanej na szyi, klóciły się z żółtą cerą twarzy; a długie szmaragdowe kolce jeden jeszcze sprzeczny żywioł wlewały w mieszaninę kolorów, i przy każdym poruszeniu fotelu uderzały o wystające kości chudej szyi. Tekla fotel wraz z siedzącą na nim swą panią zatoczyła przed kominek, na którym nie palił się tym razem płomień, ale tylko czerwonawo żarzyły się węgle; nogi jej wsparte na stołeczku okryła flanelą, i miała odejść — ale zatrzymała ją gestem Anastazja.

— Teklo, rzekła, wyjdź przed bramę, i zobacz czy mąż mój wraca.

Policzki Tekli znowu się zatrzęsły, a w nich schowały się jej usta; usłuchała jednak rozkazu szybko, i wyszła.

Anastazja została samą i zamyśliła się. Jakieś dobre, pełne nadziei myśli musiały przesuwac się po jej głowie, bo uśmiechała się, i oczy jej patrzące w żar kominka błyskały co chwilę. Wydobyła z za szlafrocza niewielki medaljon zawieszony na szyi na cieniuchnym łańcuszku, otworzyła go, i wpatrzyła się w zawarty w nim portret. Był to portret Augusta.

Tekla weszła, Anastazja z niepokojem na nią spojrzała.

— Pan nie wraca jeszcze, rzekła sługa, ale widziałam znowu tę panię...

— Jaką panię? spytała żona Augusta.

— A tę dobrą panię co od kilku już dni pyta się o zdrowie pani, różaniec z krzyżem ma na rękę, a drugi krzyż na piersi. To jakaś bardzo zacna osoba. Widziałam jak pobożnie modli się zawsze w kościele, i ubogim daje jałmużnę. Nazywa się ku... ku... doprawdy zapomniałam, Kudrowska zdaje mi się, czy Kuderska...

— Ale dla czegoż ta pani tak się mną interesuje! przecież mię nie zna! rzekła Anastazja.

— A bo widzi pani, odpowiedziała Tekla, już ja od wielu osób słyszałam, że ta pani Kuderska tak jest dobra, że jak się tylko dowie o kim chorym, smutnym czy nieszczęśliwym, zaraz przybywa aby pocieszyć, rozerwać lub dopomódz. Mówiła mi nawet że odkąd się dowiedziała że pani ciągle jest cierpiącą i najczęściej samą, bardzo zapragnęła poznać panią, i u pani bywać. Prosiła mię dziś właśnie abym się pani spytała czy może odwiedzić panią jutro.

Anastazja zamyśliła się.

— Teklo, ozwała się po chwili, czy ta pani młoda jest i ładna?

— E, gdzietam, proszę pani! ma lat pewno więcej jak czterdzieści, a nos taki czerwony jak te węgle na kominku w tej chwili. Ale bardzo dobra i pobożna osoba! miałaby pani rozrywkę z jej towarzystwa, gdyby się pani z nią zaznajomiła.

— To prawda, może i masz słusność Teklo. Jak ta pani przyjdzie tu jutro, powiedz że proszę ją aby mię odwiedziła, i przyjmę ją chętnie.

Tekla miała odejść znowu, ale zatrzymała ją Anastazja.

— Teklo, rzekła, wyjdź przed bramę, i patrz w stronę z której mąż mój zwykle wraca — a gdy go zobaczysz zdaleka przyjdź mi oznajmić.

Tekla wyszła znowu, a Anastazja siedziała przed kominkiem nieruchoma, zamyślona, z oczami w żar utkwionemi. Upłynęło pół godziny, otworzyły się drzwi, i Tekla przechodząc przez pokój, rzekła:

— Pan idzie!..

Anastazja drgnęła.

— Podaj mi lustro! krzyknęła. Tekla poskoczyła i przyniosła lustro z sypialni. Żona Augusta gorączkowym ruchem poprawiła loki nad czołem, i kilka razy w różne strony przesunęła błękitną wstążkę na szyi. W przedpokoju dały się słyszeć kroki mężkie.

— Idź sobie! idź ztąd! zawołała do sługi Anastazja. Tekla zniknęła z lustrem w drzwiach sypialni, a w tej samej chwili w drzwiach przeciwnych stanął August.

Stanął w progu, i zatrzymał się wzrok utkwivszy w siedzącą u kominka kobietę. Anastazja przy wejściu jego wyprostowała się, i z ręką wyciągniętą ku niemu śmiała się głośno. Chciała widać uśmiechnąć się do męża dawnych lat wdzięcznym uśmiechem, ale wzruszenie jakiego doświadczała i wielkie osłabienie fizyczne — uśmiech jej zmieniło w śmiech głośny, przeciągły, spazmatyczny i ostry.

August żywo postąpił ku niej. Widocznym było że przeraził go śmiech coraz do spazmów podobniejszy, i okropnie wstrząsający całą jej bezsilną postacią.

Wziął jej wyciągniętą i trzęsącą się rękę.

— Anastazjo, rzekł, co ci jest? czy słabsza jesteś? dostajesz spazmów! może chcesz abym po lekarza posłał?

Anastazja nagle śmiać się przestała, odrzuciła się w tył, i plecami oparła się o poręcz fotelu.

— Jakto? zawołała drżącym głosem, ja się do ciebie uśmiecham Augustcie, a ty mój uśmiech za spazmy bierzesz!

Zwykły jej gniew głuchy odzywał się w tych słowach, ale wnet pomiarkowała się, i powstrzymała go wysiłkiem woli zadziwiającym w tak wyniszczonej istocie. Zdobyła się na nowy uśmiech, przechyliła głowę zalotnym ruchem, i przyciągając męża do siebie wyrzekła pieszczotliwie:

— Augustcie! pocałujże na powitanie żoneczkę twoją! August zbladł, pochylił się jednak i dotknął ustami jej czoła.

Anastazja pochwyciła drugą jego rękę, a podnosząc głowę i zalotnie patrząc mu w oczy, mówiła pieszczotliwym głosem, takim jakim młodziutkie małżonki w miodowych miesiącach przemawiają do ukochanych i kochających mężów.

— Tak obojętnie pocałowałeś mię, Augustcie! niedobry! niewdzięczny! Ja się do ciebie tak wystroiłam dzisiaj! już jestem prawie zupełnie zdrową, a Tekla przyrzekła sprowadzić mi jakąś kobietę, która mię do reszty wyleczy. Całą noc dzisiejszą nie kasłałam wcale i spałam wybornie pierwszy raz oddawna. Za dwa tygodnie będę zupełnie zdrową, zobaczysz, poprowadzisz mię na przechadzkę... ubiorę się tak jak wtedy byłam ubrana, pamiętasz... wtedy w altanie, gdyś pierwszy raz powiedział mi że mię kochasz... O, ja pamiętam... miałam błękitną suknię i białe perły we włosach... Augustcie, będę znowu ładna, i ty mię będziesz bardzo kochał... usiądź przy mnie... najdroższy...

I pociągnęła go na stojące obok krzesło.

August usiadł milcząc, oczy jego pełne smutku i litości spoczywały na twarzy Anastazji, ale ręka rozwarła się i wypuściła trzymaną przez chwilę jej rękę. Anastazja zwróciła się ku niemu, i dłoń z pieszczotą położyła na jego ramieniu.

— Guciu mój! zaczęła mówić znowu, wiem że bywam niekiedy zbyt porywczą, wymagającą, nieznosną... ale widzisz mój drogi, to skutki mojej choroby... Bywam niekiedy słaba i rozdrażniona... to przejdzie gdy tylko wyzdrowieję... Ja cię zawsze kocham tak jak wtedy, gdy pamiętasz, błękitne niebo świeciło nad nami, drzewa altany szumiały zcicha, a nad nimi pszczołki brzęczały zbierając miód z lip pobliskich... Mój Boże, i teraz na świecie równie pięknie być musi, a jam tego świata tak dawno, tak dawno już nie widziała!...

Pod wpływem wywoływanych wspomnień głos Anastazji zadrżał i znowu jedna łza spłynęła po jej policzku.

August patrzył na nią z dobrocią i litością. Ona spojrzała na niego, a ujrawszy jego wzrok utkwiony w nią łagodnie, wydała okrzyk radośny, obie ręce zarzuciła mu na szyję, i głowę pochyliła na jego ramię. Ale w tej chwili śmiech spazmatyczny wstrząsnął znowu jej piersią, i strasznie twarz jej wykrzywił. Nie była dość silną aby nim zawładnąć, i w kurczowych drganiach czepiała się obu rękami ramienia męża. Strasznie wyglądała. W podrygach spazmu warkocz jej osunął się z głowy, i staroświecki grzebień upadł za poręcz fotelu. Pąsowa kokarda przesunęła się na bok, i sterczała wielką podtrzymującą ją szpilką; na czole i wkoło oczów utworzyło się mnóstwo zmarszczek, które krzykliwie sprzeczały się z wyrazem spojrzenia, tkliwie i namiętnie utkwionego w twarz Augusta.

Dramat burzliwej duszy, która nie mogła prześnić snów młodości i pozbyć się pragnień tego, czego życie dać już jej nie mogło, — objawił się w tej kobiecie okryty śmiesznością, jaka wywiązuje się zwykle z połączenia pretensji i brzydoty, błahych próżnostek, i uczucia rzucającego pod nogi komuś, kto go przyjąć nie chce lub nie może.

Uspokoił się w końcu śmiech spazmatyczny nieszczęśliwej, drżącymi rękami poprawiła kokardę opadającą jej na twarz, i znowu zalotnie zwróciła się do męża.

— Augustcie... zaczęła, ale wstrzymała się nagle, bo na wyrazistej twarzy męża inny już jak wprzód dojrzała wyraz.

August oczy miał wlepione w ziemię, twarz bardzo bladą, a usta drgały mu nieco jakby tłumionym wstrętem i goryczą.

Anastazja patrzyła nań długo, i jej twarz zmieniać się zaczęła; gniew głuchy zawrzał znowu w zapadłych oczach, czarne brwi się zsunęły, i drżące palce poczęły jak dawniej miąć i szarpać suknię. Nagle krzyknęła niewyraźnie, głucho; rozerwała raczej niż rozwiązała wstążkę na szyi, cisnęła ją w komin na żarzące się węgle, pochwyciła z głowy kokardę wraz ze szpilką i odrzuciła ją daleko od siebie. Z dłoni szpilką zakłutej popłynęło kilka krwi kropeł. Anastazja jęknęła i obu rękami zakryła oczy.

August powstał i stanął naprzeciw niej wyprostowany, a oczy jego ciskały iskry.

— Anastazjo, rzekł głosem, który nadaremnie spokojnym uczynić usiłował; Anastazjo, poco te rzucania się twoje, jęki i wysilenia? Nie dośćże ci mej przyjaźni, opieki jaką cię otaczam? nie dośćże ci tej pewności, że cię nie opuszczę nigdy, i że nigdy nie zabraknie ci mego ramienia i mego przyjaznego słowa, gdy je usłyszeć zechcesz? Żądaszże odemnie czego innego jeszcze? żądaszże miłości której ci dać nie mogę? czyliż sądzisz że skłamię kiedykolwiek, i powiem że cię kocham, gdy tego czuć nie będę? Dla czego nie pogodzisz się z twoim losem? czemu ciągle wrzesz i rzucasz się daremnie?

Anastazja odjęła powoli ręce od twarzy zoranej tysiącem bruzd gniewu, bólu i niecierpliwości; wyciągnęła do Augusta rękę, i pokazując mu dłoń zranioną szpilką z której sączyły się zwolna krwi krople, zaczęła mówić głosem który jej w piersi zamierał, łącząc się z ciężkim syczącym oddechem.

— Patrz na te krople krwi, które płyną z mej dłoni... źródło takich samych, tylko goretszych i obfitszych zalewa mi serce ile razy patrzę na ciebie, a potem ujrę w lustrze własną postać... W istocie... czemże ja dla ciebie jestem? ciężarem, kulą u nogi, skieletem dawnej kobiety której ślubowałeś... Tysiąc razy pragnęłam umrzeć... zabić w sobie to nędzne życie, aby i ciebie uwolnić i samej już nie cierpieć... ale dotąd miałam jeszcze nadzieję.

— Nadzieję? powtórzył August jakby bezmyślnie z oczami utkwionymi w przestrzeń; nadzieję, powtórzył, jaką ty miałaś nadzieję?

I przy tych słowach dziwny uśmiech, w którym była i gorycz i litość i ironja, wydarł się na jego usta.

Anastazja jęknęła z głębi piersi, i rzuciła się na fotelu.

— Ha! krzyknęła, więc ty śmiejesz się i szydzisz z tego żem śmiała mieć choćby nadzieję! Tak... byłam szalona! Dziś jeszcze gdy poczułam dawno nieznaną rzeźwość w biednym schorzałym ciele mojem, poczułam także nadzieję wstępującą do piersi... Myślałam że wróci mi zdrowie i że będę miała jeden jeszcze, choćby jeden dzień radości i szczęścia na ziemi... Tak... kiedy promień rannego słońca zajrzał do mego pokoju, widziałam na nim zwieszoną twarz twoją... i wstałam rzeźwa jak dawno, i jak arlekin ustroiłam się w łachmanki, myśląc że one mię ozdobią i piękną uczynią jak niegdyś, i byłam dość śmieszna, aby ludzi się marzeniem że zdołam obudzić w twem sercu choćby cień dawnego dla mnie uczucia... O, jakże byłam bezrozumna, szalona!...

Z ostatnim wyrazem wybuchnęła śmiechem okropnym.

— Szalona byłam! szalona! wołała z całej siły, i obu rękami szarpała włosy targając warkoczki i zwinięte nad czołem pasma; szalona byłam, powtórzyła raz jeszcze, kiedy sądziła że to co umarło odżyć może... że żywy człowiek kochać może trupa... że lampa zgasła błysnie raz jeszcze pięknem światłem... szalona byłam! szalona!

Z łkaniem okropnym, bo łez pozbawionem, oparta na poręczy fotelu, oczy zamknęła, a roztargane jej włosy całkiem prawie twarz jej pokryły, ukazując tylko sine drżące wargi, i część żółtych pomarszczonych policzków.

August milczał. W chwili bezpamiętnego uniesienia Anastazji, wzrok jego mimowoli wybiegł po za szyby, i zawisł na oknach pierwszego piętra przeciwległej kamienicy. Tam błysnęło białe ramię, i drobna ręka otworzyła jedno z okien. Potem w ramach utworzonych z fałd śnieżnej franki, ukazała się prześliczna postać kobiety młodej w białej sukni, z twarzą przezroczystą i łagodną, z płowemi włosami nad wzniesionem ku górze czołem. Ukazała się na mgnienie oka, i wnet zniknęła w głębi pokoju; ale oczy Augusta widziały ją ciągle, i ujrzały obok fotelu, na którym w dziwnym uniesieniu i z rozczochranemi włosami bezwładnie leżała Anastazja.

Nic straszniejszego jak porównanie, nic bardziej mogącego przerazić jak kontrast. Szatan jest dopiero szatanem, gdy obok anioła stanie; anioł u wrót czeluści piekielnych, wydaje się samym Bogiem. Gdybyś nie znał światłości, ciemność znośnąby ci była; nie ukochałbyś tak światła, gdybyś nie nienawidził cieniów.

W oczach Augusta, obok starości, brzydoty, bezmyślnego szału i pełnego złości szamotania się Anastazji, stało w postaci Wandy uosobienie wdzięku, dobroci, słodkiego spokoju — tego spokoju który na całe istnienie człowieka rozlewa morze rozkoszy, i głowę jego kołysze do myśli wzniosłych, i miłością sposobi mu serce do czynów wielkich.

I miał widzenie niezmiernej rozkoszy i rozpaczy pełne. Wydało mu się, że tam u kominika, pod dachem jego, w cichym kątku domowego jego ogniska, zamiast bezwładnej, fizycznie szalonej namiętnością i gniewem kobiety, siedzi cudowna postać dziewczyny o słodkim licu; szafirowe oczy jej patrzyły na niego z głęboką, łagodną, bezgraniczną miłością, a biała suknia i śnieżne czoło różowiły od blasku płonącego cicho żaru, a może i od ognia jaki tryskał z piersi jego, i przez oczy przelewał się na nią.

Wczoraj — tak, wczoraj jeszcze oczy jej patrzyły na niego tak dziecięco — niewinnie, tak bezwiednie-kochająco! smutek nagły powlekł jej lice, i w głębi źrenic błysnęły dwa łez brylanty...

Przypomniał to sobie, i myśl błyskawiczna głowę mu przebiegła: onaby mię kochała! ona byłaby moją!

O boleści!

Podniósł wzrok, i spojrzenie jego upadło na sine wargi i pomarszczone policzki Anastazji, widniejące z za rozczochranych włosów, i drgające spazmatycznie od złości, choroby, i bezsilnej rozpaczy.

Zdało mu się że wulkan jakiś w nim zawrzał; poczuł że w głębi piersi jego zaczęło się coś burzyć i jęczeć i syczeć, i dziwne, nieznanne mu dotąd poczucia podnosiły się w nim, i dławily go potokiem gorzycy i głuchego gniewu. Poczuł w sobie instynktowną jakąś nienawiści pełną moc, pchającą go ku tej kobiecie, która zatriła jego młodość, zabiła w nim natchnienie, rzuciła go na niewłaściwe drogi, i teraz jeszcze mąciła mu wciąż z trudem zdobywany spokój ducha, i stała na drodze do szczęścia.

Postąpił kilka kroków ze zrumienioną twarzą i drżącymi ustami.

Cóż miał uczynić?

Czy rzucić obelgę na głowę i tak niezmiernie nieszczęśliwej kobiety? Nie uczynił tego.

Zatrzymał się, spuścił czoło ze wstydem i szybko wybiegł z mieszkania.

XXI

Wybiegł z mieszkania, i biegł przed siebie na traf, sam nie wiedząc dokąd; czuł potrzebę ruchu, powietrza, serce tłoczyło mu ciężar niezmierny. A kędy tylko się obrócił wszędzie przed wzrokiem wyobraźni zawisały mu dwie postacie, dwie twarze niby szyderstwem losu umieszczone obok siebie, aby szpetność jednej potworniej wyglądała przy piękności drugiej; aby wdzięk tej ostatniej jaśniał przed nim olśniewający jak słońce, ujrzany przez pryzmat porównania.

Dotąd August całą siłą woli starał się nierozumieć uczucia, które go pociągało do Wandy; oddalał od siebie i odpychał chwilę, w której jak przewidywał, spojrzeć mu w siebie samego przyjdzie. Czuł że w piersi jego burzyło się coś i wrzało nakształt wulkanicznej głębi przed wybuchem; ale nakazywał milczenie burzom swoim, bo niewyraźnie przeczuwał, że gdy im wodze puści choć na chwilę, będzie musiał wyrzec się nawet widoku istoty która była promieniem jego życia, czarem jego oczów, natchnieniem jego ducha.

Tęsknił za nią gdy jej długo nie widział; zdawało mu się wtedy że słońce nie świeci na niebie, i powietrza mu brak od oddychania. Śród pracy codziennej, gdy po kilku minutach zapomnienia pomyślał o niej, doświadczał olśnienia wzroku, i przez kilka sekund nie widział liter które przed chwilą nakreślił na papierze. Często uczuwał w sercu ból wielki, i przeczuwał w nim większych jeszcze boleści zapowiedź — ale zamykał oczy, przed wzrok wyobraźni przywoływał postać i lice Wandy, wpatrywał się w nie, i uspakajał.

Gdy o zmroku siadywała ona przy fortepianie, i snuła pasma melodji, które teraz dziwnie smętne a podniosłe z pod rąk jej płynęły; zdawało mu się że nad jej czołem bia-

łością wśród mroku świecącym, widział koronę z promieni, jakimi na obrazach zwieńczani bywają święci, a po sukni jej białej migotał przed jego oczami rój gwiazd...

Widował ją często we snach, ale zawsze unoszącą się nad nim wysoko — wysoko; tylko skraj leciuchnej jej szaty muskał mu czoło, i promienie jej oczów spuszczonej ku niemu spływały mu prosto w źrenice. W sennym marzeniu, drżący cały, pełen niezmierniej rozkoszy i boleści zarazem, wyciągał ręce, aby pochwycić miękkie fałdy jej sukni, lub na mgnienie oka choćby dotknąć dłoni białej. Ale daremnie — podnosiła się coraz wyżej, coraz dalej, i rozwiewała w przestrzeni, niedosięgała jak gwiazda, niepochwytana jak woń lilji.

Kiedy budził się ze snów tych, cierpiał, bo niewyraźny głos mówił mu, że jak we śnie tak i na jawie, ona dla niego to jak złota chmurka na niebiosach — ani ująć ją, ani nawet dotknąć nigdy mu wolno nie będzie. Było jednak głos niewyraźny który mu tak mówił — bo nigdy myśli swej nie pozwalał długo zapytywać serca, a sercu wzbraniał podawać myśli zagadkę swą do rozwiązania.

Ile razy rozum nawykły do pytań wciskał się w tajemnie uczuć by je rozświetlić i po imieniu nazwać, tyle razy upornie wołał do siebie samego:

— Kocham ją jak siostrę! uwielbiam jak anioła!

Wtedy znowu głos niewyraźny w nim się odzywał — głos rozumu czy sumienia, i kłam zadawał jego słowom. Ale on głos ten tłumił, uciekał od niego; gdy go posłyszał w sobie, starał się conajwięcej mówić, ruszać się, pracować, aby go conajbardziej oddalić od siebie — aby go nie słyszeć.

Aż oto przyszła chwila, w której niepodobna mu już było stłumić głos ten lub uciec od niego — chwila wywołana wstrętem jaki poczuł do Anastazji przybranej w lachmanki młodości, i ślepym jej gniewu i namiętności wybuchem.

I dla czegoż jeszcze, jakby trafu szyderstwem, w tej samej chwili białe ramię Wandy otworzyło przeciwległe okno, i śliczna, dobra jej postać błysnęła przed jego oczami...

Nagle we wnętrzu jego odbyło się straszne przesilenie; własną ręką rozdarł zasłonę, którą dotąd sam przed sobą okrywał głąb swego serca — spojrzął w te tajemnie, które dotąd lękał się wzrokiem nawiedzać, i po raz pierwszy zawołał do samego siebie: kocham ją! kocham!

To co we mgle było, rozwidniło się; niewyraźne stało się jawne, cień przybrał formę.

A z tego światła, z tej jawy, z tych kształtów w które nareszcie przyoblekły się uczucia jego, wystrzeliła błyskawica straszna, uderzyła o mózg Augusta, i na chwilę poplątała mu myśli tak, że nie wiedział ani dokąd dąży, ani gdzie się znajduje, ani co go otacza.

Idąc przed siebie jak ślepy i głuchy, utracił całkiem pojęcie i poczucie zewnętrznego świata, i cały zatrzęsł się w swym wnętrzu — okiem pamięci, myśli i przeczucia mierząc swą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Rzucił pytanie przeznaczeniu: dla czego nie dało mu tego czego najbardziej potrzebował z natury swojej, to jest: domowego spokoju i szczęścia? Są ludzie na ziemi, dla których to szczęście i ten spokój jedną kartą życia jest tylko; kartą, która wydarta z księgi istnienia, nie czyni jej wielkiego uszczerbku. Takimi ludźmi są wielcy mężowie czynów i idei, albo lekkie motyle w ludzkiej postaci — bez rozumu i głębszych uczuć upędzające się za płochami i bezcelowymi igraszkami. A on był z tych, dla których miłość jest celem, cisza domowa światem. Gwar ludzi, blask trjumfów, szal zabaw — nie pociągały go; artysta i marzytel potrzebował spokoju owianego miłością, i źródła natchnień słodkich a świętych, któreby mógł czerpać w ciszy domowego ogniska strzeżonego przez ukochaną kobietę.

Dla czegoż właśnie los spletał go z istotą, która zamiast spokoju i szczęścia, dała mu same burze naprzód, a potem napełniła mu dom chłodem grobowym, połączonym ze wstrętnym płomieniem buchającym chwilami z wypalonego ogniska jej zwiędłej piersi?

Spojrzął w przeszłość, i zmierzyl okiem lata spędzone z Anastazją. Przypomniał sobie te straszne chwile w których serce jego rozrywane wstrętem do tej kobiety, i litością dla niej, traciło stopniowo ogień natchnień napełniający je wprzód; jak odlatywały odeń dobre duchy co go uczyniły artystą; jak świat sztuki mglił się coraz bardziej i znikał mu z przed oczu; jak chłód i gorycz zalewały mu pierś, tak swobodnie oddychającą, tak ognicie kochającą świat cały, wtedy gdy jeszcze poczuwał się swobodnym w marzeniach swych, uczuciach i nadziejach młodzieńczych. Przypomniał sobie te chwile rozpaczne

w których zamyslał że nazawsze tracił już najlepszą część samego siebie — i inne jeszcze gdy od mozolnej i niemiłej wracając pracy, znajdował w domu albo grobowy chłód i milczenie, albo jęki choroby, albo co było najgorszym a najczęstszym, konwulsyjne rzucania się i burze istoty nieszczęśliwej, którą mu honor i uczciwość strzedz i szanować kazały.

Przyszły mu na pamięć długie bezsenne noce spędzone w pracy lub w rozmyślaniach smutnych, i dłuższe jeszcze od nich dni, miesiące i lata, w których żaden płomyk gorętszego uczucia, żaden błysk poezji nie rozświetlił ciemnych dróg jego, po jakich postępował cierpliwie i w milczeniu, jak wół swe jarzmo po monotonnych brzdach ciągnący.

Aż oto nagle, niespodzianie, na niebie jego życia zjawił się ten błysk i ten płomyk.

Zdawałoby się, że wszystkie marzenia jakie miał kiedykolwiek, zlały się w jedną formę, i ukazały się mu w postaci Wandy. Zawsze od najwcześniejszej młodości ideałem kobiety była dla niego dziewica czysta jak kryształ, a piękna jak księżniczka średniowiecznych podań; smętna, łagodna, pojętna i marząca.

O innych, o żywych, o namiętnych, ognistych a świetnych, nie marzył nigdy; mógłby się może zająć nimi na chwilę, i na chwilę rozszaleć dla nich; ale taka, tylko taka mogła rozbudzić w nim uczucie głębokie — tylko taka była zdolna wskrziesić w jego sercu natchnienia, które miał za umarłe.

Ukazała się i wskziesiła je... czuł że żyć rozpoczął na nowo, a patrząc na nią i patrząc w siebie pytał: czemuże mogłoby być życie obok takiej istoty spędzone? czemużby mógł stać się on sam, gdyby mu wolno było czerpać miłość i natchnienie z jej serca i oczów?

I zdawało mu się, że gdyby z nią na zawsze pozostał, stałby się królem w cudownej sztuki krainie; dorósłby wysokości mistrzów których wielkość wielbił, wstąpiłby duchem na wyżyny, jakich tylko wolno jest na tym świecie człowieczej dosięgnąć myśli. A gdy mu się tak zdawało, czuł bezwiednie że się nie mylił, i w istocie tak było. Rzadkie bywają kobiety, któreby same posiadały bozki dar natchnienia; ale natura wynagrodziła to im czyniąc je często natchnień źródłem, dla tych co je ukochają. Laura i Beatrycze nie śpiewały same pieśni podniebnych, ale wlały je w piersi i usta swych wybrańców. Gdyby się zblizka przypatrzeć tej subtelnej i pełnej tajemnic tkaninie, która się bytem społecznym nazywa, kto wie, czyby nie można pod każdym wielkim czynem, pod każdą wypowiedzianą swiatu wzniosłą myślą mężczyzny, dojrzeć dobroczynnego kobiecego wpływu?

Więc mógłby zostać szczęśliwym człowiekiem i natchnionym mistrzem sztuki; codziennie zrana piękna jej twarz i łagodne słowo odświeżałyby w piersi jego źródło miłości i uniesień, a codziem wieczór ona w zachwyceniu słuchałaby pieśni płynących z jego piersi, a on patrząc na nią stałby swą duszę pod gwiazdy, a jej do stóp rozściełał coraz nowe pod gwiazdami zebrane muzy swej twory...

O myśli pełna zachwytu! ona nietylko słuchałaby jego pieśni, ale obok niego tworzyłaby je sama; bo i ona była artystką; bo i jej serce gorzało miłością dla jego ukochanej sztuki; bo i jej dusza dziewicza i czysta umiała wznosić się pod stropy niebios, i jak słońce rozpalać się światłością, i ogniem.

Więc razem, razem popłynęliby w krainy nieskończoności, w krainy natchnień świetnych, dostępne tylko niewielkiej liczbie wybranych; miłość wzajemna byłaby cudownym statkiem, na którym pływaliby wśród eterów zachwytu; duchy ich dwa jak bracia rodzeni na jednej unoszone fali, przebyłyby żywot ziemski kochając i tworząc.

A kiedyby po owych godzinach wspólnego zachwytu i pogrążenia we wspólnie ukochanej sztuce, oczy ich, otwierały się na świat powszedni ziemski i rzeczywisty, onaby w nim znajdowała głębokie przywiązanie męskiego serca, i wsparcie energicznego męskiego ramienia, któreby nigdy jej nie zawiodło, nigdy jej nie chybiło; on z ust jej różanych czerpałby zdroje niewymownych rozkoszy, a przed jej kochającą łagodną postacią, trudy i troski życia znikająby mu z oczu, jak drobne chmurki znikają na niebiosach przy świetnem słońcu wejściu...

Tak marzył August.

Marzył jak człowiek o młodem niez użytym sercu, pragnącym ziemskiego szczęścia i ziemskich rozkoszy — i jak artysta, którego duch długo szukał po ziemi ducha bratniego, aby z nim razem w powodzi melodji wnieść się nad warunki otaczającego bytu, nad tłumy, nad gwary, wysoko, tam kędy dwie dusze mogłyby wśród ciszy rozmawiać z sobą pieśnią tylko i miłością.

I znalazły wreszcie jego oczy ten czar ziemski za którym tęskniło serce, i znalazł duch upragnionego ducha bratniego...

I marzenie spełnić się mogło, bo niby przez zasłonę z różanych promieni utkaną widział — że on był dla niej tem, czem ona dla niego...

O myśli pełna rozkoszy bez granic!

Oczy jej zatrzymały się na nim, jak jego wzrok na niej spoczął; widział jej nagłe bladeści i rumieńce, dojrzywał błyskawiczne chmury żalów i tęsknot, mknące po jej tak pogodnym wprzódzie czole. A czyliż mylił się w znaczeniu tych dwóch łez drobnych, które niedawniej jak dnia poprzedzającego widział drżące w głębi jej źrenic, i łamiące w sobie odbłask szafirowych oczu, niby dwie kropelki rosy przeświecające w sobie niebo...

Tak, ona go kochać mogła... kochała go już może...

Na tę myśl, wszystkie blaski jakie mogą istnieć na licu ludzkim trysnęły na twarz Augusta. Ale w mgnieniu oka zniknęły, a zastąpiła je ciemna, rozpaczna chmura...

A jednak, ona nigdy, nigdy nie będzie moja!

Znaleźć i stracić, spotkać się i rozłączyć, ukochać i nie móżd powiedzieć: Kocham! zostać ukochanym, i nie mieć prawa zażądać nawet przelotnego spojrzenia miłości! — o rozpacz!

Dla czegoż więc natura, serca nieszczęśliwego człowieka w głaz lub lód nie zamieni? czemu nie rzuci mu zaslonę na oczy aby nie widział piękności? Co uczynił złego na ziemi, aby los miał prawo tak sztydzić i znęcać się nad nim?

Takie pytania zadawał sobie August, i podniósł wzrok ku niebu, jakby chcąc je wyzwąć aby mu odpowiedziało.

Podniósł wzrok, i stanął na miejscu jak wryty. O kilkanaście kroków przed nim, i twarzą zwrócona ku niemu chodnikiem ulicy postępowała Wanda. Ujrawszy zdala Augusta przystanąła także na mgnienie oka, ale wnet postąpiła dalej zwykłym sobie pełnym wdzięku i powagi krokiem.

Kilka chwil zbliżali się tak ku sobie, powoli, aż stanęli tuż naprzeciw siebie.

Oboje blade mieli twarze, ale uśmiech przywołali na usta.

— Byłam u pani Rumiańskiej, wyrzekła Wanda podając na powitanie rękę Augustowi; a teraz wracam do domu.

— Pozwoli pani sobie towarzyszyć? zapytał August. Wanda podniosła na niego oczy z lekkim zdziwieniem, bo dźwięk głosu jego był inny jakoś niż zwykle — ale po chwili, twierdząco a uprzejmie skinęła głową.

Poszli więc dalej razem, obok siebie. Zrazu zamienili kilka potocznych frazesów, ale nagle umilkli, i zdawało się że myśli ich gwałtownie odciągane były od powszednich przedmiotów o których mówić próbowali. Ulica którą szli, a na której znajdowało się mieszkanie Wandy i Augusta, spuszczała się zwolna po spadzistości góry, a u końca jej płynęła rzeka.

Oboje młodzi ludzie nie wiedzieli sami jak minęli bramy swych mieszkań, i znaleźli się za murami miasta, na wyniosłym wybrzeżu, u stóp którego zcicha szumiał szeroki pas wody. Stanęli.

Słońce zachodziło, i całkiem prawie skryło się już za las dorastający przeciwległe wybrzeże; za nimi było wzgórze porośnięte gęsto karłowatą sośniną; młody księżyc przeglądał się w spokojnym błękitcie rzeki, po którym w oddali mknęło chyżo kilkanaście łódek rybackich. Dalej jeszcze pod wzgórzami stały podróżne tratwy obciążone drzewem czy zbożem, i spoczywały przy lądzie — a na nich zapalały się stopniowo szerokie czerwone ogniska, albo drubniutkie migocące światełka. Cisza zupełna panowała w powietrzu — gwar miasta niewyraźny dochodził z za wzgórz, i łączył się z drzew szumem.

Wanda i August byli sami — sami w obec piękności i cichego smętku wpółjesiennego już wieczoru. Wanda wiodła wzrokiem po otaczających przedmiotach, Augusta spojrzenie było w twarz jej utkwione.

Blada była i zmieniona, oczy jej nieco zapadły, i płonęły niezwykle, usta lekko drżały.

Od trzech dni, to jest odkąd dziwne opowiadanie pana Gaczyckiego pobudziło ją do myślenia nad tem co się z nią od pewnego czasu działo, Wanda łamała się ze swemi myślami, starała się zrozumieć siebie; ale myśl jej nieposłuszna i niedoświadczona nie potrafiła ani razu nazwać po imieniu uczucia, które w sercu jej grało.

Miała tylko niewyraźne przeczucie wielkiej bolesti, czuła trwogę, a zarazem tęsknotę nieznaną, nieokreśloną; a gdy zamknęła oczy zdało się jej że słyszy głuchy szum palmowej puszczy wschodniej, i widzi promyk błady ślizgający się po strunach złotej lutni, i śnieżną magnolję, pomiędzy palm liśćmi smutnie schyloną i więdnijącą.

Gdy budziła się z tych fantastycznych widzeń, pytała siebie: „byłoby on promieniem ożenionym z żółtą małwą a ja byłabym magnolją?”

Wtedy zdejmował ją żal wielki, a tajemnicza jakaś siła pociągała ku oknu, i kazała patrzeć na przeciwległe okna Augusta, i szukać za szybami stęsknionem okiem cienia jego postaci.

I dla tego że tak się z nią działo, August spostrzegł był w jej źrenicach dwie łzy, których powstrzymać nie mogła; i dla tego także stała ona teraz obok niego blada, niema, zadumana, jak piękny posąg oczekujący gromu, który wnet ma weń uderzyć.

Patrzyła na łódki rybackie, które wdali ślizgały się po powierzchni wody. Wszystkie płynęły zrazu blisko siebie tworząc ciemną plamę na błękicie rzeki — i słychać nawet było niewyraźny odgłos rozmów rybaków odbijających od lądu.

Nagle z gęstej grupy łódek wysliznęły się dwie najłżejsze, najszybsze, i pomknęły chyżo w stronę w której stali August i Wanda.

Wanda pobiegła za nimi okiem, myśl jakaś przebiegła w oczach jej i po twarzy, i wyrzekła półgłosem:

— Czy popłyną dalej razem, czy się rozłączą?

Zaledwie to wymówiła dały się słyszeć głośnie uderzenia wiosłem, łódki nagłą roztracone siłą rozbiegły się w różne strony, i w mgnieniu oka były już daleko od siebie. Na jednej z nich odezwał się głośny wesoły śmiech rybaka; z drugiej popłynęła smutna piosnka. Jedna łódka zdawała śmiać się, druga narzekać — a echa porwały śmiech i odgłos żalości, i nad głowami Wandy i Augusta poniosły je na wzgórze — daleko. Wanda i August spojrzeli na siebie.

— Rozłączyły się! szepnęła Wanda ledwie dosłyszalnym szeptem — a zarazem dwie drobne łzy znowu ukazały się w jej źrenicach, i szybko zniknęły za spuszczoną powieką.

Augusta oczy zapłonęły, silny rumieniec oblał mu czoło; zdawało się, że już, już powie słowo, które wyrывało się mu na usta — gdy nagle powstrzymał się, przeciągnął rękę po czole, i niezmiernym wysiłkiem woli przywróciwszy fizjonomji wyraz zwyczajny, wyrzekł z zupełnym prawie spokojem:

— Czyś pani zwróciła na to uwagę, że gdy rozstały się łódki te, jedna z nich popłynęła dalej wesoło i ze śmiechem — druga z pieśnią żalością?

Wanda podniosła na niego spojrzenie.

— Byłoby tak samo z ludźmi? spytała zwolna. August milczał chwilę; wzruszenie ogarniało go coraz bardziej.

— Tak, wyrzekł zniżonym głosem; gdy na drogach ziemskich rozstają się dwa serca przez chwilę złączone, najczęściej jedno z nich swobodnie kołysane falami życia mknie dalej wśród nowych uczuć i nowego wesela; a drugie...

Zatrzymał się.

— A drugie? przeciągle zapytała Wanda.

— Cóż pozostaje drugiemu? pytaniem odpowiedział August.

Wanda milczała długo, potem podniosła głowę jakby w natchnieniu; myśl wzniosła ożywiła jej twarz smutną, i patrząc na Augusta odrzekła:

— Drugiemu zostaje na pociechę i siłę życia czar pieśni, którą echa porwą i poniosą w świat, aby ich ludzie słuchali, a słuchając uczyli się kochać, i być wielkimi!

August w milczeniu wziął rękę Wandy, i do ust jej przycisnął ze czcią gorącą.

W tej samej chwili tuż po za niemi zaszeleściła obrastająca wzgórze karłowata sośnina, i z pomiędzy niej wychyliła się czworogranna męzka głowa, okryta brudno płowemi włosami; szare wypukłe oczy utkwily w młodej parze z wyrazem oburzenia z prerażeniem graniczącego, i usta nagle, niespodzianie, wystrzeliły niby z pistoletu wyraz:

— Przepraszam!

Było to mgnienie oka. Czworogranna głowa wnet skryła się znowu między gęstą sośniną i słychać było tylko ciężkie kroki oddalające się, i łamiące z trzaskiem suche gałęzie zalegające gęstwinię.

Wanda i August nie widzieli i nie słyszeli zjawiska. Młody mężczyzna sekundę tylko trzymał w swej dłoni rękę dziewczicy i wnet ją uwolnił, ale spojrzenia ich tonęły w sobie wzajemnie.

August mówił do Wandy głosem drżącym od wzruszenia, którego całkiem pokryć niepodobna mu było:

— Jak te łódki przed chwilą płynące obok siebie po wodzie, tak drogi nasze zeszy się zrzędzeniem trafia... na chwilę. Wkrótce roztrąci je przeznaczenie. Pani pójdiesz dalej przez życie, swobodna, wielbiona, i będziesz szczęśliwa tak jak na to zasługujesz... mnie na wsparcie pozostanie męztwo, cecha prawdziwego człowieka — za pociechę i wspomnienie o pani pieśń, którą pani wskrzesiłaś w mej piersi... Jeśli kiedy echo tej pieśni doleci do ciebie... pomyśl o mnie...

Nie mógł dalej mówić... posłyszał ciche, tłumione, a niepodobne do stłumienia łkanie Wandy.

Zadrżał cały.

— Wando! zawołał — a zdawało się że wyraz ten niezależną od niego mocą wydarł się mu z piersi. Wyciągnął ramiona i miał już pochwycić w objęcia i przycisnąć do piersi wiotką, kloniącą się ku niemu postać dziewczicy. Ale znowu i nagle powstrzymał się, opuścił ręce, zwiesił głowę i tylko jęknął głucho, jak gdyby mu od tej walki pękło coś w sercu.

Wanda wyciągnęła do niego rękę; dwa strumienie niepowstrzymywanych już łez zwolna płynęły po bladych jej policzkach.

— Panie Augustynie! rzekła; jestem młodą, niedoświadczoną i nie rozumiem dobrze co się ze mną dzieje... wiem tylko że cierpię bardzo, ale wiem także, że cierpienie to znieść potrafię z męstwem, które jak powiedziałeś cechą jest prawdziwego człowieka. Dałeś mi pan wiele dobrego... przy tobie umysł mój wzrósł i dojrzał... przez ciebie niejedna myśl wzniosła i szlachetna zrodziła się w mej głowie... Jeżeli koniecznie trzeba aby rozeszły się drogi nasze, abyśmy się wyrzekli tej przyjaźni, która nas połączyła...

Przestała na chwilę mówić, głos jej zamierał od żalości, usta drżały a pierś falowała szybko. Ale podniosła twarz ku niebu, na które zaczynały już wstępować gwiazdy, i mówiła dalej pod wpływem natchnienia.

— Wszak życie nasze ziemskie krótkie... kiedyś może spotkamy się znowu, na której z tych gwiazd co tam w górze świecą... tam może nie będzie już złośliwych bogów leśnych, co rozłączają promień złoty z magnolją białą... tam nie będzie może boleści ani rozstania... Dziecinneto zapewne marzenia, ale niechże choć marzyć wolno będzie sercu, które cierpi... I cóż wreszcie na ziemi nie jest marzeniem, snem? Wszak i spotkanie nasze i przyjaźń nasza, to sen, który losem wnet zostanie rozwiązany... Panie Augustynie! ja o śnie tym nie zapomnę — nigdy!

— A dla mnie sen ten będzie życiem! zicha odpowiedział August.

Odniósł już nad sobą zupełne zwycięstwo; burza namiętności umilkła mu w piersi i zgasła we wzroku. Żaden wyraz któryby mógł zakłócić świętą czystość myśli dziewczicy stojącej przed nim, nie wydierał się na jego usta. Patrzył tylko na Wandę z nieskończonym uwielbieniem i z głęboką boleścią, która mu była zapowiedzią długiego po niej żalu i ciężkiej za nią tęsknicy.

Wanda owinęła się szerokim okryciem z białego kaszmiru, bogate fałdy opłynęły jej postać na wzór draperji posągów. Postąpiła ku miastu, i wyrzekła:

— Pójdźmy! matka moja niespokojną o mnie będzie!

Szybko zaczęły wstępować na górę, i po chwili zniknęły między rzędami domów miejskich.

XXII

Wieczór się zbliżał; pani Olimpia Rostowiecka weszła do swego salonu zastawionego świeżutkami i kosztownymi meblami z błękitnym adamaszkowym pokryciem. Bardzo jej było do twarzy w tem otoczeniu, bo kolor niebieski daleko lepiej harmonizował z cerą jej twarzy i barwą włosów, niż poprzednie amarantowe obicie jej sprzętów.

Wyszła ze swego buduaru strojna jak zwykle; w jasnej jedwabnej sukni, ze wstęgami we włosach. Dnia tego znowu oczekiwała licznych gości zaproszonych na herbatę.

Tymczasem pusto jeszcze było w salonie; tylko dwa wielkie zwierciadła z kolei odbiły jej świetną postać. Stała przed jednym z nich, przypatrywała się sobie przez chwilę, potem wzrokiem obiegała salon, zatrzymała oczy na każdym prawie z miękkich błękitnych sprzętów, i... uśmiechnęła się.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem — ale oprócz tego w uśmiechu jej był przykry jakiś wyraz. Ktoby ją tylko w towarzystwach widywał, i nagle a z ukrycia ujrzał w samotności, z trudnością mógłby uwierzyć, że była to ta sama kobieta. Głowa jej podnosiła się zawsze wysoko, jakby z przyzwyczajenia; ale na czole i w oczach nie było tej szlachetnej wyniosłości i dumnej pogody, jaka ją cechowała między ludźmi. Przeciwnie — piękne brwi jej zsunięte były, zda się pod wpływem tajemnego knowania niespokojnej myśli; około ust rysowały się drobne zmarszczki, w jednej z których oko fizjonomisty dojrzałoby rodzącą się gorycz, w drugiej szyderstwo, w innej jeszcze przygnębienie moralne, a w innej wyzwanie rzucone sumieniu. Z błękitnych źrenic strzelały skośne bladawe promyki, na których z głębin duchowych kobiety wydobywały się obłuda, fałsz, trwoga upadłej duszy, która oko w oko patrzy upadkowi swemu, ale przed ludźmi nieprzeniknioną powlec się pragnie tajemnicą.

Malarz albo snycerz, spotykając panią Olimpię w towarzystwach, mógłby ją wziąć za wzór do postaci dumnej i wyniosłej średniowiecznej damy, która w rycerskiej postawie stojąc na baszcie swego obronnego zamku, wskazuje otaczającym jaśniejący w dali herb swych dostojnych przodków z napisem: *noblesse oblige!* Ten sam malarz lub snycerz, ujrawszy ją samotnie stojącą pośrodku jej pięknego salonu, wymalowałby lub wyrzeźbiłby patrząc na nią, obraz fałszywej, pełzającej istoty, która na gorzką myśl jaką jej podpowiada sumienie: upadłaś! mówi z szatańskim tryumfem, „nikt o tem nie wie!” „Ale czy nikt się nigdy nie dowie?” szepce jej do ucha trwoga, która jak żmija ślizga się po jej piersi i wstrząsa ją dreszczem.

„Nikt! nigdy!” mówi do siebie kobieta; jak pancierzem nieprzenikliwym odziałam się dumą szlachetną, z poczucia mego rodu i położenia płynącą, niedopuszczającą cienia nikczemności żadnej; jako broń odpierającą odemnie wszelkie podejrzenia, mam pełne dłonie kamieni, które w imię cnoty niewieściej ciskam na głowę każdej kobiety, nie pytając o winę jej lub niewinność, ale dla tego aby przez to ukazał się ludziom wstręt mój do występku, i pogarda do wszystkiego co nie jest tak szlachetne i wyniosłe jak moje własne poczucie! Cha, cha, cha!

Rozśmiała się prawie głośno, oczy jej strzeliły skośnymi błyskami, wkoło ust drobne fałdziki poruszały się chytry i szyderczo. Była w tej chwili prawie brzydką.

Tak stała długo zamyślona i nieruchoma. Potem podniosła głowę wysoko, brwi jej rozsunęły się, a na twarzy rozjaśnionej światłem, podobnem do światła żółtych błyskawic wydobywających się z łona chmur ciemnych, wyraźnie odbiła się myśl:

— Głupi ludzie! jak łatwo ich zwieść! jak łatwo oszukać! Któż z otaczających mnie zdaleka czy zbliska zrozumiał, dla czego odziałam się w pancierz pogodnej i nieprzystępnej dumy, a mowę uzbroiłam w pociski mające za cel okrywać cieniem zbliżające się do mnie kobiety abym na ich tle ciemnem sama wyglądała światło? Któż z ludzi przeniknął mnie i odgadnął? kto zdołał w tajemnice moje przedrzeć się przenikliwym okiem?

W chwili gdy tak myślała, otworzyły się przed nią drzwi, i lokaj zaanonsował w progu:

— Pan Edward Gaczycki.

Na dźwięk tego nazwiska, stanowiący niby odpowiedź dla jej wewnętrznej myśli, Olimpia drgnęła i zbładła; ale po kilku sekundach milczenia, wyrzekła pośpiesznie: Prosić!

Zarazem twarz jej zmieniła się, w mgnieniu oka stając się tak pogodną, dumną, i pewną siebie jak zwykle. Wszakże dla rozpedzenia może reszty chmur, które przy dźwięku imienia Gaczyckiego nabiegły na piękne jej czoło, podniosła rękę — ale nie doniosła jej do czoła, bo przed oczami jej zaśnił żywym blaskiem wielki brylant pierścienia. Nagłym, bezwiednym prawie ruchem zdjęła go z palca i włożyła do kieszeni, poczem z pełnym niezwykłej uprzejmości uśmiechem zwróciła się do wchodzącego gościa.

— Czuję do pana głęboką urazę! tak dawno nie odwiedziłeś mnie pan! wyrzekła z wdziękiem podając rękę Gaczyckiemu, a wyraz twarzy jej sprzeczał się ze słowami jakie wymawiała. Bo zamiast urazy miał w sobie niezmierną uprzejmość, i ostrożną wprawdzie, niemniej jednak widoczną wabność.

— Przybyłem dziś posłuszny zaproszeniu otrzymanemu od pani, odpowiedział grzecznie ale oziębło Gaczycki.

Chmura przebiegła po czole Olimpji, i zdawała się oznaczać myśl: To człowiek z marmuru! straszny człowiek.

Usiedli.

— Mój Boże, rzekła po chwili piękna gospodyni, już to my kobiety mamy zawsze to szczęście, że otrzymujemy najczęstsze odwiedziny osób obojętnych nam lub antypatycznych, a nie mamy mocy pociągnięcia do swego domu tych, z którymi byśmy chcieli przyjazne zawrzeć stosunki!

— Toby się sprzeciwiało francuzkiemu przysłowiu, które mówi, że czego chce kobieta tego chce sam Pan Bóg, odparł z uśmiechem Gaczycki.

Uśmiech jego w przelocie pochwyciła Olimpja, a oczy jej strzeliły skośnym promieniem piszącym w powietrzu myśl: „uśmiechnął się! to dobry znak!” Usta zaś jej wyrzekły:

— Nigdy jak teraz nie pragnęłam aby przysłowie to zawierało w sobie prawdę!

— Czy pani masz jakiś cel upragniony, do którego dążysz? obojętnie zapytał gość.

Przywiązała do twarzy jego spojrzenie swoich wielkich błękitnych oczu, strzelających w tej chwili żółtym blaskiem błyskawic. Blask ten zdawał się mówić: „celem moim jest położyć cię u stóp moich”!

Usta jej zaś wyrzekły ze śmiechem:

— Celem moim jest nie nudzić się nigdy tak jak wczorajszego wieczora.

— Któż był powodem, żeś pani tak nieszczęśliwie wczorajszy wieczór spędziła?

— Pan As, odpowiedziała kobieta bawiąc się niedbale koronką rękawa; spędziłam z nim kilka godzin sam na sam — śmiertelnie nudnych kilka godzin!

Gaczycki podniósł na nią wzrok, który na niedostrzegalne dla niej mgnienie oka zamigotał ironją!

— Jednakże, odparł gość całkiem obojętnie, pan Spirydjon jest człowiekiem bardzo oświeconym i miłym...

— Jest to najantypatyczniejszy człowiek jakiego znam, z energią wyrzekła Olimpja.

Gaczycki utkwił w niej przez chwilę wzrok nic nie mówiący wprawdzie, ale wytrwały. Olimpja wzrok ten wytrzymała bez drgnięcia powieki; owszem oczy jej mówiły wyraźnie „a ten kto się w tej chwili przy mnie znajduje, jest mi przeciwnie bardzo... bardzo sympatycznym”!

— Wszakże, zaczął po chwili Gaczycki, nie pojmuję dla czego pani nie lubiąc towarzystwa pana Asa, zadajesz sobie przymus tak często przyjmując go u siebie.

Lubo powiedział to zwykłym sobie obojętnym głosem, zadrzał w nim pewien dźwięk, którego pokryć nie mógł czy nie chciał — bo po czole Olimpji znowu przebiegła chmura z myślą: „on wie wszystko! to straszny człowiek”.

Zaśmiała się w pół kapryśnie, w pół zalotnie, i odpowiedziała:

— Znoszę częstą bytność pana Asa w moim domu jedynie przez wzgląd na mego męża, który ma dla niego szczególniejszy afekt oddawna.

— Jesteś pani zatem wymagającą w wyborze towarzystwa, ozwał się Gaczycki.

— O, tak, odparła Olimpja. Może się to komu wyda zarozumiałością, albo pychą, niemniej jednak tak jest, że cenię siebie i swoje towarzystwo wysoko, a zatem mało jest ludzi z którymi rada jestem zawierać bliższe stosunki.

Oczy jej mówiły: „z tobą pragnęłabym je zawrzeć”!

Gaczycki wybornie znać rozumiał tę podwójną rozmowę, jaką piękna kobieta prowadziła z nim za pomocą ust i oczu — a w tak kunsztowny prowadziła ją sposób, że oczy grały główną rolę, i były na podobieństwo ostrożnego złoczyńcy, sięgającego po coś ręką ukradkiem, tak aby w potrzebie mógł się ukryć i powiedzieć: nie możesz uczynić mi zarzutu! niemasz na to dowodów!

Uśmiechnął się dwuznacznym uśmiechem, którego istotnego znaczenia nie dostrzegła pani Olimpja, spuszczała w tej chwili oczy z wyrazem lekkiego wzruszenia.

— Panie jesteście Sfinksami — odpowiedział; któż odgadnie czego panie żądacie, a co pragniecie odrzucić od siebie? Czy głębi myśli waszych i uczuć zgadza się z tem o czem zdają się mówić oczy? Jesteście i zostaniecie panie zagadkami dla większej części śmiertelnych!

Olimpja słuchała słów tych z uwagą. Nagle oczy jej strzeliły tryumfem. Wyraźnie pomyślała: „Zalicza mię do Sfinksów i nieprzeniknionych tajemnic, a więc zaczyna wątpić o prawdzie tego co odgadł i przeniknął we mnie”!

Błysk tryumfu niezmiernie szybko zniknął z oczów Olimpji, za to zamglily się one wzruszeniem i smętkiem. Pochyliła nieco białe czoło, śliczną rękę oparła o stół tak aby najkorzystniej ukazać ją gościowi, i zaczęła mówić nieco przytłumionym głosem:

— Nie panie, my nie jesteśmy Sfinksami, i nie kryjemy w sobie nieprzeniknionych tajemnic. Wydajemy się często takimi dla tego, że ludzie przed którymi radebyśmy otworzyć serca nasze, oddalają się od nas najczęściej, a napastują nas ci, dla których serca te zamknięte na zawsze. Ileż razy kobieta na pozór szczęśliwa i pogodna, w gruncie cierpiąca i pełna smutku, widzi przed sobą człowieka, do którego pociąga ją tajemne i nieprzепarte uczucie; a widzi go tak obojętnym i nieprzenikającym, że nie spostrzega nawet walk jej i cierpień. Naturalnie że duma i uczucie godności własnej nie pozwala jej wtedy przemówić językiem szczerości; ale gdyby oczy jego spoczęły na niej z sympatją i współczuciem, powiedziała mu: jesteś tym dla którego nie chcę być Sfinksem ani zagadką! jesteś tym dla którego poświęciłabym dumę moją, i zasady któremi się przez życie całe rządę; dla którego zstąpiłabym nawet z czystej i wysokiej pozycji, w jakiej mię los umieścił! Powiedziała mu słowem: jesteś pierwszym, który posiadał serce moje! I oto nie miałyby już przed nim tajemnic.

Całą tę tyradę Olimpja wygłosiła z mocnym wzruszeniem. Pierś jej falowała, a oczy z wyrazem skromności i onieśmienia, spuszczały się na kwiaty kobierca zaścielającego posadzkę. Urwała mowę nagle niby powściągając się, i płomienne spojrzenie podniosła na gościa.

Ale twarz Gaczyckiego, posągowo prawie zimna i obojętna, nic nie wyrażała. Gdyby Olimpja parę sekund pierwiej spojrziała na niego, widziała by jak z bladych oczów obojętnego pana, piorunna i przygniatająca strzeliła... pogarda.

Olimpja nie dojrzała pogardy, ale wielką, nie przełamaną obojętność. Czoło jej zaszło chmurami, wkoło ust zbiegło się znowu kilka fałdzików, a ze źrenic wysliznęły się skośnie promyki gniewu, nienawiści i... trwogi.

W tej samej chwili wszedł do salonu nie anonsując się pan Spirydjon.

Gospodyni domu powitała nowego gościa zimno i z wysoka, wyraźnie chcąc na to powitanie zwrócić uwagę Gaczyckiego. Nie widać jednak było aby ten chłód uczynił jakiegokolwiek przykre wrażenie na panu Asie, który wydawał się tylko bardziej znudzonym niż zwykle. Rozmowa potoczyła się o obojętne przedmioty; i trwała już z kwadrans, gdy w przyległym pokoju, którego drzwi były zamknięte, dał się słyszeć głos mężki.

— Nie oddam taniej jak po rublu! Bój się Boga Szłoma; kartofle nie urodziły w zeszłym roku, a ztąd wiesz dobrze, że i cena okowity podnieść się musi!

— Ja wielmożnemu panu daję po pięć złotych, odpowiedział inny głos z izraelskim akcentem.

— Po rublu i pieniądze z góry wszystkie!

— Pieniądze z góry! kto to słyszał? na co wielmożnemu panu tyle pieniędzy z góry!

— Na co? na co? a interesa! no zaczekaj! idę teraz do miasta, za godzinę wrócę! Oj, te interesa!

Przy tych słowach otworzyły się drzwi, i do salonu wbiegł raczej niż wszedł p. Rostowiecki w paltocie, z kapeluszem w ręku, ubrany jak do wyjścia.

— A, masz gości Olimpko! zawołał, i kochanych miłych gości, dodał ze zwykłą sobie dobroduszością. Jak się masz Spirydjonku! Rad jestem, że widzę pana panie Gaczycki! Przebaczone panowie, że muszę was opuścić, bo przyjechałem przed godziną na jedną tylko dobę do miasta, i mam mnóstwo interesów. Sprzedaję okowitę, trzeba jesienne podatki płacić... omlót żyta pokazał się mniejszym niżli się można było spodziewać...

— Jean, przerwała pani Olimpja, niczem się więcej nie zajmujesz jak temi nieznośnymi interesami i gospodarstwem...

Pan Jan pocałował ją trzy razy w rękę.

— Ciężkie widzisz bo czasy, moja duszo! interesów mnóstwo, gospodarstwo trudno prowadzić, a przytem pragnąłbym, aby ci na niczem nie zbywało... A! rzekł po chwili rozglądając się po salonie — masz nowe meble Olimpko! Proszę! skądżeś je wzięła? bo

o ile przypominam sobie, gdy był tu ostatni raz, nie mogłem w żaden sposób dać ci na nie pieniędzy... musiałaś je zamienić na dawniejsze, z małym przydatkiem pewnie.

Zwrócił się ku gościom.

— Bo to moi panowie, niema pod słońcem mędrzej kobiety jak moja Olimpka. Tanim kosztem zdobywa zawsze piękne rzeczy. Znowu ucieła handelek, i ma nowe błękitne meble, których chciała oddawna...

Na te słowa pana Jana, błyskawiczny szkarłatny rumieniec oblał twarz Olimpji i wnet zniknął; ale odbłask jego pozostał na czole pana Spirydjona, zarumienionem nieco i pochylonem nad jakimś pismem illustrowanem.

Gaczycki prznosił wrok z gospodyni domu na jej gościa, i kolejne ich rumieńce zdawał się nizać jak paciorki na promienie swych bladych, zlekka ironicznych oczu.

— No, żegnam, żegnam państwa, zawołał pan Jan, który nawet nie usiadł; bardzo mi przykro że muszę rozstać się z tak miłym towarzystwem, ale interesa... Oj, te przekłete interesa... Do widzenia, Olimpko.

Znowu trzy razy pocałował żonę w rękę, uściskał gości i wybiegł.

W pół godziny potem oświetlone rzęsiście salony pani Olimpji, napelnione były towarzystwem złożonym z osób dwudziestu kilku lub trzydziestu. W towarzystwie tem znajdowały się znowu jak wprzód trzy damy sukniami swemi składające połowę tęczy. Amarantowa dama plecami okryta białą mantylą, osłaniała jak zwykle przed wzrokiem profanów dwie wątpliwych wdzięków swe córki. Zielona wiodła oczami za siostrzenicą Ludwiką, przechadzającą się po salonie z młodzieńcem wyglądającym na jej konkurenta. Fioletowa wzdychała nieznacznie spoglądając na syna, rumianego i barczystego Ignasia, który znowu siedział między piecem a fortepjanem, zdając się świadczyć przez stałe zamilowanie tego siedliska, że piec był dla niego najpożądańszem miejscem, i że niczego więcej nie pragnął jak w ciszy i spokoju spędzić żywot w jego sąsiedztwie.

Były tam także młode panny w towarzystwie młodych mężczyzn, krążące około fortepjanu, jako około jedyne go przedmiotu mogącego im dać pole popisu i tryumfu; było kilku obywateli sąsiadów ze wsi pani Rostowieckiej, spoglądających do sąsiedniego pokoju azali tam lokaje nie rozstawiają stołów do preferansa. Słowem towarzystwo było w zupełnie takim komplecie, jak przed trzema miesiącami; nie brakowało nawet starej panny o długiej twarzy i nosie koloru róży, siedzącej sztywnie i niemo, a kiwającej tylko głową na znak twierdzenia lub przeczenia; ani starego kawalera z wielką łysiną, ożywającego kompanję umizgami strojonemi do wszystkich naraz panien, i dwuznaczniemi konceptami prawionemi na ucho młodzieży.

Centrum salonu i zebrania stanowiła kanapa, na której świetniała piękna gospodyni domu, mając obok siebie amarantową damę i jej córki, a naprzeciw panów Spirydjona i Gaczyckiego. Ogniskiem zaś najbardziej ożywionej rozmowy i dowcipu była rogowa kozetka, zajęta przez Stasię ubraną w różowej jedwabnej sukni, i jej męża.

Roznoszono herbatę; towarzystwo piło, jadło, gwarzyło, śmiało się i było bardzo wesole.

Nagle wzrok gospodyni domu upadł na pana Feliksa Rokowicza, który pomiędzy główną kanapą a rogową kozetką siedział sam jeden, i zdawał się smutnie dumać nad szklanką herbaty, którą trzymał w ręku. Nie o herbacie tej dumał pan Rokowicz: obok niego, niestety! nie było pani Teresy, tego wzoru skromnych niewiast i wiernych małżonek, a osierocony pan Rokowicz wyglądał, jak czuły gołąb po odlocie ukochanej gołąbicy. Pani Olimpja zwróciła się ku niemu.

— Panie Rokowicz, przemówiła, coż nas pozbawia przyjemności widzenia dziś między nami kochanej Tereni?

Głos gospodyni domu zbudził z zadumy pana Feliksa; podniósł głowę, uklonił się i odpowiedział:

— Terenia... tedy... kazała panią przeprosić że dziś u niej nie będzie... ale, a więc... głowa ją boli... dziś zrana tedy była u pani Starowolskiej, i więc wróciwszy rozchorowała się na głowę... bo to państwo wiecie że Terenia bardzo często... tedy...

Niewiadomo co miał dalej powiedzieć, bo komuś z audytorjum zbrakło cierpliwości wysłuchania do końca jego zajękliwej i pełnej przysłów mowy.

— Jaka to szkoda, odezwał się ktoś, że nie zobaczymy dziś tej ślicznej, dobrej pani Teresy!

— O, to prawda! zawtórowano; co to za słodka, uprzejma, pełna zalet osoba!

— To wzór żon!

— I wzór prawdziwej skromności!

I długo w ten sposób chór pochwalny opiewał cnoty i zalety pani Teresy.

Czy pan Rokowicz słyszał tę rozmowę o swojej żonie? niktby nie odgadł — tak był zatopiony w swem dumaniu. Oczy utkwiał w trzymaną szklankę herbaty i kiedy niekiedy kiwał głową, jakby go zajmowały wielce gorzkie i smutne myśli. Nagle wychylił herbatę z takim gestem i taką miną, jakby wypijał do dna kielich żółci i octu; wyprostował się, prostopadłe wyciągnął ku towarzystwu prawicę, i nagle wymówił:

— Przepraszam!

Na to sakramentalne słowo, wyrzucone jak z procy, kilkanaście osób przestało rozmawiać, i spojrzęło na niego. Pan Rokowicz obiegił wzrokiem całe towarzystwo, i powoli spuścił prawicę.

— Przepraszam! powtórzył; wszak nikt z państwa nie zaprzeczy... tedy, że moralność jest najważniejszą rzeczą... więc, że każdy człowiek powinien patrzeć, co się koło niego dzieje i dbać o moralność... najpierw tedy dbać o położenie swego domu... więc... żeby w tym domu nie był nikt, kto obraża moralność... tedy nikt z państwa pewno nie zaprzeczy, że moralność jest rzeczą najważniejszą, i że kto ją obraża... tedy...

Komuś z audytorjum zbrakło cierpliwości, i głos jakiś przerwał:

— Ależ naturalnie, że nie znajdziesz tu pan nikogo, ktoby przeczył tej wielkiej prawdzie, że moralność jest rzeczą ważną dla społeczeństw. Ale do czegoż się odnosi to co pan mówisz?

— Do tego, wymówił nagle pan Rokowicz prostując się całą postacią, i prostopadłe wyciągając przed siebie prawicę, do tego że przyjmujemy do naszych domów osobę, która... tedy... obraża moralność!

To rzekłszy, z niezmierną zgrozą opadł na krzesło, i z wyrazem przygnębienia opuścił głowę na piersi. Słuchacze zamienili między sobą spojrzenia. Oczy pani Olimpji zamigotały radością, bo przeczuwała że zbliża się zrzętność wyrzucenia z białej dłoni kamyka na czyjąś głowę. Krzyż na piersi pani Apolonji błysnął, bo przewidywała, że będzie mogła w głowę nim kogoś uderzyć.

— Przyjmować w swoim domu osobę niemoralną! to okropne! o kim pan mówisz, panie Rokowicz? — rzekła gospodyni domu podnosząc czoło wysoko, i w myśli owijając się od stóp do głowy nieprzenikliwym pancerzem dumy i godności.

Pan Rokowicz tylko czekał tego wezwania. Potoczył wzrokiem dokoła, jakby wszystkich obecnych wzywając na świadków słów które miał wymówić, i wyciągnąwszy prawicę zaczął.

— Wczoraj pod wieczór poszedłem na przechadzkę — tedy Terenia nie poszła ze mną, bo mówiła że czuje się niezdrowa, i woli sobie popatrzeć przez okno... Więc myślałem sobie: nie będę długo bawił, bo Terenia w domu została... Więc wyszedłem z domu i spotkałem Karolka X., który, jak państwo wiecie, razem z zemną w biurze pracuje. Tedy Karolek mówi do mnie: chodźmy za miasto! tedy ja mówię: chodźmy! I poszliśmy — ale nie brzegiem rzeki tylko tem wzgórzem, co to państwo wiecie, zaraz za miastem leży a na niem więc... karłowata sośninka rośnie... Idziemy tedy z Karolkiem, aż on do mnie mówi: niewygodnie tu chodzić po tej gęstwinie, wyjdźmy na brzeg rzeki! więc ja mówię: wyjdźmy! Rozchyliłem tedy gałęzie i chciałem wyjść na brzeg, w tem widzę... widzę... i Karolek widzi...

Urwał nagle, jakby go dławili słowa które miał wyrzec; twarz mu poczerwieniała i oczy rozwarły się szeroko.

— Cóż? cóż pan ujrzałeś? zawołało kilka głosów.

— Pannę Wandę Rodowską z panem Augustem Przybyckim — dokończył pan Rokowicz.

— A! doprawdy! — rozległ się wykrzyk kilkunastu ust niewieścich.

Spojrzenia i uśmiechy zaczęły się krzyżować nakształt gradu strzał błyszczących tryumfem jednych, ironją innych.

— Pan August Przybycki, mówił dalej narrator, stał tedy przy panie Wandzie, i więc... całował ją w rękę — słyszałem nawet co mówili do siebie, bo byłem bardzo

blizko, ale tedy... nie mogę powtórzyć... i wielu tedy rzeczy nie mogę opowiedzieć przez uszanowanie dla towarzystwa, bo... więc powtarzanie takich rzeczy obraża... tedy...

— Boże wszechmogący! zawołała pani Apolonja, i ta kochana Wandziulka była sam na sam z panem Przybyckim?

Rokowicz pokiwał znacząco swą czworograną głową.

— Sam na sam... tedy... zupełnie sam na sam, odpowiedział. Tedy... zdaje mi się, że panna Wanda jest niemoralną panną... więc że nikt nie powinien przyjmować ją ani się z nią przyjaźnić... Terenia powiedziała, że nigdy już u niej nie będzie, a jeżeli ona do nas przyjdzie, tedy powie przez służącą że chora, i przyjąć nie może, a potem umyślnie w oknie się pokaże... Więc... dobrze zrobi, bo Terenia jest osobą moralną, i trzeba aby niemoralne osoby wiedziały... więc... jak są między ludźmi uważane... Co do mnie... tedy... jak zobaczę pannę Wandę na ulicy... tedy nie uklonię się... z pewnością nie uklonię się... Dbam o pozycję mego domu, i nie chcę aby ludzie mówili, że mam znajomości z niemoralnymi osobami... Nie przyszedłbym tu dziś bo Terenia chora, i w domu została... ale... tedy... uważałem sobie za obowiązek przyjść powiedzieć państwu prawdę o panie Rodowskiej... bo spodziewam się że państwo dbacie także o pozycję swych domów... Więc nie zechcecie aby w nich bywała panna, która tedy... sam na sam z żonatym mężczyzną przechadza się brzegiem rzeki, i rozmawia z nim... o rzeczach które tedy... obrażają moralność... Przepraszam!

To rzekłszy, powstał cnotliwy człowiek świętem zdjęty oburzeniem; pełen cnoty uklon oddał towarzystwu, i jak przystało mężowi dźwigającemu na swych barkach ciężar moralności publicznej, poważnym i miarowym krokiem udał się do swego cnotliwego domu, w cnotliwe objęcia swej cnotliwej małżonki, która czas jego nieobecności spędzała na cnotliwym wyglądaniu przez okno, azali nie zobaczy na ulicy czegoś niecnotliwego, z czemby się podzielić mogła ze swemi cnotliwymi przyjaciółkami.

Po wyjściu pana Rokowicza, wielki gwar zawrzał w salonie. Jak żmij żądła syczały języki, jak ostrza stali błyskały oczy, słowa zgrozy sypały się jak grad kamyków, ciskany przez stojących w górze na kogoś rozciągniętego w głębi przepaści. Młodzi mężczyźni uśmiechali się znacząco, kobiety z trjumbem podnosiły nieskazitelne czoła, panny spuszczały skromnie powieki wstydząc się za towarzyszkę; stary kawaler chichotał to tu to owdzie szepcząc dwuznaczne koncepta, układane na cześć panny przechadzającej się sam na sam z żonatym mężczyzną; rumiany Ignasz wdychał potężnie między piecem a konsolą, stara panna kiwała głową na znak twierdzenia i zgrozy.

Pomiędzy tem wszystkim wyróżnił się głos tronującej na kanapie amarantowej damy.

— Jeżeli tak zacny i moralny człowiek jak pan Rokowicz opowiada takie rzeczy o panie Wandzie, to już z pewnością musi to być prawda. Spodziewam się, że odtąd żadna z nas nie przypuści panny Wandy do towarzystwa swych córek!

— Ani pozwoli żeby jej synowie, porządni i uczciwi młodzi ludzie, kompromitowali się uczęszczaniem do jej domu, — zawtórowała fioletowa dama, rzucając spojrzenia na jedynaka wzdychającego między piecem a konsolą.

— Czy uważaliście państwo, wyrzekła pani Olimpja, że pan Rokowicz nie chciał nawet opowiedzieć wszystkiego co widział i słyszał, przez uszanowanie jakie ma dla nas. To okropne! co do mnie, mam wstręt do osób które podobnie zapominają o swej godności i dumie, właściwej kobiecie wyższej towarzyskiej sfery. Przykro mi bardzo, że dotąd zachowywałam znajomość z panią Rodowską, i pierwsza robię wniosek, abyśmy jawnie i otwarcie zerwały z nią wszelkie stosunki... Upewniam państwa że przy pierwszym spotkaniu się z panną Wandą nie podam jej ręki...

To mówiąc wydobywała z kieszeni batystową chusteczkę. Nagle coś brzęknęło i potoczyło się na posadzkę. Pierścień z wielkim brylantem wypadł z kieszeni dumnej pani, i upadł pod nogi stojącego niedaleko pana Edwarda. Pochylił się Gaczycki, i podniósł cenny klejnot, a oddając go właścicielce, rzekł do niej półgłosem:

— Nie noś pani pierścienia tego w kieszeni, bo zgubić go możesz! A szkodaby go była, gdyż to klejnot piękny i... drogo nabyty!..

Słowa te, wypowiedziane bardzo obojętnym tonem, jak grom spadły na głowę Olimpji. Zbladła; ze źrenic jej strzeliły skośne promyki trwogi i gniewu. Zręcznie jednak pokryła wzruszenie, i odwracając się od Gaczyckiego zaczęła nagle ze zdwojoną złośliwością:

— Tak moje panie, uważam odtąd stosunek z panną Wandą za poniżający godność osobistą kobiety, która umie siebie cenić, i postanawiam nigdy nie przyjąć ją w swym domu, ani przy spotkaniu nie podawać jej ręki...

— Ja także!.. zawtórowała dama amarantowa.

— I ja! powtórzyła dama fioletowa.

— I ja! cicho wyrzekła dama zielona.

— Ciociu, szepnęła do ostatniej siostrzenica Ludwika, mnie żal Wandzi! jestem pewna, że to tylko plotki na nią i obmowy! Dla czego ciocia wyrzeka się jej znajomości!

— Trzeba stosować się do ogólnego zdania, odszepnęła ciotka — inaczej ciebie sama ogadają, i stracisz opinią!

Pani Apolonja cały czas milczała wbrew zwyczajowi swemu.

— Cóż pani sądzisz o tem wszystkim? zapytał ją ktoś z boku.

Antyfona smutnie pokiwała głową.

— Niech mię Bóg strzeże i broni abym miała co złego powiedzieć na córkę mojej dobrodziejki! Pani Rodowska wzięła moje dziecko na wychowanie... obowiązki wdzięczności mówić mi zabraniają, choć...

Machnęła ręką, i brzęknęła krzyżami w sposób, który zdawał się mówić: choć wiem wiele różnych rzeczy!..

— Jaka to uczciwa kobieta! jak umie być wdzięczną! zauważyło parę osób.

Tymczasem gwar nie ustawał, ale się ciągle wzmaczał; kobiety dawały sobie słowo że zerwą stosunki z Wandą, panny wzruszały ramionami, a rumieńce ich i spuszczone oczy zdawały się wołać do ludzi: „patrzcie na nas! my nie takie jak tamta!” Stary kawaler chichotał figlarnie, i wołał:

— Co do mnie, teraz dopiero zacznę bywać u pani Rodowskiej! co mi to szkodzi! opinji przez to nie stracę, nieprawdaż? a może i mnie się uda!

Pomiędzy tem wszystkim, nagle z rogowej kozetki powstała młoda kobieta w różową ubraną suknię, szybko zbliżyła się do kanapy, stanowiącej centrum salonu i towarzystwa, drobną rączkę energicznym gestem o stół oparła, i patrząc wkoło wielkimi błękitnymi oczami, w których kręciły się łzy żalu i oburzenia, zaczęła mówić:

— Moi państwo! jak wam nie wstyd szarpać tak czyjąś sławę, tak surowo potępiać kogoś, nie mając dowodów na to że jest winnym! Zapieracie się państwo znajomości z Wandą, i postanawiacie zerwać z nią stosunki; otóż ja głośno i otwarcie oświadczam że ich nie zerwę! Jestem mocno przekonana o niewinności Wandy, i o tem że wszystko co jej zarzucają jest przesadą, jeśli nie zupełnem kłamstwem. Ale gdybym nawet i wierzyła w jej winę, gdybym i wiedziała że serce uniosło ją zbyt daleko, nie opuściłabym jej nigdy. I owszem, im więcej widziałabym ją nieszczęśliwą i opuszczoną, tem gorętszą byłabym jej przyjaciółką... I teraz nie odstąpię jej, będę u niej bywała, będę ją przyjmowała, będę ją kochała jak wprzód, i jeszcze bardziej...

Umilkła na chwilę Stasia, a tuż przy niej stanął pan Paweł. O dziwy! nie szeptał już jej do ucha zwykłej przestrogi: „cicho Stasiu, narażasz się!” lecz przeciwnie, sam miał na twarzy oburzenie, które ożywiło ją niezwykle energią.

— Podzielać zupełnie zdanie Stasi, wyrzekł dobitnie; nie stoję o nieskazitelność mego domu tak bardzo jak pan Rokowicz, może dla tego iż wiem że żona moja czyni go w istocie nieskazitelnym; zresztą znam dobrze pannę Wandę, i podzielać zupełnie zdanie Stasi o jej niewinności...

— Podzielasz moje zdanie Polciu, przerwała Stasia zwracając się do męża, bo każdy uczciwy człowiek podzielać je musi. Nieprawdaż panie Gaczycki? nieprawdaż panie Asie? Nieprawdaż panowie, że jesteście także tego zdania, iż nie godzi się sądzić o kimś z pozorów, że nie godzi się mieszać z błotem, i kamienować istotę młodą i piękną, za to tylko że ona jest taką! Odwołuję się w tem do wszystkich dobrych serc, i uczciwych charakterów! Co do mnie, pochlebiam sobie że mam dobre serce i uczciwość, i dla tego nie opuszczę przyjaciółki wtedy, gdy wszyscy ją opuszczają, i żadnemu panu Rokowiczowi nie uwierzę na słowo, że ona błędzi. A gdybym się i przekonała że tak jest w istocie, to przyjazną ręką otarłabym z jej oczu łzy cierpienia, i podałam jej dłoń mówiąc: powstań! a nie pchnęłabym ją głębiej w przepaść aby ginęła. Przebaczcie państwo że tak otwarcie wypowiadam wam moje myśli; ale już taką stworzył mię Pan Bóg, że nie mogę znieść niczyjej krzywdy,

i nie umiem być komuś przyjaciółką na to, aby przy lada powiewie przeciwnego wiatru stać mu się nieprzyjaciółką!

Zegnam państwa!

To mówiąc skłoniła się gospodyni domu i całemu towarzystwu, a przesunawszy rękę pod ramię pana Pawła, wraz z nim opuściła salon.

Zebranie zostało przez kilka chwil jak skamieniałe.

— Otóż się rozgadała! wyrzekła pierwsza amarantowa dama. Doprawdy gotowabym sądzić, że ujmuje się tak energicznie za panne Wandę dla tego, iż sama do niej podobna!

— I niezawodnie tak jest, ozwało się kilka głosów; wart Pac pałaca a pałac Paca! Obie przyjaciółki są również płocze i niemoralne, dla tego podtrzymują się wzajemnie.

Twarz pani Olimpji jaśniała trjumpfem. Obok niej rozpostarły się dwa cienie, a między niemi ona sama jakże wyglądała światło! Uśmiechnęła się znacząco, i wymówiła:

— Już samo zamilowanie pani Rumiańskiej w różowym kolorze wiele mówi... bo państwo wiecie, że kolor różowy jest symbolem...

Nie skończyła, oczy jej spotkały się z utkwionym w nią wzrokiem pana Gaczyckiego.

— W istocie, przerwał patrząc na nią swemi blademi a przenikającymi jak ostrze stali oczami; w istocie pani, każdy ma swój uprzywilejowany kolor. Pani Rumiańska otaczać się lubi barwą różową, pani niebieską... Prześliczne są nowe pani błękitne meble...

Osoby patrzące w tej chwili na gospodynię domu sądziły że wnet zemdleje; twarz jej z nagłego szkarlatu jaki ją oblał, przeszła w niezmierną bladość. Było to jednak krótkie oka mgnienia; powstała żywo i zwróciła się do jednej z panien:

— Panno Ludwiko! może zechcesz nam zagrać cokolwiek.

Panna Ludwika usiadła przy fortepianie i grać zaczęła. Po kilku pierwszych taktach muzyki, gospodyni domu odetchnęła swobodniej i rozpogodziła zachmurzone czoło. Pana Gaczyckiego nie było już w salonie.

XXIII

Anastazja siedziała przed kominkiem w zwykłej już swojej wełnianej bluzie i czepcu o szerokiej lisztwie, a naprzeciw niej w postawie pełnej serdecznej i słodkiej życzliwości siedziała pani Apolonja. Z pomocą Tekli, z którą łączyła ją dawna jakaś kościelna znajomość, wdarła się ona do Anastazji, i trzecito już raz przynosiła biednej chorej kobiecie pociechę duchową, i balsam czulej ubolewającej przyjaźni.

Ktoby widział panią Apolonję za każdym razem jak wchodziła w bramę mieszkania Augusta i jego żony, musiałby ją posądzić o niezbyt chrześcijańskie zamiary, bo w szarych jej oczkach najczystsza migotała złośliwość, a nos rozkwitał purpurą przedwczesnego już uradowania, niby rubin pierwszej wody.

Dwie kobiety wiodły ze sobą powolną rozmowę, przerywaną kaszlem Anastazji.

— Tak, tak, dobra pani, mówiła ta ostatnia, bodaj trzeba już nazawsze wyrzec się nadziei wyzdrowienia, i pogodzić się z myślą, że życie moje minęło, a czas dzielący mnie od grobu długim tylko jest dogorywaniem zawczasie wypalanej lampy...

— Trzeba mieć nadzieję w miłosierdziu Boga, który uzdrawia chorych i wskrzesza umarłych, perswadowała Apolonja; mów pani godzinki do Przemienienia Pańskiego...

Anastazja ponuro patrzyła w ogień.

— Modlić się! wyrzekła z wolna; o, jam się modliła, ale modlitwa moja nie mogła znać przebić grubej przesłony z grzechów moich, która rozpostarła się między mną a niebem...

— Z grzechów! zawołała Apolonja składając ręce, i cóż pani za grzechy popełnić mogłaś! Pani jesteś tak dobra, tak miła pomimo cierpień jakie znosisz, że pokochałam panią szczerze choć znam cię od niedawna, i codziennie modlę się za panią.

Anastazja podniosła na nią oczy trochę nieufne zrazu i podejrzliwe; ale twarz Apolonji jaśniała takim słodkim współczuciem, takim chrześcijańskim miłosierdziem, że coś nakształt wdzięczności ukazało się w posępnych, zapadłych źrenicach żony Augusta.

— Dziękuję pani za dobre słowo, wyrzekła — i puszczając wodze skargom do których skłonni są nieszczęśliwi a słabi, mówiła dalej. Jam taka nieszczęśliwa! po całych dniach siedzę tu u komina, bo choć całemu światu gorąco i pogodnie, mnie zawsze zimno, i dawno już zapomniałam kiedy zaczyna się wiosna i lato, a kiedy kończą się chłody zimowe. Mąż mój zajęty pracą biurową rzadko może być zimny; zawsze więc siedzę tu

sam na sam ze wspomnieniami młodości mojej, która się wcześniej skończyła, bo od lat siedmiu jestem już taką, jaką mię widzisz pani w tej chwili... Nie widzę nigdy błękitu nieba ani drzew zieleni; powietrza nawet chronić się muszę jak trucizny, któraby mi śmierć przyśpieszyła. Z goryczą myślę że inne kobiety w moim wieku używają jeszcze światła i wszystkiego co on dać może, wtedy gdy ja dogorywam nędznie sama i opuszczona...

Umilkła, i znowu posępne wejrzenie wlepiła w ogień. Apolonja kiwała przez chwilę głową żałośnie.

— Sama? opuszczona? ozwała się przeciągle; przecież pani masz męża?

Na te słowa, niezadowolenie rozlało się po twarzy Anastazji, palce jej niecierpliwie zaczęły szarpać suknię.

— Mówiłam pani, odpowiedziała, że mąż mój zajęty jest pracą biórową.

Zjadliwy uśmiech zawisł na ustach Apolonji.

— Nietylko! szepnęła jakby do siebie, i smutnie kiwała głową.

Anastazja podniosła na nią oczy, które błysnęły nagle. Otworzyła usta, aby coś wyrzec, ale nic nie powiedziała; tylko wargi jej zwierały się i otwierały co chwilę pod wpływem walki, jaką toczyły w niej sprzeczne znac uczucia.

— Nietylko! powtórzyła wreszcie z trudnością; i czemże więcej, proszę pani?

Ton jakim słowa te były powiedziane, oznajmił Apolonji, że nie powinna się od razu zadaleko posuwać. Odpowiedziała więc z miną niezmiernie niewinności:

— Wszak widuję męża pani w towarzystwach.

Słowa te piorunujący wpływ wywarły na Anastazję; wyprostowała się, oczy jej silnie jeszcze błysnęły, i zawołała porywczo:

— W towarzystwach! i w jakichże towarzystwach pani go widzisz?

Zdawałoby się, że Apolonja nie spostrzegła niezmiernego wzruszenia kobiety, z którą rozmawiała, bo odrzekła tym samym tonem słodczy i niewinności.

— Mieszka tu w X. pewna dość majątna wdowa z córką jedynaczką. Jestto panna bardzo piękna i niezmiernie zalotna, płocha, słowem sławna bałamutka i pociągająca najczęściej ludzi żonatych. U niejto mąż pani bywa codziennie.

Gdy Apolonja to mówiła, Anastazja opadła na poręcz fotelu całym ciężarem swego w półbezładnego ciała, i zdawało się że cała reszta krwi jaka jeszcze krążyła w jej żyłach, rzuciła się do jej twarzy — tak nagły a szkarłatny rumieniec zalał pomarszczone czoło jej i zwiędłe policzki. Obok tego, wargi jej zbladły i trzęsły się, a palce ze zdwojoną gwałtownością szarpały suknię.

Apolonja wpiła w nią wzrok zjadliwej słodczy, i zwolna, zcicha, tonem który coraz więcej w ubolewanie przechodził, mówiła dalej:

— Tak, tak kochana pani; świat ten zepsuty i coraz więcej zapomina o prawach Pana Boga! Ta panna o której mówię wiele już poróżniła małżeństw, wielu mężów odciągnęła od żon nieszczęśliwych...

Anastazja podczas tych słów zdawała się z całej siły mocować z sobą; nagle podniosła głowę i rzekła:

— Bądź pani pewna, że pannie tej nie uda się uczynić tego z moim mężem. Pani go nie znasz: to człowiek uczciwy i pełen honoru, i pewno dla żadnej zalotnicy nie opuści nieszczęśliwej kobiety, której winien opiekę i pomoc.

Mówiła to głosem drżącym, w którym był i gniew i duma, i rozpacz daremnie tajona.

Apolonja dosłyszała tę ostatnią... Wzrok jej odwrócił się na chwilę od Anastazji, podniósł się w górę, i utkwił w oknie przeciwległej kamienicy...

— A jednak, wyrzekła po chwili, a jednak ludzie mówią, że mąż pani zakochany już w tej pannie!

Anastazja wydała okropny okrzyk.

— Zakochany! krzyknęła głucho, już zakochany! jak się nazywa ta panna? powiedz pani, jak się ona nazywa?

— Na co pani jej nazwisko? odparła Apolonja; powiem pani tylko jej imię i wskażę jej mieszkanie. Nazywają ją Wanda; piękne imię pani, nieprawdaż? a mieszka...

Tu powstała; kocim, skradającym się krokiem podeszła do okna, i profilem zwrócona do Anastazji podniosła wskazujący palec ku górnemu piętru przeciwległej kamienicy. W tej postawie stała kilkanaście sekund milcząc, a zielonawy błysk jej oczów, przywiązanych do okien mieszkania Wandy, zdawał się mówić: „jesteś piękna, młoda, niewinna!

otoż za to uczynię ci niespodziewaną przysługę! wykopię przepaść pod tobą i człowiekiem, który cię kocha! poruszę na ciebie hydrę zazdrości i rozpaczy szalonej kobiety, i zobaczmy jak się z mojej matni wykręcisz! Samaś winna sobie! pocóżeś młoda i piękna”!

Skierowała na Anastazję kocie błyski zielonawych w tej chwili oczu; i pochylona nieco naprzód, z palcem wskazującym wyciągniętym ku oknom Wandy, wyrzekła:

— Tam, na pierwszym piętrze tej kamienicy, mieszka ona... ona, ta piękna zwodnica, która wydarła już pani myśl i serce męża, a wkrótce odbierze ci go całkiem.... Gdybyś pani ją widziała! prześliczna jest! wysoka, szczupła, biała jak alabaster, z wielkimi szafirowymi oczami i płowemi włosami, które ze sztuką prawdziwej zalotnicy układać umie! A gra cudownie! Mąż pani codziennie słucha jej muzyki, a czasem grywają na cztery ręce! Gdybyś pani widziała jak patrzą na siebie! piękna z nich para doprawdy! Ludzie mówią, że on panią porzuci najpewniej, że rozwiedzie się i ożeni z nią. Ja pani nie powiadam że tak będzie, bo nigdy nie obmawiam nikogo; wiem tylko, że ci ludzie kochają się... a przynajmniej on ją kocha... Jeśli pani nie wierzysz, to siadaj co wieczór przy oknie, a będziesz go widziała jak wchodzi w bramę jej mieszkania, usłyszysz może jej muzykę i muzykę ich obojga.

Umilkła i patrzyła na Anastazję, która podczas jej mowy zakryła oczy drżącymi rękami; przez chude jej palce przeciskały się obfite łzy.

Parę minut było milczenie; po ustach Apolonji przebiegał uśmiech tryumfu, oczy jej błyskały jak u kota, który dręczy mysz wijącą się przed nim z bólu i trwogi.

Nagle Anastazja odjęła ręce od twarzy i podniosła głowę. Zmieniona była do niepoznania. Wzrok pałający gniewem i obrażoną dumą utkwiała w Apolonji.

— Pani! zaczęła drżącym głosem, dla czego powiedziałaś mi to wszystko? POCO wdarałaś się do mego domu? czy aby urągać chorobie i znekaniu memu? czy aby rozedrzeć bardziej jeszcze biedne serce moje? Kto cię prosił o to abyś śledziła uczucia i postępowanie mego męża, i przychodziła do mnie z wieściami, o które cię nie prosiłam? Nosisz krzyż na piersi, ale go nie masz w sercu, kobieto, jeśli język twój rani i pali jak stal rozpalona. Nie miałam do ciebie ufności od razu, a teraz wiem już kto jesteś... Ale posłuchaj...

Głos Anastazji wzmagął się coraz, nieznana jakaś siła w nią wstępowała.

— Posłuchaj, mówiła dalej, wyciągając rękę do Apolonji, która stała w zdumieniu i zmieszaniu; wiedz że kocham mego męża; kocham tego szlachetnego człowieka, któremu skrzywdziłam, zламаłam życie, a który nigdy nie powiedział mi słowa wyrzutu, i otacza mnie, zestarzałą i niedołązną opieką swego zacnego ramienia, jak gdybym była młodą i powabną. Kocham go i czczę, i dla tego nie zniosę aby ktokolwiek w obec mnie źle o nim mówił. A kto by to uczynił, tegobym prosiła aby wyszedł z mego domu... Wyjdź pani... wyjdź ztąd natychmiast...

Ręką wskazała drzwi i z podniesioną głową patrzyła na Apolonję swemi ciemnymi zapadłemi oczami, które w tej chwili dumne, gniewne i szlachetne, zajaśniały dawną pięknnością.

— Pani! zaczęła Apolonja przybierając usta w najsłodszy swój uśmiech, tylko życzliwość i litość dla pani powodowała mię...

— Wyjdź pani, wyjdź ztąd! krzyknęła Anastazja prostując się; kto cię prosił o życzliwość twą, kto cię prosił o litość? Ja ich nie potrzebuję od ciebie! Ukąsiłaś mię jak żmija! wyjdź ztąd, i powiedz ludziom którzy cię pytać będą, że jedynym moim nieszczęściem jest choroba, a on żadnego powodu do zmartwienia nie daje mi nigdy! Czy słyszysz? żadnego! nigdy! Jest najlepszym mężem, jak jest najlepszym człowiekiem! Wiedz sama i powiedz innym, że kocham go; że jeśli jest na świecie kobieta która go kocha, kocham i ją za to że ma dla niego miłość... że jeśli będzie potrzeba uczynić to dla jego szczęścia, usunę się z jego drogi błogosławiąc i kochając go zawsze...

Placz spazmatyczny rozdarł pierś Anastazji; upadła na poręcz fotelu zakrywając oczy rękami. Kilka minut trwało milczenie przerywane tylko łkaniem nieszczęśliwej. Placz Anastazji uspakajał się stopniowo; kiedy odsłoniła oczy, Apolonji nie było już w pokoju.

Czas jakiś siedziała nieruchoma, drżąca cała, a blade wargi jej szeptały od chwili do chwili: „kocham inną! więc kocha inną!”

Nagle zawołała głośno.

— Tekło! Tekło!

Wnet ukazała się służąca.

— Przysuń mój fotel do okna! rzekła do niej Anastazja.

Sługa wykonała rozkaz.

— Otwórz okno! dodała jej pani.

Na ten niezwykle rozkaz zdumiała się Tekla.

— Ależ, proszę pani... zaczęła.

— Otwórz okno, mówię ci! zawołała Anastazja z nerwową niecierpliwością.

Po chwili żona Augusta siedziała już sama jedna przy otwartym oknie. Zrazu, powietrze od którego odwykła zakrztusiło ją; poczęła kaszlać gwałtownie, ale zdawało się że kaszel ustąpił przed wysiłkiem jaki uczyniła nad nim, uspokoiła się, i spojrzała w górę.

Dzień był pochmurny ale ciepły. Nad dachami przeciwległych domostw nisko wisiały szare, spokojne obłoki. Jakby pod obłokami temi zawieszona, niby w ramach obrazu, między draperją białej firanki, w otwartym oknie pierwszego piętra siedziała Wanda. Siedziała profilem zwrócona do ulicy, i widać było tylko głowę jej, ramiona, i rękę trzymającą książkę, w której oczy jej były utkwione. Siedziała nieruchoma, jak posąg piękna; na twarzy jej rozlewał się spokój czystej myśli i niewinnego serca, a tylko po łagodnych ustach błędził odcień smutku.

Anastazja utkwiała w niej palające oczy.

— Więc to ona! ona!.. szeptała do siebie; usta jej wykrzywiły się gorzkim śmiechem, a z oczu wzniesionych w górę strzeliło coś nakształt nienawiści. Ale im więcej patrzyła na Wandę, tem mniej było goryczy w jej uśmiechu, i nienawiści w oczach.

— Cóż mi mówiła tamta, szepnęła do siebie znowu, że ona jest zalotnicą i płochą dziewczyną! — o, to nieprawda! ja znam się na tem!

Patrzyła długo, coraz większa boleść twarz jej zalewała, ale gorycz i nienawiść ustępowały stopniowo.

Nagle z za szarych obłoków strzelił promień słońca, upadł prosto na głowę Wandy, i ześliznął się na trzymanej przez nią książce. Podniosła głowę zbudzona tą światłością która mignęła przed nią; lekkie westchnienie poruszyło przezroczyście fałdami jej sukni, i podjęła szafirowe oczy, smutne ale spokojne spojrzenie przesuwał po ciemnych chmurkach, włączających się w górze na tle szarem...

Anastazja z całym wyężeniem patrzyła na nią; twarz jej zmieniała się coraz bardziej, jakby z lica Wandy spływała na nią słodycz i żal spokojny. Splotła ręce z boleścią lecz bez goryczy ni gwałtowności, i wyrzekła zcicha:

— To anioł! on kocha ją niezawodnie!

Pochyliła głowę na dłonie, i płakać zaczęła. Płakała długo ale cicho; łkania jej były głębokie i bolesne, ale pozbawione zwykłych jej spazmatycznych rzucania się i krzyków. Kilka razy przestawała płakać, i zdawało się że się modliła.

Przez kilka dni następnych przechodzący ulicą na której mieszkali Wanda, August i jego żona, mieli szczególny widok. W oknie pierwszego piętra wysokiej kamienicy, siedziała piękna, smutna panna z oczami utkwionymi w książkę, albo w pływające wysoko obłoki. Naprzeciw, przez okno położone nisko nad ziemią, wyglądała twarz żółta i pomarszczona, w czepcu o szerokiej lisztwie, z oczami zapadłymi i utkwionymi w piękną zadumaną pannę.

Dwie te osoby stanowiły między sobą tak uderzającą sprzeczność, że przechodnie wskazywali je sobie nawzajem. — Ta kobieta chyba z piekła wyszła tak jest szkaradną! mówili jedni wskazując żółtą twarz w białym czepcu; ta panna chyba z nieba zstąpiła tak jest piękną! powiadali drudzy patrząc na okno pierwszego piętra. Rzadko kto zauważył, że na licu istoty podobnej do anioła rozciągał się coraz grubszy cień ziemskiej boleści, a twarz przypominająca sobą brzydkie czarownice traciła stopniowo cechującą ją zrazu głuchą złość i nienawiść; a oblekała się szlachetnym jakimś uczuciem, przez które przeglądała rodzającą się i wzmagającą rezygnację.

Nareszcie dnia pewnego, na brzydkiej żółtej twarzy po długim patrzeniu w okno przeciwległe, ukazał się wyraz postanowienia. Ściągnęły się czarne energiczne brwi, zapadły oczy błysnęły rozpaczą, ale na bladych drżących ustach zawisła dobroć i wargi wyszeptały: „stało się! trzeba im ustąpić! niech będą szczęśliwi!”

Nazajutrz oba już okna były zamknięte. Przechodnie nie dziwili się temu, gdyż jesień się zaczynała, a z nią pora zimna i wilgotna.

XXIV

W sercu Augusta po ostatniej rozmowie jego z Wandą nad brzegiem rzeki, wzmogła się boleść, i zwiększyły walki. Czuł on wprawdzie niewysłowioną rozkosz jaką daje człowiekowi myśl, że istota do której przywiązał najgorętsze uczucia swego serca, spojrziała na niego tkliwszem niż na innych ludzi okiem; ale do myśli tej wiązała się gorycz niezmierna, płynąca z widoku przepaści która dzieliła ich istnienia. Dotąd ukrywał przed sobą własne poczucia, i starał się usilnie nierozumieć tego co się w nim zrodziło, i potęgowało z dniem każdym. Teraz rozdarła się zasłona — spojrzął we własne serce; przez mgłę łez ćmiących przezroczyste źrenice Wandy, dojrzał jej uczucia, i zadrżał.

Nie o siebie zadrżał, lecz o nią. Sam zahartowany w długim cierpieniu, czuł w sobie siłę do wytrzymania nowego ciosu, ale ona?.. Jakiem prawem stanął na drodze jej życia? jakim prawem zmałcił jej czyste i pogodne myśli, wlał gorycz i boleść w pierś jej tak spokojnie oddychającą wprzód? Jak śmiało wejrzeniem swem spotkać się z głębią jej dziewiczych oczu, i przez nie wrzucić do jej serca iskrę gorącego uczucia — kiedy nie miał prawa podać jej dłoni na wędrówkę ziemską, ani nawet otworzyć przy niej usta dla wypowiedzenia słowa miłości?

Ona cierpiała! — myśl ta krzyczała mu w duszy przeraźliwym głosem wyrzutu sumienia; zażawione jej oczy ścigały go wszędzie gdzie się obrócił, twarz jej pobladła nie dawała mu pokoju we śnie i na jawie.

Kilka dni minęło podczas których August ani razu nie widział Wandy; zdawało mu się niepodobnem pójść teraz do niej, mówić z nią, być przy niej, i nie powiedzieć jej tego co zapewniało całą jego istotę. Lękał się sam siebie i walczył strasznie. Niezmożone uczucie codziennie przywodziło go do bramy jej mieszkania, a sumienie wołało przeraźliwie: nie wchodź!

Odchodził z pobladłym czołem i boleścią tryskającą przez oczy. Rozłączenie i tęsknota rozniecały bardziej jeszcze płomień niepoohamowanych uczuć, a piękna postać Wandy, wyniosła, smutna, opłynięta bogatą draperją białej szaty, stała wciąż przed nim, nęciła go ku sobie, płakała brylantowymi łzami... Łzy te gorącymi kroplami spadały mu na głowę... onto je z jej oczów wycisnęła!.. Na tę myśl wszystkie szatany rozpacz, żmije zgryzot sumienia kąsały go i targały, a straszne myśli rodziły się w głowie.

A więc przełamać wszystkie zapory, zwyciężyć przeciwności, zdeptać honor i uczciwość chociażby, a połączyć się z nią! miłością zwiąć z jej czoła chmurę boleści co na niem osiadła, pocałunkami zniszczyć ślady łez wylanych dla niego, nazwać ją żoną swoją!..

Gdy po raz pierwszy myśl ta jak błyskawica nagła i ostra mózg mu przeszyla, wydało mu się że rozdarły się przed nim ciemności nocne; zobaczył świtanie szczęścia, rajskie głosy zaśpiewały mu w uszach, miliony gwiazd świetnych zamigotały przed oczami. W istocie, mógł rozłączyć się z Anastazją, z tą kobietą nawpół umarłą, która oddawna już była mu żoną tylko z imienia. Sam kościół z łatwością może uwolniłby go od ślubów; byłby wolnym — miałby prawo wprowadzić do domu swego istotę ukochaną, dzielić z nią rozkosze i troski życia, osłaniać ją, strzedz, kochać, czerpać od niej natchnienia dla myśli, moc dla umysłu.

Olśniony tą myślą długo nie wiedział co się z nim działo; wpatrzył się w cudowną krainę szczęścia, którą wyobraźnia przynosiła mu na rozpiętych swych skrzydłach; dziwne jakieś nadzieje poczęły kołysać zmęczonem jego sercem.

Ale po chwili zaczął się w nim odzywać głos niewyraźny zrazu, coraz silniejszy i groźniejszy potem; przenikał mu piersi ostrzem bolesnym, budził go z marzeń a rozkazywał myśleć...

Więc opuścić kobietę nieszczęśliwą, niedołązną; zostawić ją na łup chorobie i samotności, rozedrzeć doreszty jej zmęczone tyłu burzami i cierpieniami serce, a w zamian tego rzucić jej może jak jałmużnę kawał powszedniego chleba, aby nie umarła z głodu?... Byćże to mogło? Postępek taki zgadzałby się z męzkim honorem i uczciwością? miałaby usprawiedliwienie swe choćby w najgorętszym uczuciu?

Nie, nie, krzyczało sumienie; August zakrywał oczy z rozpaczą i mówił sobie także: nie! — bo czuł, że nie zdolny był do popełnienia niskiego czynu. A jednak wracały pokusy, wracały marzenia; do głowy cisnęło się tysiące sofizmatów, które chore serce

poddawało głowie; a pragnienie szczęścia z poczuciem obowiązku, marzenie z myślą rozumną, sumienie z wyobraźnią straszną toczyły walkę.

Zaprawdę! trzeba było głęboko w sercu mieć wyryte pojęcia honoru i prawości, trzeba było być w całym znaczeniu tego wyrazu cnotliwym człowiekiem, aby z walki tej wyjść zwycięzko.

A tam codziennie zrana, gdy tylko oczy otwierał, błyskało przed nim wysoko okno jej zaróżowione promieniem wschodzącego słońca, i za szybami firanka drżała przypominając mu jej szatę białą; a wieczorem gdy cisza zaległa mieszkanie jego i miasto całe, okno to migotało znowu bładem lampy światłem, jak gwiazdka rozplakana, drżąca z poza mgły jesiennej...

Czasem gdy wśród ciszy nocnej słuch wytężał, dochodziły go oderwane dźwięki jej muzyki... Raz otworzył swe okno i posłyszał, że grała pełną łez pieśń Szuberta: Skargi dziewczicy!

Do kogóż słała ona skargę swego czystego, boleścią zmąconego serca? do niego może! O rozpacz! a on nie miał prawa pójść tam do niej, utulić na swej piersi jej głowę śliczną, i powiedzieć: bądź moją i szczęśliwą! Wstyd go ogarniał. Był mężczyzną, a czuł się bezsilnym w obec losu. Losu! — mógłże na los narzekać? czyż sam własnymi rękami nie zbudował sobie gmachu nieszczęścia?

Złorzeczył swej przeszłości, szaleństwu, nierozwadze, która go wiecznemi okuła kajdanami. Jedna jeszcze zgryzota przybywała... znowu powstawały szalone a nieuczciwe myśli... walczył i szalał z cierpienia.

Przez te kilka dni walk i targań wewnętrznych, mało zwracał uwagę na Anastazję — bo i nie widział nic co się koło niego działo, i instynktownie może lękał się zbliżyć do kobiety, której losy ważyły się w jego sercu na szali pokus i sumienia, aby przykry jej widok i przykrzejsze jeszcze odeń jej burze, nie pchnęły go nieprzeparcie ku postanowieniu, które raz powzięte, byłoby nieodwołalnym, a które, czuł to, doprowadziłoby go do czynu sprzecznego z jego pojęciami o uczciwości i powinnościach tak społecznych jak człowieczych.

Gdy wracał do domu, Anastazja nie przemawiała do niego nigdy. Nie dziwiło go to, ani zwracało jego uwagę, bo zdawna przywykł do nagłych zmian tej burzliwej i fantastycznej istoty, u której po najgwałtowniejszych wybuchach gniewu, namiętności i rozpacz, następowały całe dnie i tygodnie ponurego milczenia.

I cały zatopiony w sobie, nie spostrzegał jak Anastazja wiodła za nim spojrzeniem swych zapadłych oczów, w których stopniowo przygasał ogień głuchych wrzeń wewnętrznych, a obok niezmiernej boleści rodziła się rezygnacja, i przeglądało silne lubo zawsze gorączkowe postanowienie.

Pewnego dnia po całodzienniej nieobecności wrócił do domu, bardziej zmęczony walką i bardziej cierpiący niż zwykle. Błady i smutny wszedł do pokoju, gdzie zwykle palił się na kominku ogień, a przy nim siadywała chora jego żona. Ale tym razem ognisko było wygasłe, i Anastazji przy niem nie było.

August rzucił się na krzesło jak człowiek bardzo zmęczony, i czoło na dłoń pochylił.

Otworzyły się drzwi, a do pokoju na palcach i z tajemniczą miną weszła Tekla. Stanęła przed Augustem, i tłumionym szeptem wyrzekła:

— Panie!

August podniósł głowę.

— Czego chcesz? zapytał.

— Panie, szeptała sługa, źle jest u nas, pani bardzo chora.

August powiódł dłonią po czole.

— Dla czegoż nie oznajmiłaś lekarzowi, który zwykle odwiedza panią, że stan się jej pogorszył?

Sługa kiwała głową.

— Lekarz wcaleby nie pomógł, proszę pana, odrzekła; bo pani postanowiła chyba zamorzyć się głodem — od dwóch dni nic w ustach nie miała...

Ciężkie chmury zaległy twarz Augusta.

— Nowy wybuch! rzekł do siebie, nowe targania się tej nieszczęśliwej kobiety! Co za męczarnie i jej i moje! Zwrócił się do sługi.

— Gdzież jest pani?

— Od dwóch dni nie wstaje z łóżka, odpowiedziała Tekla.

August powstał z chmurą na czole, a zniecierpliwieniem w oczach, i wszedł do przyległego pokoju.

W nawpół zaciemnionej zieloną firanką sypialni leżała Anastazja nieruchoma, z rękami bezwładnie zaplecionymi na piersi. Twarz jej śmiertelnie blada wyraźnym i ostrym zarysem odznaczała się na tle białych poduszek pomiędzy rozplecionymi w nieładzie włosami, które gęste, długie i czarne otaczały jej głowę, i spływały po poręczach łóżka, aż na posadzkę. Oczy miała zamknięte, oddychała z ciężkością. August stanął przy niej.

— Czy śpisz Anastazjo? przemówił głosem, który wielkim wysiłkiem jego woli brzmiał spokojnie i łagodnie.

Na dźwięk jego głosu Anastazja otworzyła oczy, i patrzyła na niego przez chwilę.

— Przyszedłeś do mnie, Augustcie, dziękuję ci! wyrzekła z cicha, a zarazem drżącą ręką sięgnęła po jego rękę i przyciągnęła ją do ust swoich.

August zdawał się zdziwionym. Myślał zapewne że odpowie mu jak zwykle, gorzkim wyrzutem, albo ponurem milczeniem; natomiast dosłyszał w jej głosie niezwykle łagodność, a w całej twarzy z poza cierpienie fizycznych dojrzał dziwną jakąś pokorę i rezygnację.

Usiadł przy niej i trzymając jej rękę, rzekł łagodnie:

— Anastazjo! Tekla mówiła mi, że od dwóch dni nic jeść nie chcesz, dla czego to czynisz? — czemu nie posłałaś po lekarza, jeśli czujesz się bardziej chora?

Anastazja dziwnie się uśmiechnęła.

— Nie potrzeba mi pokarmu ni lekarza, odrzekła z wolna, chcę umrzeć, Augustcie.

Brwi Augusta ściągnęły się, powiódł ręką po czole, szepnął do siebie.

— Znowu!

Dosłyszała wyraz ten Anastazja. Podniosła się z ciężkością, i wspierając się na poduszkach, na drżącą dłoń opuściła głowę. Chwilę milczała, znać było że toczyła wewnątrz walkę, bo oczy jej błysnęły zwykłym jej burz ogniem, ale usta zaciskały się niechęć przepuścić na zewnątrz gwałtownego słowa.

— Nie gniewaj się na mnie, Augustcie, wyrzekła po chwili głosem drżącym, nie miej mi za złe tego co czynię; jeszcze dzień jeden, albo dni dwa najwięcej, a umrę, ustąpię ci z drogi, i będziesz mógł połączyć się z kobietą, którą kochasz!

Ostatnie słowa wymówiła głosem, w którym drgały znowu rozpacz i wyrzut.

August porwał się z miejsca.

— Kobieto! zawołał, z kąd ty wiesz że ja kocham inną? kto ci to powiedział i dla czego mówisz mi o tem?

Znowu była chwila milczenia, podczas której pierś Anastazji podnosiła się gwałtownie, znowu znać było w niej ciężką walkę. Powieki jej zapadły jakby znużone i zakryły oczy; słabe palce poczęły miąć i szarpać bieliznę, którą była okryta.

Ale po chwili podniosła wzrok na Augusta, i znowu sięgnęła po jego rękę.

— Augustcie, zaczęła mówić, nie gniewaj się na mnie, ja ci nie czynię wyrzutu... jam teraz już lepsza, daleko lepsza i spokojniejsza jak wprzód była... Posłuchaj mię!

Mówiła te słowa takim błagalnym, pokornym jakimś głosem, że na twarz Augusta wstąpiła znowu litość niezmierna. Usiadł przy niej nic nie mówiąc.

— Posłuchaj mię! ciągnęła Anastazja; pytasz z kąd wiem o tem że kochasz ją? Jam ją widziała! Mieszka naprzeciw nas na pierwszym piętrze... patrzyłam na nią przez kilka dni, po godzin kilka, wtedy gdy siedziała w oknie... Zrazu, nienawidziłam ją, ale krótko... bo pojęłam, że ona niewinna temu iż ją pokochałaś... niewinność tkwi na jej czole... To dziewczica która dotąd żadnej grzesznej myśli nie miała jeszcze... I tyś niewinien żeś ją pokochał... jesteście jakby stworzeni dla siebie... Prześliczna jest... patrzyłam na nią jak na anioła zawieszzonego pod obłokami i myślałam, że w porównaniu z nią muszę wyglądać jak istny szatan... Ach!...

Westchnęła strasznie, i umilkła na chwilę, pierś jej znowu pracowała gwałtownie. August był bardzo błądy; chciał coś przemówić, ale Anastazja położyła dłoń na jego rękę, i wyrzekła z prośbą:

— Nie przerywaj mi, Augustcie.

Potem mówiła dalej.

— Im więcej na nią patrzyłam, i im częściej w myśli stawiałam cię obok niej, tem głośniejsze przemawiało do mnie sumienie... coraz jaśniej i wyraźniej rysowały się przedemną błędy mojej młodości, a największy i najcięższy błąd i grzech względem ciebie... Przypomniałam sobie jak byłeś młody i szczęśliwy, gdy cię poznałam... jaka świetna droga otwierała się przed tobą... jak szczęśliwa przyszłość cię czekała... i jak cię pociągnęłam do siebie siłą zalotności, choć wiedziałam, że mię nie kochałeś prawdziwie... Związałam cię z sobą na zawsze, a potem nie dałam ci ani chwili szczęścia; ciągłymi burzami zmęczyłam twoje serce... zabiłam w tobie natchnienie... zawiodłam cię na niewłaściwe dla ciebie drogi... skrzywiłam ci życie, a teraz... teraz jeszcze, jak widmo z piekiel stanęłam między tobą a istotą, którą pokochałeś... która podobna tobie, piękna, czysta, zacna, dałby ci mogła szczęścia domowe, pociechę życia, rodzinę...

Umilkła na chwilę zmożona wzruszeniem, ale uczyniła wysiłek i mówiła dalej. August wzruszony niezmiernie i pełen niepokoju, nie przerywał jej i czekał dalszego ciągu jej mowy.

— Gdy tak spowiadałam się przed sobą z win moich, ciągnęła nieszczęśliwa, natchnienie jakieś wstąpiło we mnie... Zaczęłam płakać tak jak nie płakałam dawno, bo cicho i z pokorą... Stało się we mnie przesilenie, chwila stanowcza przyszła... Zawsze z trwogą i głuchym gniewem myślałam o tem, że możesz pokochać inną; teraz ujrzałam, że tak się już stało — trwoga zamieniła się w pewność, gniew ustąpił przed boleścią. Ale pierwszy raz poczułam, że boleść moja szlachetną była, bo nie za siebie bolałam, ale za ciebie... I przyszło mi na myśl, że złe które wyrządziłam poprawić mogę, że własną ręką mogę zbudować ci szczęście... Do tego trzeba, abym się usunęła z drogi twojej... abym umarła... Postanowiłam umrzeć — a że nie miałam zabójczego narzędzia, chciałam aby głód dokonał dzieła, które rozpoczęła choroba... Dziś jestem już nawpół umarła, zaledwie mam siłę mówić i poruszać się. Jeszcze dzień jeden a pożegnam cię Auguste... Nie powinnam była mówić ci tego, ale nie mogłam odjąć sobie tej pociechy najwyższej, abys przed skonem moim wiedział co uczyniłam przez miłość dla ciebie... Może w ostatniej chwili mego życia oko twoje spocznie na mnie z przywiązaniem i wdzięcznością; może gdy mnie już nie będzie, wspomnisz o mnie bez niechęci i urazy...

Pochyliła się, ustami przylgnęła do ręki Augusta i głębokie łkania wstrząsnęły jej ciałem.

Była długa chwila milczenia podczas której po twarzy Augusta przemykały roje uczuć i myśli. Nagle obłókl ją spokój wielki, męztwo i szlachetność zajaśniały na czole, oczy z wyrazem litości i poszanowania spoczęły na pochylonej przed nim kobiecie.

Skończyły się walki wszelkie, wiedział już co ma uczynić.

Powstał spokojny choć smutny, łagodnie podniósł schyloną głowę Anastazji a trzymając jej rękę w uścisku swych dłoni, wyrzekł:

— Anastazjo! nikt umierać nie powinien pierwiej nim godzina śmierci jego wybije na zegarze samego Boga. I ty nie umrzesz pierwiej nim ci przeznaczone było. Jeżeli ty zbłądziłaś dążąc do połączenia się ze mną, bez uwagi na różnicę lat i skłonności naszych, ja także nie jestem bez winy. Jako mężczyzna, a zatem nauczony od dzieciństwa kierować samodzielnie swojemi losy, powinienem był znać drogi swoje i na niewłaściwe nie wstępować. A ponieważ wspólnie popełniliśmy winę, wspólnie znośmy jej skutki... Gdybyś była młodą, piękną jak dawniej i zdrową, mógłbym rozstać się z tobą i powiedzieć: szukajmy sobie szczęścia z osobna! ale dotkniętej nieszczęściem, zbolelej, niedołężnej — ja cię nie opuszczę. Za tydzień najdalej wyjedziemy ztąd Anastazjo. Aby oszczędzić bólów tobie, sobie, i komuś może trzeciemu, opuścimy to miasto. A teraz pójdę do lekarza, przyzwę go tu, i mam nadzieję, że za dni parę osłabienie w jakie się wprawiałaś sztucznie, przemienie i wrócisz do najlepszego stanu zdrowia w jakim być możesz...

To rzekłszy pocałował rękę Anastazji, i opuścił pokój.

Anastazja wydała okrzyk, w którym były razem zdziwienie, radość i żal.

— Więc on *ja* dla mnie opuści! zawołała; więc wyjedziemy razem, i będę mogła jeszcze być z nim, widzieć go, słyszeć głos jego! O dobry, zacny mój August!

Egoizm i instynkt zachowawczy zwyciężyły postanowienie słabej kobiety o burzliwej duszy; opadła na poduszki zmęczona i słaba, ale znać było że radośne wzruszenie wlewało nowe życie w jej schorzałe ciało.

August wszedł do pierwszego pokoju swego mieszkania, blady i smutny ale spokojny, i skierował się ku drzwiom do wyjścia na miasto — gdy nagle zatrzymał się bo zobaczył gościa, który siedząc na kanapie, i przeglądając niedbale książkę, wyraźnie oczekiwał na niego.

Gościem tym był pan Edward Gaczycki. Odwiedził on niekiedy lubo rzadko Augusta, a kiedykolwiek się spotykali, byli z sobą w uprzejmych, niemal przyjaznych stosunkach.

Powitali się więc serdecznie. Przy powitaniu tem uwagi Augusta ujść nie mogło, że tak obojętna zwykle twarz bogatego pana, powleczone była chmurą, a w oczach jego zimnych i bladych malował się odcień niepokoju.

— Przyszedłem dziś do pana, rzekł Gaczycki, po kilku chwilach potocznej rozmowy, z interesem a raczej z propozycją...

— Słucham pana, rzekł August, i wiem z góry, że co tylko zaproponujesz mi, dobrem będzie.

— Wiesz pan o tem, mówił Gaczycki, że większą część dóbr moich posiadam w gubernji W., około miasta N. o sześćdziesiąt mil ztąd odległego; tam także mam braci, krewnych, i najwięcej stosunków tak przyjaźni jak prostej z ludźmi znajomości. Otóż przed kilku dniami pisano do mnie z N., że jest tam wakujące rządowe miejsce, które oczekuje na zdolnego człowieka mogącego kompetentnie spełnić przywiązane do niego obowiązki, i że można je z łatwością otrzymać przez wpływy moich znajomych i przyjaciół. Ponieważ miejsce to przedstawia dogodnie materialne warunki, a przytem perspektywę posuwania się wyżej na drodze urzędowych powodzeń, sądziłem że pan zechcesz je przyjąć, i przyszedłem zapytać pana o to.

Mówiąc to, Gaczycki utkwił w Augusta badawcze i niespokojne nieco spojrzenie.

— Uważaj pan, dodał po chwili, że nie nalegam, a nawet żadnej w tej mierze nie podaję panu rady. Człowiek rozumny i dojrzały jakim pan jesteś, sam najlepiej wie jak w każdym razie ma postąpić. Przychodząc do pana z tą propozycją, chciałem tylko ułatwić ci wyjazd z X. jeślibyś o tym wyjeździe już myślał...

Umilkł, i oba milczeli przez chwilę. August pierwszy odezwał się z serdeczną w głosie otwartością:

— Przyznaj pan iż wiedziałeś o tem, że wyjazd mój z X. w skutek pewnych okoliczności stanie się prędzej lub później koniecznym...

— Nie waham się szczerze odpowiedzieć panu, że tak było w istocie, odparł Gaczycki. August wyciągnął do niego rękę.

— Dziękuję, rzekł; przyjmuję twoją propozycję, i najdalej za tydzień opuszczę X.

Gdy to mówił większa jeszcze bladeść twarz mu pokryła, cierpienie malowało się w oczach.

Gaczycki ścisnął mu rękę.

— Pozwól sobie powiedzieć, wyrzekł, że postępujesz jak człowiek sumienny i szlachetny; szanuję cię Auguście!

August zamyślił się długo, boleśnie. Oczy jego mimowoli wybiegły spojrzeniem za szyby okien, i w zamyśleniu spoczęły na oknach pierwszego piętra przeciwległej kamienicy. Gaczycki wiódł okiem za kierunkiem jego wejrzenia; smutny był i wzruszony.

— Wyjadę, mówił dalej August, i jak dawniej pracować będę wedle sił i zdolności. Czuję, że uczucie głębokie a nieszczęśliwe przebudziło mego ducha, wzmogło go — wyrwało z apatii w którą był zapadł. Myśl o niej będzie mi natchnieniem... Pocięchy w tęsknocie i siły w cierpieniach szukać będę w sztuce ukochanej, do której teraz czuję popęd taki jaki był ozdobą i rozkoszą najpierwszej mej młodości... Nie każdemu dano być szczęśliwym na tej biednej ziemi... Ja szczęście moje smutne ale spokojne odnajdę w myśli, że spełniłem com był powinien..

Cóż jakby łza drobna ukazała się w bladych źrenicach Gaczyckiego, i wnet zniknęła. Ręką wskazał na przeciwległe okna, i zwolna zapytał:

— A ona?

— Ona? odpowiedział August, ona zapomni!.. I niech będzie szczęśliwą — dodał, i przeciągnął rękę po czole zaszłem chmurą ciężkiej boleści.

Zrozumieli się, i w milczeniu uścisnęli sobie dłonie.

W godzinę potem, lekarze zebrani przy łóżu Anastazji na naradę oświadczyli, że z chwilowego osłabienia w jakie wtrąciła się sama, wróci ona wkrótce do zwykłego so-

bie stanu; że zdrowie jej, lubo podkopane mnóstwem chorób, i zachwiane nazawsze, nie przedstawia żadnego natychmiastowego niebezpieczeństwa, i że pomimo wielu swych dolegliwości, chora żyć może bardzo długo.

A wieczorem dnia tego August stojąc u okna swego pokoju, oczami pełnemi smutku żegnał bladym światelkiem błyszczące okno Wandy.

I długo w noc dwa ich okna same jedne oświetlone, i czuwające wśród ciemnych i uśpionych otaczających domostw, zdawały się, jak dwie gwiazdy mgłą jesienną przyćmione, drżeć, skarżyć się, i żegnać. Pośrodku ulica mroczna i cicha rozpadała się między niemi niby przepaść.

XXV

Wanda siedziała w salonie swoim sama jedna i zamyślona. Smutne musiały być myśli które napełniały głowę młodej dziewczycy, bo pochylała na dłoń białe czoło, a pierś jej częstym podnosiła się westchnieniem.

Drzwi otworzyły się zcicha, na progu błysnął kolor różowy, i do salonu weszła Stasia.

Ujrzawszy ją, Wanda wydała okrzyk radości, i z niezwykłą sobie żywością rzuciła się na szyję przyjaciółki.

— Wandziu! na Boga? co ci jest? jak ty wyglądasz? zawołała przybyła z przestrachem niemal.

W istocie Wanda w przeciągu dni ostatnich zmieniła się niezmiernie; schudła, zbladła, a w oczach jej i na czole znać było głębokie cierpienie. Nie odpowiedziała na niespokojne pytania przyjaciółki, ale całując ją ciągle i sadzając obok siebie, zawołała z tłumionemi łzami:

— Stasiu moja! przysłaś przecie do mnie! myślałam że i ty opuścisz mię jak wszyscy, że się odemnie oddalisz, że mną pogardzisz...

— Co ty takiego mówisz Wandziu? co się z tobą dzieje, moja droga? — pytała Stanisława tuląc do siebie drżącą i rozplakaną.

— Alboż ja sama wiem co się wkoło mnie dzieje? zawołała Wanda; spotykają mię wciąż rzeczy nadzwyczajne, bolesne, upokarzające! Posłuchaj tylko! Onegdaj matka moja, jak wiesz, zawsze prawie cierpiąca, poleciła mi bym w jej imieniu oddała pani Rokowiczowej wizytę, która się jej od nas dawno należała. Poszłam więc do niej, i powiedziano mi w przedpokoju że pani Teresy niema w domu. Wychodząc z bramy jej mieszkania mimowoli podniosłam oczy, i zobaczyłam ją stojącą w oknie, i patrzącą na mnie z dziwnym uśmiechem. Nie umiem ci określić jaki był uśmiech ten! jakiś zjadliwy, okrutny, a wyraźnie zdawał się mówić do mnie: „Widzisz, byłam w domu, ale nie przyjąłem cię, bo takich osób jak ty, nie przyjmuję i nie chcę mieć z niemi żadnych stosunków!” Zdziwiłam się, ale się nie zmartwiłam wcale; przypisałam to jakiemuś dziwactwu pani Teresy, dla której zresztą nie miałam nigdy wiele sympatji. Ale gdym szła ulicą, spotkałam jadącą koczem panię Rostowiecką. Siedziała jak zwykle rozparta dumnie w powozie i wystrojona. Jako dobrej znajomej ukloniłam się jej, i wystaw sobie moje zdziwienie, kiedy zamiast oddać mi ukłon, pani Olimpia podniosła głowę swą jeszcze wyżej, i zmrużonemi oczami rzuciła na mnie spojrzenie... Jakież spojrzenie? takie jakim był uśmiech pani Teresy: Zdawała się mówić mi oczami: „nie znam takich jak ty osób, i nie chcę mieć z niemi żadnych stosunków!” Przyszłam do domu bardzo zdziwiona; że jednak miałam co innego na sercu i myśli, zapomniałam prędko o tych dwóch wydarzeniach. Ale odtąd ciągle spotykają mię podobne... Zawczoraj spotkałam wychodząc z kościoła córki pani R., tej co to zawsze w amarantowej sukni chodzi; spojrzęły na mnie swemi przymrużonemi oczkami, i nie ukloniwszy się, odwróciły głowy... Rokowicz przeszedł obok mnie kilka razy; patrzył na mnie i ani głową nie skinął... Nawet pocziwa Ludwinia która zawsze tak mię kochała, spotkawszy mię na chodniku uściśnęła mi rękę jakby ukradkiem i oglądając się czy ją kto nie widzi, pobiegła prędko niby uciekając odemnie... Powiedz mi Stasiu, co to wszystko ma znaczyć? bo ja daremnie zapytuję sumienia swego; nie znajduję w niem nic, coby zasługiwało na tak ogólną przyganę i pogardę? Cożem złego wyrządziła tym ludziom, że mię tak wytrącają z pośród siebie, że śmia publicznie i jawnie ubliżać mi? Wszakżem się zrodziła i zhodowała pomiędzy nimi, wiedzieli więc oddawna kim i jaką jestem; dla czegoż więc wprzódki okazywali mi przyjaźń? Czemu te same kobiety, które dziś odwracają

się odemnie, całowały mię i nazywały swą przyjaciółką, niedawniej jak przed miesiącem? Gdyby o tem dowiedziała się matka moja! drzę na samą tę myśl! Ona tak dumna mną, tak ślepo mię kochająca, umarłaby chyba z rozpaczy i wstydu!...

Wanda umilkła; wyraz goryczy i cierpienia osiadł na jej twarzy. Stanisława smutnie na nią patrzyła.

— Biedne dziecię! wyrzekła po chwili, więc ani przewidywałaś, że burza oddawna już wre wokoło ciebie, że złe języki opasały cię siecią tysiącznych plotek i obmów, że te same kobiety, które okazywały ci najżywszą przyjaźń i sympatję, najżarściej szarpały twoją dobrą sławę?

— Owszem, odpowiedziała Wanda, oddawna nie zwykłam była stosować się do drobniawych form i zwyczajów przyjętych przez nasze towarzystwo, i wiedziałam że mi to mają za złe... Ależ od prostej przygany do ogólnej pogardy daleko jeszcze. O cóż mię oskarżają? zkądże powstała ta burza złych języków, o której mówisz?

— Ze znajomości twej z panem Przybyckim, odparła Stanisława.

Czoło Wandy pokryło się szkarłatnym rumieńcem, a potem stało się jeszcze bledszem niż było wprzód. Pochyliła głowę na piersi.

— Tak, szepnęła, domyślałam się tego, ale odpychałam domysł ten, jako uwłaczający ludziom i mnie. O, jakież to serca niedobre! jakie nieszlachetne dusze! mówiła dalej zalamując ręce przed sobą; dla czegoż nikt z nich nie przyszedł otwarcie wypowiedzieć mi swej myśli? czemu nikt szczerze a uczciwie nie zapytał mię o istotę rzeczy? Wszak znali mię od tak dawna i taką mi okazywali przyjaźń, że niejedna osoba miała prawo to uczynić! Dla czegoż knowali przeciwko mnie niby spisek jakiś, w obłudzie i fałszu uśmiechając się do mnie i okrywając mię pocałunkami — aż póki nie zdobyli sobie pozornego prawa odtrącenia mię od siebie publicznie? Dla czegoż zresztą sądzą mię z pozorów, które same nawet nie miały w sobie nic złego? czemu dobre nawet istoty jak na przykład Ludwika, łączą się z tą złością i obłudą innych? O świat! o ludzi!

Z gestem gorzkiego rozczarowania zakryła oczy dłońmi.

— Ja ci zaraz ukażę przyczynę tego co cię tak dziwi, rzekła Stanisława z powagą w głosie: oto kobiety te okazywały ci zawsze przyjaźń obłudną i fałszywą, a w gruncie zazdrościły ci, żeś młodsza i piękniejsza od nich; że sama jedna wywoływałaś w około siebie tyle pochwał i uwielbień, ile one wszystkie razem wzięte zebrać nie mogły. Rade więc, że znalazły jakikolwiek pozór do potępienia cię i obrzucenia naganą. W postępowaniu twojem dopatrują grzechu, bo same są grzeszne; pragną cię okryć cieniem, aby same światło wyglądać. Co zaś do owych dobrych, jak powiedziałaś istot, które łączą się ze złością i obłudą innych; czynią to one przez tchórzostwo i egoizm, obawiają się płynąć przeciw prądowi ogólnego zdania, aby własnej nie narazić opinji. Są to istoty dobre wprawdzie, ale dobrocią owcy lub cielęciami, pozbawioną wszelkiej odwagi i energii. Słyszą, żeś oskarżona o coś złego przez głos publiczny; przekonane w gruncie o twej niewinności, uściskną cię milczkiem i potajemnie między czterema ścianami swego lub twego pokoju — ale na ulicy, w dzień boży i widny, gotowe są razem z drugimi rzucić na ciebie garścią błota lub kamieniem, dla tego aby ktokolwiek nie powiedział broń Boże, iż mają spólnictwo z tem, co miało nieszczęście niepodość się komuś...

— O Stasiu! ty do takich słabych i tchórzliwych istot nie należysz! zawołała Wanda obejmując szyję przyjaciółki.

— Ja? odpowiedziała Stanisława wzruszając ramionami, ja nie pojmuję podobnej dwulicowości. Dla kogo nie mam dość szacunku, aby w nim ręka w rękę iść publicznie, temu i potajemnie dłoni nie podam; ale kogo między czterema ścianami uścisknę z przyjaźnią, temu dałabym ten sam uścisk, choćby na szczycie wieży kolońskiej katedry, i chociażby u stóp tej wieży cała ludzkość była zgromadzoną i patrzyła na mnie... Z tobą Wandziu znamy się od lat dziecinnych — od lat dziecinnych wiązała nas przyjaźń i wzajemna sympatja; to też nigdy nie zaparłam się tego, że jestem twoją przyjaciółką — i nie zaparłabym się nawet, gdyby cię oskarżano o sto razy większą zbrodnię niż ta, że kochasz człowieka, którego ci wedle praw ludzkich kochać nie wolno.

— A więc tak, kocham go! wybuchnęła Wanda wpół z płaczem, wpół z energją. I cóżem temu winna? Alboż wiem jak przyszło mi to uczucie? alboż potrafiłabym sama opowiedzieć historją mego serca? Gdy pierwszy raz go ujrzała, zdało mi się że znam go dawno... dawno, że przebywaliśmy już razem kędyś w krainach duchów może... tam

pod gwiazdami, w które oboje wpatrywać się lubimy — może dla tego że przeczuwamy w nich pierwotną ojczyznę naszą i miejsce, do którego dusze nasze ulecą, aby się połączyć po przebyciu tej biednej ziemskiej drogi! Nie wiedziałam o tem że go Kocham, Bóg i sumienie moje świadkami memi! W myśli mej zwałam go bratem, a niekiedy mistrzem moim, bo przy nim duch mój wzrastał i wlatywał coraz wyżej w krainy sztuki i wiedzy. Cierpiałam i nie rozumiałam mego cierpienia; tęskniłam i nie rozumiałam mych tęsknot. Doświadczałam dziwnych, nieznanym przedtem radości, i nie pojmowałam zkądyby się one brały we mnie... Nie miałam u kogo zaczerpnąć rady, nie było obok mnie niczego oka, któreby spojrzało w głębie mego serca i rozwidniło je przedemną samą! Matka moja, droga i najlepsza moja matka, śród chorób i odosobnienia dawno zapomniała jakim torem postępują uczucia młode. Zresztą lękałam się sprawić jej zmartwienie, zwierając przed nią niepokoje moje... I nie czułam nawet potrzeby tego, bo niepokoje te brałam za urojenia, za marzenia dziwne, którym i pierwej ulegałam nieraz. Łajałam się za nie, i nie widziałam w czembym winną była... I nagle rozdarła się przedemną zasłona... Było to w cichy pogodny wieczór. Staliśmy nad brzegiem rzeki sami jedni w obec pięknej samotnej natury, która zawsze przemawiała mi do serca i wprawiała mię w odmet marzeń... O droga moja! jaki on piękny był wtedy! jakie blaski przechodziły mu po czole i świeciły w oczach! Widziałam dwie łodzie płynące po rzece, i pomyślałam że był to symbol mego życia i jego. Łodzie rozstały się i popłynęły w przeciwnie strony — poczułam boleść nagłą, i głos jakiś krzyknął mi w sercu: Kocham! Spojrzałam na niego i ten sam wyraz wyczytałam na jego twarzy! Zrozumiałam siebie i jego! Odtąd wiedziałam wszystko! Odtąd także nie widziałam go.

Zatrzymała się na chwilę owładnięta wzruszeniem; silniej przytuliła się do piersi przyjaciółki i mówiła dalej:

— Nie przyszedł do mnie więcej, bo zapewne przejrzał także i rozumiał mnie i siebie! Widziałam jak przez tę krótką chwilę, w której przebywaliśmy jeszcze razem, walczył on aby nie wyrzec tego wyrazu, którego pełne były oba serca nasze! Nie chciał zapewne zakłócać bardziej spokoju mego! O, jakże urósł i zmężniał wtedy w oczach moich! O, Kochana! jaki on szlachetny! jaki zacny!

Ukryła twarz na piersi przyjaciółki, i płakała.

— Biedna Wanda! wyrzekła cicho Stasia, czeka cię wielka boleść. Dziś zrana dowiedziałam się, że on za kilka dni opuści nasze miasto!

Wanda podniosła głowę; lzy oschły na jej oczach, a na twarzy był wyraz energii i mężstwa.

— Wiem o tem, odrzekła; wiem, choć mi tego nikt dotąd nie powiedział. Inaczej być nie mogło. On ma do spełnienia powinność zaciągniętą względem nieszczęśliwej kobiety, która jest jego żoną; a ja ani jednym słowem od tej powinności odwieśćbym go nie śmiała. O, Stasiu moja! gdyby on był wolnym, czuję że spełniłoby się to niewyraźne marzenie o szczęściu, jakie długo serce moje snuło w pół-śnie i cichości! Bylibyśmy szczęśliwi! Zdaje mi się, że Bóg stwarzając ludzi musi mówić niekiedy: tych dwoje stwarzam dla tego aby stanowili jedność, aby wzajemnem byli sobie dopełnieniem — bo dusze im dają podobne i myślom ich jedną zakreślam granicę — wysoko, aż pod stropem niebios uwitą. Będą się szukali po świecie marzeniem tęsknem — znajdą się i ukochają! I staje się wedle słowa Bożego. Dwoje ludzi z duchami podobnemi do siebie spotykają się i znajdują... i umiłują się wzajemnie... Ale ziemskiem życiem ziemskie rządzą prawa; one ich rozdzielają, i idą oni dalej z osobna drogami świata, jak osobno płyną dwie łodki — siostry, roztracone po falach wiosłem rybaka. Któż odgadnie w jakich celach dzieje się tak z ludźmi na świecie? Któż poważy się sarkać na przeznaczenie, które przecie ślepym trafem nie jest, ale skutkiem przyczyn nad którymi długo myśleć trzeba aby je poznać, a czasem i nigdy poznać rozumem nie można... tylko trzeba odgadnąć sercem i zważyć sumieniem... Długo nad tem myślałam, a boleśnie i samotnie, i wstąpiła we mnie myśl światła, że ani jemu ani mnie nie wolno walczyć z losem, który nas rozdziela. Zwycięstwo w tej walce nie trudne, ale okupionemby zostało ostatecznem nieszczęściem istoty i tak nieszczęśliwej, a która jednak zawierzyła mu kiedyś życie, i dziś bez jego opieki, bez jego ramienia istnieć nie może...

Milczała Wanda przez chwilę, i zdawała się głębiej namyślać.

— Tak, rzekła jeszcze, wchodzę w samą siebie, i pytam gdzie grzech mój — i nie znajduję go. Nie znajduję go, bo czuję się czysta w poczuciach i postanowieniach moich; bo wiem że gdyby *on* nawet zachwiał się na drodze swojej, i przez miłość dla mnie chciał złego dopełnić czynu, ja sama pokazałabym mu cel wyższy nad wszelkie ziemskie szczęście: udoskonalenie się ducha, i niezmaconą żadną winą czystość sumienia. I powiedziałabym mu: przenieśmy mężnie cierpienie nasze, i pozostajmy zacni oboje!..

Piękną była Wanda gdy tak mówiła. Szlachetna duma i odwaga wyprostowały jej postać, a na licu rozlała się połączona z cichym cierpieniem pogoda niewinności.

Stasia objęła ją ramionami, utuliła na swej piersi, i z cicha a słodko mówić do niej zaczęła. Były to może pociechy, może rady doświadczeńszej przyjaciółki, na które Wanda odpowiadała niekiedy ściśnieniem ręki lub pocałunkiem.

XXVI

Niedalej jak o pół wiorsty od X., na niewielkiem wyniesieniu stoi dworzec kolei żelaznej. Obok murów jego kilka razy na dobę z odległych stron świata przybywająca, pędząca jak wichru i kurzawy tuman, staje lokomotywa. Przybycia jej z niecierpliwością oczekują tłumy tych, którzy w podróż puszczać się mają, i tych co żegnać ukochanych a oddalających się przyszli, i tych co mają nadzieję powitać kogoś z drogi dalekiej, i tych jeszcze, co od lat już wielu gapią się na ów parowy i żelazny cud dziewiętnastego wieku, i nigdy dosyć nagapić się nie mogą.

Kiedy zrana w dzień pogodny parowóz odlatuje od dworca, stukając kołami po szynach, sycząc i gwizdząc jak wulkan przed wybuchem, a podobno i czeluście piekielne pełne dusz nieszczęśliwych smażonych w smole — wtedy w przezroczystym powietrzu rozwija się za nim długie a kręte pasmo dymu ozłoconego słońcem; sypią się iskry niby z paszczy bajecznego smoka, a smugi ich wiją się i błyszczą jak ogon komety. Jeśli zaś zjawisko to zbliża się o zmroku; wówczas zdala na tle szarem iskrzato płoną i lecą w przestrzeni latarnie czerwone, niby wytrzeszczone ślepie olbrzymiego wilka; a gdy oddala się, zamiast dwóch, ma za sobą jedno płomiennie czerwone oko, które ulatując w przestrzeń, to ukazując się, to znowu znikając na załamach drogi, zdaje się wołać na pozostałych a patrzących: „w świat! lecę w świat jak meteor ziemski! komu ochota to proszę zemną — ale chyba na drugi raz, bo co teraz to się już nie zatrzymam, chyba na rozkaz bozki lub... królewski!

Któż zrachuje, ile westchnień codziennie na świecie ulatuje z piersi pozostałych za tem okiem, które błyszczy zdala, niby ostatnie pożegnanie przesłane od ukochanych a odjeżdżających!

Dzień jesienny pogodny ale mglisty i mroczny miał się ku końcowi; na dworcu kolei tłumno było i gwaro — bo przed oknami wstrzymana na chwilę w swym pochodzie, sztywna i wyniosła, stała już lokomotywa. W salach pstra i różnorodna ludność toczyła się, popychała, witała, żegnała, gotowała się do podróży.

Odosobniona nieco od tego ścisłu i gwaru, w zagłębieniu jednego z okien, stała para ludzi: młody mężczyzna w podróżnym ubraniu, i młoda kobieta w ciemnym okryciu i z zasłoną na twarzy. W postawach obojga znać było wzruszenie; z poza przezroczystej zasłony kobiety dwoje wielkich oczu błyszczało łzami. Powoli, wyciągnęła drżącą rękę do stojącego naprzeciw mężczyzny, i rzekła:

— Powiedziano mi że pan dziś odjeżdżasz... przyszedłem aby raz jeszcze widzieć i pożegnać pana... może nie powinnam czynić tego, ale nie mogłam inaczej...

Nie mogła mówić dalej. Mężczyzna patrzył na nią z uwielbieniem i wdzięcznością.

— W tej uroczystej chwili, wyrzekł, gdy może poraz ostatni widzimy się na tej ziemi, pozwól abym odrzucił formy światowe i raz, raz jeden w życiu powiedział do ciebie: Wando!

— Panie Augustcie! jęknęła kobieta; Augustcie! szepnęła tak cichutko, że jeden tylko anioł stróż jej mógłby ją dosłyszeć — a z pod zasłony spłynęła kropla przezroczysta, i zaperliła się na ciemnym okryciu.

W tej chwili tuż blisko nich zadzwieczał donośny dzwonek. Zadrżeli oboje, i pobledli.

— Myślałam, mówiła Wanda, że nie będzie źle z mej strony, jeśli przyjdę tutaj aby pożegnać pana słowem gorącego życzenia, aby uścisnąć ci rękę raz jeszcze, i powiedzieć: bądź szczęśliwy!

— Szczęśliwy! powtórzył August ze śmiertelnym zwątpieniem w głosie, i powiódł ręką po oczach przed którymi przedmioty mieszały się, ćmiły i drżały.

— Szczęśliwy! powtórzyła Wanda pewniejszym głosem, szczęśliwy — tem smutnem lecz wielkiem szczęściem, jakie daje niepokalana zacność, i spełniony obowiązek.

Drugi raz ozwał się dzwonek, a głośniej jeszcze i przeraźliwiej niż przedtem.

Wanda znowu złożyła dłoń w rękę Augusta — tonęli w sobie oczami, jak gdyby nawsze obrazy swoje chcieli utrwalić w pamięci.

— Czy spotkamy się jeszcze kiedy na tej ziemi? szepnęła Wanda.

— Nie wiem, drżącemi usty odszepnął August. Ja pani szukać nie będę, nie powinienem... chyba... chyba będę miał prawo rozrządzać własnem życiem, i oddać je tobie.

Trzeci raz zabrzmiał dzwonek. Dźwięk jego ostrzem stali odbijał się o serca młodych ludzi.

— Jedź już, jedź pan! szybko wyrzekła Wanda; *ona* tam czeka na ciebie... Bądź zdrów Augustcie, dodała cichutko.

W silnym uścisku objął jej obie dłonie.

— Wando! pamiętaj o mnie! wyszeptał; nie, nie, dodał prędko, zapomnij... zapomnij, i bądź szczęśliwą! Z temi słowami odbiegł od niej, i zmieszał się z różnobarwnym tłumem.

Rozstali się nazawsze może, i nie powiedzieli sobie nawet ni razu krótkiego słowa: Kocham! August zaparł je w sercu aby na usta nie wyszło, bo lękał się bardziej jeszcze zamącić spokój i zranić serce Wandy; ona słowa tego nie wyrzekła, bo powstrzymywała ją nieśmiałość dziewicza, a w głębi jej tkwiła myśl, aby szlachetnemu człowiekowi nie utrudniać bardziej spełnienia bolesnych lecz zacnych postanowień.

Odezwało się kilkorazowe głuche stuknięcie zamykających się drzwiczek wagonów, świsnęła przeraźliwie lokomotywa, kłęb gęstego dymu wyparty z żelaznego komina uniósł się szarą mgłą w powietrze, — i po chwili na drodze wił się już pociąg w szybkim pochodzie, niby olbrzymi wąż czarny, a przyczepiona za nim latarnia jaskrawa świeciła jak wielkie czerwone oko.

Wanda stała jeszcze u okna, płonące czoło przycisnęła do szyby, i oczami ściagała ulatujący w przestrzeń punkt iskrzący.

Punkt ten oddalał się coraz bardziej, śród coraz gęściej zapadającego zmroku; błyszczał zrazu jak wielka czerwona gwiazda, potem wydawał się płonącym żarzewiem ulatującym w powietrzu — malał coraz i malał; raz jeszcze zdala błysnął niby iskra drobna i... zniknął. Zagasło czerwone oko olbrzymiego węża, świst i stuk jego zniknął w przestrzeni. Za szybami przed wzrokiem Wandy był już tylko cień nocy gdzieniegdzie rozświetlony rzadkiemi i drobnymi światełkami przydrożnych latarni; za nią rozlegał się gwar niewyraźny wylegającego z dworca na podwórze tłumy.

Odwróciła się od okna powoli, i zmieszała się z tym tłumem. Czy lzy jej wzrok zamęciły? czy taki nawał myśli cisnął się do głowy że straciła pojęcie miejsca w jakim była i nic nie widziała dokoła? Szła krokiem wolnym i chwiejnym, z opuszczoną głową, z obwisłemi rękami, nie patrząc na nic co ją otaczało, nie starając się torować sobie drogi śród cisnących się ku drzwiom ludzi. Tłum złożony z pospólstwa przeważnie izraelskiego otoczył ją, ogarnął i pochłoniął; wkoło jej głowy rozlegał się krzyk i szwargot, grubjańskie ręce popychały ją odtrącając od wyjścia, do którego parły się same.

Ona nie zważała na nic, przystawała chwilami jak osoba zmęczona bardzo; chwilami postępowala naprzód krokiem niepewnym — aż oparła się o ścianę, a mnóstwo ludzi przeciskało się tuż koło niej.

Nagle ktoś rozepchnął silnie tłumy, i obok niej stanął; czyjaś ręka ujęła jej rękę, i położywszy ją na swem ramieniu, ku drzwiom ją powiodła. Po chwili poczuła na swem czole podmuch świeżego, orzeźwiającego powietrza, posłyszała głuchy turkot podjeżdżającej karety, i sama niewiedząc jak, znalazła się w głębi powozu. Ten kto ją do niego przywiódł, usiadł przy niej i zatrzasnął portjerę. Zamknięcie to i ruch karety toczącej się po bruku, obudziły Wandę z pół-omdlenia w jakim zostawała; podniosła oczy, i zobaczyła oświetloną przez palącą się u powozu latarnię szlachetną i zamyśloną twarz Gaczyckiego.

— Przebacz pani, odezwał się po chwili pan Edward, że osmieliłem się podać jej rękę śród tłumy, i ofiarować jej mój powóz. Późno już jest, i obawiałem się abyś pani przy wyjściu z dworca nie znalazła się w kłopotcie z powrotem do domu...

Dziwnie dźwięczał głos jego gdy to mówił. Było w nim uszanowanie głębokie a zarazem wzruszenie którego widocznie utaić całkiem nie mógł.

Wanda spojrzała na niego z wdzięcznością, i podając mu rękę rzekła krótko:

— Dziękuję!

Milczeli oboje dopóki kareta nie zatrzymała się u bramy mieszkania Wandy. Gaczycki podał jej znowu ramię; powoli wstępowali po wschodach. Gdy byli już u drzwi przedpokoju, Gaczycki wyrzekł:

— Jutro odjeżdżam. Czy pozwolisz pani abym z nią kilka chwil pomówił sam na sam?

Wanda gestem zezwoliła.

— Matka moja, odrzekła, jak najczęściej, tak i dziś nie opuszcza swego pokoju, bo czuje się cierpiącą; przyjmę więc pana sama.

Po chwili siedzieli oboje w salonie oświetlonym lampą.

— Dziwnem się może pani wyda, mówił Gaczycki, że wybrałem chwilę podobną aby jej powiedzieć to o czym chcę abyś wiedziała. Ale właśnie chwila ta wydała mi się stosowną: jesteś pani smutną a ja pragnę wyrzec ci słowo pociechy; jesteś opuszczoną i samotną, pragnę ci podać dłoń przyjaciela; żebym miał prawo to uczynić, powinienem powiedzieć otwarcie co czuję i myślę...

Wanda patrzyła na niego z szacunkiem i wdzięcznością.

— Mów pan! wyrzekła.

— Pozwól pani że zacznę rzecz od początku. Przed kilku miesiącami przyjechałem do X. dla spraw majątkowych, tylko na krótko. Miałem już odjeżdżać, gdym poznał panią. Nie odjechałem — i pozostałem na dłużej, sam nie wiedząc na jak długo. Nie powiem pani, aby żywsze jakies uczucie było od razu pobudką pozostania mego w X. Jak to pani mogłaś zauważyć, nie jestem skłonny do marzeń i zapału; niezgodneby to było wreszcie z moim wiekiem, w którym dojrzałość myśli i rozwaga właściwe są i konieczne. Pozostałem dla tego, że uderzyłaś mię pani swą indywidualnością wybitną na pstrzem a pospolitem tle, wśród którego cię ujrzałem; zaciekawiłaś mię, zapragnąłem cię zbadać zrazu ze stanowiska filozofa i psychologa tylko. Znajomość serc ludzkich była dla mnie zawsze najpożądalszą wiedzą. Ile razy w życiu spotykałem indywiduum odróżniające się od pospolitego tłumu, tyle razy zatrzymywałem się przy niem, aby je pojąć i zbadać; w tem przekonaniu, że znajomość serc ludzkich ułatwia poznanie samego siebie i pokazuje drogi, na których bliźnim najbardziej użytecznymi być możemy. Otóż zatrzymując się obok pani, sądziłem, że będzie to stacja umysłowa podobna wielu innym; że zaczerpię z niej nową wiedzę dla myśli, zrobię nowe studjum psychologiczne, i spokojny wrócę do moich fabryk, książek i rolnictwa. O sercu ani myślałem. Stało się inaczej. Zatrzymałaś mię pani przy sobie dłużej niżlim się spodziewałem — pokochałem panią...

Wanda zbłądła nieco i bolesny niemal wyraz zjawił się na jej twarzy. Spozrzegł to Gaczycki ale nie zmienił się wcale; pozostał jak wprzód poważny i nieco wzruszony.

— Nie obawiaj się pani, zaczął po chwili milczenia, abym miał pani wiele mówić o mojem uczuciu, wtedy gdy przyjąć je najmniej usposobioną jesteś. Powiedziałem tylko fakt, który powiedzieć byłem powinien, a nie zobowiązuje to panią do wyrzeczenia ani jednego nawet wyrazu. Dla tego jednak abyś pani pojęła wszystko co powiem, muszę roztoczyć przed nią cały obraz przejść mych wewnętrznych...

Milczał znowu chwilę, potem mówił dalej.

— W młodości mojej, w bardzo wczesnej młodości, kochałem raz kobietę... miłośćto była jedna z tych, jakie zwą nieszczęśliwemi. Nie uświęcona ludzkiemi prawami, spotkała niezwykione zapory, rozwiała się, minęła jak sen krótki a poetyczny, i zostawiła mi tylko w sercu na zawsze wielkie współczucie dla tych, którzy kochają i cierpią... Od owego czasu praca była jedynym żywiołem wśród którego żyłem. Pole dla niej znajdowałem w nauce, uprawianiu i doskonaleniu rolnictwa, w kierowaniu przemysłowemi i dobroczynnemi zakładami, jakie wzniosły się w moich posiadłościach — i to mi starczyło. Nie czułem nigdy próżni w życiu ni pustki w sercu. Dla życia miałem cele którem umiowałem, i do których dążyłem; dla serca przyjaźń i miłosierdzie. Myślałem jednak niekiedy o życiu rodzinnem; ale że doszedłem do lat w których człowiek nic nie czyni bez rozwagi i namysłu, trudno mi było znaleźć kobietę odpowiadającą moim pojęciom. Znalazłbym może taką gdybym szukał, ale nie szukałem — bo zbyt byłem zajęty studjami nauko-

wemi, sianem pszenicy, sprowadzaniem machin i budowaniem szkół lub szpitalów. Aż stało się tak, że nieszukając znalazł... znalazłem panią.

W kobiecie którąbym mógł wybrać, pragnąłem ujrzeć jasną inteligencję, dobroć, ciepło serdeczne i wdzięk, któryby moje serce do niej pociągnął. Przymioty te ujrzałem w pani gdyś cię badać począł. Ale w tej samej porze uwaga twoja zwróciła się na innego...

Nie będę pani opowiadał jakie na widok ten były osobiste wrażenia moje; powiem tylko że serdecznie i głęboko współczułem tobie i *jemu*. To co inni potępiali w pani, mnie jeszcze bardziej pociągnęło do ciebie. Zobaczyłem, że zdolna jesteś kochać bez rachuby, z czystością myśli i podniosłością uczuć; widziałem potem, że w imię zacności i obowiązku potrafiłaś spełnić poświęcenie i przenieść boleść z odwagą — i pokochałem cię jeszcze bardziej...

Tu głos Gaczyckiego po raz pierwszy w ciągu jego mowy stłumiony został wzruszeniem; blade źrenice pociemniały i błysnęły. Pod wpływem półgłosem wypowiedzanego uczucia, twarz jego stawała się coraz piękniejszą, rozumną i mężką pięknoscią.

Wanda patrzyła na niego zdziwiona i wzruszona także; w oczach jej migotał rzewny wyraz — była w nim znowu wdzięczność i najwyższy szacunek.

Gaczycki mówił dalej.

— Tego co powiedziałem, nie bierz pani za naleganie lub jakkolwiek z mej strony prośbę. Byłbym niedelikatnym, nieszlachetnym prawie, gdybym nieszanując twego smutku i żalu, prosił panią w tej chwili o serce twe lub rękę. Chciałem tylko, abyś pani zostając tu rozszalona, tęskniąca, wystawiona na szorstkie zetknięcie się z ludźmi niesprawiedliwymi lub złymi, wiedziała o tem że jest na świecie człowiek, który cię poznał, pojął, ocenił, który szanuje cię, kocha i gotów w każdej ciężkiej dla ciebie chwili pośpieszyć dla podania ci pociechy, rady lub pomocy, jakiejbyś kiedykolwiek potrzebowała... Zresztą pani, życie człowieka krótkie i długie jest zarazem. Krótkie w porównaniu z wiekami, które jak ocean niezmierny płyną nad niezmiernym Wszechświatem; długie według lat, dni i godzin człowieczych, z których każda mierzy się uczuciem jakimś, boleścią, troską, radością lub obowiązkiem, o spełnienie go wołającym. Pani byłaś dotąd marzącą, przeczystą dziewicą; wśród marzenia swego miałaś sen o miłości... Był to sen tylko, nic więcej... Pani się zdaje może, że wspomnienie snu tego nie opuści cię do grobu i że wspomnieniem tem żyć będziesz wiecznie; ale prawa natury i serc ludzkich powiadają inaczej... Życie długie jest pani, wedle miesięcy, lat, dni i godzin. W tem długim życiu, prędzej czy później barwy snu prześnionego zbledną w twej pamięci; na grobie wspomnień zatkniesz niezapominając wątlą i zapagniesz rzeczywistości... Rzeczywistości jakiej? oto takiej, aby w niej była znowu miłość, jeśli nie tak przezrocza i żywa jak ta co minęła, to może za to głębsza i trwalsza — a z miłością tą, aby nadeszło ciepło domowego ogniska, rodzina, obowiązki — wszystkie te słowem prace i uczucia, które każdy myślący człowiek spełnić i odczuć powinien i których wiecznie pragnie...

Jeżeli więc przyjdzie kiedy chwila w której pani rzeczywistości takiej zapagniesz, wiedz o tem, że jest na świecie człowiek, który ją zawsze spełnić i przywieźć ku tobie gotów — a tym człowiekiem jestem ja... W moim wieku i z moim charakterem, uczucia raz powzięte nie przechodzą łatwo; takim jak jestem dzisiaj, zostanę dla pani na długo, na zawsze może. Teraz tę tylko zanoszę do pani prośbę, abyś pozwoliła mi od czasu do czasu przybywać do X. dla widzenia cię, dla zasięgnięcia o tobie wieści, dla rozgrzania mego serca po długiej samotnej pracy twoim widokiem i twoją przyjaźnią... Nie odmówisz mi pani tego, nieprawdaż?

Umilkł i patrzył na Wandę. Ktoby go widział, z trudnościami go poznał wtedy. Nie było już człowieka o pańskiej, wyniosłej i zimnej postaci, z twarzą rozumną i obojętną zarazem. Głębokie uczucie wydarło się z jego piersi, której ogień umiał tak dobrze osłaniać chłodem zewnętrznym — i rzuciło na niego blask niewymownej dobroci i siły duchowej.

Wanda podała mu rękę.

— Byłabym złą lub bezmyślną, rzekła, gdybym nie potrafiła zrozumieć pana i ocenić takiego serca jak twoje i takiej zacnej wyciągniętej do mnie dłoni. Bóg widzi głębię mojej duszy, i sam wie tylko jak cierpię... Czy prześnię kiedy ten sen o którym pan mówiłeś, czy barwy jego zbledną kiedy w mej pamięci — nie wiem; ale to wiem, że ile razy pan mię zobaczysz zechcesz, spotkam cię z szacunkiem prawdziwym i niemniej szczerą przyjaźnią...

— Dziękuję, wyrzekł zcicha Gaczycki i uściśnął jej rękę. W tej chwili cichutko otworzyły się drzwi przyległego pokoju, i jak aniołek, w białą ubraną sukienkę, wbiegło dziecko wątłe, blade, z główką osypaną złocistymi kędziorami. Poskoczyło z okrzykiem na kolana Wandy i rączkami objęło jej szyję.

Wanda przycisnęła dziecko do piersi, pochyliła się nad niem, i znowu zdjęta wzruszeniem, które przechodziło jej siły, cicho płakać zaczęła.

— Czego ty płaczesz, najdroższa? czemu ty taka blada? — szczebiotała mała Andzia przyciągając do siebie głowę Wandy i drobną rączką starając się otrzeć łzy z jej twarzy.

Gaczycki powstał i ze wzruszeniem patrzył na rzewną grupę. Po chwili odezwał się z powagą, niemal uroczystością w głosie:

— Dobrze odgadłem twoje serce pani, powierzając ci tę biedną sierotę. Potrzebujesz kochać i czynić coś dobrego na świecie. Kochaj więc dziecko to, kształć jej serce, wznos jej umysł ku tym pięknym rzeczom, których własna myśl twoja pełna — a będziesz miała chwile spokoju i wysokiej moralnej pociechy. Obok tego, obejrzyj się wkoło siebie; może gdzieś niedaleko, tam kędy ręka twoja sięgnąć zdoła, jest jakaś niedola którą dźwignąć trzeba, jakaś ciemność którą można rozświetlić. Pełną dłońią czerpaj dobroć z swego serca i światło ze swojej myśli, i siej je między ludźmi. Spójrz także i w siebie, a jeśli zobaczysz że w umyśle twym brakuje jakiej pożytecznej wiedzy, nabywaj ją, ucz się, wstępuj coraz wyżej po szczeblach, które wiodą człowieka do poznania wszystkiego co mu poznać na tej ziemi jest dane. Miłosierdzie i praca — oto dwa wyrazy, dwa pojęcia, które zapisz sobie głęboko i nazawsze w sercu i myśli. Idź z niemi ręka w rękę, a nigdy nie poczujesz się zupełnie nieszczęśliwą; bo niema pociechy nad miłość dla ludzi, niema mocy nad tę, którą się czerpie z pracy.

— A teraz, kończyl zbliżając się do Wandy, teraz żegnam panią. Jeżeli kiedykolwiek smutna dziś magnolja prześni o złotym słonecznym promieniu, który na chwilę zabłysnął przed nią i zniknął... jeżeli kiedy zateśkni do nowego ciepła i nowej światłości — wtedy przypłynie ku niej inny promień, mniej może ognisty i świetny jak tamten, ale obok którego nie dotknie ją żaden chłód ziemski, żaden kolec nie zrani jej delikatnych listków; obok którego rozwine się ona, wspaniała i spokojna, aby zachwycać oczy przechodniów i spełniać to, co jej na tym świecie do spełnienia dano...

Wanda powstała i chciała coś przemówić.

— Nie odpowiadaj mi teraz, przerwał jej żywo Gaczycki; nie mów nic, abys nie wymówiła wyrazu któregoś potem żałować mogła. Życie długie — czas wszystko porywa i nawzajem wszystko przynosi z sobą... Nie trzeba uprzedzać czasu... Teraz podaj mi pani tylko rękę ufną, przyjazną, i powiedz: do zobaczenia.

Wanda wyciągnęła do niego dłoń otwartą i wymówiła głosem, który dźwięczał rzewnie a szczerze:

— Do zobaczenia!

XXVII

Pan Gaczycki opuściwszy mieszkanie Wandy przeszedł parę ulic i wstąpił na wschody dużej kamienicy, której pierwsze piętro płonęło rzęsiście oświetlonemi oknami. Byłoto mieszkanie amarantowej damy, która rozpoczynała porę jesiennych i zimowych zabaw świetnym wieczorem, wydanym dla pokazania wątpliwych wdzięków swych córek i odszukania tego niepodobnego dotąd dla nich do znalezienia towaru, który się obrączką ślubną nazywa.

Ktoby świadkiem był przedchwilowego nastroju Gaczyckiego, nie potrafiłby wytłumaczyć sobie dla czego człowiek smutny i wzruszony, w uroczystej niemal chwili swego życia, szedł w to pstre i pospolite towarzystwo, jakie zapewne znajdowało się zebrane w salonach amarantowej damy. Kiedy jednak wszedł do oświetlonego przedpokoju, odrazu można było odgadnąć iż miał cel jakiś, bo na czole jego zarysowała się zmarszczka rozważli, blade policzki zabarwiły się słabym rumieńcem, a w oczach i po ustach błędził wyraz sarkazmu i postanowienia. Kiedy wszedł do salonu, w którym zebrana była większa część towarzystwa, roznoszono herbatę i owoce, a rozmowa toczyła się nudna i nieożywiona między kilku grupami rozsianymi po salonie. Na kanapie, jak zwykle, najstrojniejsza i najwynioślejsza ze wszystkich obecnych kobiet, tronowała pani Olimpia; niedaleko niej

siedzieli oboje państwo Rokowiczowie trzymając się za ręce; dalej jeszcze błyszcząły krzyże pani Apolonji, jak dwie stałe gwiazdy na firmamencie, a dalej były trzy damy: fioletowa, amarantowa i zielona — i inne jeszcze damy i panowie, a między ostatnimi pan Spirydjon z miną śmiertelnie znudzoną. Osób w salonie znajdowało się przeszło trzydzieści; przez drzwi otwarte widać było przechadzające się panny w towarzystwie młodych ludzi. Córki gospodyni domu dla zabawienia gości opuściły tym razem białą mantylą okryte plecy swej matki, a rumiany Ignas, nieznalezszy ulubionej swej konsoli z salonu pani Olimpji, usadowił się pomiędzy drzwiami i piecem. Przy wejściu Gaczyckiego wszczął się w towarzystwie ruch spojrzeń i szeptów. Gaczycki był indywidualnością bardzo wybitną w X., nietylko z powodu swej pańskiej i wyniosłej postaci, ale głównie z powodu uroczej cyfry milionów, która z za tej postaci wyglądała, i arystokratycznie brzmiącego nazwiska, wypisanego wielkimi zgłoskami na jego wysokim i rozumnym czole.

I czegożby nie dała amarantowa dama za to, aby milionowy pan zwrócił swe blade i obojętne oczy na wdzięki jej córek? I czegożby nie dała dama fioletowa aby rumiany jej Ignas choć raz przeszedł się po salonie pod rękę z milionowym panem? I czegożby nie dały panny zerkające ukradkiem na wielką łysinę starego kawalera, na której widziały wypisaną większą jeszcze od niej cyfrę jego majątku, aby zbliżył się ku nim bogaty człowiek, który nie miał łysiny, ale takie piękne myślące czoło, i taką wyniosłą, pełną dystynkcji postawę?..

Miljon! to magiczny wyraz! a tam było milionów dwa i pół — a przytem imię piękne, i powierzchowność lubo obojętna, ale samą tą obojętnością niepospolita i zajmująca!

Wszystkie też oczy zwróciły się na człowieka obdarzonego tyłu zaletami, a w kilku miejscach salonu półgłosem zamieniono uwagę, że pan Gaczycki inaczej jakoś wyglądał jak zwykle. Damy znalazły że mu z tem do twarzy, przenikliwie mówiły: w tem coś jest! on jakiś wzruszony!

Zdziwienie wzrosło, gdy Gaczycki powitawszy gospodynię domu, z ożywieniem rozmawiać zaczął z kilku mężczyznami, którzy go otoczyli. Przyzwyczajono się widzieć go zawsze mało ożywionym, najczęściej milczącym, a myśl swą wyrażającym częściej spojrzeniem lub uśmiechem niż słowem. Tym razem mówił wiele, i głośniejszym niż zwykle zaśmiał się parę razy. Zdawało się patrzącym, że w grupie pośród której stał, był kierownikiem rozmowy, i że prowadził ją na takie drogi, na jakich chciał ją widzieć. Znać to było po twarzach otaczających go mężczyzn, którzy z uśmiechem i zajęciem wszyscy patrzyli na niego. Jakiś dowcip czy sarkazm musiał wyjść z ust jego, bo wybuchnął śmiech kilku głosów — a gdy się uciszył, nieopodal stojące osoby usłyszały wymawiane przez Gaczyckiego słowa:

— Powiadam wam panowie, że sam nieraz widziałem tego potwora. Ma on nogi zajęcze, ogon lisi którym się często pokrywa, skrzydła nietoperza lubiącego ciemność, paszczę smoka, żądło węża, oczy jaszczurki, całe ciało pokryte kolcami jeża.

— I jakże nazywa się ten nieznanany naturalistom potwór? zaśmiało się parę głosów.

— Alboż ja wiem jak się on właściwie nazywa? odparł wzruszając ramionami Gaczycki. Słyszałem tylko jak lecąc nad głowami ludzkimi, kłusując żądłem, raniąc kolcami a przykrywając się ogonem lisim, krzyczał o sobie: „nazywam się cnota!”

Nowy śmiech wybuchnął. Uwaga grupp siedzących niedaleko, zaczęła coraz więcej zwracać się na słowa Gaczyckiego wymawiane swobodnym tonem, w którym sarkazm dźwięczał jak lekkie i oddalone uderzenie stali o stal.

— A więc i mowę posiada to straszne zwierzę? mówił ze śmiechem ktoś z mężczyzn biorących od początku udział w rozmowie.

— I jaką! odpowiedział Gaczycki: doniosłą i syczącą gdy mówi: „jam jest cnota!” pobożną, tkliwą, jęklivą albo dumną i gniewną gdy powiada: „wszystko co nie jest mną jest występkiem!”

Najbliżej siedzące, i z ciekawością słuchające kobiety zamieniły między sobą spojrzenia.

— Co to za oryginalny człowiek z tego Gaczyckiego? szepnęła jedna.

— I cóż on chce powiedzieć przez te swoje przenośnie? spytała inna.

— Panie Gaczycki! głośno odezwała się trzecia, nie pierwszej już młodości, w sukni więcej wyciętej niż trzeba, ale za to z wielce niewinną gałązką sztucznej konwalji we włosach; panie Gaczycki! pozwól pan sobie powiedzieć, że przenośnia pańska ubliża pojęciu o cnocie której imię dla nas wszystkich przecie jest świętem...

Mówiąc to dama o niewinnej konwalji, mimowoli rzuciła spojrzenie na swój zbytecznie wycięty stanik. Gaczycki grzecznie się do niej zwrócił.

— Wszystko pani na świecie jest względne, odpowiedział z uśmiechem; przenośnia jaką stworzyłem dla odmalowania cnoty, na pozór tylko wydawać się może bluźnierstwem, niedorzecznością; w gruncie zaś nie jest niczem podobnym. Zapewne; cnota jest zaszczytem i błogosławieństwem ludzkości; ale wspaniałe, staje się jej plagą i niedolą. Świętość lub potworność cnoty zależy od jej gatunku...

— Od gatunku cnoty! zawołało kilka głosów.

— Od gatunku cnoty! potwierdził Gaczycki. Są różne gatunki cnoty, moje panie, tak jak różne gatunki piękności. Piękność formy i piękność ducha, piękność bezmyślna, i piękność rozumna, piękność nadęta i piękność pełna prostoty, piękność ubielona i uróżwiona starej zalotnicy, i piękność świeża i niewinna młodego dziewczęcia. Również różne bywają i cnoty. Wszystko na świecie moi państwo, od zoologii, która zajmuje się składem fizycznym istot organicznych, aż do psychologii, badającej procesy ducha ludzkiego, przypuszcza różne działy, rodzaje, gatunki i podgatunki.

Teraz już ogólna uwaga zwrócona była na mówiącego. Wszelkie rozmowy ustały, a wszystkie oczy wpatrzone były w ożywioną i lekko ironiczną twarz pana Edwarda. Zaciekawienie malowało się na wszystkich twarzach; ale ktoby pilnie przypatrywał się całemu towarzystwu, mógłby spostrzedz, że podczas słów Gaczyckiego ręka pani Olimpji zaczęła prędkiej poruszać wachlarzem, i że źrenice jej strzeliły bladawe, skośne promyki. Pani Teresa bliżej przysunęła się do męża, i silniej ścisnęła jego rękę; dama zaś niepierwszej młodości, posiadająca niewinną gałązkę konwalji i krawca wyraźnie niezręcznego w wycinaniu staników, wyzywająco podniosła głowę, i wyrzekła:

— Ciekawym byłoby także jakbyś pan podzielił cnotę na działy, gatunki i podgatunki — bo według mnie najwyższą cnotą jest prostota.

— I pamięć na swą osobistą godność i położenie w świecie! wyrzekła z kanapy pani Olimpja.

— Skromność i miłość małżeńska, zagruchała z za ramienia małżonka pani Teresa.

— A pobożność! czy państwo zapominacie o niej! z oburzeniem zawołała Apolonja.

— A moralność! zagrzmiął głos pana Rokowicza.

Gaczycki powiódł oczami po mówiących, i uśmiechnął się. Był to uśmiech zwyczajny, groźny, salonowy; ale w zagięte kąty ust Edwarda wlewał taki jakiś dziwny wyraz, że ci na których spoznał pospuszczali oczy.

— Piękne, bardzo piękne wyrazy wymówiliście państwo, wyrzekł Gaczycki po krótkiej chwili milczenia; ja jednak obowiązuję się dowiedzieć, że nie zawsze oznaczają one świętość i piękno duchowe, a bywają niekiedy bańką mydlaną, świetnymi barwami zwodzącą oczy łatwowiernych. Wszystkie razem mogą utworzyć owego potwora, o którym mówiłem, że skrzydłami nocnego nietoperza, ogonem chytrego lisa, nogami tchórzliwego zająca, żądłem zjadliwej żmij, i kolcami napuszonego jeża.

Kilkanaście głosów zaśmiało się, a jeden się odezwał:

— Dopełnijże pan tego czegoś się podjął, i wytłumacz w jaki sposób działać się tak może!

— Będzie to arcy-ciekawe!

— Niepospolite!

— Oryginalne, mówiły zewsząd głosy.

— Chętnie spełnię żądanie państwa, odpowiedział Gaczycki, ale sami państwo będziecie winni, jeżeli nadużyję waszej cierpliwości, bo będę zmuszony mówić długo.

— Choćby najdłużej! zawołano.

— Będziecie państwo musieli wysłuchać długiej historii...

— Tem lepiej! tem lepiej! odpowiedziało zaciekawione towarzystwo.

— A więc zaczynam, rzekł Gaczycki — i ze zwykłym sobie pełnym dystynkcji zaniedbaniem oparł się o konsolę, a spojrzeniem powiódł wokoło. Stał nieco odosobniony od całego towarzystwa, które zasiadło wkoło salonu milczące, i z oczami zwróconymi na niego. Biały blask lampy postawionej na konsoli rzucał się mu prosto na twarz, oświetlając rozumne jego i wyniosłe czoło, i kształtne usta zarysowane uśmiechem pełnym światowej swobody i błyskającego z pod niej sarkazmu.

— Historia za pomocą której mam państwu dowieść prawdziwość słów mych uprzednich, jest dosyć długą jak na balowe posiedzenie, oczekujące może z niecierpliwością kontredansa i walca. Nie będę więc jej przedłużał żadnym wstępem ni przedmową, tembardziej, że w ogóle wszelkie przedmowy uważam za jedną z najnudniejszych rzeczy w świecie. Zacznę prosto tak jak ją zaczyna autor, z którego opowiadanie me czerpać będę.

„Sinono-kami, bogaty i oświecony Japończyk, podróżował po sąsiedniej swojej ojczyźnie Państwie Niebieskiem, i przyjechał do miasta Hio. Jako cudzoziemiec nie znał on tam nikogo, ale ponieważ był człowiekiem wielce lubiącym towarzystwo swych bliźnich, w krótkim czasie pozawierał stosunki, i porobił dość liczne znajomości pomiędzy tamecznymi mieszkańcami.

Sinono-kami zachwycony został towarzystwem jakie znalazł w Hio. Wydało mu się jakoby żywcem był przeniesiony na świat jakiś inny, lepszy niż ciemna kula naszego planety; bo kędy obrócił się, spostrzegał tylko istoty czyste od wszelkiej winy, nieskazitelne, cnotliwe. Cnota wiała tam w samym powietrzu, unosila się nad głowami ludzkimi ze słodkim szelestem, mówiła przez wszystkie usta, patrzyła przez wszystkie oczy. Tam cnotliwe matki osłaniały plecami swemi dziewicze oczy i uszy swych cnotliwych córek, aby wzrok ich nie ujrzał, a ucho nie usłyszało czegoś, coby nie było czystą cnotą; tam cnotliwe dziewice spuszczały wciąż powieki, aby spojrzeniem nie pobudzić w kimś albo w sobie grzesznej myśli; tam cnotliwe małżonki nie opuszczały nigdy boku swych małżonków, a ulubionym tematem ich rozmów była cnota niewieścia; tam nakoniec surowi i pełni cnoty mężczyźni strzegli pilnie obyczajów publicznych, dzielną wymową gromiąc tych, którzy jak się zdawało, przynosili im ujmę. Słowem, miasto Hio było przybytkiem cnoty. Zdawało się, że same ściany domostw i sprzęty mieszkań były nią przesiąknięte.

Sinono-kami poczuł się olśniony i ogłuszony cnotą mieszkańców Hio; ale że był z natury skeptykiem, a przytem lubił sobie dla rozrywki czynić od czasu do czasu psychologiczne studja, powiedział raz do siebie: przypatrzmy się bliżej tej cnotcie, jakiej też ona jest barwy, i z jakiego ukuta metalu? I zaczął patrzeć.

Z pomiędzy tłumu cnotliwych, napelniającego murowane i drewniane ściany błogosławionego miasta, jak wypukłe figury płaskorzeźby wyloniły się przed wzrokiem Sinona-kami cztery postacie tak cnotliwe, że aż blaskiem swej arcy-cnoty raziły oczy zwyczajnego śmiertelnika. Trzy z tych postaci były rodzaju żeńskiego, czwarta należała do brzydkiej połowy ludzkości.

Jedna z trzech pierwszych nazywała się Fu — któreto imię przetłumaczone na polski język znaczy: «Szlachetna Duma.» Była to pani wysoko urodzona, niegdyś bardzo bogata, ale obecnie zrujnowana, to jest posiadająca tylko tyle, ileby starczyć mogło na wcale dostatnie życie dziesięciu przynajmniej śmiertelnikom nie tak wysoko urodzonym. Pomimo zasobów materialnych małych w stosunku do jej osobistej wielkości, pani Fu musiała wspaniale zachować świetne w towarzystwie położenie, bo posiadała niezmierny skarb moralny: poczucie wysokiej osobistej godności i szlachetną dumę płynącą z pojęcia obowiązków które ciążyą na ludziach stojących na świeczniku. Była to kobieta piękna, strojna, lubiąca brylanty i koronki — a tak dumna, tak szlachetnie dumna, że nikomuby na myśl nie przyszło, posądzić ją nietylko o zły jaki postępek, ale nawet o cień złej i poniżającej myśli.

Druga arcy-cnotliwa dama w Hio miała imię Lu, co w chińskim języku znaczy «Skromność.» Skromna też była tak jak szesnastoletnia dziewczica, lubo lat miała dwa razy tyle. Mówiła skromnie, ubierała się, patrzyła, kłaniała i wdychała skromnie; przez skromność nie wychodziła nigdy na ulicę ani nawet do kościoła bez małżonka swego, którego kochała tak czule, że nigdy z dłoni swej nie wypuszczała jego ręki, i o miłości swej dla niego dosyć nagadać się nie mogła. Była to istota z myślą, sercem, przeszłością i teraz-

niejszością tak skromnemi, jak rumieniec dziewczyny młodej, pierwszy raz na bal wchodzącej.

Trzecią gwiazdą cnoty na firmamencie miasta Hio była pani Ru, co z chińskiego na nasz język tłumaczy się przez: „Pobożność.“ Najstarsza ze swych siostr w duchu i cnotcie, miała czas przekonać się o znikomości i marności rzeczy ziemskich; to też całą myśl swą i serce ku niebieskim rzeczom zwróciła, i była tak pobożną jak stu Mandarynów razem wziętych. Na piersi nosiła wiecznie obraz wielkiego Lamy, codziennie własną ręką paliła w świątyni sto pozłacanych papierków, a jałmużny sypały się z rąk jej jak manna niebieska. Każde słowo wypływało z jej ust słodkie jak kropla miodu, a ciężkie westchnienia nad grzechami bliźnich, podnosiły co chwilę pierś jej pobożną.

Mężczyzną, który cnotą swą mógł sam jeden w Hio dorównać tym trzem arcycnotliwym niewiastom, był pan Hu, co po chińsku znaczy «Surowość.» Był on też niezmiernie surowym, tak dla siebie, jak dla innych; moralność publiczna miała w nim Cerbera, który dałby się raczej zasiekać, niżby pozwolił aby ją ktokolwiek w przytomności jego uszczypnął. Dbał też przedewszystkiem o to, aby dom jego był świętym tej moralności przybytkiem, i nie wpuszczał doń nikogo, czyjeby stopy zaczęły choćby tylko o grunt niecnotliwego sąsiada.

Sinono-kami podziwiał te cztery wielkie cnoty z całego serca, i gotów był w każdej chwili pochylić przed każdą z nich głowę, i wyrzec z pokorą: panie, albo pani, nie jestem godzien rozwiązać rzemyka, i t. d.

Nie powiedział tego ni razu, jedynie z tej przyczyny, że jako Japończyk nie zwykł był posługiwać się formułami wyjętymi z Ewangelji.

Aliści dnia pewnego, zbudowany i pokorny siedział on obok pani Fu słuchając z uwielbieniem szlachetnej jej mowy o obowiązkach ciężących na osobie, która siedzi u wierzchołka drabiny społecznej i... nagle jakoś, niechęcy, spojrzął w jej oczy. Spojrzął i osłupiał! Z wielkich pięknych oczu pani Fu strzeliło kilka promyków bladawych, skośnych jakichś, ostrych; zawirowały w przestrzeni jak garść drobnych szatanków, i zniknęło wnet w zmaconej nagle źrenicy. Odszedł na stronę zdumiony Kami, i dumiał. A gdy już długo dumiał, rzekł do jednego ze swych dobrych przyjaciół pocichu na ucho: — Widzi mi się, że ta kobieta popełnia jakąś nikczemność! — Przyjaciół odwrócił się od niego jak piorunem rażony, i zawołał: — Oszalałeś chyba! wszak to wcielona duma szlachetna!

Sinono-kami pokijał głową jak człowiek który wątpi o czemś; ale już więcej nikomu nie udzielił swej uwagi.

Innym razem przypatrywał się z rozkoszą pani Lu, lubując się jej skromnością i miłością małżeńską. Nagle dostrzegł, jak przezroczyściej czystości niewiasta spuściła głowę na piersi, westchnęła i dziwne jakieś drgnienie wstrząsnęło muskulami jej twarzy. Sinono wziął przyjaciela pod rękę, i szepnął mu wskazując na panią Lu: — Jakieś brzydkie widmo z przeszłości stoi przed tą kobietą. Ta kobieta kiedyś zgrzeszyła! — Przyjaciół zarumienił się z gniewu po uszy, i odparł: — Dziwak jesteś! to czystość i cnota niewieścia wcielona! Kami pokijał znowu głową, jak człowiek który o czemś wątpi.

I znowu było tak, że patrzył on na panią Ru, zachwycony obrazem wielkiego Lamy błyszczącym na jej piersi. Nagle pochyliła się, święty obraz dotknął miejsca w którym uderza serce, i Sinonowi zdawało się, że przy tem dotknięciu wielki Lama jęknął jakby się zranił. Wziął na stronę przyjaciela, i rzekł mu: — Pani Ru ma złe serce! Przyjaciół wrzusił ramionami. — Tracisz rozum kochanku, rzekł pogardliwie; to wcielona pobożność i miłość bliźniego! Sinono-kami dobry kwadrans kiwał głową z powątpiewaniem. Nie darmo przecie wielki Lama aż jęknął, gdy się dotknął do jej serca! Twarde musiało być jak kamień, a kolczaste chyba jak pokrzywa!

Gdy tak dumiał i kiwał sobie głową Sinono, posłyszał niezwyczajnie podniesiony głos mężki. Spojrzął i zobaczył pana Hu, który w postawie De-

mostenesa prawiącego Filipikę, gromił dzielną wymową upadek obyczajów publicznych. Sinono słuchał i poziewał; a gdy się już dość nasłuchał i napoziewał, schwycił kapelusz i uciekał aby więcej nie słyszeć. A gdy tak uciekał, spotkał uciekającego także przyjaciela. — Przyjacielu mój! zawołał, już to ten z pewnością głupi! — Sza! odpowiedział przyjaciel, palec do ust przykładając, szanujmy go bo to człowiek cnotliwy! — Uf! jęknął Sinono, poziewając raz jeszcze — jakaż u niego nudna cnota!..

Powoli, uwagę Sinona-kami zaczęły zwracać pewne rzeczy, które się mu dość dziwnymi wydawały. I tak na przykład spostrzegł, że pewien Kyang, bogaty mieszkaniec Hio, ze szczególnym jakimś wyrazem patrzył często na panią Fu. Zrazu litość zdjęła Sinona. — Biedny Kyang, myślał sobie, on kocha tę kobietę! Ale gdy pilnie i badawczo popatrzył na wyraz jego oczu, powiedział sobie: — Nie, on jej nie kocha, ale... znajduje ją piękną!... Uśmiechnął się Sinono, bo bladawe promyki, które wylatywały niekiedy ze źrenic pani Fu i wirowały w przestrzeni jak garść szatanków, stały się dlań zrozumialsze. Zauważył, że ciskane w przestrzeń pięknymi oczami cnotliwej kobiety, wpadały one zwykle w same oczy Kyanga.

Cóż dziwnego także zachodziło między tym Kyangiem a panią Lu. Ile razy wchodził on niespodzianie do towarzystwa w którym się ona znajdowała, drżenie przebiegało muskuły jej twarzy, i patrzący na nią Kami był pewnym, że w tej właśnie chwili jawi się przed nią jakieś brzydkie widmo z przeszłości.

Zauważył także Sinono, że nikt nigdy nie widział męża pani Ru, chociaż go miała, ani jej dzieci, choć była matką licznej rodziny; że nikt nigdy nie był w jej mieszkaniu, bo nigdy nie zapraszała nikogo; i że ile razy spotykała ubogiego w ustronnem miejscu, odpędzała go od siebie, a gdy ujrzała że ktoś na nią patrzy, dawała jałmużnę prosząc biedaka aby się modlił za nią do wielkiego Lamy.

I coraz więcej podobnych spostrzeżeń zaczął robić Sinono, i zaczęło mu być duszno w towarzystwie wysoko cnotliwych osób, z których każda pragnęła wyraźnie wydać się najcnotliwszą. Nie uszło też jego uwagi, że wszystkie te osoby gdy były obrócone twarzami do siebie, okazywały sobie najtkliwszą przyjaźń i wzajemny a najgłębszy dla cnót swoich szacunek; gdy zaś zwróciły twarze każda w inną stronę, miały na ustach uśmiech złośliwy, i wydawały głośnie syczenie podobne do tego, jakim odzywają się szerszenie w swych gniazdach.

Sinono coraz więcej zaczynał poziewać i dusić się w atmosferze tej szczególnej cnoty; gdy dnia pewnego poznał osobę, której cnota w wielkim była podejrzeniu u mieszkańców Hio. Była to niemłoda już kobieta, mieszkająca na ustroni, nie mieszająca się wcale do spraw swoich bliźnich, bardzo rzadko mówiąca o nocie, a cały czas swój obracająca na kształcenie małej dziewczynki, którą nazywała swą wnuczką, i na wyszukiwanie cierpiących i nieszczęśliwych aby im nieść pomoc i pociechę.

Sinono znalazł tę kobietę, której cnota w lekceważeniu była u ogółu, bardzo rozumną i dobrą, i często u niej przebywać zaczął, przejęty dla niej synowską prawie czcią i przywiązaniem.

Pewnego razu, dobra stara niewiasta wezwała Sinona aby przyszedł do niej; a gdy przyszedł, rzekła doń: Oto odkrywam przed tobą tajemnicę. Dziewczę małe które wychowuję nie jest moją wnuczką, ale dzieckiem nieznanymi rodziców, porzuconem pewnej letniej nocy przy świetle gwiazd złotych, pod oknem mego pokoju. Kami zadziwił się, a niewiasta podała mu kartkę grubego papieru, zapisanego niewyraźnie drżącą i spracowaną ręką, mówiąc: — Czytaj! — Sinono przeczytał, a niewiasta rzekła: — Pójdź zemną i bądź świadkiem tego co powie kobieta która kartkę tę napisała. Poszli więc i oboje wedle wskazówek udzielonych w kartce, przybyli na ciasny i brudny zaułek miasta Hio, i weszli do ciasnej i brudnej izdebki, w której kącie na nędznym barłogu leżała chora, umierająca prawie kobieta. Usiedli przy niej mówiąc jej słowa pociechy i litości; a gdy skończyli mówić, chora

kobieta zaczęła następną opowieść. W okolicach Hio, przed dziesięciu przeszło laty, mieszkał pewien niemłody już właściciel ziemski, z córką swą jedynaczką. Była to dziewczyna młoda, dość ładna, niezmiernie żywa, płocha, próżna, a nigdy niczem nie zajęta. Całe godziny trawiła przed zwierciadłem, a resztę czasu przepędzała na wyglądanu gości, siedząc u okna z założonemi rękami. Matki oddawna nie miała, a ojciec stary i zajęty gospodarstwem mało na nią zwracał uwagi; była więc pozostawiona zupełnie samej sobie. Pewnego razu, gdy z utrefionemi starannie włosami siedziała wedle zwyczaju swego u okna, wyglądając gości, przyjechał pewien młodzieniec, syn sąsiada, bogaty, przystojny, światowy, a za jedyny cel życia mający przyjemne przepędzanie czasu. Dziewczynie zapłonęły oczy, gdy spojrzała na młodego sąsiada; on spojrzawszy na nią uśmiechnął się, jak człowiek który znajduje piękne cacko i schyla się aby je podnieść dla chwilowej zabawy. Od tego czasu młody sąsiad coraz częściej przyjeżdżał, a dziewczynie coraz żywiej płonęły oczy, coraz dłużej przesiadywała przed zwierciadłem i w snach zaczęła często wymawiać imię młodzieńca. Spostrzegła to wszystko i usłyszała stara sługa jej matki, wierna, poczciwa, a zwyczajem starych sług niezmiernie kochająca swą panienkę, którą na własnym wyhodowała ręką. Smutno jej się zrobiło i straszno, i zaczęła mówić dziewczynie o płonących oczach. Ostrożnie dziecko, ostrożnie! młody sąsiad nie ożeni się z tobą, bo nie jesteś ani tak światową ani tak bogatą jak on; pobawi się tobą tylko i porzuci! Dziewczyna nie słuchała, coraz więcej rozkochana w przystojnym i bogatym młodzieńcu. Gdy przyjeżdżał, odbywali we dwoje długie przechadzki sam na sam; a idąc ręka w rękę, rozmawiali z sobą po cichu, niekiedy ustami, częściej oczami, które u obojga płonęły coraz ogniościej. Nagle młoda dziewczyna posmutniała, zbladła, śmiertelna trwoga i rozpacz rozlały się na jej twarzy, aż dnia pewnego przyszła do starej sługi drżąca cała, rozplakana, i tuląc się do niej jak ptaszyna zraniona, szepnęła ze łzami i drżeniem: Stara piastunko mego dzieciństwa, ratuj mnie! jestem zgubiona! Potem długo szeptała jej na ucho płacząc i drżąc — a poczciwa sługa zalewała się gorącemi łzami, wspominając z cicha imię ukochanej zmarłej swej pani. Nazajutrz po tej rozmowie między starą sługą a młodą dziewczyną, do miejsca w którym mieszkały przyszła wieść, że młody sąsiad opuścił na długo Państwo Niebieskie i pojechał zwiedzać obce kraje. I stało się, że pewnej letniej nocy, kiedy mirjady gwiazd zasypały szafirowe niebo, a kwiaty wydawały z siebie woń czarowną i podnosiły swe kielichy, niby patrząc na gwiazdy — z pokoju nieszczęśliwej dziewczyny cichym, skradającym się krokiem wyszła sługa stara, opuściła dom, przeszła podwórze i zniknęła w ciemności na drodze wiodącej ku Hio. U piersi jej kwiliło cicho, a płaczliwie tylko co urodzone dziecko.

Minął rok — piastunka z dziećciem mieszkała w Hio, a opuszczona przez młodego sąsiada dziewczyna słała im środki na utrzymanie życia potrzebne. Tajemnicza noc pokryła swym cieniem ucieczkę ze dworu starej sługi; głuche wieści tylko chodziły po sąsiedztwie o jakimś nieszczęściu, które się przytrafiło córce starego wdowca. Ale nikt o niczem z pewnością nie wiedział, i wkrótce do uszu starej sługi mieszkającej w Hio przyszła wiadomość, że wychowanka jej wyszła za mąż. Jednocześnie przestała ona otrzymywać od niej bezpośrednio wieści i zasiłki pieniężne. Zmartwiła się i zdziwiła tem nie mało; zaczęła pisać do kobiety, której uratowała sławę, ale nie otrzymywała odpowiedzi. Chciała widzieć ją, ale nie mogła się do niej dostać ani spotkać jej nigdzie, bo matka powierzonego jej dziećcia unikała jej starannie. Minęło kilka miesięcy i stara sługa wraz z dziećciem popadła w wielką nędzę. Litując się nad biednym małym stworzeniem, zaniósła je pewnej nocy do ogrodu starej zacnej niewiasty, którą znała dobrze, i złożyła na zwilżonej rosą trawie pod oknem jej pokoju; sama zaś uciekła z Hio i tułała się po świecie przez lat kilka w biedzie i smutku.

Po lecjach kilku wróciła do Hio o żebraczym kiju, schorzała, zmęczona tułaczką, wynędzniała od głodu, w łachmanach. Dowiedziała się, że dawna jej panienska mieszka z mężem w Hio i jest w wielkim u ludzi szacunku.

Napisała do niej, zaklinając aby przyszła jej w pomoc, a zarazem odkrywając przed nią miejsce pobytu jej dziecka. Wiedziała dobrze, iż list jej doszedł swego przeznaczenia; ale nie otrzymała odpowiedzi. Napisała raz drugi, z tym samym skutkiem. Przywlekleła się o kiju do mieszkania nikczemnej kobiety, ale została wypchniętą z przedpokoju przez służbę. Spotkała ją raz na chodniku ulicy; ale gdy chciała do niej przemówić, kobieta odskoczyła i pobięła w inną stronę tak żywo, że niedołężna i osłabiona nędzą i starością dogonić jej nie mogła. Poczula się bliską śmierci. Gorycz i boleść napępniały jej serce; odezwał się w niej głos sumienia, wyrzucający, że poniesie do grobu tajemnicę urodzenia dziecięcia, a tem samem na zawsze już uczyni je sierotą. Zapragnęła przed śmiercią wyznać przed kimś wszystko co ciążyło jej znękaney duszy, i wezwała do barłogu na którym umierała, zacząć niewiastę która wychowywała dziecię porzucone w jej ogrodzie.

Taką była opowieść starej poczciwej sługi. Zaczna opiekunka bezimiennej sieroty i Sinono-kami z osłupieniem dowiedzieli się ze słów jej, że płochą dziewczyną, która dała się uwieść młodemu sąsiadowi, nieuczciwą kobietą, która zapierała się własnego dziecka, nędznicą pozwalającą umierać z głodu kobiecie, której zawdzięczała sławę i spokój, była skromna, niewinna, przezroczysta, wysoko cnotliwa... pani Lu. Młodym owym sąsiadem, był światowy i goniący za rozrywkami Kyany, a mężem jej surowy i niezmiernie dbający o niepokalaną moralność swego domu pan Hu."

Tu przerwał na chwilę opowiadanie swe pan Gaczycki. Twarz jego obojętną była, i zlekka tylko surową; nie patrzył na nikogo, bo wzrok miał utkwiony w zdjętą z ręki rękawiczkę, którą bawił się niedbale. Nie patrzył na nikogo — a jednak, niby kierowane magiczną nicią słów jego, oczy kilkudziesięciu osób zebranych w salonie, zbiegły się i utkwily w jednym punkcie, a punktem tym była pani Teresa. Pobladła nagle, siedziała ona obok męża trzymając go za rękę. Wyrazu oczu jej nie można było dojrzeć, bo miała spuszczone powieki; ale usta blade bardzo i drżące, zagięły się w dziwny a przykry wyraz trwogi połączonej z upokorzeniem. Milczenie w salonie ogólne było i głębokie; tylko promienie wychodzące z kilkudziesięciu par oczu w jeden punkt utkwionych, niby grad pocisków utworzonych z ciekawości, złośliwego trjumu i pogardy, przelatywały przestrzeń i spadały na głowę tulącej się do boku małżonka kobiety. Cisza zalegająca napęlniony ludźmi salon, przerwaną została głosem Gaczyckiego opowiadającego dalej.

— Autor z którego czerpie opowiadana tu państwu historję, tak dalej opisuje pobyt Sinona-kami w mieście Hio.

„Zaczna niewiasta wychowująca opuszczone dziecię pani Lu, rzekła raz do Sinona: oddaję ci klejnoty wielkiej wartości, abyś je sprzedał kupcom naszego miasta, bo brakuje mi środków ku wspomaganium biednych moich braci. Sinono wziął klejnoty i sprzedał je jednemu z bogatych kupców miejscowych, a w kilka dni potem spotkawszy kupca owego na ulicy zapytał: — Czy masz jeszcze u siebie klejnoty które ci sprzedałem? — Nabyto je już u mnie, odpowiedział kupiec. — Któż je nabył? zapytał Sinono wiedziony prostą ciekawością. — Pan Kyang, była odpowiedź kupca. — Sinono zadziwił się. Wiedział że pan Kyang nie miał żony ani siostry dla którejby kupował tak cenne rzeczy, a nie spostrzegł w nim dotąd szczególnego zamiłowania do zbierania drogich kamieni. Aliści tego samego dnia został zaproszony przez panię Fu, aby przepędził w domu jej wieczór wraz z kilkudziesięciu innymi osobami. O, jak się zdumiał Sinono-kami, gdy na ręku pięknej i dumnej kobiety, u jej szyi i uszu zobaczył klejnoty nabytego od znajomego mu kupca przez pana Kyang. — Bóg wie jakie myśli zaczęły mu przychodzić do głowy, ale odpędzał je obwiniając siebie o podejrzliwość i lekceważenie tak wyniosłej i szlachetnej cnoty, jaką była cnota pani Fu. Niemożąc jednak całkiem odegnąć od siebie szatana podejrzeń, zapytał panią Fu z kądby

miała cudowny djament, błyszczący na jej cudowniejszym jeszcze ręku. O, jakże się zdumiał gdy zobaczył, że wyniosła kobieta nagle zbladła i zadrżała; bladawe i skośne promyki, które już wprzód spostrzegął, snopami zaczęły strzelać z jej wielkich i pięknych oczy, a dumne i pąsowe usta wyszeptaly... kłamstwo. Djament ten, rzekła, otrzymałam przed laty od małżonka mego, który mi go przywiózł z podróży swej po obcych krajach. Sinono spojrział na Kyanga, i zobaczył migocące po jego czole jakieś plamki różowe, niby słabe odbłaski szkarłatnego rumieńca który zalał śnieżną twarz pani Fu, gdy usta jej wymawiały słowa kłamliwe. Sinono zadrżał, bo przed oczami jego zjawiała się przepaść straszna, bezwładna, a w nią z trzaskiem i łoskotem runęła szlachetna duma pani Fu, zatoczyła się aż na dno same, i zniknęła pochłonięta grubą ciemnością.

I bywało tak, że potem Sinono późnym wieczorem przechodząc ulicą obok mieszkania pani Fu, widywał rysujące się na szybach jej gabinetu cienie dwóch postaci; a cienie te opowiadały mu tajemniczo dziwne rzeczy... I zdarzyło się raz, że mijając jej bramę w parę godzin po północy, widział wysuwającą się z tej bramy postać męzką, ciemną, od stóp do głów otuloną płaszczem i mknącą chodnikiem ulicy szybko, niby uciekając. Sinono spojrział na okno gabinetu pani Fu; błyszczowało ono mgławem światelkiem, podobnem do bladawych i skośnych błysków jakie miały jej oczy. Sinono między tem oknem o zamglonem świetle, a ciemną postacią przesuwającą się zcicha i ostrożnie pod murami domostw, ujrzał rozciągniętą nić która je łączyła i błyszcziała wśród ciemności fosforycznym blaskiem żółtych błyskawic... I zdarzyło się jeszcze dnia pewnego, że Sinono, mając pewną sprawę do załatwienia z najlepszym w mieście Hio tapicerem, wszedł do pracowni tego rzemieślnika, i zobaczył świeżutkie, tylko co wykończone, piękne i kosztowne sprzęty przeznaczone do ubrania obszernego salonu. Jako znawca i amator wszelkich pięknych rzeczy, Sinono oglądał je z uwagą, gdy tapicer odezwał się wcale nie pytany: «Sprzęty te zamówił u mnie pan Kyang.» Sinonowi wydało się to zupełnie naturalnem, bo wiedział że Kyang posiadał na wsi obszerne i wykwintne mieszkanie; ale w parę dni potem, zaproszony znów przez panię Fu, przyszedł do niej, i w salonie jej zobaczył te same sprzęty, które widział u tapicera zamówione przez pana Kyang. Tym razem jednak Sinono już się nie zdumiał, bo dawno już widział szlachetną dumę i wyniosłą cnotę pani Fu lecącą przed jego oczami w ciemną przepaść. Ale, jako człowiek dobrego serca, myślał sobie: może ta kobieta usprawiedliwienie swe posiada w szczerej miłości którą czuje dla Kyanga?

Zaledwie to pomyślał, aliści pani Fu takie rzuciła na niego wejrzenie, tak rajsco zaczęła się do niego uśmiechać, taką doń sentymentów pełną palnęła przemowę, że ujrzał jak na dłoni, iż gdyby tylko tego zażądał, mógłby z takim jak i pan Kyang powodzeniem złożyć u jej stóp swe serce, i... W tem miejscu autor z którego czerpie tę historję przerywa sobie, i odzywa się do czytelników swych w te słowa: «Przez wzgląd na niewinne oczy młodych dziewic i niepokalanych niewiast, które upadną na karty mojej książki, wstrzymam się, mili czytelnicy moi, od głębszego wprowadzenia was w tajniki szlachetnej dumy i wyniosłej cnoty pani Fu. Kto z was pojął tę kobietę, niech mu to służy nadal za przestrożę, aby zbytnio nie ufał szlachetnym dumom i wyniosłym cnotom, kiedy widoczną w nich ujrzy skłonność do publicznej i głośniejszej demonstracji swej wielkości. Kto zaś z was nie zrozumiał mego opowiadania, temu wieszuję z całego serca, i życzę, aby na drodze jego nigdy nie stanęła istota, coby je jasnym mu uczyniła. Tymczasem, niech wam, mili czytelnicy, starczy to objaśnienie, że pan Kyang nudził się, i wynajdywał środki przyjemnego przepędzania czasu, a pani Fu lubiła klejnoty, koronki i bogate sprzęty, a posiadała dobra wielce odłużone, i nie dające jej dostatecznych środków ku godnemu utrzymaniu wysokiego jej w świecie położenia.»

Tu umilkł na chwilę pan Gaczycki, i nie patrzył na nikogo — bo trzymał wzrok spuszczonej na łańcuch swego zegarka, którym bawił się niedbale. Nie patrzył na nikogo — lecz spojrzenia wszystkich zebranych w salonie osób zbiegły się i utkwily w jednym punkcie, a punktem tym była pani Olimpja. Milczenie ogólne i głębokie panowało w salonie; tylko zdawało się, że w przestrzeni promienie kilkudziesięciu par oczów drgają, migocą, i jak grad sypią się na głowy dumnej i szlachetnej pani.

Pani Olimpja była śmiertelnie blada, ale oprócz bladości tej, żadna w niej nie zaszła zmiana. Głowę trzymała podniesioną wysoko, a twarz jej wydawała się ukutą z marmuru. Ani jeden muskuł w niej nie drgnął, ani razu nie zadrżała powieka. Z wyniosłą dumą i pogodą czoła patrzyła wokoło, i uśmiechała się z wyrazem, który mówił: „Cóż za pocieszne historie opowiada nam ten człowiek.”

Gaczycki bawił się czas jakiś brelokami swego zegarka, potem podniósł wzrok, powiół spojrzeniem po obecnych, a widząc powszechną uwagę zwróconą na siebie, zaczął mówić dalej:

— Autor historii którą mam zaszczyt opowiadać państwu, opisuje dalej, jakim sposobem Sinono-kami, posiadacz tajemnic pani Fu i pani Lu, posiadał jeszcze klucz, za pomocą którego odgadł życie domowe i głębię serca pobożnej i miłosiernej pani Ru. Są to szczegóły dość rozwlekłe, oszczędzę je więc państwu, i ograniczę się na powiedzeniu, że pan Sinono dowiedział się i przekonał, że pani Ru była najgorszą matką i żoną, że mąż jej z rozpaczyny wpadł w straszny nałóg pijaństwa, że dzieci jej marły z głodu, i zostawały w najzupełniejszym opuszczeniu; że nareszcie miała ona szczególniejsze zamięłowanie w różnieniu małżeństw, i obdzieraniu ze sławy wszystkich powabniejszych od siebie kobiet — co znaczy wszystkich kobiet, jakie znała i znać mogła. Nic dziwnego, że wielki Lama jęknął, dotknąwszy serca tej kobiety; bo nie było w niem ani odrobiny ciepła, ani kropli miłości, ani iskry jakiegokolwiek wznioślejszego uczucia — a była tylko pycha, łakomstwo, złość, zazdrość, i cała reszta siedmiu grzechów głównych — które wszystkie ukryte pod płaszczykiem cnoty i pobożności, widzialne być mogły tylko dla bardzo badawczego i przenikliwego oka.

Z tego więc wszystkiego przed oczami Sinona utworzył się obraz następny. Na pierwszym planie stały tam trzy kobiety, z których jedna za godło i bussolę przyjęła sobie szlachetną dumę rodową i poczucie osobistej godności, a między czterema ścianami zniżala się do postępków, za które w pewnych krajach i miastach wiodą kobiety do domów poprawy; druga, z szyldem skromności wywieszonym na czole, miała za sobą błąd zwiększony tysiąc razy tchórzliwym wypieraniem się go i nielitośnem obejściem z kobietą, której winna była więcej jak życie, bo dobre imię i spokój; trzecia, sterująca się religią i miłosierdziem dla bliźnich, zaniedbywała najświętsze obowiązki, a wlewała w serca bliźnich niezgody i gorzyc. Wszystkie te trzy kobiety trzymały w ręku chorągwie, przyozdobione świętymi i szacownymi emblematami, które niby za swoje przyjęły; klękały i całowały je ze czcią gdy były widziane, a gdy odwracały się od ludzi, opluwały je i deptały nogami. Na drugim planie obrazu stała arcyzabawna figura mężczyzny, Katona społeczności wśród której żył, stróża obyczajów publicznych, z zapalem broniącego nieskazitelnej moralności swego domu, a nie wiedzącego o tem, że tuż przy nim, u jego boku żyła istota, która ciężko obraziła obyczaje publiczne i w dom jego wniosła hańbę. Tło obrazu tego stanowiła reszta publiczności miasta Hio, składająca pobożnie ręce przed temi czterema cnotami, i ukazująca je za wzór do naśladowania ludzkości. Sinono-kami wpatrzył się w ten obraz, i parsknął długim a głośnym śmiechem. Autor historii tej wyraża nadzieję, że i czytelnicy jego śmiech ten z nim podzielą”.

Rzekłszy to obejrzał się w około Gaczycki, i rzeczywiście na ustach kilkudziesięciu osób zobaczył uśmiech. Uśmiechnął się więc sam, ale smutnie jakoś, i ciągnął dalej.

— Śmiał się Sinono-kami patrząc na dziwaczny obraz, który stanął przed jego oczami; ale śmiech to był gorzki, bolesny. Sinono kochał ludzi; kochał w nich tę iskrę bożą piękną i prawdy, która płonie w każdej piersi człowieczej, dopóki jej człowiek własnymi rękami nie zgasi i w popiół nie zamieni. Smutno mu więc było i straszno patrzeć na upadek bliźnich, a upadek osłonięty imionami cnot, które były dla niego wielkie i święte. Byłby uciekł od tego widoku i wyjechał z Hio, aby coperędzej wrócić do swych pól ojczystych, szerokich, wśród których mógł sam na sam rozmawiać z piękną i niepokalaną naturą; do swych ksiąg ulubionych, przez które przemawiały do niego duchy ludzi

o wielkich umysłach i zacnych sercach; do szczupłego, lecz wybranego koła przyjaciół swych, z którymi ręka w rękę postępował po drodze uczciwości i pracy.

Nie uczynił tego jednak, bo miał do spełnienia w Hio zadanie nakazane mu przez własne jego serce. A zadanie to było następujące. W Hio żyła dziewczica imieniem Li-ka, co po Chińsku znaczy „Piękność”. Piękną też była duszą i ciałem. Dusze miała czystą jak poranne obłoki dnia wiosennego; ciało utoczone przez Stwórcę zda się na to, aby ludzie stawali w zachwycie przed piękną jego dzieła. Dziewicę tę pokochał Sinono-kami, ale ona o tem nie wiedziała. Ją w tej samej porze dotknęło jedno z największych nieszczęść, jakie spaść mogą na serce szlachetne i niewinne: pokochała człowieka którego wedle praw społecznych kochać jej nie wolno było. On kochał ją także. Był to miłość czysta, poetyczna, niezająca prawie siebie; miłość duchów więcej niż ciał, cała rozplynięta w marzeniu i harmonji muzycznej. Kochali się tak jak mogą się kochać tylko aniołowie w niebie, i... marzyciele na ziemi. Sinono widział to i bolał nad dziewczicą, która bladła i smutniała pod tchnieniem rzewnego snu o miłości; ale zarazem wpatrywał się coraz więcej w duszę jej gorącą a czystą zarazem, w myśl jej podniosłą i niepokalaną — i coraz bardziej ją kochał.

Ale dojrżeli także nieszczęśliwą miłość dziewczicy cnotliwi napelniający Hio, i radość zdjęła ich wielka — albowiem znaleźli jednego ofiarnego kozła więcej, którego mogli w całopalenie złożyć na ołtarzu własnej wielkości. Cztery największe cnoty uczyły się porwanemi w siódme niebo. I jakże mogło być inaczej? wszak oto spotykała je sposobność zajaśnić najżywszem światłem obok cienia, który się w ich pobliżu tworzył; oto znajdowały przedmiot, na który mogły wylać całą żółć zgromadzoną we wrzodach pokrywających ich własne dusze; oto mogły pochwycić w szpony ofiarę i rozszarpać ją, aby ze szmat jej sławy i serca potworzyć zasłony ku okryciu własnych grzechów.

Okrzyczeli więc młodą i czystą dziewczicę za potwora niemoralności i występku; zbrukali ustami i pogardliwym śmiechem uczucie jej, które wykluwało się dopiero z młodego serca, samo siebie jeszcze nie znając; wyrzucili ją ze swego koła, niby jawnogrzesznicę; okryli ją obelgą i wzgardą; rzucili w jej pierś gorzkie uczucie upokorzenia i żalu do ludzi. A to wszystko uczynili będąc przekonanymi w gruncie, że dopełniają niesprawiedliwości; uczynili to nie przez dbałość o prawa społeczne, któremi w tajni pomiatali sami, nie przez miłość dla czystości obyczajów, z której śmieli się między czterema ścianami swoich pokojów; ale dla tego, aby wzrosnąć obok istoty poniżonej, wyglądać białe jak śnieg; obok zbrukanej, raz jeszcze na widok publiczny wykazać swą cześć dla cnoty, a wstręt do występku; zemścić się na istocie niewinnej, za własne przewinienia.

Sinono widział to i zawrzał cały gniewem i pogardą — i gdy ulubiony pięknej Li-ki przez poszanowanie społecznego porządku i troskliwość o spójność i sławę ukochanej, opuścił na zawsze Hio; Sinono poszedł do smutnej dziewczicy, wyznał przed nią swą miłość, i złożył u stóp jej rękę swą, serce, imię i miliony — pragnąc gorąco, aby ona kiedykolwiek przyjął je raczyła.

A potem poszedł on do owych wysoko cnotliwych osób, które czuły się w prawie zdeptać sławę i zachwiać całą przyszłością Li-ki — i powiedział im pod sekretem, na ucho, że jest w posiadaniu wszystkich ich grzesznych i ciemnych tajemnic. A gdy zazdrzeli i zbledli, oświadczył, że jeśli kiedy imię ukochanej przez niego dziewczicy wyjdzie z ich brudnych ust z towarzyszeniem obelżywego słowa; jeśli kiedy z ich przyczyny choć jedna łza spłynie z jej pięknego oka — wtedy on, Sinono, przyjedzie do Hio i głośno a publicznie wyjawia to, o czem wypadek dał mu wiedzieć; zdechrze maski z obłudników, roztworzy przed ludźmi wnętrza ich dusz niskich, i będą tak zdeptani, jak dziś są wyniesieni. Zamiast przed nią, przed *nimi* otworzy się przepaść hańby, której nie unikną. Tak przyrzekał Sinono cnotliwym ludziom z Hio — a autor tej powieści zaręcza czytelnikom że dotrzyma słowa, bo jest człowiekiem silnych postanowień.

Umilkł Gaczycki, a twarz jego zmieniła się nagle. Rumieniec wzruszenia okrył policzki, usta przybrały wyraz surowy, a oczy ciskały płomienie zapału i oburzenia. Wzruszenie jego udzieliło się obecnym; całe zebranie siedziało nieruchome, milczące, wpatrzone w niego, niby zakłętą tajemniczą ciemnością historii którą opowiedział. Tak było kilkanaście sekund; ale powoli czoło Gaczyckiego rozpozgodziło się, surowość zniknęła z ust jego, w oczach pojawił się nieledwie rzewny wyraz, i zaczął znowu mówić głosem łagodnym, w którym dźwięczał daleki oddźwięk smutku.

— Jeżeli kiedy piękna, dobra i myśląca Li-ka wyciągnie do Sinona rękę swą aby ją poprowadził po drogach życia, on przycisnie dłoń jej do serca swego ze czcią i miłością, i utuli ją na swej piersi, i ramieniem swem osłoni jej głowę od wszelkich pocisków ziemskich. Wtedy ona zostanie żoną jego, podzieli z nim imię zacne i nigdy niczem nie splamione, zamieszka w bogatym jego pałacu, i będzie miała złota, ile go sama zażąda. Wtedy ci co nią dziś wzgardzili, pokłonią się jej z pokorą; ci co ją spotwarzali, śpiewać będą na jej cześć hymny; ci którzy rękę cofali przed nią, poczują się szczęśliwymi, jeśli ona kiedy zechce im swoją podać. A to wszystko nie dla tego się stanie, że będzie ona niewiastą zacną i rozumną, ale dla tego że będzie posiadała miliony. Bo dla cnotliwych takich o jakich mówi opowieść moja, najwyższą cnotą jest złoto; bo nikt nie jest tak skłonny do uderzenia czołem przed cielcem złotym jak cnotliwi tego kalibru. Temi słowami autor z którego opowiadanie me czerpałem kończy historją pobytu Sinona-kami w mieście Hio.

Spodziewam się że powtórzeniem tej historii wywiązałem się z przyrzeczenia danego państwu, i przekonałem was, że nie jest zmyśleniem potwór o którym mówiłem, a który mając nogi zajęcze, ogon lisi, żądło węzowe i skrzydła nietoperza, unosi się nad światem wydając krzyk bluźnierczy: jam jest cnota!

Przestał mówić Gaczycki, a w salonie milczenie trwało jeszcze parę minut. Nikt z miejsca się nie ruszał, dziwne uśmiechy błędziły po wszystkich twarzach. To co powiedział było tak nowe i oryginalne dla słuchaczy, że żaden z nich nie mógł przejść do rozmowy o czem innem. Wytworna, o arystokratycznych kształtach postać opowiadacza, i twarz jego, piękna w tej chwili rozlaną na niej pięknnością duchową, zdawały się panować nad całym zebraniem, i przykuwać do siebie wszystkie oczy. Gaczycki spojrzął po otaczających, a widząc skupioną na sobie ogólną uwagę, odezwał się:

— Pozwólcie państwo abym do opowiedzianej wam historii nieznanego autora, dołączył jako komentarz kilka własnych uwag. Niech mię Bóg broni abym miał najmniejszym choćby słowem poniżyć u ludzi pojęcie o cnocie prawdziwej. Byłoby to zaparciem się najdroższych własnych przekonań moich i życzeń jakie żywię dla ludzkości. Obecnie opowiadaniem mojem chciałem tylko okazać, że nie wszystko jest cnotą co się nią wydaje albo wydać pragnie; że bardzo często przed pozorami występku kryje się właśnie cnota prawdziwa, heroiczna niekiedy — a pod płaszczem cnoty, jak wąż pod kwiatami czołga się i wiję brzydka gadzina grzechu. Nikt więcej odemnie nie pragnie widoku cnoty na świecie, i nie jest skorszym do uderzenia przed nią czołem. Pokażcie mi człowieka, który zamknięty w cichym pokoju gdy inni bawią się i weselą, schylony nad księgami, z umysłu swego snuje myśli mające być ludzkości nauką i zbawieniem — a powiem wam, że to człowiek cnotliwy. Pokażcie mi ciemnego i niezmordowanego pracownika, który własną ręką prowadzi plug po ziemi rodzinnej, i pędzi żywot w ubogiej zagrodzie pracowicie a uczciwie — a z gorącym uznaniem uścisknę cnotliwą dłoń jego. Pokażcie mi tego kto opatrzonej gwiazdę umiłowanej jakiejś idei, idzie ku niej przez ciernie, i raniąc stopy swe o kamienistą drogę, nie zmęczony niczem, niczem niezachwiany, dąży do celu który sobie postawił jako zadanie żywota — a schylę czoło przed cnotliwym jego obliczem. Pokażcie mi niewiastę pędzącą swe życie przy ognisku domowym, nad kolebką dziecięcia, będącą rozkoszą i pociechą męża pracownika, mistrzynią i aniołem stróżem synów, którzy z pod jej opiekuńczego skrzydła wychodzą w świat ludźmi dzielnymi — a uwielbię ją w cnocie jej i zacności. Ale nie mówcie mi o ludziach cnotliwych, którzy pędzą swe życie z założonemi próżniaczko rękami, a ustami wiecznie otwartymi ku ogłaszaniu swej cnoty; nie mówcie mi o tych co klękają przed ołtarzami z jednym okiem utkwionem w obliczu Boga, a drugim zatopionem w okna mieszkania sąsiada; nie mówcie mi o tych którzy wiele mówią a nic nie czynią. Albowiem rzeknę że to są obłudnicy, a cnota ich jest owym potworem, który skrzydłami nietoperza kąpie się w ciemnościach, kąsa żądłem żmii, ucieka od sądów ludzkich zajęczemi nogami — a przykrywa się chytrze lisim ogonem. Tacy cnotliwi cnotę swą posiadają nie w piersi ale na ustach, niby wystawę sklepową wywieszają ją na widok publiczny, noszą się z nią po kościołach i domach sąsiadów, owijają ją w różańce i szkaplerze, śpiewają o niej sami pieśni najtkliwsze, używają jej za misterną zasłonę ku pokryciu grzechów swych teraźniejszych lub przeszłych, ostrzą z niej żądła, któremi wykalają oczy bliźnim, czynią z niej sobie okulary, mające ukryć belkę w ich źrenicach, a w oku bliźniego źdźbła dopatrzeć. Z takich cnotliwych

tworzą się zastępy pobożnych plotkarzy, obłudnych dewotów, dumnych nikczemników, próżniaków pracujących językami. Tacy cnotliwi są młynami w drobny proch rozcierającymi dobrą sławę bliźniego, żółcią rozlaną pod stopami spokojnie idących ludzi, kolcami o które kaleczą się stopy przechodniów.

Z takimi cnotliwymi rozminąć się niepodobna, bo oni są wszędzie: w kościele, w domu, na rynku miejskim, w zamku, pod oknem dla podpatrzenia, pod drzwiami dla podsłuchania, zrana, wieczorem, w południe; a tam ich jest największa liczba i tam są oni najczęściej, gdzie najwięcej jaśniej młodość, piękność, rozum lub cnota prawdziwa — bo zalety te u bliźnich ranią wzrok ich boleśnie, ich którzy sami jedni na świecie pragnęliby być młodzi, piękni, rozumni, cnotliwi, — a cnotliwi przedewszystkiem.

Śród takich cnotliwych, ludzie wielcy pracą, poświęceniem, miłością, wdziękami, rozumem — znajdują się niby zamknięci w forticy, której ściany zapisane są od góry do dołu prawidłami najsurowszej moralności. Prawidła te przepisują porę dnia w której wolno lub niewolno ukazywać się na ulicy, towarzystwo z którym wolno lub niewolno przestawać, osoby które wolno lub niewolno kochać, barwy sukien i formy kapeluszy których wolno lub niewolno używać. A główną zasadą prawideł tych są słowa: „róbcie wszyscy jak my robimy, idźcie na prawo, gdy my tak idziemy, postępujcie na lewo jeśli my tam postępujęm, spuszczaćcie oczy kiedy my je spuszczaemy, kochajcie tych których my miłujemy, nienawidźcie każdego kogo nam podoba się niełubić! Jednej tylko wystrzegajcie się rzeczy, to jest grzeszyć tak jak my grzeszymy, albo grzeszyć pragniemy a nie możemy, bo powalimy was o ziemię cnotliwymi językami, i ukamienujęm książkami do nabożeństwa.

Zgodzicie się Państwo na to, że tacy cnotliwi są szarańczą, która obsiada niwę ludzkości i wyskubuje z niej najpiękniejsze ziarna; że takich cnotliwych musiało być bardzo wiele w grzesznej Sodomie, bo bez nich Sodoma Sodomąby się nie stała. Oni to są na świecie długouchymi a nie długonogiemi bocianami, które wysłuchują przez dziurki od klucza, wypatrują przez szpary okiennic; a gdy tylko posłyszają wdzięczny śpiew słowicy albo lot orli zobaczą, to wraz słowika lub orła dziubią, skubią, szczypią, kolą, ranią, czyniąc to w imię cnoty, przez miłość bliźniego i dla większej chwały Pana Boga. Ale nie daną im jest moc zniszczenia tego co Stwórca zesłał na świat dla istotnej chwały swojej, pożytku ludzkości i tryumfu prawdy a piękna. Daremnie siłą się długouche bociany, aby wszystko na ziemi uczynić do siebie podobnem, aby w szponach swych zgnieść i rozszarpać wszelki wdzięk i niewinność. Wielu wprawdzie łatwowiernych uda się im w błąd wprowadzić, wielu sercom ciężkie potrafią zadać rany, wiele nawet istnień ludzkich złamać i zniweczyć; ale i sami prędzej czy później upadną w głęboki dół, który przed stopami innych kopali. Prędzej czy później nadejdzie godzina, że spadnie z ich twarzy maska obłudy, i ukaże trąd którym są okryci; sprawiedliwość rządząca światem zedrze z nich cnotliwą skórę, którą się okrywali, a z niej jak gadziny wypełzną ukrywane grzechy ich, aby ludzie patrząc na nie cofali się ze wstrętem i pogardzą. A orły których skrzydła połamać oni chcieli, wzniosą się pod obłoki swobodnie i kapać się będą w promieniach słonecznych; słowiki których głos tłumili swem krakaniem, wdzięczną pieśń swoją rozśpiewają po świecie.”

Powiedziawszy te wyrazy umilkł Gaczycki, a choć już nic nie mówił, długo jeszcze zdawało się tym co słuchali, że w powietrzu brzmi głos jego, w którym z za smutku i surowości dźwięczał sarkazm, niby oddalone a ostre stali o stal uderzenie. I znowu kilka minut było powszechnego milczenia, gdy nagle niemłody jakiś mężczyzna z poczciwą i rozumną twarzą, stojący najbliżej Gaczyckiego i słuchający jego mowy ze szczególną uwagą, wyrzekł:

— Slicznieś pan powiedział. Ale wysłuchawszy słów pańskich, każdy zwyczajny poczciwiec pragnący rozróżniać prawdę od fałszu znajdzie się w niemalym kłopotcie. Jakież bowiem są znaki, po którym poznać można prawdziwą cnotę między tłumem fałszywych jej wyznawców?

Gaczycki zwrócił się do interlokutora, i odpowiedział:

— Znaki te są: prostota i przebaczenie. Tak, mówił dalej; cnota prawdziwa jest cichą, bo brak jej czasu do głośnego objawiania się ludziom; nie chełpi się, bo uważa się za konieczność nie obowiązującą nikogo do pochwał; nie stroi się w sztandary i emblemata, bo czuje się sama przez się piękną; nie wymaga ludzkich okłasków i uwielbień, bo

sama w sobie znajduje dostateczne wynagrodzenie, i ma głębokie wewnętrzne radości, których dać nie może żadna chwała ziemską. Cnota prawdziwa, jak prawdziwa miłość, posiada swoje poczucie skromności. Wszak jeśli widzimy parę ludzi, zbyt jawnie i publicznie okazującą sobie wzajemną miłość, mamy ją w podejrzeniu, że objawów swych używa za zasłonę istotnej oziębłości, i że tworzy małżeństwo tylko z imienia, i spojone interesem nie miłością. Otóż jeśli człowiek zbyt głośno objawia miłość swą dla cnoty i czyni z niej demonstracje publiczne, znać to że tworzy z nią małżeństwo zawarte dla interesu, a pod objawami miłości ku cnotcie kryje rzeczywistość dla niej oziębłość! Obok tego, prawdziwa cnota jest pełną przebaczenia. Człowiek istotnie cnotliwy nie skory jest do podejrzeń, bo z trudnością pojmuje skłonność do występku; a jeśli i widzi występki, przebacza, bo lituje się nad nieszczęśliwym nie doznającym wysokich uciech, jakie daje cnota, a jakich on sam doświadcza. Ten kto jest najskorszy w obwinianiu o grzech bliźniego, sam grzeszy z pewnością. Kto w drugich z łatwością dostrzega cienie, sam jest ciemny. Zwykliśmy sądzić innych wedle siebie, i mierzyć wszystko własną miarką. Nie ufajmy nigdy cnotcie tych, którzy są okrutni. Zbytnią surowość nie idzie w parze ani z chrystjanizmem, ani z filozofją; pierwszy jest dobrocią, drugi wyrozumiałością — a bez jednego i bez drugiego niema cnotliwego człowieka. Jeśli zobaczycie człowieka, który się modli, rozdaje jałmużny, prawi kazania o uczciwości, staje na straży moralności publicznej, a zarazem uderza pięścią w barki upadającego brata, aby niżej jeszcze runął, i krzyczy na niego: „harro!” — bądźcie przekonani, że to obłudnik, który chce się wywyżżyć kosztem upadku i poniżenia bliźniego. Ale jeżeli wzrok wasz upadnie na takiego, który cicho pracuje ku pożytkowi swemu i ludzi, sam wie życie bez skazy, a na widok występku brata roni łzę litości i do występku wyciąga rękę z pomocą i pociechą, o takim śmiało wyrzec możecie: „ten jest cnotliwym”. Co do mnie, wyznaję, że występkiem którym się najmocniej brzydzę jest obłuda, a cnotami wzbudzającymi we mnie cześć najwyższą są: prostota i przebaczenie.

To rzekłszy Gaczycki postąpił kilka kroków w kierunku gospodyni domu i rzekł z ukłonem:

— A teraz zostaje mi tylko przeprosić państwa, że tak długo zająłem ich moją rozprawą o cnotie prawdziwej i fałszywej. Wypadło to jakoś z rozmowy i mego dzisiejszego nastroju. Państwo oczekujecie pewnie z niecierpliwością kadryla i walca, a mnie czas iść robić przygotowanie do jutrzejszej podróży. Zatem...

Tu skłonił się całemu towarzystwu na znak pożegnania, i skierował się ku drzwiom.

Wyszedł, ale pozostałe w salonie osoby długo jeszcze milczały, rozmawiając tylko zamianą spojrzeń i uśmiechów. Nikt też nie zauważył, że za wychodzącym gościem wysunął się do przedpokojku pan Spirydjon As.

— Edwardzie, rzekł biorąc rękę Gaczyckiego; przyznaj, że w historii którą opowiadałeś, moja osoba grała niepoślednią rolę. Ten chiński Kyang to ja...

— Wyznaję że tak jest, odpowiedział Gaczycki.

— A więc gdzież jest to dziecko? spytał pan Spirydjon, którego twarz oblekła się niezwykłą mu powagą i smutkiem.

Gaczycki wydobył arkusz papieru, i oddając go panu Asowi rzekł:

— Oto są spisane zeznania starej sługi, tej kobiety, która w dwa tygodnie po ich złożeniu umarła. Z nich dowiesz się o wszystkim.

Pan Spirydjon wziął papier i ściskając dłoń Gaczyckiego wyrzekł:

— Dziękuję ci. Oddałeś mi znakomitą przysługę. Nudzę się od pewnego czasu śmiertelnie i sam nie wiem co zrobić z tym kawałkiem serca, który mi jeszcze w piersi pozostał. Niezdarnie wiodłem życie. Znudzila mię gra w karty, szampan zaczął sprawiać mdłości, zapomniałem jak zdobywać serca kobiecie westchnieniami, a sprzykrzyło mi się kupować je za klejnoty. Jeździłem do Paryża i osiadałem na pustyni — a pustynia znudzila mię jak Paryż, i Paryż jak pustynia. Zacząłem już zadrzeć pocziwcom, którzy hreczkę sieją, dzieci hodują, i w swoim kącie siedząc Pana Boga chwalać.

Teraz będę miał cel życia. Sam wychowam to biedne dziecko, i może przez to naprawię w części krzywdę jaką wyrządziłem jego matce, boć ja pierwszy przecie wprowadziłem ją na drogę błędów i obłudy. Uspokoję moje sumienie, które mi zawsze wyrzucało ten postępek, i będę miał komu oddać mój kawałek serca, który dopominał się o użycie go.

— A przedewszystkiem zwrócisz opuszczonemu dziecku dach i serce ojcowskie, odpowiedział Gaczyki, i uściskawszy dłoń Asa oddalił się.

Kiedy pan Spirydjon wrócił do salonu, pierwsze słowa które uderzyły jego uszy, były słowa pani Olimpji mówiącej z dumnie podniesioną głową:

— Przyznajcie państwo, że pan Gaczycki dziwną i całkiem nieprawdopodobną opowiedział nam historję. Taka kobieta jak ta pani Fu nie mogła egzystować w żadnem wyższem towarzystwie!

Kiedy pani Olimpja wymawiała te słowa, w kilku stronach salonu dał się słyszeć bardzo cichy i bardzo prędko powstrzymany śmiech. Posiadała ona brzmiające imię i wysoką w świecie pozycję; śmiać się tedy jej kosztem zdało się towarzystwu rzeczą arcy nieprzystojną.

Ale ozwała się wnet pani Teresa.

— Niepodobna też przypuszczać egzystencji takiej kobiety jak pani Lu. Nie wierzę aby na świecie były podobne błędy i podobna obłuda.

Tym razem w kilku stronach salonu odezwał się śmiech głośniejszy, i dłuższy nieco niż poprzedni. Pani Teresa posiadała mniej brzmiające imię, i nie tak wysoką pozycję w świecie jak pani Olimpja; śmiać się tedy jej kosztem wydało się towarzystwu rzeczą trochę przyzwoitszą.

— Ani też w panią Ru wierzyć można, rzekła pani Apolonja. Któż kiedy słyszał aby kobieta, która wiele modli się i rozdaje jałmużny, była złą żoną i matką, albo siałą między ludźmi niezgodę i potwarz!

Teraz w różnych stronach salonu zabrzmiał śmiech znacznie głośniejszy i dłuższy, niż poprzedni. Pani Apolonja nie posiadała wcale brzmiającego imienia, ani wysokiego położenia w świecie; śmiać się więc jej kosztem wydało się towarzystwu rzeczą daleko przyzwoitszą.

— Jużto ogólnie wiadomo, zadźwiczwał młody i świeży głosik z jednego rogu salonu, jużto ogólnie wiadomo, że łatwiej jest dopatrzeć źdźbło w oku bliźniego niż belkę w swoim zobaczyć!

Wyrazy te wymówiła małutka osóbką w różowej sukni, z głową okrytą złocistemi loczkami.

— Cicho, Stasiu, cicho, narażasz się! szepnął siedzący przy niej mężczyzna; ale słowa jego zagłuszone zostały głosem pana Rokowicza, który powstał wyprostowany, i wyciągając prostopadle prawicę, zawołał:

— Przepraszam! Gdybym był na miejscu tego męża o którym mówił pan Gaczycki, a który... tedy... tak dbał o moralność swego domu, a nie wiedział że w swoim domu.. ma... tedy... gdybym był na miejscu tego męża... Zatrzymał się chwilę, jakby namyślając się, a potem wyrzekł: tedy... byłbym wielkim głupcem!

Tym razem we wszystkich stronach salonu wybuchnął śmiech głośny i długi, bo śmiać się z głupców cały świat uznaje za rzecz zupełnie przyzwoitą.

W SZEŚĆ LAT POTÉM

O kilkanaście mil od miasta X. piękną górzystą okolicę przerzyna szeroka pocztowa droga, wspaniale przyozdobiona rosnąciami z obu jej stron drzewami starych i wyniosłych dębów, wierzb i jarzębin.

Po nad drogą tą stoi pałacyk nie zbyt wielki — ale pięknej lekkiej struktury, otoczony balkonami wykładanemi marmurem, ukoronowany wysmukłą z blaszanem pokryciem wieżyczką, u stóp której rozciąga się szeroki taras napełniony zamorskimi roślinami. Pałacyk ten otaczają ogrody o cienistych starożytnych alejach, park z szerokim stawem, grotami, wodotryskami i posągami, zwierzyniec po którym między rzadką kolumnadą gładkich sosen i w gęstwinie gajów brzoźowych mkną złociste danielce, albo z szelestem łamiąc gałęzie przebiegają hoże sarneczki.

To pańskie i pełne smaku mieszkanie, otaczają łany szerokie i żyzne; po wzgórzach widniejących zdaleka, nad szumiąciami potokami osiadły wsie z porządnie pobudowanymi i malowniczo rozszaniami domami. O wiorstę odległości wznoszą się grube i wysokie mury obszernej jakiejś fabryki, a około niej mrowią się ludzie, i rozlega się turkot a stuk

mnogich machin. Niedaleko fabryki ciągną się niższe od niej ale wielkie budowy, ni- by szpitale jakieś lub szkoły; a na najwyższym wzgórzu bieleje duży murowany kościół, i kilka wyniosłych marmurowych grobowców strzela w obłoki złożonemi krzyżami.

Gdzie spojrzeć wokoło dworu tego widoczne zobaczyć można oznaki ładu, dostat- ku, pracy, przemysłu, czyjejs rozumnej a dobroczynnej zapobiegliwości. Piękna natura połączyła się tam z pracowitą ręką i wyższą myślą człowieczą, a wspólka ta utworzyła świa- tek malowniczy, zamożny, widocznie przemysłny, w którym swobodnie oddychała pierś każda, i każdy umysł znajdował przedmioty na których mógł zatrzymać się z pożytkiem i upodobaniem.

Niedaleko pałacu, tuż naprzeciw parku który go otaczał, bieleją obszerne murowane budowy stacji pocztowej, a przed nią od czasu do czasu zatrzymuje się i dźwięczy dzwonek podróżnych — jeszcze jeden odgłos życia i ruchu wlewając w ożywione i zaludnione miejsce.

Dzień majowy miał się ku schyłkowi, słońce zatoczyło się już za wzgórza zamykają- ce widnokrąg, a zbliżała się ta najpiękniejsza letnich dni pora, gdy nadchodzący wieczór walczy z ostatnimi brzaskami znikającego dnia, a świat okrywa się tajemniczym półcie- niem, wśród którego z ostatnim świegotem usypiają utulone w gałęziach ptaki, a drzewa i rośliny zdają się zapadać w marzenie wydające z siebie woń zdwojoną. Wtedy gwiazdy jedna po drugiej wypływają na szarawe a pogodne obłoki; nowy księżyc bledziuchną pół- obręczą migotać zaczyna między gałęzmi, słowik odzywa się zdala urywanemi tonami, witając noc, która mu niesie natchnienie. Na skraju widnokregu purpurą i złotem iskrzy się jeszcze szeroki pas obłoków, niby ostatnie pożegnanie słane ziemi od dnia, który kędyś w inne zatacza się strony.

O takiejto porze, po cienistej starożytnej alei, obok której za wytwornemi sztachetami widać było biały pas drogi pocztowej, powolnym i zadumanym krokiem przechadzała się młoda i piękna kobieta. Ubrana była w białą powłóczystą suknię, a w wysoko wzniesio- nych płowych włosach, kwitła świeżo znać zerwana pyszna różowa centyfolja. Wyglądała na lat dwadzieścia kilka. Pomimo zamyślenia z jakim się przechadzała, twarz jej mia- ła cechę zupełnego moralnego spokoju i zadowolenia; gładkie czoło było wypogodzone, a wielkie szafirowe oczy patrzyły na świat z tym spokojem i tą cichą radością, jaka pły- nie z dojrzałości ducha, i ze zgody w jakiej człowiek zostaje z samym sobą. Krok jej był pewny i śmiały; formy ciała lubo wysmukłe i delikatne, oznaczały zdrowie fizyczne i siłę; na ustach spoczywał wyraz dobroci, i niby lekki odcień rzewnej zadumy.

Wokoło przechadzającej się kobiety cisza była zupełna, przerywana tylko szmerem owadów układających się wśród trawy do nocnego spoczynku, albo pojedynczemi tonami słowika próbującego śpiewać w gęstwinach parku. Z drugiej strony pałacu wrzał jeszcze gwar i ruch żwawo partych do końca prac dziennych; turkotały wozy, huczały gospo- darskie maszyny, rżały konie i odzywały się liczne głosy ludzkie. Ale echo nawet całego ruchu, przez znaczną przestrzeń nie dochodziło do ogrodowej alei, w którą stopniowo zapadać zaczynał szarawy zmrok wieczorny, a nad którą sklepienie niebios ozdobiło się już kilkoma gwiazdami, niepewnem jeszcze światelkiem migającemi w obec nie zupełne znikłego dnia.

Zdala, zdala, do uszu młodej kobiety przypłynął odgłos pocztowego dzwonka, zbliżał się coraz — aż umilkł u skraju parku, w stronie kędy była pocztowa stacja. Zwykły ten dźwięk nie przerwał zamyślenia, ani zwrócił nawet uwagi przechadzającej się kobiety. Nie przerywała swej przechadzki, i ze spokojem w oku biegła spojrzeniem poza przejrzyste sztachety, na pola kędy rozsiadała się coraz szerzej biała mgła letniego wieczora.

Nagle na drodze, tuż obok sztachet dały się słyszeć stapania, i mężczyzna w podróżnem ubraniu, z wysmukłą i kształtną postacią zjawił się po drugiej stronie sztachet, powolnym krokiem przechodząc obok alei po której chodziła kobieta. Szedł twarzą zwrócony ku ogrodowi, może zdjęty ciekawością zajrzenia w głąb tej przepysznej masy zieleni, z za której błyskały w oddali białe ściany pałacu.

Młoda kobieta zwróciła też twarz ku drodze, i szli tak obok kilkadziesiąt kroków, przegrodzeni sztachetami i rzędem lip starych, patrząc na siebie a nie widząc swoich rysów powleczonej zapadającym mrokiem.

Nagle, nad zamykającemi widnokrąg wzgórzami, ostatnim, zdwojonym blaskiem za- płonął na chwilę iskrzący złotem i purpurą pas obłoków, z przeciwnej strony nad wierz-

chołkami drzew zamigotał księżyc srebrną półobryczą — a dwa te światła łącząc się, rozświetliły twarze dwojga ludzi.

Niby magiczną dotknięci siłą, oboje stanęli na miejscu jak wryci. Usta kobiety otworzyły się jak do wydania okrzyku, ale zadrżały i zwarły się; mężczyzna nagłym ruchem podniósł rękę do czoła i podniósł głowę, jak człowiek przed którym staje niespodziane a olśniewające go zjawisko.

Kilka sekund stali tak niemi, z przyśpieszonym dwóch piersi oddechem. Kobieta postąpiła pierwsza, szybko przebiegła aleę, i stanęła na progu furtki wiodącej z ogrodu na drogę pocztową. Mężczyzna w mgnieniu oka był przy niej, i oboje wyciągnęli do siebie drżące dłonie.

— Pani! Wando! zawołał mężczyzna stłumionym od wzruszenia głosem.

— Panie Augustcie! o, jakże niespodzianie ujrzałam tu pana! cichym szeptem wymówiła kobieta.

August patrzył na nią czas jakiś, nie mogąc i słowa wymówić.

— Dawno już nie widziałem pani! zaczął przerywanym głosem; widocznym było że wzruszenie mięszało mu ciąg myśli. Sześć lat! mój Boże! wszak to wiek cały... Przyrzekłem że szukać pani nie będę, dopóki nie będę miał prawa złożyć u stóp twoich całego życia mego... Stało się tak... jestem wolny... jadę do ciebie... Jakież to miejsce jest w którym panią znajduję?... jakim sposobem pani tu jesteś?..

Umilkł; tchu mu do mówienia zabrakło. Na twarzy Wandy dziwne zagrały uczucia; zbladła, wysunęła dłoń z ręki Augusta, i odstępując od niego parę kroków, wyrzekła poważnym, niemal uroczystym głosem:

— Panie Augustcie! znajdujesz się u progu domu pana Edwarda Gaczyckiego, a ja... jestem jego żoną! August zadrzał; głuchy jęk wydobył się z jego piersi, a księżyc który w tej chwili świetnie z za drzew wypłynął pośepny blask rzucił na zbladłą twarz jego. Stał chwilę niemy, z pochyloną na piersi głową, z ręką bezwiednie naciśniętą na żelazną ozdobę furtki u której stali.

— O marzenia! o nadzieje ludzkie! — wyrzekł zcicha do siebie, i boleść wielka zawisła mu na ustach. Ale po chwili podniósł głowę, z miłością i bólem wpatrzył się w twarz Wandy, i odezwał się głosem w którym były całe skarby serdecznego ciepła:

— Teraz pragnę już tylko wiedzieć czy pani jesteście szczęśliwą?

— Zupełnie! odpowiedziała Wanda — a w głosie jej i wyrazie twarzy była prawda.

August zamyślił się długo, smutnie.

— Przebacz pani, zaczął po chwili, że uderzony nagłym ciosem którego wprawdzie mogłem się spodziewać, ale o którym nie byłem pewny że mię spotka, nie zdołałem od razu ukryć boleści mojej. Sześć lat marzeń wypieszczonych głębokiem i niezatartem uczuciem; nieśmiały, a jednak nieprzeparty nadziei snuty w cierpieniu i tęsknocie, i nagle rozbicie się tych nadziei o słowo, słowo jedno — ale jak śmierć stanowcze, nie może przyjść człowiekowi bez jęku, choćby on tylko sekundę dźwięczyć miał w jego piersi. Przebacz pani, żem śmiał jęk ten wydać w obec ciebie — ale... jechałem z nadzieją, że jutro, pojutrze uklęknę przed tobą, i powiem ci to, czego mi niegdyś mówić nie było wolno... Gdy nadzieja taka rwie się i pęka, to i w sercu człowieka któremu ona życiem była musi zadźwięczyć struna boleści... Ale gdy pani szczęśliwą jesteś, to mi już lżej będzie ponieść w świat z sobą cierpienie moje...

Umilkł — po twarzy Wandy sphywała łza. Łagodnym a poważnym ruchem ujęła jego rękę, i rzekła zcicha:

— Pójdź! zabacz jakim jest życie i szczęście moje!

I szli oboje przez cieniste aleje, po których księżyc kładł białe szerokie smugi. Nad ich głowami rój gwiazd migotał na ciemnym sklepieniu, a z oddali słowik donośnemi tony przyśpiewywał wtórując ich myślom.

Zamyśleni i milczący doszli aż do miejsca w którym rozstały się rzędy lip starych, otwierając przejście na szeroką, pełną kwieciami przestrzeń, u brzegu której stał pałac z oknami błyszczącymi światłem. Wstąpili z wolna po wschodach wiodących na wzniesiony balkon pałacu, i weszli do wnętrza mieszkania. Oświetlone salony przybrane były z bogactwem i smakiem; blask lamp odbijał się w licznych zwierciadłach, i oświecał po ścianach obrazy malowane mistrzowskim pędzlem. Obszerna biblioteka zawierała skarby,

któreby mogły stanowić rozkosz uczonego; wszędzie rozlewała się woń kwiatów w połączeniu ze spokojną ciszą, przerywaną tylko ostrożnym po kobiercach stąpieniem licznej służby.

Wanda zwróciła się do Augusta.

— Bogato tu i pięknie, ale nie to bogactwo pokazać ci chciałam; nie ono stanowi treść i ozdobę życia mojego! Pójdź pan dalej!

Wywiodła go na taras wypełniony kwiatami i wznoszący się wysoko nad okolicą całą. Przed oczami Augusta roztoczył się widok szeroki, oświetlony blaskiem księżyca, wśród którego otaczające pałac wsie i budowy występowały z wyraźnością wielkich cieniów, narysowanych na tle światłem.

Wanda wiodła przez chwilę spojrzeniem wokoło; potem jedną ręką wspierając się o kwitnące tuż obok drzewo pomarańczy, drugą wskazała na rozległą przestrzeń rozłożoną u stóp jej pałacu, i rzekła:

— Patrz pan — oto królestwo nad którym panuję wraz z człowiekiem, którego żoną uczyniło mnie przeznaczenie. Gdy po raz pierwszy przestąpiła próg jego domu, on mnie przywiódł na to samo miejsce na którym stoimy teraz, i pokazując mi tę przestrzeń rozległą rzekł do mnie: „Oto jest miejsce w jakim mamy przepędzić życie uczciwie i pożytecznie; oto bogactwa które Opatrzność złożyła w nasze ręce abyśmy umieli nimi rozrządzać z korzyścią dla siebie i innych; tu ma roztaczać się zadanie naszych dwóch istnień; tu ręką w rękę powinniśmy iść ku celom rozumnym a zacnym, pomagając sobie wzajemnie.”

Tak mówił Edward kiedy po raz pierwszy wprowadził mnie tu jako żonę swoją, a z jego duszy przeszedł w moją duszę spokój i siła. Do owego czasu życie moje było tylko jednym ciągiem marzeń i przeczuć — tu, przy nim, pod kierownictwem jego nauczyłam się myśleć i działać, pojęłam rzeczywiste warunki i zadania życia. Uszanowałam wysoko człowieka który mnie podniósł moralnie — a wierz mi pan, że jeśli mężczyzna zdoła przelać w kobietę siłę i treść swego ducha, to już kobieta ta mężczyznę tego pokochać musi koniecznie.

Umilkła Wanda na chwilę, potem mówiła dalej.

— Przed sześciu laty byłam smutna i rozżalona — on pierwszy wyrzekł do mnie słowa pociechy; źli ludzie ścigali mnie potwarzą i obelgą — on mnie od ich pocisków obronił; utraciłam matkę — on natychmiast podał sierocie dłoń przyjaźni i męskiej opieki. Ujrzałam się na świecie samą jedną, poczułam pustkę w życiu, zapragnęłam domowego ciepła, obowiązków, tych wszystkich słodkich uczuć i nadziei, które są treścią i rozkoszą życia kobiety. On mi podawał to wszystko. Przyjęłam. Przyjęłam ofiarę jego zacnego serca, i nie żałuję tego, a tylko pragnę ofiary tej godną zostać na zawsze.

Przy ostatnich wyrazach głos Wandy zadrżał tonami niezmiernie czułości; słychać w nim było miłość i cześć dla człowieka o którym mówiła. August patrzył na nią; boleść miał w oczach, ale na twarzy wyraz tej rzewnej radości, którą człowiek sam smutny, czuje na widok zacnego szczęścia ukochanych swoich.

Wanda wyciągnęła znowu rękę, i wskazała liczne budowy rozsiane w przestrzeni, i oświetlone księżycem.

— Patrz pan, mówiła; tam mieszka ludzi mnóstwo, a wszyscy jemu zawdzięczają byt, spokój i światło. Oto jest fabryka którą on założył, a która dzielnie wzmaga ruch przemysłowy prowincji całej, dając pracę mnóstwu ludziom, a pracą tą zabezpieczając ich byt fizyczny, i podnosząc godność moralną; tam znowu wznosi się szkoła jego postawiona ręką, w której dzieci robotników i włościan nabywają wiedzy, i uczą się być uczciwymi; tu jeszcze jest szpital stworzony przez niego, jako schronienie dla cierpiących fizycznie i zmęczonych długimi latami pracy; a tam leżą wsie pełne biednych i ciemnych ludzi, którym on, bogaty i wysoko urodzony, daje z siebie przykład uczciwości i pracowitego życia, którzy go wszyscy poważają i wzywają do rozsądzania swych sporów, pomagania im w nieszczęściach, radzenia w troskach. I w tem całym działaniu które on sobie wziął za cel istnienia, ja mu towarzyszę, jestem z nim wszędzie, zastępuję go często, radzę mu, pomagam, pocieszam go gdy smutny zawodami przywiązanimi do każdej pracy ludzkiej, wlewam weń nową siłę gdy zmęczony — i dumna jestem i szczęśliwa nad wyraz z tego, że mogę dzielić trudy i radości zacnego i rozumnego człowieka.

Cudownie piękną była Wanda gdy to mówiła. Twarz jej jaśniała wysokim nastrojem ducha, a białą przybrana jej postać w dumnych i szlachetnych zarysach odznaczała się na ciemnym tle drzew które ją otaczały. August patrzył na nią z uwielbieniem.

— A teraz, rzekła jeszcze, pójdź pan i zobacz główne zadanie i największą rozkosz mego życia!

I znowu powiodła go przez rząd bogatych salonów aż weszli do małego pokoju, na którego białe ściany światło padało z płonącej na kominku alabastrowej lampy. W głębi pokoju tego stała kunsztownie rzeźbiona kolebka przysłoniona leciuchnem pokryciem z różowej krepy. Wanda uniosła przezoczystą zasłonę, i pokazała Augustowi uśpione, kilkunastomiesięczne dziecko.

— Oto syn mój! wyrzekła głosem w którym była najwyższa miłość i radość. Mam syna, panie, dodała po chwili; a gdy ci powiem że całym sercem odczuwam i całą myślą pojmuję wielkość i piękność imienia matki, pojmiesz ile szczęścia i nadziei dziecko to wlewa w me życie!

August zamyslił się nad kolebką długo, smutnie. Może myślał o tem, że jemu los nie dał ani odrobiny tych radości, ani jednej isierki tego szczęścia których tyle roztaczało się tu wkoło niego; może przed wzrokiem jego wyobraźni stanęła w tej chwili posępna istota obok której tak boleśnie spędził swą młodość, a która dziś już leżała w mogile; może mierzył myślą przyszłość swą samotną, pozbawioną tej kobiety o której lata całe przemarzył, odartą z imion męża i ojca, i pytał samego siebie czy duch jego sprosta tej długiej jeszcze a tak smutnej przyszłości? Straszna sprzeczność jego losu z losem innych ludzi, uderzyła jego serce. Patrzył może w oczy przeznaczeniu, i pytał go o zagadkę swego życia.

Wanda odgadła albo odgadnąć pragnęła te myśli Augusta, bo patrzyła nań oczami w których drżały lzy litości, i błąkało się odległe dawne uczucie wspomnienie. Podała mu obie ręce.

— Panie Augustu, rzekła; niegdyś mieliśmy sen krótki a poetyczny — w śnie tym wzajemnie zamarzyliśmy o sobie. Los stawiający między nami nieprzebytą zaporę, zbudził mię ze snu tego, i ukazując rzeczywiste życia potrzeby i powinności, przywiódł mię tu, abym była towarzyszką i pomocnicą człowieka z zacnem sercem, strażniczką bogactw które on włożył w moje ręce, matką i przyszłą przewodniczką dziecięcia tego. Twój sen trwał dłużej. Dziś przyszła chwila w której rozwiać się powinien. Zapomnij pan o tem co było, zostańmy przyjaciółmi, i obyś po przerwanem marzeniu znalazł taką rzeczywistość, do jakiej ja się z moich marzeń zbudziłam.

August uściśnął w milczeniu jej ręce. Nic nie odpowiedział, ale znać było po wyrazie jego twarzy, że ten sen przeszłości o którym mówiła kobieta tak wrósł mu w piersi głęboko, że mocował się z sobą z całej siły, aby uwierzyć że był on... snem tylko.

— Gdzież jest mąż pani? wyrzekł nakoniec. Pamiętam, że miał dla niego zawsze szacunek wielki, i że kiedyś wyświadczył mi przysługę, z tą delikatnością i zacnością serca, które mu są właściwe. Chciałbym uściśnąć mu rękę.

— Edward, odparła Wanda, wyjechał do X. na dni kilka, i lada chwilę oczekuję jego powrotu. Zostań pan gościem naszym na długo. Gdy wróci, zobaczy tu pana z radością, bo często z nim rozmawiamy o tobie.

August zawahał się i przesunął ręką po czole.

— Nie, wyrzekł po chwili, podnosząc twarz bardzo bladą; nie miej mi pani za złe jeśli nie zostanę długo w twym domu. Nie trzeba aby sen miniony uwyrażniał się nazbyt przed oczami człowieka, jeśli na zawsze tylko snem pozostać winien. Zmąciłby mu on jawę tak, że z żalu po nim mógłby się zmącić sam rozum.

Odjadę zaraz, i wspomnienie o tobie, o pięknej duszy twojej, o twojem zacnem życiu powiodę z sobą nazawsze czyste i światłe. Teraz uczyni mi pani jedną tylko łaskę...

Wanda patrzyła na niego wzrokiem zapytania.

— Na ostatnie i nieodwołalne pożegnanie, rzekł August, zagraj mi pani jedną z tych pieśni, które niegdyś rozpoczęły sen nasz wzajemny o sobie, i były potem snu tego ozdoba... niech ją raz jeszcze posłyszę...

Po chwili w jednym z salonów Wanda grała, a August słuchał jej muzyki, myśląc może o owych chwilach wieczornych, w których przed laty ścigał uchem te same tony, okiem szukając wśród mroku ulicy, błyszczącego u góry okna pierwszego piętra...

W kwadrans potem Augusta nie było już w pałacu. W furtce ogrodowej stała Wanda cała oblana światłem księżycowem; czoło na dłoń opuściła, po twarzy jej ciche i rześiste płynęły lzy. Zdala dochodził do niej znikający coraz odgłos dzwonka pocztowego, oddalał

się coraz bardziej, aż umilkł całkiem zgłuszony przestrzenią. Wanda dumiała jeszcze, i nie wiedziała może sama jak długo tak stała — nieruchoma i cicho płacząca. Nagle poczuła czyjąc rękę zwolna i łagodnie obejmującą jej kibić! Odwróciła się i zobaczyła obok siebie Edwarda. Twarz męża Wandy powleczone była łagodną powagą i wzruszeniem. Popatrzył na nią chwilę, i niosąc rękę jej do ust, rzekł:

— Wiem że był tu August. Spotkałem go o parę wiorst od domu...

I otworzył przed żoną objęcia. Wanda rzuciła się w jego ramiona.

— Edwardzie! zawołała, przebaczyć żem płakała! on taki nieszczęśliwy!

Łagodną i pieszczącą dłoń przesunął po czole jej i miękkich włosach.

— Wando moja, wyrzekł po chwili, alboż te łzy twoje obrażać mię mogą? alboż nie byłem sam świadkiem waszej chwilowej i poetycznej miłości? alboż nie wiem, że przeszłość nie przechodzi nigdy bezkarnie, i że prędzej lub później przychodzą od niej do człowieka wspomnienia, które choć na chwilę zamglą mu oczy i zachmurzą czoło żalnością?

Pójdź ze mną droga, do domu naszego; tam znowu spokój i szczęście odzyskasz!..

I znowu przez cieniste aleje, zasłane szerokimi płatami księżycowego światła, postępową zwolna para ludzi. Ale tym razem kobieta ufnie i z miłością wspierała głowę swą na ramieniu mężczyzny; on jedną ręką otaczał jej kibić, a drugą dłoń jej na swej szlachetnej utulił piersi.

A tam daleko — na drodze pocztowej jęczał i dźwięczał przeciągle dzwonek, i smutne oczy jadącego mężczyzny wpatrywały się w niebo ustrojone gwiazdami, jakby mu z serca pełnego boleści ślać chciało pytania.

Dla czego gdy człowiek wędrujący po drogach ziemskich, widzi przed sobą szczęście i już, już ma je pochwycić, los stawia przed nim nieprzebytą zaporę; a gdy zaporę tę znieśie ręka przeznaczeń i człowiek znowu ku szczęściu swemu się rzuca, los staje między nim a przedmiotem jego pragnień, i woła znowu, nie można!? Dla czego najczęściej odmówionem jest ludziom to czego najbardziej z natury swej potrzebują! Czemu gorące serce nie ma na kogo przelać swej miłości? czemu kto działać pragnie, zamknięty jest losem w ciasnym zakresie działania? czemu kto potrzebuje spokoju, spotyka burze, a za burzami tęskniący otrzymuje spokój w udziale? Jaką dziwną kłótnię prowadzi życie z pragnieniami człowieka? jak śmieszna igraszka nadziei i marzeń własnych jest człowiek?

Tak myślał August, długo, boleśnie. Ale coraz widniej zaczynało się robić w duchu jego. Posłyszał nad sobą szelest skrzydeł geniusza sztuki, który łagodnie spływał mu na czoło. W piersi jego snuć się zaczęła pieśń bolesna, ale wspaniała i długa. Wszystko wkoło niego śpiewać mu i grać poczęło. Od gwiazd wysokich płynęły ku niemu tony natchnione, drzewa przydrożne grały mu akordami pełnymi powagi, a echa od wzgórz i pól dalekich niosły mu coraz nowe melodje opiewające bóle, nadzieje i zawody serc ludzkich, i własną przeszłość jego, i ten pałac oblany światłością, na którego wyniosłym tarasie królewską dumą i anielską strojną dobrocią, stała postać kobiety w bieli.

I wywołana zakłębieniem tej pieśni co w piersi jego brzmiała, stanęła przed oczyma jego wielka i promienna gwiazda od młodości ukochanej przez niego sztuki — a ukazując mu na łonie swoim schronienie i spokój, wołała nań z miłością: „Rzuć się w moje objęcia”.

I odgadł August zagadkę przeznaczenia swego, i zrozumiał dla czego cierpiał i spotykał ciężkie w życiu zawody. I duchem podniesionym wysoko pojął, że łzy płynące z oczu człowieka użyźniają jego serce; że tylko na gruncie wielkich boleści powstają uczucia wielkie, i wielkie myśli rodzą się z różnych doświadczeń i kolei życia. Kto nigdy nie zaznał smutku, ten kochać nie umie; kto nigdy nie borykał się z losem przeciwnym, tego umysł nazawsze karłem zostanie; a kto cierpiał wiele a mężnie, ten tylko ducha swego zdolen światu wyspiewać czynem lub pieśnią.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/cnotliwi/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Cnotliwi*. Powieść, Gebethner i Wolff, Warszawa 1871.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0606-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).